

BESTSELLER „NEW YORK TIMESA”

Lisa Unger

częstka
prawdy

wydawnictwo
ab
two

Lisa Unger

CZĄSTKA PRAWDY

Przełożyła Zofia Uhrynowska-Hanasz



Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych czy zmarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Dla Ocean Rae

*Która jeszcze przed swoim pojawieniem się na świecie zmieniła mnie w sposób, jakiego
nigdy nie podejrzewałam...*

*Która przyniosła Jeffreyowi i mnie więcej miłości i radości, niż mogłam się spodziewać.
Już samo oczekiwanie na nią wydało mi się najwspanialszym darem... nawet wtedy, kiedy
była zaledwie błyskiem słońca na wodzie.
Jej obecność w naszym życiu jest błogosławieństwem.*

25 grudnia 2005

Część I
Córeczka tatusia

Prolog

Zastanawiała się, czy to możliwe, a co więcej, normalne, żeby dwadzieścia lat życia spędzić u boku kogoś, kogo chwilami kochasz bardziej niż siebie samą, a chwilami nienawidzisz tak mocno, że masz ochotę wziąć nową żeliwną patelnię i zdzielić go przez głowę. A może po prostu te myśli były przejawem jednego z przypadkowych, ale ostrych ataków zwiastujących menopauzę. Może zresztą zawinił fakt, że zdezelowany klimatyzator, o którego wymianę prosiła go od dwóch sezonów, nie radził sobie z kuchnią, gdzie na ogniu stały trzy rondle, a w piekarniku pieczeń wieprzowa.

Upał najwyraźniej nie robił na nim wrażenia: siedział przed samą kuchnią z „Timesem” w rękę, z nogami opartymi na stołku i z kieliszkiem merlota na stoliku obok. Nie moge powiedzieć – zaoferował mi nawet pomoc, tyle że na swój nieskory do pomocy sposób: „Może ci pomóc?” (ale bez podnoszenia głowy znad wiadomości sportowych). Nie: „Co mógłbym zrobić” (podwijając rękawy) albo: „Ty sobie teraz na chwilę usiądź, a ja wycisnę czosnek” (nalewając jej kieliszek wina). Tak sobie wyobrażała szczerą ofertę pomocy. Zależało jej, żeby nalegał. Szczególnie, że nigdy nie mogła sobie pozwolić na to, by się rozsiaść z kieliszkiem wina i czytać, podczas gdy on tyrałby, przygotowując jedzenie dla przyjaciół (jego przyjaciół, notabene), niezależnie od tego, czyby odrzucał jej oferty pomocy, czy nie.

Spojrzała na zegar; poczuła, że poziom jej stresu rośnie. Za godzinę mieli przyjść goście, a ona nawet jeszcze nie wzięła prysznic. Westchnęła i walnęła garnkiem o zlewozmywak. Mąż spojrzał znad gazety.

– Wszystko w porządku? – zapytał, wstając.

– Nie – mruknęła naburmuszona. – Jest gorąco, a ja muszę jeszcze wziąć prysznic.

– Okej. – Wyjął jej z ręki łyżkę cedzakową, a następnie objął ją wpół i obdarzył jednym ze swoich diabelskich uśmiechów, które zawsze poprawiały jej humor, żeby była nie wiadomo jak wściekła.

– Nie złość się – powiedział i pocałował ją w szyję.

Odsunęła się od niego na moment, udając obrażoną i niedostępną, ale bardzo szybko zmiękła.

– Jeżeli potrzebujesz pomocy, to dlaczego nie powiesz? – wyszeptał jej do ucha, wywołując u niej gęsią skórę erotycznego podniecenia.

– Sam powinieneś wiedzieć – odparła, w dalszym ciągu nadąsana.

– Masz rację – mruknął w miejsce pomiędzy szyją a obojczykiem. – Przepraszam cię bardzo, w czym mógłbym pomóc?

– W czym? – Nagle poczuła się głupio. – Prawie wszystko jest już zrobione.

Odsunął się od niej, wyjął z szafki kieliszek i nalał wina.

– A co byś powiedziała na to? Ty zrobisz sobie prysznic, a ja pozmywam. Zajmę się tymi garami.

Wzięła od niego kieliszek i pocałowała go w usta. Po dwudziestu latach w dalszym ciągu

lubiła jego smak (pod warunkiem, że akurat nie myślała o tym, żeby go zdzielić patelnią). Rozejrzała się po mieszkaniu położonym w West Village, którego większa część była widoczna nad barem dzielącym kuchnię od salonu i przestrzeni jadalnej. Niewielkie, ciasne mieszkanie zostało zagracone rzeczami w dobrym guście, książkami i zdjęciami, gromadzonymi w ciągu całego ich wspólnego życia. Duża kanapa i do kompletu mała kanapka były stare i zniszczone, ale w dobrym gatunku i wygodne, jak ramiona kogoś bliskiego. Stolik koktajlowy stanowił drugie wcielenie starych drzwi, kupionych kiedyś w antykwariacie w New Hope w Pensylwanii. Telewizor, tak jak i zainstalowany w oknie klimatyzator, był od dawna wymagającym wymiany dinozaurem. Sypialnię mieli tak małą, że ledwie mieściła łożo małżeńskie i dwa stoliki nocne zawalone książkami. Mogliby sobie pozwolić na coś lepszego, coś znacznie większego... w Brooklynie albo w Hoboken. Ale byli manhattańczykami z krwi i kości i nie wyobrażali sobie, by dzielił ich od miasta most albo tunel. Może to i głupie, ale biorąc pod uwagę powyższe sprawy, jak również fakt, że czynsz wynosił tylko sześćset dolarów miesięcznie (i to niezmiennie od 1970 roku), a to dlatego, że mieszkanie przekazał im brat Allena, który się przeprowadził do uroczego przerobionego ze stajni domu w Park Slope – no więc biorąc to wszystko pod uwagę, po prostu zostali w tym mieszkaniu. Marzenie o dzieciach nigdy się nie ziściło – jednym słowem, zabrakło powodów, by powiększać przestrzeń życiową. I dopiero ostatnio zaczęli odczuwać pewien dyskomfort.

Nowy gospodarz mianowicie, wiedząc, że za ich mieszkanie mógłby brać miesięcznie dwa albo nawet i trzy tysiące dolarów, nie spieszył się z jakimikolwiek naprawami w nadziei, że zmusi ich w ten sposób do wyprowadzki. Bo w starym domu i w starym mieszkaniu awarii nie brakowało – a to przepalił się bezpiecznik, a to coś ciekło, i tak w kółko.

Ostatnio częściej rozmawiali o przeprowadzce, ale ceny w mieście były porażające. W ich życiu bardziej liczyło się doświadczenie i podróże niż prestiżowe mieszkanie czy telewizor z płaskim ekranem. I chociaż dobrze im się powodziło – ona była reporterką od spraw kryminalnych piszącą dla różnych gazet miejskich, w tym ostatnio dla „Timesa”, a on zawodowym fotografem pracującym w reklamie – to przecież musieli dokonywać wyborów. Żyj dobrze, podróżuj wygodnie i odkładaj na emeryturę, nie przejmując się zbytnio mieszkaniem. Z dochowaniem wierności tej dewizie nigdy nie mieli problemów. Obejrzeliby świat, ale w głębi serca dalej pozostali odkrywcami. Mając niewiele po pięćdziesiątce, byli dobrze przygotowani do tego, żeby w ciągu dziesięciu lat przejść na emeryturę, chociaż nigdy nie dorobili się żadnej nieruchomości.

O tym wszystkim myślała pod prysznicem i myśli te usposabiała ją pogodnie. Szczęśliwie podgrzewacz wody działał tego dnia bez zarzutu. Spodziewali się Elli i Ricka, przyjaciół Allena z college’u. Wiedziała, że przyjdą z butelką wina za sto dolarów, że Ella będzie miała na sobie coś wyjątkowo eleganckiego i kosztownego i że Rick znów zacznie opowiadać o swojej nowej zabawce, czymkolwiek się ona tym razem okaże. Nie wydawali się snobami, byli bezpretensjonalnymi dobrymi ludźmi, tyle że bardzo bogatymi, i to poczucie emanowało z nich falami, domagając się zauważenia, wymuszając porównania. Kiedy nie była w najlepszym nastroju, przeszkadzało jej to bardziej, niż powinno. Allen by tego nie zrozumiał; jego myślenie w tym kierunku nie działało. Potrafił się cieszyć sukcesami przyjaciół, ich zabawkami czy letnimi domami, jakby były jego własne. Nie wierzył w porównania.

Myślała o tym wszystkim, splukując z włosów odżywkę. Nagle gdzieś w ich mieszkaniu, a może nad czy pod nimi rozległo się stukanie, na tyle głośne, że ją zaniepokoiło. Pewnie nawalił podgrzewacz wody albo coś u sąsiadów, pomyślała. Modliła się, żeby to nie byli goście, którzy przyszli za wcześnie. Albo gospodarz, który właśnie postanowił zakończyć awanturę o fatalny przeciek w łazience, dający im się we znaki, ilekroć sąsiedzi z góry brali prysznic. Dzisiaj zagrozili mu, że zawieszą płacenie komornego, dopóki nie usunie awarii. Rozmowa skończyła się tym, że gospodarz przeszedł na ojczysty język, jakiś bardzo szorstki i wschodnioeuropejski, krzycząc na nich, czego nie zrozumieli. Zatrzasnęli mu drzwi przed nosem, ale on jeszcze, zbiegając po schodach, nie przestawał wrzeszczeć.

– Ci wschodni Europejczycy są w gorącej wodzie kąpani – zauważył nieporuszony Allen.

– Może to już czas. Oprocentowanie jest niskie. Stać nas na dużą zaliczkę. Jack radził nam inwestować w papiery nieruchomości, żeby nie mieć kłopotów na emeryturze – powiedziała, mając na myśli ich doradcę finansowego.

– Ale co z kosztami obsługi długu... I kto nam zagwarantuje, że w ciągu najbliższych dziesięciu lat ceny nie spadną? – przerwał i potrząsnął głową. – Nie moglibyśmy sobie pozwolić na kupowanie w mieście.

Wzruszyła ramionami. Była to stara rozmowa, w którą żadne z nich jakoś się szczególnie nie angażowało. Machnęła ręką i poszła na rynek na Union Square, żeby kupić produkty na kolację. W drodze powrotnej spotkała na ulicy gospodarza, do którego nawet próbowała się uśmiechnąć, ale minął ją, wrzeszcząc coś do telefonu komórkowego w swoim gardłowym języku.

Teraz wyszła spod prysznic, nakryła się ręcznikiem, drugim owinęła swoje długie rude włosy i przystąpiła do mycia zębów. Z salonu dochodziła muzyka stereo, więc pomyślała, że mąż nastawił ją głośniejsz, niż miał zwyczaj. Ale nie słyszała rozmowy, co przyjęła z wielką ulgą – bo to znaczyło, że nie ma jeszcze gości ani awanturującego się gospodarza. Po prysznicu poczuła się lepiej; uśmiechnęła się do swojego odbicia w lustrze. Pomyślała, że nadal jest ładna – z dużymi zielonymi oczami, lekkimi piegami i wciąż niezłą cerą – jeśli nie liczyć kurzych łapek w kącikach ust i oczu.

Nucąc z radiem łatwo wpadającą w ucho melodię w wykonaniu jednego z dziecięcych laureatów programu Idol Ameryki, pomyślała, że to dziwne, że zamiast słuchać przez radio takiej piosenki, Allen nie nastawił jakiejś płyty Mozarta czy Chopina, co byłoby bardziej w jego guście. Allen jednak próbował czasem być „hip”, szczególnie kiedy miał przyjść Rick. Bo to właśnie Rick był hip – a przynajmniej za takiego się podawał. Nie chciała im mówić, że ten, kto używał słowa „hip” – z pewnością nim nie był. Ona z Ellą zawsze wymieniały dyskretne uśmiechy, ilekroć Rick i Allen udawali, że są na bieżąco w aktualnych trendach.

Tymczasem znów rozległo się stukanie. Tylko że tym razem bardziej przypominało ciężki łomot i dochodziło jakby z salonu. Otworzyła drzwi łazienki i zawołała męża po imieniu. Ale nie było odpowiedzi, za to teraz, kiedy drzwi do łazienki były otwarte, a ona szła w stronę kuchni, muzyka wydawała się jeszcze głośniejsza. Z sercem trzepoczącym jak ptak ponownie zawołała Allena.

Przed sobą dostrzegła coś leżącego na podłodze. Rękawiczka? Nie, ręka. Na podłodze leżała ręka jej męża. Od tej chwili wszystko zaczęło się dziać jakby w zwolnionym tempie. Pierwsza myśl, jaka przemknęła jej przez głowę, kiedy wyszła z za rogu i zobaczyła swojego

męża leżącego na podłodze: zawał serca! Uklęła koło niego, a on zamrugał oczami w jej stronę, usiłując coś powiedzieć.

– Allen, wszystko będzie dobrze, kochanie... – próbowała go pocieszyć, zdumiona własnym spokojem. Jej głos zabrzmiał mocno, pewnie. – Zaraz wezwę pogotowie. Poczekaj, kochanie, nie przejmuj się.

Wszystko będzie dobrze, powtarzała sobie z dziwnym opanowaniem. W dzisiejszych czasach zawał nie musi oznaczać najgorszego. Brał przecież aspirynę. Pomoże mu usiąść i poda aspirynę, kiedy będą czekali na karetkę.

Ale w tym momencie zobaczyła pod nim kałużę krwi, a w jego oczach przerażenie. Chwilę później zauważyła stojących przy drzwiach mężczyzn.

Byli ubrani na czarno. Jeden z nich trzymał pistolet; drugi nóż z koszmarnym ząbkowanym ostrzem, czerwonym od krwi. Obaj mieli na twarzach kominiarki i blokowali jej dostęp do telefonu.

– Czego chcecie? – zapytała, czując, że opuszcza ją spójność. – Możecie dostać wszystko. – Rozejrzała się dokoła i pomyślała, że właściwie nie mają nic, co by przedstawiało jakąś wartość. Nawet jej ślubna obrączka była tylko zwykłym krążkiem ze złota. W portfelu miała dwadzieścia dolarów, a Allen z pewnością jeszcze mniej. Poczula u swoich stóp ciepłą wilgoć i zorientowała się, że kałuża krwi, zbierająca się pod jej mężem, dotarła do niej. Allen był blady; oczy miał teraz zamknięte.

– Nie ruszaj się – powiedział jeden z mężczyzn; nie wiedziała nawet który. Cała sytuacja stała się jakaś mglista i nierealna. Próbowała myślami nadążyć za tym, co się działo. – I ani słowa.

Jeden z mężczyzn podszedł do niej szybko i zanim zdążyła się poruszyć, złapał ją za nadgarstek, obrócił do siebie i zarzucił na głowę czarną płachtę, wiążąc ją dokoła szyi. W głębi duszy wiedziała, o co chodzi. Tylko nie mogła w to uwierzyć. Poczula u nasady szyi obezwładniający ból, przed oczami wszystkie gwiazdy, a potem już nic.

Biegnę, ale zdaję sobie sprawę, że moje możliwości się kończą; ból w boku jest tak silny, że już kuleję; w płucach pali żywym ogniem. Nie słyszę jego kroków, ale wiem, że jest blisko. Nie mam wątpliwości, że w ten czy inny sposób towarzyszy mi całe życie. Ja jestem światłem, on cieniem. Współistnieliśmy, nigdy się ze sobą nie spotykając. Gdybym była grzeczną dziewczynką, taką, na jaką zostałam wychowana, nigdy bym go nie poznała. Ale za późno na żale.

Jestem na Hart Island w Bronksie, na miejskim cmentarzu dla bezdomnych i ubogich – w miejscu ponurym i przerażającym, znanym jako Potter’s Field. Jak tutaj wylądowaliśmy – to długa historia, ale wiem, że ta historia tutaj się skończy – może tylko dla niektórych, a może dla nas wszystkich. Przede mną majaczy wysoki opuszczony budynek, który jakby zapadał się w siebie. Noc jest ciemniejsza – na wiele sposobów – niż się to mieści w moim dotychczasowym doświadczeniu. Pod grubą pokrywą chmur kryje się skrawek księżyca. Niewiele widać, ale dostrzegam, jak on znika za zwisającymi krzywo na zawiasach drzwiami. Idę za nim.

– Ridley! – słyszę za sobą głos.

Ale nie odpowiadam. Idę naprzód aż do drzwi wejściowych domu. Waham się przez chwilę, patrząc na koślawy, zapadający się budynek, i zastanawiam się, czy aby nie jest za późno na to, żeby się obejrzeć za siebie.

I właśnie wtedy dostrzegam go przed sobą. Wołam, ale mi nie odpowiada, odwraca się tylko i wolno się ode mnie oddala. Idę za nim. Gdybym sobie ceniła swoje życie i zdrowe zmysły, pozwoliłabym mu odejść, mając nadzieję, że odwdzięczy mi się tym samym. Moglibyśmy wrócić do dawnego stanu rzeczy. On by żył w świecie, którego istnienia nawet nie podejrzewałam; ja żyłabym własnym życiem, pisząc artykuły do prasy, chodząc do kina, spotykając się z przyjaciółmi na drinkach.

Strach i złość walczą o lepsze w mojej piersi. Nienawiść ma wyraźny smak i konsystencję; pali mnie w gardle jak żółć. Przez chwilę słyszę głos kogoś, kogo kochałam: „Ridley, daj upust nienawiści i odejdz. To tylko sprawa jednorazowego wyboru. Oboje możemy to zrobić. Żeby żyć, nie musimy znać wszystkich odpowiedzi. Tak wcale nie musi być”. Po chwili zniknął mi z oczu.

Teraz wiem, że te słowa to były kłamstwa. Nienawiść nie odpuszcza. A odchodzenie nie należy do moich wyborów. Może nigdy nie należało. Może przez całe życie stałam na drodze tego pociągu towarowego, przytroczona do szyn, za słaba, za głupia i zbyt uparta na to, żeby chociaż próbować się ratować.

Wchodząc do budynku, mam wrażenie, że słyszę dudnienie silników okrętowych. Czuję słabą iskierkę nadziei i zastanawiam się, czy to nadciąga pomoc. Znowu słyszę swoje imię, oglądam się i widzę swojego jedyne go przyjaciela, który zbliża się do mnie niepewnym krokiem. Jest ranny i wiem, że pokonanie dzielącej nas odległości zajmie mu sporo czasu. Przez moment mam ochotę do niego podejść, pomóc mu. Ale wewnątrz słyszę ruch i jęki

osiadającego budynku. Oddech mam płytki, przyspieszony. Wchodzę głębiej.

– Przestań uciekać, ty tchórze! – wrzeszczę w gigantyczną ciemność. Ten krzyk w opuszczonym wnętrzu powtarza echo. – Chcę zobaczyć twoją twarz!

Mój głos odbija się od otaczających mnie powierzchni. Nie słyszę w nim strachu ani rozpacz, które odczuwam. Wydaje się silny i pewny. Zza paska dzinsów wyciągam broń. Metal jest ciepły od kontaktu z ciałem. Czuję w dłoni spluwę jako coś solidnego i słusznego. Po raz drugi w życiu trzymam w ręku broń z zamiarem jej użycia. Nie czuję się z tym lepiej niż za pierwszym razem, ale pewniej, wiem, że jeśli nacisnę spust, to wypali.

Wychodzi z cienia i porusza się cicho, płynie jak duch, którym jest. Robię krok w jego kierunku, a następnie zatrzymuję się i unoszę broń. W dalszym ciągu nie widzę jego twarzy. Kiedy księżyc przesuwają się przez wyrwę w pokrywie chmur, przez dziury w suficie wpada mleczone światło. Z ciemności wyłaniają się kształty. Posuwa się wolno w moją stronę. Nie uciekam, ale broń zaczyna drżeć w mojej dłoni.

– Nie rób tego, Ridley, nie będziesz potrafiła później z tym żyć.

Głos dochodzi z za mnie. Odwracam się i widzę kogoś, kogo nie spodziewałam się już w życiu zobaczyć.

– To nie twoja sprawa! – wrzeszczę i z powrotem odwracam się do człowieka, którego ściagałam.

– Nie bądź głupia, Ridley. Rzuć tę broń. – Dochodzący z za mnie głos jest pełen rozpacz, łamię się z nadmiaru emocji. – Wiesz, że nie mogę pozwolić ci go zabić.

Rytm mojego serca reaguje na strach w jego głosie. Co ja robię? W ustach mam sucho od adrenaliny; czuję mrowienie na karku. Nie mogę strzelić, ale i nie mogę opuścić broni. Czuję potrzebę wydania krzyku, w którym byłby zawarty strach i gniew, frustracja i dezorientacja, ale wszystko więźnie mi w gardle.

Kiedy wreszcie zbliża się do mnie na tyle, że jest widoczny, patrzę na jego twarz. Absolutnie jej nie rozpoznaję. Wstrzymuję oddech, widząc, jak rozlewa się na niej szeroki okrutny uśmiech. I wreszcie dociera do mnie: jest tym człowiekiem, o którym mówią, że nim jest.

– O Boże. – Opuszczam broń. – Och, nie.

Pewnie myśleliście, że to już mój koniec. Może przynajmniej mieliście nadzieję, że porcja dramatycznych wydarzeń, jaka mi przypadła na całe życie, została wyczerpana, że życie nie ma już dla mnie w zanadrzu żadnych niespodzianek, że od tej chwili wszystko potoczy się gładko. Wierzcie mi: ja też tak myślałam. Niestety, myliliśmy się – i wy, i ja.

Mniej więcej rok temu cała seria przyziemnych wydarzeń i banalnych decyzji połączyła moje życie z życiem pewnego malca, który nazywa się Justin Wheeler. Stałam akurat w chłodny jesienny poranek naprzeciwko niego, po drugiej stronie ulicy, kiedy mały nagle dosłownie wtargnął pod nadjeżdżającą półciężarówkę. Nie zastanawiając się ani chwili, wyskoczyłam na jezdnię, złapałam dzieciaka i uciekłam z nim sprzed nadjeżdżającego samochodu, który z pewnością zabiłby jego, a może nawet i mnie, gdybym się znalazła trzydzieści sekund wcześniej albo później w tym miejscu. Skoro jednak nie zginęłam, mój bohaterski wyczyn mógłby pozostać jedynie w pamięci Justina Wheelera, jego rodziny i mojej, gdyby nie fakt, że stojący na rogu fotoreporter „Post” utrwalił to wszystko na taśmie filmowej. Ta fotka (zadziwiający przykład zdjęcia reporterskiego, jeśli mogę je tak nazwać) wywołała całą serię wydarzeń, które zmusiły mnie do zakwestionowania dosłownie wszystkich szczegółów mojego dotychczasowego idealnego życia, odsłaniając je ostatecznie na różne straszliwe sposoby.

O dziwo jednak – po tym, jak moje życie dosłownie się rozpadło, a wszystko to, co mnie kiedyś określało, okazało się kłamstwem – nadal pozostałam sobą. W dalszym ciągu miałam dość siły, żeby iść do przodu, w nieznaną. Ale ta wiedza o sobie samej wcale nie była mi niemiła.

Mimo że moje życie legło w gruzach, to przecież z tych gruzów wyłoniła się Ridley Jones. I chociaż chwilami wydawało mi się to niemożliwe, odzyskało ono swój zwykły rytm. Przynajmniej na jakiś czas.

Jeśli nie wiecie, co się ze mną działo i jaki obrót przybrały sprawy, to radzę się trochę cofnąć w czasie, zanim ruszycie naprzód. Nie twierdzę, że sekwencja wydarzeń wyda wam się niezrozumiała albo że przyłączenie się do mnie w tym następnym rozdziale mojej *vida loca* nic wam nie da. Chcę tylko powiedzieć, że może to przypominać spanie z kimś, zanim się pozna jego imię. Zresztą, może tak lubicie. Może właśnie chcecie przyłączyć się do mnie i wspólnie ze mną próbować zrozumieć różne rzeczy, jak to bywa w zawieraniu nowych związków. Tak czy owak, wybór należy do was. Wybór zawsze należy do was.

A więc do rzeczy.

Jestem chyba ostatnią osobą na świecie, która nie ma aparatu cyfrowego. Nie lubię takiego sprzętu, wydaje mi się zbyt kruchy. Boję się, że byle deszcz czy naciśnięcie niewłaściwego guzika może wymazać moje wspomnienia. Mam trzydziestopięciomilimetrową minoltę, której używam od czasu studiów. Wyjmuję klisze i zanoszę je wciąż do tego samego laboratorium fotograficznego przy Drugiej Alei.

Miałam przyjaciela, który uważał, że w robieniu zdjęć jest coś z natury niewłaściwego.

Wspomnienie, twierdził, ma w sobie magię przez swoją subiektywność. A zdjęcia są prymitywne i stanowią bezpośredni skutek tego, że chcemy kontrolować i zatrzymywać chwile, które powinny upływać spontanicznie z każdym naszym oddechem. Może i miał rację. Przestaliśmy się przyjaźnić i nie mam żadnych jego zdjęć; zostało mi tylko to wspomnienie, które odżywa za każdym razem, kiedy idę odebrać fotografie. Przy okazji wspominam, jak po kochaniu lubił śpiewać i grać na gitarze (i jaki był w tym wszystkim fantastyczny – to znaczy w graniu na gitarze, w śpiewaniu i, jeśli już o to chodzi, w kochaniu też), ale widok na Washington Square Park, jaki się roztaczał z jego okna, wydawał mi się zawsze taki romantyczny, że całą resztę znosiłam znacznie dłużej, niż gdyby taki nie był. Moje wspomnienia związane z nim są organiczne i trójwymiarowe, są obrazami, które istnieją tylko dla mnie, i mimo wszystko jest w tym coś pięknego.

O tym wszystkim właśnie myślałam, przechodząc przez drzwi F-Stop, żeby odebrać czekające tam na mnie zdjęcia. Pracownik, którego nie widziałam nigdy dotychczas, spoglądał na mnie z wystudiowaną obojętnością spod szopy czarnych farbowanych włosów i dwóch bliźniaczych smug konturówki.

– W czym mogę pomóc? – zapytał, kładąc na ladzie przed sobą książkę w miękkiej oprawie, okładką do góry. Kiedy się do mnie odezwał, mignął mi kolczyk w jego języku.

– Przyszłam odebrać zdjęcia na nazwisko Jones.

Mężczyzna spojrział na mnie spode łba, jakbym mu podała jakieś wymyślone nazwisko. (I tutaj uwaga dotycząca Nowego Jorku: jeśli podasz nazwisko pospolite albo często spotykane, ludzie traktują cię podejrzliwie. Jeśli z kolei twoje nazwisko wszędzie na świecie brzmi dziwnie albo robi wrażenie wymyślonego, jak na przykład Ruby Decal X albo Geronimo, to w East Village nikt nawet nie mrugnie okiem).

Pracownik zniknął za ścianką działową, a ja, oglądając wiszące na ścianach artystyczne czarno-białe fotografie, odniosłam wrażenie, że słyszę jakieś głosy. Po chwili mężczyzna wrócił i położył na ladzie trzy opasłe koperty. Bez słowa skasował należność. Zapłaciłam gotówką i mężczyzna wrzucił koperty do plastikowej torby.

– Dziękuję – powiedziałam, biorąc od niego torbę.

Usiadł w milczeniu i wrócił do lektury. Z jakichś względów w drzwiach jeszcze się odwróciłam i spostrzegłam, że gapił się na mnie jakoś dziwnie, zanim spuścił wzrok.

Zatrzymałam się na rogu Drugiej Alei i ulicy Ósmej. Zamierzałam wstąpić do Jake'a, do jego pracowni, i pokazać mu zdjęcia. Robiliśmy je wspólnie w ciągu kilku ostatnich miesięcy: długi weekend w Paryżu, gdzie bezskutecznie próbowaliśmy do siebie wrócić, popołudnie w Central Parku, gdzie wyglądaliśmy się na Wielkim Trawniku i gdzie wydawało nam się, że jeszcze jest jakaś nadzieja, i wreszcie koszmarne dzień spędzony z moimi rodzicami w Ogrodzie Botanicznym w Brooklynie, pełen długich chwil niezręcznego milczenia, drobnych wybuchów i z trudem skrywanej niechęci. Teraz, wobec perspektywy odwiedzenia Jake'a, stchórzyłam: stojąc na rogu, gapiłam się w krawężnik.

Nie chcę powiedzieć, że mój świat pociemniał czy że moje życie straciło wszelką barwę. To by zabrzmiało zbyt dramatycznie i mogło świadczyć o tym, że się nad sobą użalam. Ale gdybym coś takiego powiedziała, byłabym bliska prawdy. Kiedy ostatni raz o mnie słyszeliście, starałam się pozbierać do kupy strzępy swojego życia. Myślę, że skończyło się optymistyczną nutą, ale było naprawdę ciężko. Jak w każdej długiej rekonwalescencji,

zanotowałam więcej upadków niż wzlotów.

W samym tylko ostatnim miesiącu Jake wyprowadził się z mieszkania przy Park Avenue South, które dzieliliśmy, i mieszka teraz w swojej pracowni przy Alei A. Daleki od tego, żeby pogodzić się ze swoją przeszłością i z tym, czego się o sobie dowiedział, dosłownie dostał obsesji na punkcie projektu „Na ratunek” i roli Maksa w całej tej sprawie.

Mówiąc Max, mam na myśli Maxwella Allena Smileya, mojego wuja, który tak naprawdę nie był moim wujem, tylko najlepszym przyjacielem mojego ojca. Przez całe życie istniała między nami zupełnie szczególna więź. Jakby tego wszystkiego było mało, w ubiegłym roku dowiedziałam się, że Max był moim biologicznym ojcem. Obecnie staram się go obsadzić w swoim życiu w nowej roli: nieudanego ojca, zamiast ukochanego wujaszka.

Otóż projekt „Na ratunek” jest organizacją założoną przez Maksa, który sam był dzieckiem skrzywdzonym, i mającą służyć, już wiele lat temu, przeprowadzeniu w stanie Nowy Jork ustawy o bezpiecznym schronieniu. Ta ustawa pozwala matkom, które z różnych względów nie mogą czy nie chcą podjąć się wychowania własnych dzieci, na zostawianie ich w wyspecjalizowanych placówkach sieci bezpiecznego schronienia bez narażenia się na niewygodne pytania czy na odpowiedzialność karną. W ubiegłym roku odkryłam ciemną stronę działania tej organizacji. Otóż współpracujący z nią lekarze i pielęgniarki potajemnie znaczyli dzieci, które w ich pojęciu jako potencjalne ofiary maltretowania nie były bezpieczne w swoich domach. Dzięki powiązaniom ze światem przestępczym niektóre z tych dzieci uprowadzono i sprzedawano ludziom bogatym. W pewnym sensie ja sama należałam do takich dzieci, chociaż moja historia jest bardziej skomplikowana. Jednym z najciężej poszkodowanych przez projekt „Na ratunek” dzieci okazał się natomiast Jake.

Ostatnio Jake przestał rzeźbić. Ale ponieważ nie zerwaliśmy oficjalnie, stałam się w naszym związku czymś w rodzaju złośliwego chochlika – bałagałam, rozrzucałam różne rzeczy, hałasowałam, a wszystko po to, żeby zostać zauważona.

Przypomniało mi się, co moja matka Grace powiedziała kiedyś o Maksie: „Taki mężczyzna, złamany i pusty w środku, nie jest w stanie prawdziwie kochać. Max był przynajmniej wystarczająco inteligentny, żeby to wiedzieć”. Istnieje przekonanie, że zakochujemy się w swoich ojcach w żalostnej pogoni za idealnym związkiem. Czy to możliwe, że i mnie się to przydarzyło, jeszcze zanim się dowiedziałam, kto był moim prawdziwym ojcem?

– Panna Jones. Ridley Jones. – Usłyszałam za sobą głos, od którego przeszedł mnie lodowaty dreszcz. W ubiegłym roku dorobiłam się całkiem niezłego fan klubu, mimo że poza wypełnianiem swoich prawnych obowiązków, związanych ze śledztwem w sprawie zamordowania Christiana Luny czy projektu „Na ratunek”, starałam się nie udzielać.

A wszystko zaczęło się właśnie od Christiana Luny. Otóż oglądając w CNN program z moim bohaterskim wyczynem, rozpoznał we mnie Jessie Stone, córkę Teresy Stone – małą dziewczynkę, która zgodnie z jego przekonaniem, była jego córką. Luna ukrywał się od ponad trzydziestu lat – od tamtej nocy, kiedy to Teresę Stone zamordowano, a Jessie uprowadzono – w przekonaniu, że zostanie o te przestępstwa oskarżony w związku z dotychczasowymi zarzutami o maltretowanie rodziny. Patrzyłam, jak umiera od postrzału w głowę na ławce w parku w Bronksie, zaledwie kilkanaście centymetrów ode mnie. Mimo wszystko jednak okazało się, że nie był moim ojcem.

Tak czy inaczej, dzięki niezliczonym artykułom prasowym i zamieszczanemu wszędzie zdjęciu z „Post”, od którego się to wszystko zaczęło, stałam się okazowym przykładem dziecka organizacji, która zmieniała tysiące ludzkich losów, niekoniecznie na lepsze. W każdym razie dzwonią do mnie i piszą inne dzieci z projektu „Na ratunek”. Zatrzymują mnie na ulicy. Byłam wychwalana, obściskiwana, obrażana i opluwana. Są wdzięczni. Są wściekli. Przychodzą do mnie w różnych stadiach rozpacz i przerażenia, niedowierzania i gniewu. W każdej z tych osób widzę lustrzane odbicie mojej własnej drogi ku ozdrowieniu.

Zignorowałam głos za moimi plecami. Nie odpowiedziałam ani nie odwróciłam się. Doszłam do wniosku, że jeśli nie reaguję, kiedy ktoś wykrzykuje moje nazwisko na ulicy, to czasem ludzie odchodzą, niepewni, czy się nie pomylili. Dawno, dawno temu słyszałam swoje imię wypowiedane tylko z miłością i wtedy odpowiadałam radośnie, z uśmiechem na twarzy. Te dni minęły bezpowrotnie.

– Panno Jones.

W głosie był tak silny imperatyw, że o mało się nie odwróciłam. Zawsze byłam grzeczną dziewczynką i spełniałam polecenia. Tym razem jednak ruszyłam w kierunku pracowni Jake’a. Kroki za mną przyspieszyły, na co zareagowałam też przyspieszeniem. Nagle poczułam na ramieniu silną dłoń. Odwróciłam się ze złością, gotowa do walki. Przede mną stało dwóch mężczyzn w eleganckich garniturach.

– Panno Jones, chcielibyśmy z panią zamienić parę słów.

Twarz mężczyzny była poważna, ale bez wyrazu złości; nie zdradzała żadnych emocji. Trochę mnie to uspokoiło. Nieznajomy miał dziwne chmurne szare oczy i kosmyk granatowoczarnych włosów. Był wysoki, prawie o głowę wyższy ode mnie, i potężny w torsie i ramionach. Miał w sobie jakiś lodowaty dystans, ale i pewną grzeczność. Jego towarzysz milczał.

– Czego chcecie?

Mężczyzna wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki cienki skórzany portfel, otworzył go i wręczył mi.

„Agent specjalny Dylan Grace, Federalne Biuro Śledcze”.

Mój lęk znikł i zastąpił go niepokój. Oddałam mu legitymację.

– Panie Grace, nie mam FBI nic więcej do powiedzenia. Powiedziałam wam wszystko, co tylko wiem, na temat projektu „Na ratunek”. Nie mam dosłownie nic do dodania.

Musiał pochwycić coś w moim głosie albo w twarzy, bo w jego chłodnym zachowaniu nastąpiło lekkie ocieplenie.

– Nie chodzi o projekt „Na ratunek”, panno Jones.

Partner mężczyzny podszedł do czarnej limuzyny i otworzył tylne drzwi od strony pasażera. W powietrzu czuło się chłód, niebo miało kolor ołowiu. Ludzie oglądali się na nas, ale szli dalej bez zatrzymywania. Minęło nas kilku drabów w mustangu z bajerami, dudniącym basem jak bicie serca.

– To o co chodzi?

– O Maxwella Allena Smileya.

Serce zaczęło mi walić jak młotem.

– O nim też nie mam nic więcej do powiedzenia. Maxwell nie żyje.

– Czy mogę panią poprosić o zdjęcia, które ma pani w tej torbie?

– Co takiego? – Skąd mógł wiedzieć o zdjęciach i po co mu są zdjęcia mojego prawie byłego chłopaka i prawie byłej rodziny?

Wyjął z kieszeni na piersi kawałek papieru. Zastanawiałam się, co jeszcze agent Grace może mieć w tej kieszeni – talię kart, białego królika czy zabawnie długi łańcuch kolorowych chustek do nosa?

– Mam nakaz, panno Jones.

Nawet nie spojrzałam na papier. Po prostu sięgnęłam do plastikowej torby i wręczyłam mu koperty ze zdjęciami. Wziął je i gestem przyzwał mnie do samochodu. Podeszłam do limuzyny i wsiadłam bez słowa. Na podstawie dotychczasowych doświadczeń z FBI wiedziałam, że i tak zawsze w końcu dostaną to, czego chcą. A czy odbędzie się to w sposób mniej, czy bardziej przykry, zależy już tylko ode mnie.

Zawieźli mnie do budynku położonego w pobliżu centrali FBI, zabrali torbę, po czym zostawili mnie w pustym pokoju ze stołem z imitacji drewna, na metalowych nogach, i dwoma zdumiewająco niewygodnymi krzesłami. Ściany były pomalowane na ponury szary kolor, a świetlówki mrugały irytująco.

Wiedziałam, że robią to celowo – że zostawiają cię w nieprzyjemnym pokoju, sam na sam z własnymi myślami, nawet bez zegara na ścianie, bez czegokolwiek, co mogłoby cię rozpraszać. Chcą, żebyś myślała. Żebyś myślała o tym, dlaczego się tu znalazłaś, o tym, co wiesz albo co zrobiłaś. Chcą, żebyś się zastanawiała nad tym, co oni mogą wiedzieć. Chcą cię doprowadzić do stanu, w którym zaczniesz się martwić i denerwować, tak że kiedy wreszcie do ciebie wrócą, będziesz z utęsknieniem czekała na swojego spowiednika.

Ale to oczywiście działa tylko wtedy, kiedy masz coś na sumieniu albo kiedy coś ukrywasz. A ja naprawdę nie wiedziałam, dlaczego chcieli ze mną rozmawiać, dlatego byłam coraz bardziej znudzona i zaniepokojona. I wyczerpana. Bo to spotkanie, a może w ogóle całe moje życie, było wyczerpujące. Wstałam z krzesła i zaczęłam się niespokojnie przechadzać dokoła pokoju. W końcu oparłam się plecami o ścianę i zjechałam do pozycji siedzącej na podłodze.

W ciągu ostatnich dni próbowałam nie myśleć o Maksie, ale wyglądało na to, że im bardziej starałam się wyrzucić z pamięci jego wspomnienie, tym bardziej mnie ono prześladowało. Podciągnęłam kolana pod brodę i objęłam je rękami, chowając twarz w zagięciu łokcia, żeby zasłonić oczy przed ostrym światłem. Robiłam tak jako dziecko – kiedy byłam zła czy zmęczona: zamykałam się w takim własnym kokonie. A kiedy to nie pomagało, wtedy się chowałam.

Nie jestem pewna, jak to się zaczęło, z tym chowaniem. Ale pamiętam, że lubiłam włączyć w różne ciemne zakamarki i tam siedzieć cicho, słuchając zamieszania związanego z poszukiwaniami. Dla rodziców nie było to nic zabawnego, ale ja uwielbiałam ten dreszczyk, to podniecenie, kiedy wszyscy latali jak szaleni, zaglądając pod łóżka i do szaf. Była to gra, w której zawsze wygrywałam, choćby tylko ze względu na reakcję, jaką wywoływało moje zachowanie. Nawet mi do głowy nie przyszło, że mogłam kogoś zdenerwować czy napędzić mu stracha. Byłam za mała na to, żeby się przejmować takimi rzeczami. Stawałam się coraz lepsza w wynajdywaniu kryjówek. Bywało, że w końcu musiałam się sama ujawniać z obawy, że mnie nigdy nie znajdą. Ale w tym też widziałam coś podniecającego.

W pewnym momencie doszłam do wniosku, że w obrębie domu nie ma miejsca, w którym

mogłabym się schować. Wszystkie moje kryjówki zostały już ujawnione przez rodziców, przez brata Ace'a albo przez wujka Maksa. Był on ostatnią deską ratunku, której się chwytało, kiedy rodzice nie mogli sobie poradzić. Wujek mówił: „Sprawdźcie w szafie w gościnnym pokoju”. Albo: „Zobaczcie u niej w garderobie, tam, gdzie jest wyjście na strych”. Wuj Max jakoś zawsze wiedział, gdzie mnie szukać. Ale kiedy ujawniono ten jego dar, zabawa zrobiła się za łatwa, reakcja rodziców nie tak podniecająca i cała sprawa straciła dla mnie urok. Należało podnieść stawkę.

Nie wiem, ile miałam wtedy lat – siedem czy może sześć – w każdym razie byłam za mała na to, żeby chodzić sama, bez Ace'a, do lasu za naszym domem. Tyle przynajmniej wiedziałam. Wąski, długi na jakieś trzy kilometry skrawek lasu obrzeżający działki sąsiadów oddzielał nasz teren od tyłów ogrodu położonego za nami. Pod kamiennym mostkiem płynął niewielki strumyk. Lasek był na tyle niewielki, że rodzice dzieci z sąsiedztwa pozwalali bawić się tam swoim pociechom bez specjalnej opieki. Bo dziecko, które się zbyt oddaliło od domu, trafiało po prostu do czyjegoś ogródka. Ale mnie zabraniano chodzić tam samej, dzięki czemu miejsce to stanowiło wymarzoną kryjówkę.

Było upalne letnie popołudnie. Wyszłam z domu tylnymi drzwiami i skierowałam się do lasu. Zbudowaliśmy w gęstwinie rodzaj niewielkiego fortu i teraz wgramoliłam się do środka koślawej konstrukcji. Panowały tam mrok i gorąco. Byłam z siebie bardzo zadowolona. Leżąc i wyglądając przez krzywe okno na szeleszczące w lekkich podmuchach wiatru liście, po chwili zasnęłam. Kiedy się w jakiś czas potem obudziłam, niebo przybrało barwę głębokiego fioletu. Zrobiło się prawie ciemno. Po raz pierwszy w życiu przeraziłam się nie na żarty. Wyrzałam przez „okno” i las, który zwykle tak bardzo lubiłam, zaroił się nagle od potworów i czarownic, a wszystkie drzewa uśmiechały się złośliwie. Zwinęłam się w kłębek i zaczęłam płakać.

Nie sądzę, żebym w tym stanie pozostawała długo – wkrótce usłyszałam szelest czyichś kroków w poszyciu.

– Ridley? Jesteś tu, kochanie?

Byłam już dostatecznie duża, żeby wyczuć w jego głosie niepokój. Doznałam niewyobrażalnej ulgi. Zaczęłam płakać jeszcze bardziej, dopóki nie zobaczyłam w zaimprovizowanych drzwiach twarzy Maksa. Przy swoim wzroście nie miał szansy, żeby wejść do środka.

– Ridley, jesteś – powiedział, siadając ciężko na ziemi. Widziałam, że jest spocony – może z powodu panującej w powietrzu wilgoci, a może ze strachu. Niewykluczone zresztą, że z obu tych przyczyn. Ukrył twarz w dłoniach. – Dziecko – powiedział przez palce – musisz absolutnie przestać to robić. Twój wujek dostanie przez ciebie zawału. Mama i tata byli bliscy wezwania policji.

Uniósł głowę i wrzasnął w nocne powietrze:

– Jest!!!

Wgramoliłam się z fortu i rzuciłam się w te jego wielkie ramiona, a Max przytulił mnie do swojego miękkiego brzucha. Był cały mokry od potu, ale mnie to nie przeszkadzało. Pomiędzy drzewami widziałam światła naszego domu i słyszałam zbliżające się głosy rodziców.

– Jak mnie znalazłeś? – zapytałam.

Westchnął i ujął w dłonie moją twarz.

– Ridley, moje serce jest połączone z twoim złotym łańcuchem. – Postukał lekko najpierw w swoją, a potem w moją pierś. – Możesz mi wierzyć. Zawsze cię znajdę.

Nigdy w to nie wątpiłam. I już nigdy więcej nie chowałam się swoim biednym rodzicom.

Uniosłam głowę i mrużąc oczy, spojrzałam w ostre światło pokoju przesłuchań. Po czym ponownie zamknęłam oczy i oparłam głowę o zimną ścianę, bezskutecznie próbując uporządkować myśli i się wyluzować.

Zaraz potem do pokoju wszedł agent Grace, podał mi rękę i z imponującą siłą pomógł wstać z podłogi.

– Poczula się tu pani trochę bardziej u siebie? – zapytał. W jego głosie była jakaś dziwna nuta. Czyżby współczucie? Jak na kogoś całkowicie niewinnego spędziłam więcej czasu w FBI niż Jeffrey Dahmer¹. A przynajmniej tak sobie wyobrażałam na swój megalomański sposób. Odpowiedziałam mu krótkim ironicznym uśmiechem, a następnie mój wzrok spoczął na kopercie osiem na dziesięć, którą trzymał w drugiej ręce. Siedzieliśmy naprzeciwko siebie. Grace usiadł na krześle okrakiem jak na koniu. Bez słowa otworzył kopertę i położył przede mną trzy zdjęcia.

Pierwsze z nich przedstawiało mnie przed Notre Dame w Paryżu. Jadłam naleśnika z nutellą i bananem i patrzyłam na katedrę. Miałam na sobie skórzaną kurtkę i beret, który kupiłam na ulicy, ot tak, dla wygłupu. Po brodzie kapłała mi czekolada z orzechami laskowymi. I tak mnie sfotografował Jake. Dla przypadkowego obserwatora wyglądałam zapewne na głupią i szczęśliwą. Ale tak nie było. Pamiętam, że tego ranka obudziłam się obok Jake'a w naszym wytwornym hotelowym pokoju, a przez okno wlewało się żółte poranne słońce. Spojrzałam na mojego śpiącego chłopaka i pomyślałam, że jesteśmy ze sobą od roku, a dziś wydaje mi się bardziej obcy niż wtedy, kiedy się w nim zakochałam i kiedy między nami było tak wiele tajemnic i kłamstw. Jak to możliwe, żeby będąc z kimś dość długo, czuć się z nim mniej związanym niż na początku? Zrobiło mi się smutno. Jake obudził się i odbyliśmy powolny wymuszony akt miłosny, tak bardzo pragnąc powrotu dawnej bliskości. Smutek tego kochania towarzyszył mi potem przez cały dzień.

Następne zdjęcie przedstawiało mnie i Jake'a na Wielkim Trawniku w Central Parku. Trawa miała odcień sztucznej jaskrawej zieleni, a niebo rozciągało się wysoko nad drzewami mieniącymi się u schyłku lata złoto, pomarańczowo i czerwono. Poprosiliśmy przechodzącą w pobliżu młodą kobietę, żeby nam zrobiła zdjęcie, jak siedzimy na naszym niebieskim piknikowym kocyku. Przytuliliśmy się do siebie, ale ona uchwyciła tylko nasze głowy i wszystko, co znajdowało się za nami i nad nami wydawało się pozbawione jakiegokolwiek sensu. Był to dobry dzień. Zauważyłam jednak, że na zdjęciu nasze uśmiechy robią wrażenie sztucznych i wymuszonych. Chociaż wcale takie nie były. Przynajmniej mój. Pamiętam, że odzyskałam wiarę w nasz związek i nadzieję – jak śmiertelnie chory pacjent, który krótkotrwale cofnięcie się objawów choroby bierze za zapowiedź cudownego uzdrowienia.

Ostatnie zdjęcie było pamiątką po koszmarnej niedzieli, jaką spędziliśmy z moimi rodzicami. Najpierw poszliśmy na lunch do River Café w Brooklynie, a potem do Ogrodu Botanicznego, jednego z moich ulubionych miejsc spotkań z ojcem, kiedy byłam młodsza. Zaaranżowanie spotkania z rodzicami stanowiło z mojej strony żalosną i rozpaczliwą próbę stworzenia pozorów, że zachowujemy się jak rodzina. I owszem, zachowywaliśmy się jak

rodzina, ale nienawidząca się i nieszczęśliwa. Ace, który był też zaproszony, nie pojawił się ani nawet nie zadzwonił. Matka przyjęła postawę stoickiego spokoju, ograniczając się do wypowiedzianych od czasu do czasu pod nosem pasywno-agresywnych komentarzy. My z ojcem paplaliśmy jak para idiotów, żeby podtrzymać konającą rozmowę. Jake był milczący i chmurny. W tym nastroju zjedliśmy lunch, a następnie, nie potrafiąc się przyznać do porażki, poszliśmy do Ogrodu Botanicznego. Ojciec zrobił moim aparatem zdjęcie matce, mnie i Jake'owi. Objęłam matkę za ramiona i uśmiechnęłam się. Matka niechętnie uniosła kąciki ust, ale mogłabym przysiąc, że się ode mnie odsuwa. Jake stał blisko nas, ale właściwie jakby osobno. Robił wrażenie rozkojarzonego i wyglądało na to, że w ostatniej chwili spojrzął w inną stronę. Wyglądaliśmy jak grupka obcych sobie ludzi, skrępowanych i zmuszonych do wspólnego pozowania.

Ogarnął mnie wielki smutek i zmieszanie. Spojrzałam na agenta Grace'a z – miałam nadzieję – ledwie skrywaną wrogością.

– To chyba nie zbrodnia, że się ma beznadziejne stosunki z rodziną, prawda? Albo, że się dokumentuje na zdjęciu żałosne próby ratowania rozwalającego się związku z facetem?

Odchyliłam się do tyłu, spoglądając na ścianę nad jego głową. Nie chciałam patrzeć na jego twarz.

– Nie, panno Jones, to nie jest zbrodnia – odparł cicho. – Czy mogę zwracać się do pani po prostu Ridley?

– Nie – burknęłam niegrzecznie. – Nie może pan.

Wydało mi się, że zobaczyłam lekki uśmiech w kącikach jego ust, jakbym wydawała mu się zabawna. Zastanawiałam się, czym może grozić danie w pysk agentowi FBI.

– Panno Jones – powiedział – nas na tych zdjęciach nie interesują osoby głównego planu, tylko tło. Proszę się przyjrzeć jeszcze raz.

Spojrzałam na każde z trzech zdjęć, ale w dalszym ciągu nie zauważyłam na nich nic szczególnego. Wzruszyłam ramionami i potrząsnęłam głową. Agent Grace, nie spuszczając ze mnie wzroku, ponownie skinął w stronę zdjęć.

– Proszę popatrzeć uważnie.

Przyjrzałam się zdjęciom bliżej, ale znów nic specjalnego na nich nie zauważyłam.

– Może pan wreszcie da spokój z tymi bzdurami i powie mi, co pan tam widzi.

Wyjął z kieszeni na piersi długopis Sharpie i zakreślił kółkiem męską postać, widoczną za nami w Ogrodzie Botanicznym. Ten człowiek – wysoki i chudy – przypominał widmo, a jego papierowobiała twarz – jasną smugę. Miał na sobie długi czarny płaszcz i ciemny kapelusz i podpierał się laską. Robił wrażenie, jakby patrzył w moją stronę.

Agent Grace zakreślił drugą postać stojącą za nami – tym razem w Central Parku. Ten sam płaszcz, ta sama laska, tylko dla odmiany ciemne okulary. Postać znajdowała się tak daleko, że mógł to być dosłownie każdy.

Grace ponownie wyjął długopis i zaznaczył kolejną postać – w drzwiach katedry Notre Dame. Tym razem mężczyzna został uchwycony profilem, wydawał się wyraźniejszy i stał bliżej. Było coś w jego czole, zarysie nosa, co sprawiło, że pochyliłam się nad zdjęciem. Na widok ramion tego człowieka zatrzepotało mi serce.

– Nie – powiedziałam, potrząsając głową.

– Co nie?

Grace uniósł brwi. Miał wredne oczy, niby senne, ale przewiercały człowieka na wylot.

– Wiem, do czego pan zmierza – powiedziałam.

– Mianowicie? – zapytał, odchylając się do tyłu.

Oczekiwałam na jego twarzy wyrazu satysfakcji i zadowolenia z siebie, ale nic takiego nie zobaczyłam.

– To niemożliwe.

– Na pewno?

– Na pewno.

Znów przyjrzałam się zdjęciu. Mówi się, że to postawa człowieka pozwala go rozpoznać z drugiego końca pokoju czy z przeciwnej strony ulicy. Ale ja uważam, że jest to sprawa jego aury, czegoś, co emanuje z wnętrza. Mężczyzna na fotografii był właściwie fizycznie niepodobny do tego, którego zachowałam w pamięci, z pewnością o jakieś pięćdziesiąt kilo szczuplejszy. No i wyglądał na dwadzieścia lat starszego. Jakby był zniszczony, kompletnie wypalony w środku, pozbawiony ciepła, w którym się pławiłam niemal przez całe życie. Mimo to było w nim coś znajomego. I gdybym na własne oczy nie widziała jego martwego ciała, tuż przed kremacją, gdybym własnymi rękami nie rozsypała jego prochów z Mostu Brooklyńskiego, to może dałabym się przekonać, że patrzę na człowieka, którego kiedyś znałam jako wujka Maksa, a który był w gruncie rzeczy moim biologicznym ojcem. Ale fakt jest faktem – wszystko tamto przeżyłam. No cóż, zmarli pozostają zmarłymi.

– Muszę przyznać, że jest pewne podobieństwo – wykrztusiłam w końcu po krótkim, ale intensywnym pojedynku na spojrzenia.

– Nam się wydaje, że jest coś więcej niż tylko podobieństwo.

Westchnęłam i oparłam się wygodnie.

– Zgoda, przyjmijmy, że macie rację. Ale to by musiało znaczyć, że Max z jakichś tam powodów upozorował swoją śmierć. W jakim celu jednak miałby ktokolwiek ponosić takie trudy – po to tylko, żeby za kilka lat zostać rozpoznany?

Agent Grace przyglądał mi się przez chwilę.

– Czy zna pani główny powód, dla którego ludzie objęci programem ochrony świadków zostają odnalezieni przez swoich wrogów i giną?

– Mianowicie? – zapytałam, chociaż nietrudno było zgadnąć.

– Miłość.

– Miłość – powtórzyłam. Tego bym nie powiedziała.

– Nie potrafią trzymać się z daleka. Ulegają pokusie zadzwonienia albo pojawiają się incognito na ślubie czy na pogrzebie.

Nie przerywałam agentowi Grace'owi, który ciągnął:

– Byłem w jego mieszkaniu, które jest praktycznie sanktuarium poświęconym pani. Max Smiley popełniał w życiu straszne czyny, skrzywdził wiele osób, ale jeżeli w ogóle kogoś kochał, to panią.

Na jego słowa ścisnęło mi się serce; nie mogłam spojrzeć mu w oczy.

– Nic z tego nie rozumiem. Śledziliście mnie? Skąd wiedzieliście o tych zdjęciach? Czy macie jakiś związek z laboratorium fotograficznym?

Grace nie odpowiedział, ale szczerze mówiąc, wcale tego nie oczekiwałam. Ostatni raz przyjrzałam się zdjęciom. Ten mężczyzna mógł być kimkolwiek; mógł być nawet trzema

różnymi osobami – zdecydowałam.

– Nie wiem, kto to jest – powiedziałam. – Jeśli jest tym, kim chcecie, żeby był, to dla mnie nowość. Ale jeśli życycie sobie dalszej rozmowy na ten temat, to tylko w obecności mojego adwokata.

Od tej chwili nie otworzyłam już więcej ust. Wiedziałam, że mogą mi uprzykrzyć życie. Od czasu uchwalenia Aktu Patriotycznego² władze federalne miały znacznie większą swobodę działania. Mogli mnie przetrzymywać dowolnie długo, nie dopuszczając adwokata, jeśli na przykład uznali, że stanowią zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego. (Co w moim przypadku byłoby wielkim nadużyciem, ale możecie mi wierzyć, nie takie rzeczy się zdarzały). Myślę jednak, że agent Grace wyczuł prawdę: nie miałam pojęcia, kim był mężczyzna na fotografiach.

Patrzył na mnie surowo tymi swoimi oczami. Stwierdziłam, że analizuję krój jego garnituru. Nie był to garnitur tani, ale też nie od Armaniego. Zauważyłam też, że ma na brodzie niewielki zarost. I że kłykcie jego prawej ręki są – wprawdzie nie do krwi – ale poobcierane. Wstał nagle, spojrział na mnie w sposób, który zapewne miał mnie upokorzyć, i bez słowa wyszedł.

Wkrótce potem przyszedł jego partner i powiedział, że mnie wyprowadzi z budynku. Rozłożone na stole zdjęcia wsunął do koperty zostawionej przez agenta Grace'a, a następnie wręczył mi je z kordialnym uśmiechem. Spodziewałam się, że powie: „Dziękujemy i zapraszamy ponownie”.

– Agent Grace radzi, żeby pani sobie te zdjęcia... obejrzała staranniej.

Wzięłam od niego kopertę – przez chwilę wyobrażałam sobie, że drę ją na drobne kawałki i rzucam mu w twarz – po czym wetknęłam sobie pod pachę.

– A co z pozostałymi zdjęciami i torbą? – zapytałam, kiedy szliśmy długim białym korytarzem.

– Torbę dostanie pani przy wyjściu, a zdjęcia pocztą, kiedy zostaną poddane analizie.

Cała ta sprawa wydała mi się nagle śmieszna; doszłam do wniosku, że w gruncie rzeczy jest mi wszystko jedno, czy dostanę zdjęcia z powrotem, czy nie. A nawet więcej – pomyślałam, że z powodzeniem mogę już nie zrobić ani jednego zdjęcia do końca życia. Mój przyjaciel z gitarą miał rację – fotografie z natury rzeczy się mylą: robimy je pod wpływem impulsu, próbując kontrolować to, czego kontrolować się nie da. Szczerze mówiąc, poza kłopotami nigdy mi nic z nich nie przyszło.

Szkoda, że nie mogę wam powiedzieć, kiedy między mną a Jakiem zaczęło się psuć. Bo on mnie zdradzał albo ja go zdradzałam. Albo nagle zaczął się nade mną znęcać czy po prostu przestałam go kochać. Nic podobnego jednak się nie przydarzyło. Było raczej tak, jakby Jake zaczął stopniowo znikać, cząsteczka po cząsteczce. Nawet się specjalnie nie kłóciliśmy – nigdy nie byliśmy dla siebie niegrzeczni. Po prostu nasza miłość powoli traciła barwy.

Faktem jest, że Jake nienawidził mojej rodziny. Czemu się zresztą nie dziwię. Jednak to oni pierwsi go znienawidzili. I mimo że solidne śledztwo federalne oczyściło mojego ojca z jakichkolwiek zarzutów w związku z projektem „Na ratunek”, Jake nigdy do końca nie uwierzył w jego niewinność. (Gwoli wyjaśnienia: kiedy mówię o ojcu, zawsze mam na myśli Bena, mimo że moim biologicznym ojcem był Max. Ben jest i zawsze był moim ojcem w całym tego słowa znaczeniu. I podobnie, chociaż kobieta, którą znam jedynie ze słyszenia jako Teresę Stone, była moją biologiczną matką, to mówiąc o matce, mam zawsze na myśli Grace).

Muszę jednak przyznać, że żadna z tych osób nie zachowała się wobec mnie w stu procentach właściwie – dopuścili do tego, żebym pozostała w pewnym sensie przetrącona psychicznie i rozdarta między nimi. Próbowałam jakoś naprawić relacje z rodzicami, znaleźć neutralny grunt, po którym moglibyśmy się bezpiecznie poruszać, ale wtedy raniłam Jake’a. I odwrotnie: kochając Jake’a i żyjąc z nim, raniłam rodziców. (PS Mój brat Ace też nie znosi Jake’a. Ale on nienawidzi również rodziców. Jediną osobą, której nie nienawidzi, jestem ja, a przynajmniej tak twierdzi).

Może to właśnie na tych przepychankach, na tej nieustannej próbie sił ucierpiały moje relacje z Jakiem. A może zawiniły tu różne obsesje Jake’a dotyczące jego własnej przeszłości, Maksa i projektu „Na ratunek”, tego wszystkiego, co tak bardzo pragnęłam usunąć nam z drogi. Będąc z Jakiem, miałam uczucie, jakbym szła w górę po ruchomych schodach jadących w dół.

Zastałam go w domu. Przekręcając klucz w zamku, słyszałam, jak idzie do drzwi.

– Rid – powiedział, kiedy weszłam do mieszkania i znalazłam się w jego ramionach. – Gdzie byłaś?

Przez chwilę trwałam w jego uścisku, napawając się zapachem, bliskością jego ciała. Jedyne, co się między nami nie zmieniło, to wciąż ten sam nienasycony apetyt na kontakt fizyczny, jaki od początku mieliśmy na sobie nawzajem. Obojętne, jak daleko byliśmy od siebie w sensie psychicznym czy emocjonalnym, nigdy nie opuściła nas gotowość do tego, żeby obcować ze sobą fizycznie. Miało to zapewne coś wspólnego z tak zwaną chemią, z tym, że nasze ciała tak bardzo do siebie pasowały. Ostatnio prawie nie było między nami spotkania, które by się nie kończyło seksem.

– Zostałam zatrzymana – powiedziałam, czując ciężar zmęczenia w rękach i w nogach.

Jake odsunął się ode mnie i nie zdejmując rąk z moich ramion, zajrzał mi w oczy.

– Zatrzymana? – powtórzył. – Powinnaś była zadzwonić, Ridley. Wiem, że ostatnio jest między nami nie najlepiej, ale się martwiłem. Spodziewałem się ciebie dziś po południu.

Spojrzałam na zegarek; dochodziła jedenasta.

– Nie rozumiesz, Jake, ja zostałam zatrzymana dosłownie, przez władze federalne. – Zaśmiałam się niewesoło.

– Co takiego? – zapytał ostro, patrząc na mnie ze zdziwieniem. – Dlaczego?

Wręczyłam mu kopertę i ruszyłam w stronę kanapy, na którą runęłam bezwładnie jak wór kartofli. Powiedziałam mu o swoim spotkaniu z agentem Grace'em i o wizycie w FBI. Znając jego obsesje, powinnam była raczej trzymać buzię na kłódkę, ale powiedziałam mu wszystko, prawdopodobnie dlatego, że był dosłownie jedyną osobą w moim życiu, z którą mogłam na ten temat w ogóle rozmawiać. Wszelkie tematy związane z Maksem czy wypadkami, które tak bardzo zmieniły życie nas wszystkich, stanowiły w mojej rodzinie tabu. Nawet Ace zasugerował, żebym „dała sobie spokój”, kiedy ostatnim razem usiłowałam go zapytać o sprawy, które mnie do tej pory prześladowały. Czy to nie dziwne, że ludzie najmniej dotknięci pewnymi wydarzeniami najbardziej chcą dać sobie z nimi spokój? Bo ja też przecież chciałam dać sobie spokój, ale po to, żeby wreszcie wyjść na prostą, możecie mi wierzyć. Wpadłam jednak w jakąś dziwną pułapkę między moimi rodzicami, którzy udawali, że nic się nie stało, a Jakiem, który uważał, że już nigdy więcej nic się nie stanie.

Skończyłam mówić i zamknęłam oczy; słyszałam, jak Jake przegląda zdjęcia. Ponieważ się nie odzywał, spojrzałam na niego i zobaczyłam, że usiadł na krześle naprzeciwko mnie. Udawałam, że nie widzę, jak mu jest gorąco w czarnym T-shircie i płóciennych spłowiałych spodniach, starałam się nie patrzeć na tatuaże, które wiły się wokół jego bicepsów, ginąc gdzieś w rękawie. Nie musiał mnie dotykać, żebym na niego reagowała.

– No i? – powiedział, podnosząc wzrok znad zdjęć i patrząc na mnie.

– No właśnie, co? – odparłam. – Nie byli w stanie sformułować zarzutów wobec mojego ojca, a zarzuty wobec Esme Gray okazały się tak słabe, że musieli ją wypuścić po dwudziestu czterech godzinach. Trudno, żeby ścigali Zacka za coś, co się zaczęło na długo przed jego urodzeniem. – Głęboko zaczerpnęłam tchu. – Rozpaczliwie poszukują kogoś, kogo by mogli oskarżyć, i w tym celu próbują nawet zmarłych wyciągać z grobów.

Nie chciałam nawet myśleć o Esme, pielęgniarce, która pracowała z moim ojcem, pomagając mu w klinice jeszcze na długo przed moim urodzeniem. Była też matką mojego dawnego chłopaka Zacka Graya. Swego czasu traktowałam Esme jako osobę bardzo mi bliską, bliższą nawet niż matka, była ona jednak mocno związana z ciemną stroną projektu „Na ratunek”, podobnie jak Zack. Nie mogę już utrzymywać bliskich kontaktów z żadnym z nich dwojga, a jest po temu więcej powodów, niż mogłabym tu wymienić.

Jake nie odpowiedział, oglądał tylko zdjęcia, jedno po drugim. Jego twarz przybrała dziwny wyraz – niby pojawił się na niej półuśmiech, ale oczy pozostały mroczne. Zauważyłam, że lekko potrząsnął głową. Ulicą przejechała karetka pogotowia na sygnale, na moment wypełniając mieszkanie dźwiękiem i światłem.

– O czym myślisz? – spytałam.

– O niczym – powiedział, odkładając zdjęcia na stół. – O niczym nie myślę – powtórzył.

Kłamał. Ukrył twarz w dłoniach, oparł łokcie na kolanach i westchnął głęboko. Usiadłam na skrzyżowanych nogach, przyglądając mu się.

– O co chodzi?

Spojrzał na mnie.

– Czy to jest on, Ridley? Czy to jest Max?

W jego głosie wyczułam nutę desperacji. I czegoś jeszcze. Czyżby to był strach?

– Nie – odparłam. – Oczywiście, że nie. Max nie żyje. Widziałam jego zwłoki w trumnie. Własnoręcznie rozsypałam jego prochy. Max nie żyje.

– Jego twarz była nierozpoznawalna, pocięta szkłem wskutek tego, że wyleciał przez przednią szybę. Twarz, którą widziałas, została zrekonstruowana na podstawie fotografii.

– To był on.

Jake mówił prawdę. Ale ja poznałam dłonie Maksa, jego pierścionki, niewielką bliznę na szyi. Nie było otwartej trumny dla odwiedzających, ale wszyscy mogliśmy obejrzyć ciało, kiedy zostało przygotowane do kremacji. Ojciec załatwił pośmiertną rekonstrukcję zmasakrowanej twarzy, tak żebyśmy mogli rozpoznać osobę, którą żegnaliśmy. Z perspektywy czasu wydaje mi się to czymś koszmarnym (nie mówiąc już o wielkiej stracie pieniędzy), ale wtedy uważaliśmy to za słuszne.

– Bo jeśli to jest Max... – Jake zawiesił głos, nie przestając na mnie patrzeć.

– To nie jest Max – odparłam z mocą.

– Ridley. – Jake przetarł oczy. – Wielu rzeczy o tym człowieku nie wiesz.

Chwilami Jake mnie przerażał. To była druga przyczyna tego, że nasz związek zaczął się psuć. Nie, żebym się go bała fizycznie, ale intensywność jego obsesji przypominała jakiś naturalny kataklizm, coś, co mogło usunąć nam grunt spod nóg, otwierając przepaść. Zastanawiałam się, kiedy ta przepaść go pochłonie, a razem z nim i mnie.

– Wiesz co? – powiedziałam, wstając. – Teraz nie mogę tego z tobą zrobić.

– Ridley.

– Jake, chcę, żebyś zostawił mnie samą. – Otworzyłam drzwi.

– Posłuchaj... – zaczął, ale mu przerwałam, unosząc rękę.

– Nie, Jake, to ty posłuchaj mnie. Zrozum, ja nie mogę. Musisz iść. – Nie chciałam słyszeć, co miał mi do powiedzenia. Absolutnie.

Patrzył na mnie przez chwilę, a następnie skinął głową, wstał i podszedł do blatu oddzielającego kuchnię od części mieszkalnej. Wziął ze stołka swoją skórzaną kurtkę. Czułam się fatalnie; widziałam, że zrobiłam mu przykrość. Ale zmęczenie, jakie odczuwałam wcześniej, nie pozostało bez wpływu na mój nastrój. Marzyłam tylko o tym, żeby zamknąć oczy i zapaść się w błogosławioną ciemność.

– Musimy porozmawiać – powiedział, nachylając się do mnie już w drzwiach i całując w policzek.

– Zgoda – odparłam. – Jutro.

Wyszedł, a ja zamknęłam za nim drzwi. Przeszłam do sypialni, którą z nim dzieliłam. Zsunęłam buty i rzuciłam się na łóżko, zapadając się w puchową kołdrę. Nie wiem, jak długo szlochałam – ze zwykłego wyczerpania i smutku, który zagościł w moim sercu, grożąc, że go już nigdy nie opuści.

Musiałam zasnąć, bo w kilka godzin później obudził mnie telefon. Spojrzałam na zegarek: była 3.33 rano. Sięgnęłam do stolika nocnego i podniosłam słuchawkę, przekonana, że to Ace. Potrafił dzwonić dosłownie o każdej porze, co było charakterystyczne dla człowieka wychodzącego z uzależnienia, całkowicie skoncentrowanego na sobie. Ja, wychodząca z uzależnienia od pomagania innym, bez wahania podniosłam słuchawkę.

– Halo – powiedziałam.

Usłyszałam głośnie zakłócenia na linii, dalekie głosy i muzyczkę. Spojrzałam, kto dzwoni, ale numer się nie wyświetlił.

– Halo? – powtórzyłam.

Dotarł do mnie czyjś oddech, po czym zaległa cisza. Odłożyłam słuchawkę i czekałam, aż zadzwoni ponownie, ale nie zadzwonił. Po chwili wstałam, umyłam zęby, rozebrałam się i weszłam pod kołdrę. Szybko zapadłam w niespokojny sen.

Może pamiętacie, że jestem dziennikarką. Aż do tej chwili pisałam artykuły dla poważnych magazynów i gazet – felietony, sylwetki wybitnych osobistości i polityków, trochę reportaży z podróży. Dobrze mi szło i zawsze kochałam swoją pracę. Ale podobnie jak wiele innych spraw, w ostatnim roku i to się zmieniło. (Nie mogę powiedzieć, żebym przestała kochać tę pracę, chociaż nie jestem pewna, czy „kochać” jest tu najlepszym słowem. Chodzi o to, że nie mam podzielności uwagi; jeśli pracuję, nie mogę robić absolutnie nic innego). A ostatnio absorbowały mnie sprawy większej wagi – chęć zbadania problemów o szczególnym znaczeniu. Odkryłam w sobie mianowicie zainteresowanie dla psychicznych siłaczy, tych, którzy znalazłszy się w obliczu niezwykłych okoliczności, przeżyli je nie tylko po to, by o tym mówić, ale by stawiać sobie wyższe cele. Fascynują mnie granice ludzkiej wytrzymałości, zdolność niektórych do przekuwania tragedii w zwycięstwo. Spróbujcie sobie to wyobrazić. Mnie osobiście wydawało się, że z tragedią sobie poradziłam; ale pozostała część dalej mi się wymykała.

Kiedy nazajutrz rano parzyłam kawę, moje piéterko zalało jaskrawe światło słoneczne. Nastawiłam telewizor, żeby obejrzeć program Today, ale po chwili ściszyłam telewizor, ponieważ nie mogłam znieść nieustannego jazgotu reklam. Popijając mocną kawę, patrzyłam przez chwilę na ekran. W rogu widać było uśmiechniętych mężczyznę i kobietę. Nad nimi krzychał wielki napis: „Zaginiona para”. Przypuszczam, że ludzie ci musieli zginąć już jakiś czas temu i nikt nie miał pojęcia, co się z nimi stało. Doznałam koszmarnego uczucia niepokoju, który mnie zawsze ogarniał w podobnych okolicznościach – na myśl o tym, że los takich ludzi może na zawsze pozostać nieznanym. Nie cierpię pytań pozostawionych bez odpowiedzi i niewyjaśnionych tajemnic. Odczuwam wtedy wielki niedosyt. Odwróciłam się od ekranu. Dość miałam własnych problemów, a wśród nich wcale nie najmniejszym był zbliżający się termin oddania materiału dla „O Magazine”.

Wyjrzałam przez okno i stwierdziłam, że ludzie na Park Avenue South są w płaszczach i czapkach. Było słonecznie, ale zimno – mój ulubiony typ pogody w Nowym Jorku. Marudząc jeszcze przez chwilę, złapałam się na tym, że przepatruję ulicę w poszukiwaniu człowieka z fotografii. Szukałam wysokiej chudej postaci z zapadniętymi policzkami. Ale oczywiście nie znalazłam. A Max nie żył. Niewielu rzeczy w życiu byłam tak pewna jak właśnie tego.

Wzięłam prysznic i ubrałam się. A na koniec, opatulona w czarny wełniany płaszcz i jasnoniebieski kaszmirowy szal, wypchnęłam ze świadomości wydarzenia dnia wczorajszego i wyszłam.

Drobną kobietkę, Elenę Jansen, poznałam jako byłą tancerkę New York City Ballet. Nosiła się z wielkim wdziękiem, a w jej postawie objawiała się stalowa siła, która sprawiała, że ta mierząca zaledwie metr pięćdziesiąt osóbka wydawała się potężna. Jej kakaowe oczy były ciepłe i lśniące, a uścisk dłoni mocny i pewny. Spodziewałam się, że zastanę kobietę załamana, że w jej wyglądzie zewnętrznym dojrzę ślady tragedii, jaka ją dotknęła. Zamiast tego zobaczyłam bunt, wyzwanie rzucone całemu światu, by raz jeszcze spróbował powalić ją

na kolana. Widywałam to już wcześniej. W gruncie rzeczy była to cecha wyróżniająca tych wszystkich dotkniętych tragedią psychicznych siłaczy, z którymi ostatnio przeprowadzałam wywiady. Odmowa poddania się, wycofania, nawet wtedy, kiedy świat pokazał im całą swoją szpetotę i potworność. Miałam nadzieję, że kiedyś zobaczę to w sobie, chociaż wiedziałam, że mogą to być tylko pobożne życzenia.

Poszłam za nią do ciepłego saloniku, którego okna wychodziły na Central Park. Pokój był utrzymany w odcieniach głębokiej czerwieni, z akcentami kremowymi i złotymi. Ściany stanowiły istną galerię zdjęć pani domu z czasów, kiedy była tancerką, oraz jej dzieci. Nawet teraz, po pięćdziesiątce, wydała mi się piękna, ale jako młoda kobieta musiała być zjawiskowa. Widziałam wiele z tych zdjęć, kiedy zaczynałam zbierać materiały do tego artykułu dla „O Magazine”.

– Zapraszam – powiedziała, siadając elegancko na tapicerowanym, krytym brokatem krześle przy oknie.

Gestem wskazała mi stojącą naprzeciwko sofę, która stanowiła komplet z krzesłem. Zdjęłam kurtkę, wyciągnęłam z torby notatnik i pióro i usiadłam.

– Możemy zaczynać?

Jakby nie chciała tracić cennego czasu, od razu przystąpiła do swojej opowieści.

– Kiedy ludzie mówią „burzliwy związek”, to jest w tym coś romantycznego, rozumie pani, co mam na myśli, prawda? – powiedziała, patrząc mi w oczy. – Sądzę jednak, że tylko nieliczni wiedzą, jak mroczne, jak niebezpieczne potrafią być takie burze. Początkowo sama myślałam, że jego wybuchowość, jego zazdrość to oznaki wielkiej miłości. Ale byłam tylko głupiutką dziewczyną. Co ja mogłam wiedzieć o życiu?

Opowiedziała mi, jak poznała swojego męża. Był bogatym chirurgiem, który stracił dla niej głowę, kiedy ją zobaczył tańczącą na deskach Metropolitan Opera. I wystarczająco śmiałym człowiekiem, żeby codziennie, aż do chwili, kiedy zgodziła się umówić z nim na kolację, posyłać jej dwanaście białych róż. Okres narzeczeństwa był krótki; ślub stanowił wydarzenie towarzyskie roku. Bez przerwy słyszała, jak wielkie miała szczęście, że znalazła kogoś tak zakochanego, tak bardzo jej oddanego. Ona też w to wierzyła, dlatego nie od razu zauważyła – a może nie chciała zauważyć? – że jest w tym człowieku coś niepokojącego, coś budzącego lęk.

Wkrótce to, co na początku wydawało się takie urocze, stało się męczące. A to, co było romantyczne – planowanie wszystkich ich wspólnych wieczorów czy nagłe pojawianie w miastach, w których akurat miała występy – przybrało formy kontroli. Po roku zaczęła się zastanawiać, czy jej decyzja o ślubie z tym człowiekiem nie była zbyt pochopna. Poczula się jak schwytna w pułapkę, uciemiężona; jej praca zaczęła na tym cierpieć.

– Może „schwytna w pułapkę” nie jest najszcześniejszym określeniem – powiedziała, patrząc na mnie. – Bo tak naprawdę mogłam odejść. Ale podobało mi się to złudzenie, tak jak wszystkim. A poza tym było wiele dobrych chwil. Nie wiem... – zawiesiła głos jak ktoś, kto sporo czasu spędził na rozpamiętywaniu przeszłości i w dalszym ciągu nie znał odpowiedzi na najważniejsze pytania.

Wkrótce zaczęły się rodzić dzieci – najpierw Emiline, potem Michael. Kiedy przyszło na świat trzecie dziecko, Alex, przestała tańczyć. Teraz, kiedy wzięła na siebie rolę żony i matki i kiedy jej niezależność, podobnie jak życie bez niego, stały się w znacznej mierze

wspomnieniem, Gene, przynajmniej pozornie, się uspokoił. Nie znaczy to, że ich małżeństwo zaczęło odpowiadać jej wyobrażeniom o tym, czym małżeństwo być powinno. Gene pozostał brutalem w sensie zarówno fizycznym, jak i emocjonalnym, wiecznie wściekłym i wymagającym tyranem.

– Ale to się stało czymś normalnym – powiedziała Elena, wzruszając ramionami. – W każdym razie nigdy nie podniósł ręki na dzieci. A ja wypracowałam sobie techniki unikania jego wybuchów złości. W tym, co go doprowadzało do szału, był przewidywalny. Jakoś sobie radziłam.

– Nigdy nie pomyślała pani o tym, żeby odejść? – zapytałam. Nie mogłam zrozumieć, jak kobieta o tak wielkiej sile mogła znosić latami takie małżeństwo. Ale cóż, wiedziałam dostatecznie wiele na temat psychologii kobiety maltretowanej. W takim przypadku dochodzi do stopniowej erozji samooceny i powolnej utraty siły psychicznej.

Elena się roześmiała.

– Nie było dnia, żebym o tym nie myślała. Ale skutki odejścia wydawały mi się zbyt przerażające. Na jakiś niesamowity sposób nie miałam energii – on mnie z niej obrabował.

Emiline miała osiem lat, Michael sześć, a Alex trzy, kiedy w końcu uznała, że jednak już sobie nie radzi i że musi odejść od męża.

– Nie potrafiłabym wskazać jakiegoś konkretnego wydarzenia. Bardziej prawdopodobne było, że pewnego dnia spojrzałam w lustro i nie poznałam kobiety, którą w nim zobaczyłam. Wyglądałam... widmowo. Włosy matowe i posiwiałe. Pod oczami sine koła. Kąciki ust opuszczone, jakbym od lat się nie uśmiechała. Nie pamiętałam, kiedy śmiałam się po raz ostatni. Przed sobą widziałam kogoś całkowicie wypalonego w środku... pustą skorupę. Nawet nie bałam się o siebie, o sobie już dawno zapomniałam. Myślałam o tym, jaki przykład dam dzieciom, jaki będę stanowiła dla nich wzorzec.

Rozwód, a potem walka o opiekę nad nimi była podręcznikowym przykładem horroru. Ale opiekę nad dziećmi sąd przyznał Elenie; Gene miał prawo widywać się z nimi co trzeci weekend. Elena wносиła o widzenia nadzorowane, ale tę walkę przegrała.

Tydzień po rozwodzie ostatecznie ustalono trudne warunki, na jakich Elena miała sprawować opiekę nad dziećmi, i w ten właśnie weekend Gene zabrał je na wieś na wycieczkę. Elena zapamiętała, że był dość wyluzowany, serdeczny, a nawet, jak gdyby żałował tego, co się stało. Jechali do wynajętej chaty na terenie ośrodka rekreacyjnego w górach Adirondack. Emiline kochała ptaki, a Michael uczył się konnej jazdy. Alex po prostu uwielbiał ojca i nie mógł się już doczekać obiecanego rejsu canoe.

Elenie nie przyszło do głowy, że Emiline może nie zobaczyć swoich ptaków, że Michael nawet nie wsiądzie na konia, a Alex nie doczeka się rejsu canoe. Nie podejrzewała, że w tamten weekend Gene zabierze dzieci po to tylko, żeby je pozabijać, dusząc we śnie jedno po drugim, a następnie popełnić samobójstwo, strzelając sobie w głowę.

Kiedy opowiadała mi tę historię, w jej twarzy zaszła subtelna zmiana. Pobladła, a jej spojrzenie stało się odległe. Nagle wydała mi się jakby nawiedzona. I nic dziwnego. Jakże mogłaby nie być? Skąd miałyby wziąć choćby jedną chwilę spokoju czy radości? Zastanawiałam się nad tym wszystkim, kiedy przerwał nam dziecinny głosik.

– Mamo?

Do pokoju przydreptała mała dziewczynka, jeszcze niezbyt pewnie trzymająca się na

nózkach obutych w białe tenisówki. Matka nachyliła się i wyciągnęła ramiona, a dziecko z radością w nie wpadło.

– Przepraszam, Eleno – powiedziała młoda kobieta, która pojawiła się za małą, najprawdopodobniej niania.

– Nic nie szkodzi.

Elena z uśmiechem przyciągnęła do siebie córeczkę, uściskała czule i pocałowała, a następnie odesłała do opiekunki.

– Nigdy bym nie uwierzyła, że po tym wszystkim życie może się jeszcze toczyć dalej – powiedziała, kiedy zostałyśmy same. – W tamtych czarnych, ponurych latach niejedną raz pragnęłam, żeby śmierć zabrała i mnie. Ale ona nie przychodziła, a ja byłam zbyt tchórzliwa na to, żeby wyjść jej naprzeciw. Zamiast tego przyszło do mnie życie.

Elena opowiedziała mi, jak poznała innego mężczyznę, jak się w nim zakochała, wyszła za niego za mąż i urodziła córeczkę. Powiedziała mi też, że swoje życie zamieniła w krucjatę na rzecz kobiet ofiar domowej przemocy, służąc im w razie potrzeby radą czy wskazując drogi ucieczki poprzez organizację, którą sama założyła, pod nazwą Szukaj Znaków.

Po tym wszystkim zadałam jej pytanie:

– Czy były jakieś znaki, które pani przegapiła? Czy na jakimś poziomie zorientowała się pani, do czego był zdolny pani mąż?

Spojrzała na mnie i powoli, z namysłem skinęła głową, jakby to pytanie zadawała sobie sama milion razy.

– Wtedy nie, bo to, co zrobił, było wprost niewyobrażalne. Ale teraz, kiedy już wiem to, co wiem, to... tak, powiem, że były znaki.

Westchnęła, a ja nie naciskałam, żeby mówiła dalej. Ale po chwili dodała sama:

– Myślę, że obsadzamy w swoim życiu różnych ludzi w różnych rolach, można powiedzieć, że im te role przydzielamy, a potem przestajemy widzieć, jacy są naprawdę. I kiedy przeczuwamy coś mrocznego, coś naprawdę potwornego, zasłaniamy sobie oczy czarną woalką... bo... bo przyznanie czegoś takiego oznacza wzięcie za to odpowiedzialności. Bo kiedy już wiesz, to powinieneś coś z tym zrobić. I to właśnie może być w tym wszystkim najbardziej przerażające.

Jej słowa podziały na mnie jak lodowaty prysznic. Poczułam, że ożywa we mnie najdrobniejsza końcówka systemu nerwowego. Wiedziałam wszystko o zrywaniu z oczu czarnej woalki. Ale po prostu nie chciałam uwierzyć w to, że może być jeszcze coś więcej do zobaczenia.

Po wywiadzie wróciłam pociągiem do śródmieścia i ze stacji Astor Place poszłam na piechotę do pracowni Jake'a przy Alei A. Zastałam go w biurze, małym pokoiku bez okien, sąsiadującym z pracownią (gdzie, jak wiedziałam, od sześciu miesięcy nie wyrzeźbił dosłownie nic). Ostatnią rzeczą, nad którą pracował, była wielka impresjonistyczna postać męska, potężna i tajemnicza, zadumana i dziwna, która, jeszcze niedokończona, stała pod jaskrawym światłem lampy.

Usłyszał, jak wchodzę, wstał od komputera i wyszedł mnie przywitać.

– Co jest? – zapytał, patrząc mi w oczy, jak miał w zwyczaju: z troską i znajomością rzeczy.

– Chcę wiedzieć – odparłam.

- Co chcesz wiedzieć?
- Chcę wiedzieć, czego się dowiedziałeś o m... Maksie. – O mały włos nie powiedziałam „o moim ojcu”, ale w ostatniej chwili ugryzłam się w język. Jake położył mi ręce na ramionach i poważnie spojrzał w oczy.
- Czy jesteś tego pewna, Ridley?
- Jestem pewna – odparłam. I może nawet rzeczywiście tak myślałam.

Lotnisko Metro w Detroit było obskurne w najwyższym stopniu. Droga, jaką musiałam przebyć od mojej bramki po ohydnych, zniszczonym chodniku wzdłuż brudnych ścian zdawała się nie mieć końca. Mogłabym przysiąc, że przeszłam ponad półtora kilometra, nim znalazłam się na zewnątrz. Czekałam wiecznie na autobus dowożący podróżnych do wypożyczalni samochodów. Lodowaty wicher szarpał mnie za cienką skórzaną kurtkę i podstępnie wpełzał w rękawy, mroząc do szpiku kości. A do tego jeszcze byłam zdenerwowana. Wstrząśnięta tym, co mi wczoraj powiedział Jake, czemu dodatkowo towarzyszyło niemiłe uczucie, że jestem śledzona. Miałam nadzieję, że to tylko objawy paranoi.

Cały teren otaczający lotnisko okazał się nie mniej ponury. Przez brudne okno autobusu patrzyłam na ciągnący się kilometrami płaski szary krajobraz, na nagie martwe drzewa i ziemię przyprószoną śniegiem, mimo że był dopiero początek listopada. Z powodu grubej pokrywy chmur trudno było sobie wyobrazić, że kiedykolwiek w tym miejscu świeci słońce.

Bywałam tu jako dziecko, chociaż nie bardzo pamiętam rzadkie wizyty u dziadków, kiedy jeszcze żyli. Ojciec nienawidził miejsca, w którym wychowali się z Maksem. Obydwaj tego miejsca nienawidzili. Zapamiętali Detroit jako nieprzyjazne miasto przemysłowe, napiętnowane biedą, zbrodnią i przejmującym zimnem. O swoim wyjeździe z Detroit mówili jak o wyjściu z więzienia. „Tego typu miejsca wywołują w człowieku niskie oczekiwania życiowe, a ich szarość wsącza się w skórę jak beton. Wielu ludzi stamtąd nie wyjeżdża, ba, nawet nie myśli o wyjeździe. Ale jeśli już wyjedzie, to nie jest w stanie zmusić się do powrotu, choćby nawet z wizytą”.

Ojciec powtarzał mi to wiele razy, ale tak naprawdę sens tych słów dotarł do mnie w pełni, kiedy wyjeżdżałam z parkingu wypożyczalni samochodów. Już sam krajobraz przytłaczał brzydotą. Włączając się w ruch na autostradzie, myślałam o Maksie i Benie, i o tym, że tak niewiele mówili o swoim dzieciństwie.

– Nie ma o czym mówić – kwitował temat mój ojciec. – W szkole przykładałem się do nauki, słuchałem rodziców. A potem wyjechałem do Rutgers i odwiedzałem ich tylko sporadycznie w weekendy.

Ale tak naprawdę było o czym mówić. I to jeszcze jak. Mój ojciec i Max dorastali razem, razem spotykali się z kolesiami z sąsiedztwa, rżnąc waśniaków. Ben był nieśmiałym grzecznym chłopcem, kochanym i zadbanym synem surowych rodziców, ich jedynym dzieckiem. Max, niesforny i nieokrzesany, wiecznie popadał w tarapaty. Ojciec mi opowiadał, że nieraz, wyglądając przez okno swojego pokoju, nawet późno, po jedenastej wieczór, widział, jak Max jeździ po ulicy na rowerze tam i z powrotem w żółtym świetle lamp. Opowiadał mi też o tym, jak mu zazdrościł swobody i jak w swojej pizamce z napisem „Howdy Doody”, z odrobionymi lekcjami i spakowanym tornistrem na jutro, z przygotowanym schludnym ubrankiem, czuł się jak mały dzidziuś.

– Modliłem się do niego – mówił ojciec o Maksie.

Max też często uderzał w tę sentymentalną nutę.

Jeżeli byliście ze mną od samego początku, to wiecie, co się stało z Maksem. Jego ojciec, brutal i alkoholik, pobił matkę do nieprzytomności, tak że w końcu, po tygodniach leżenia w śpiączce, zmarła, nie odzyskawszy przytomności. Oskarżony o morderstwo, w dużej mierze dzięki zeznaniom Maksa, został skazany na dożywocie i zmarł w więzieniu wiele lat później. Moi dziadkowie, bojąc się, żeby Max nie trafił do poprawczaka, wzięli go do siebie. Max zaś, który wiecznie popadał w kłopoty i nie radził sobie w szkole, pod ich opieką uspokoił się i dosłownie rozkwitł. Wychowali go jak własnego syna i obu chłopcom zapewnili wyższe studia, finansując ich z zarobków dziadka jako robotnika przemysłu samochodowego.

Oto historia, jaką znałam przez całe życie. Wiedziałam, że moi wspaniali i kochający dziadkowie przygarnęli Maksa, ratując go przed Bóg wie jakim losem. Że Max był nieznośnym, zbuntowanym chłopakiem. Że z kolei mój ojciec był grzecznym dzieckiem i wzorowym studentem. Ale to nie była prawda. Według mojej prawdy to mój ojciec był dzieckiem maltretowanym, to mój dziadek zamordował babkę i zmarł w więzieniu. Takie miałam dziedzictwo, takie pochodzenie. Kiedy o tym myślę, czuję się, jakby mnie ktoś zdzielił belką przez głowę.

Bo ja zawsze byłam grzeczną dziewczynką, w piżamce i z odrobionymi lekcjami... zupełnie jak Ben. Tyle że ostatnio zaczęłam się zastanawiać: a jeśli w ogóle nie przypominam Bena? Jeśli gdzieś w samym środku tego, kim jestem, we włóknach mojego DNA, bardziej przypominam Maksa? Jeszcze zanim dowiedziałam się, że łączą nas więzy krwi, wiedziałam, że jesteśmy pokrewnymi duchami. A jeśli natura wygra z wychowaniem? To kim właściwie będę?

Myślałam o rozmowie z Jakiem, która spowodowała tę nieplanowaną wyprawę do Detroit. Miał mi wiele do powiedzenia o Maksie. A ponieważ nie dopatrzyłam się w tym sensu, zaczęłam powątpiewać, czy Jake aby na pewno jest zrównoważony. Rozmowa skończyła się wzajemnym wymyślaniem sobie, w wyniku czego z hukiem wybiegłam z domu. Z Jakiem więcej było takich wybuchów. I to zawsze, od samego początku. Miał to do siebie, że kiedy ja się pieniałam, on zachowywał śmiertelny spokój. Co niezmiennie doprowadzało mnie do szału. No więc dobrze, to ja wczoraj wieczorem w jego pracowni zaczęłam wrzeszczeć jak idiotka, podczas kiedy on siedział w pełnym cierpliwości i zrozumienia milczeniu. Miał dużo szczęścia, że ode mnie nie oberwał, tak go w tym momencie nienawidziłam. Ale Jake zdążył się już do tego przyzwyczaić. Zgodnie ze swoją karmą był zwolennikiem mówienia prawdy i wydobywania na światło dzienne tych rzeczy, które inni próbują ukryć. Miałam wrażenie, że taka jest jego rola kosmiczna, szczególnie w moim życiu.

– Nie wiem, czy będziesz chciała usłyszeć to, co mam ci do powiedzenia – powiedział.

– Będę chciała – odparłam. – Na pewno.

Odruch wyparcia kosztował Elenę Jansen to, co miała w życiu najdroższego, czyli dzieci. Wypieranie ze świadomości niewygodnych spraw zawsze ma swoją cenę. A jej wysokość zależy w znacznej mierze od wagi tej prawdy, którą próbujemy zignorować. Jeśli usiłujesz zlekceważyć fakt, że nie jesteś zadowolony z wybranego przez siebie zawodu, płacisz za to cenę, powiedzmy, migrenowych bólów głowy. Jeśli zaś pozostaniesz ślepa na takie symptomy, jak to, że twój mąż tyran ma psychopatyczną potrzebę kontrolowania każdego twojego kroku – płacisz cenę najwyższą, jaką jest życie twoich dzieci. Oczywiście nie chcę powiedzieć, że potępiam Elenę. W żadnym razie. Chcę tylko powiedzieć, że konsekwencje naszych czynów,

naszych wyborów są czasami nie do przewidzenia. Ale kiedy nasze działania i wybory są podyktowane strachem albo zaniechaniem... no cóż, nic dobrego nie może z tego wyniknąć. Nigdy. Odbyłam trudną drogę do tej prawdy. I dalej się uczyłam. Dlatego właśnie podjęłam decyzję, że jeśli było jeszcze coś, czego mogłam się dowiedzieć o Maksie, to się tego dowiem. Co oczywiście nie oznaczało mojej wiary w to, że wstał z martwych.

– Skoro tak, to posłuchaj – zaczął z westchnieniem Jake. – Jak wiesz, władze federalne najpierw oczyściły twojego ojca z wszelkich zarzutów związanych z jego działalnością w projekcie „Na ratunek”, potem uznały, że rola, jaką odgrywa w nim Esme Gray, jest zbyt mała i niejasna, by ścigać ją sędownie, że w grę wchodzi co najwyżej zarzuty o porozumienie przestępcze, a następnie postanowiły zamknąć sprawę. Główni aktorzy, Max i Alexander Harriman, nie żyją. Wszyscy inni, którzy mogliby być zamieszani w przestępczą działalność organizacji, byli tylko cieniami. Nie istniały żadne dowody. Projekt „Na ratunek” stanowił labirynt ciemnych, niemożliwych do rozwikłania powiązań.

– Ja to wszystko wiem – powiedziałam, siedząc na jednym z roboczych krzeseł Jake’a. Skinął głową.

– Wierz mi, Ridley, to były dla mnie bardzo ciężkie dni.

– Wiem – powtórzyłam cicho, wspominając tamte chwile. Pomyślałam, że nie miał ode mnie takiego wsparcia, jakie powinien mieć, ale prawda jest taka, że sama jeszcze nie wszystko wiedziałam, stałam na niepewnym gruncie.

– Nie mogłem sobie z tym poradzić – podjął Jake. – Nie mogłem się pogodzić z myślą, że są jakieś szczegóły mojej przeszłości, których mógłbym nigdy nie poznać. Że ludzie odpowiedzialni za wpieprzanie się w losy tylu innych osób mogliby nie ponieść za to żadnych konsekwencji. Ta myśl nie dawała mi spokoju.

To był moment, w którym zaczęłam tracić Jake’a w sensie zarówno psychicznym, jak i emocjonalnym. Nasz związek przypominał życie z osobą uzależnioną. Z kimś, kto ma odjazdy albo dlatego, że jest na głodzie narkotykowym, albo dlatego, że goni za jakąś kolejną idée fixe.

– Dlatego poszedłem porozmawiać z Esme Gray.

Poczułam guł w gardle. Do tej pory kochałam Esme jak matkę; teraz na myśl o niej żołądek podjechał mi do gardła.

– Jak to? Kiedy?

Esme została na krótko aresztowana mniej więcej w tym samym czasie, co mój były chłopak, a jej syn Zack. Na jakich warunkach została zwolniona – nie wiem do dziś. Nigdy nie odpowiadała przed sądem w związku ze swoją działalnością na rzecz projektu „Na ratunek” – tego przynajmniej byłam pewna. Wiedziałam też, że jako pielęgniarka przeszła na emeryturę. (Zack jednak, mimo że nigdy nie został oskarżony w związku z rolą, jaką odegrał w projekcie „Na ratunek”, odpowiadał jednak przed sądem i uznano go za winnego usiłowania morderstwa – nawiasem mówiąc, na mnie i Jake’u – i właśnie odsiadyuje dziesięcioletni wyrok w więzieniu stanowym. Ale to już inna historia. Jednak mimo tego wszystkiego, co nam zrobił, trudno się pogodzić z faktem, że siedzi, i z tym, co się stało z jego młodym, obiecującym życiem. Naturalnie winą za swoje niepowodzenia obarcza mnie, donosząc mi o tym w licznych denerwujących listach, przed których otwieraniem jakoś nie mogę się powstrzymać).

– Zajrzałem do twojej książki adresowej i dowiedziałem się z niej, gdzie ona mieszka. Przez parę dni za nią chodziłem, a potem włamałem się do jej domu i tam na nią czekałem.

Chciałem, żeby była przestraszona i zaskoczona, kiedy mnie zobaczy – powiedział. – Ale nie była. Tak jakby się mnie spodziewała.

Rok temu rozmawialiśmy o tym, że Esme to, poza moim ojcem (który twierdził, że o niczym nie ma pojęcia), ostatnia żyjąca osoba, która mogła wiedzieć, jak się potoczyły losy Jake'a, gdy był dzieckiem. Nie wątpiłam, że pewnego dnia Jake zechce to sprawdzić.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej?

– Wiem, że próbujesz zapomnieć. I nie mogę mieć ci tego za złe.

Skinęłam głową, czekając na dalszy ciąg.

– Nie byłem dla niej miły: nie zachowywałem się wprawdzie brutalnie, ale głośno. Chciałem, żeby pomyślała, że jestem lekko walnięty. Ale nie dała się wyprowadzić z równowagi. Usiadła na sofie i powiedziała: „Myślisz, że po tych wszystkich mężczyznach, z którymi miałam do czynienia, przestraszę się takiego gnojka jak ty? Daruj sobie te bzdury i siadaj, jeśli chcesz porozmawiać”.

Musiałam się uśmiechnąć pod nosem. Na pozór Esme wyglądała jak typowa mama: ładna, pulchna, ostrzyżona na pazia jasna blondynka o żywych niebieskich oczach. Różowa jak brzoskwinia. Ale w środku twarda niczym stal. Kiedy byliśmy dziećmi – Ace, Zack i ja – Esme nigdy, podobnie jak moja matka, nie musiała na nas krzyczeć ani grozić. Wystarczyło tylko spojrzenie i natychmiast robiliśmy się grzeczni.

– Powiedziała, że jeśli mi na tobie zależy, to powinienem przestać się interesować swoimi losami. Poradziła mi, żebym założył rodzinę i nie oglądał się za siebie. Powiedziała tak: „Jeżeli nie przestaniesz drążyć przeszłości, to możesz odkryć sprawy, których już nigdy nie będziesz mógł zostawić w spokoju”.

Było to echo jej słów, które kiedyś skierowała do mnie i od których zrobiło mi się w środku zimno. Nie odezwałam się jednak, tylko słuchałam dalej relacji Jake'a z jego rozmowy z Esme.

– Powiedziała mi jeszcze tak: „Nikt nie wie, co się z tobą stało, Jake. Nikt nie wie, kto cię wziął po tym, jak zostałeś uprowadzony przez projekt „Na ratunek” i z jakiego powodu system cię porzucił. Dlaczego tak bardzo zależy ci na tym, żeby to wiedzieć? Czy musisz obsadzić kogoś w roli czarnego charakteru w swoim życiu? Czy chcesz koniecznie komuś udowodnić, że byłeś grzecznym chłopcem, który nie zasłużył na te wszystkie straszne rzeczy, jakie cię spotkały? Chodzi ci o zemstę?”.

Na moment Jake przerwał, patrząc gdzieś ponad moją głowę. Zrozumiałam, że Esme dotknęła go do żywego, ugodziła w najczulsze miejsce. Zawsze była niesamowita – jeśli chodziło o odkrywanie motywów ludzkich działań, miała instynkt różdżkarza.

Po chwili Jake wrócił do swojej opowieści.

– Robiła wrażenie twardej, pewnej siebie. Ale w miarę jak mówiła, zaczęło coś do mnie docierać: zauważyłem, że ręce jej się trzęsły, a czoło pokrywał pot. Bała się. Bała się czegoś czy kogoś, ale zdecydowanie nie mnie. Wiedziała, że nie potrafiłbym jej skrzywdzić.

Wychyliłam się do przodu.

– Zapytałeś ją, czego się boi?

– Oczywiście. Odpowiedziała: „Zawarłam pakt z diabłem, panie Jacobsen. Po mojej śmierci będzie na mnie czekał. Boję się cały czas. Boję się, że zginę w wypadku samochodowym albo dostanę zawału i będę musiała stanąć z nim oko w oko, zanim zdążę

odkupić swoje grzechy. To, co robiłam... nie przekonałbyś mnie, że wtedy było to złe. Ale teraz widzę szkody, jakie wyrządziliśmy”.

W tym momencie Jake potrząsnął głową i wstał.

– Ale nie o to chodziło – wyjaśnił. – Nie chodziło o strach w sensie duchowym. Miała na myśli oczywiste i bezpośrednie zagrożenie. Powiedziałem jej, co o tym myślę. Próbowałem ją namówić, żeby zaczęła odkupywać swoje grzechy już, od zaraz, mówiąc mi to, czego chciałem się dowiedzieć. I nie odpuszczałem, tylko pytałem dalej: „Czego się boisz jeszcze teraz? Co ukrywasz w dalszym ciągu? Przecież najważniejsi ludzie związani z projektem «Na ratunek» nie żyją”.

Kiedy nie uzyskał odpowiedzi, przysłała mu do głowy pewna myśl.

– „On żyje, prawda?” – zapytałem, sam w to nie wierząc. „Max Smiley żyje, tak?”. Spojrzała na mnie w taki sposób, jakbym jej wymierzył policzek. Zrobiła się zielona na twarzy i wrzasnęła, żebym się wynosił, że zwariowałem i że wezwie policję. To nie był zwykły strach; ona była przerażona. Próbowałem ją uspokoić, ale zaczęła dosłownie świrować. „Ty idioto!” – wrzeszczała. – „Jeśli masz odrobinę oleju w głowie, to zabieraj Ridley i wynoście się jak najdalej stąd. Zmieńcie nazwiska i znikajcie, nie zbliżajcie się do mnie więcej”.

– Jezu – powiedziałam.

– To właśnie wtedy zacząłem podejrzewać, że Max żyje.

– Jake. – Zaśmiałam się lekko. – Esme musiała dostać bzika. Z poczucia winy pomieszało jej się w głowie.

– Nie. Zresztą może. Ale to nie tylko to. Ty jej nie widziałaś. Kiedy zacząłem mówić o Maksie, wpadła w prawdziwą panikę.

– No dobrze, ale te gadki o tym, że masz mnie stąd zabrać, że mamy zmienić nazwiska i zniknąć? Czy tak by mówiła osoba przy zdrowych zmysłach?

– Tak mówi osoba śmiertelnie przerażona. A biorąc pod uwagę to, czego się wtedy dowiedziałem, sędzę, że miała wszelkie powody, by mówić to, co mówiła.

Odchyliłam się od Jake’a, który siedział obok mnie. Miał w oczach jakiś blask, a w jego zachowaniu wyczułam napięcie. Serce zaczęło mi walić jak młotem. Już sama nie wiem, czy bardziej bałam się jego, czy tego, co mówił. Wyglądało na to, że Esme straciła nad sobą kontrolę. A jeśli jej uwierzył, to czy z tego wynikało, że i on stracił nad sobą kontrolę?

– Max nie żyje – powtórzyłam.

– To jak sobie tłumaczysz te zdjęcia? – zapytał z pobłażaniem.

Dawniej oskarżał mnie o to, że lepiej się czuję, odrzucając rzeczywistość niż ją aprobując (co zawsze mnie wściekało, bo chodziło o moją ulubioną taktykę matki). Tę samą nutę osądzania pochwyliłam w jego głosie i teraz.

– Tu nie ma nic do tłumaczenia – odparłam, nieznacznie podnosząc głos. – Te zdjęcia nie mają nic do rzeczy, a ten mężczyzna... to może być dosłownie każdy.

Spojrzał na mnie twardo, ale nie mogłam dokładnie odczytać wyrazu jego twarzy. Nie wiedziałam, czy to rozczarowanie, czy niedowierzanie.

– Dość tego! – Teraz już się darłam. Wstałam i ruszyłam do drzwi. – Myślałam, że rzeczywiście masz mi coś do powiedzenia. A to są tylko dalsze chore spekulacje. Eskalacja szaleństwa. Co chcesz mi zrobić?!

Spojrzał na mnie ze smutkiem, podniósł się i ruszył za mną.

– Przykro mi, Ridley.

– Nie, wcale ci nie przykro! – krzyknęłam. Odetchnęłam głęboko i zniżyłam głos. – Po prostu chcesz mnie zarazić swoimi obsesjami, chcesz, żebym była tak samo nieszczęśliwa jak ty! Chcesz mnie złapać w pułapkę przeszłości, której żadne z nas nie jest w stanie zmienić, bez względu na to, jak bardzo byśmy chcieli. To nie jest w porządku. Nie chcę być tu z tobą ani chwili dłużej.

Nie zareagował, chociaż widziałam w jego oczach ból. Poszedł do swojego biura i po chwili wrócił z segregatorem.

– Przeczytaj to, Ridley. Nigdy już ani słowem się na ten temat do ciebie nie odezwę... nigdy. Zapoznaj się tylko z wynikami moich poszukiwań i sama wyciągnij wnioski. Zadzwon, gdy będziesz z tym gotowa.

Miałam ochotę rzucić w niego tym segregatorem, miałam ochotę sama się na niego rzucić i okładać go pięściami, jak to już nieraz bywało. Miałam ochotę wziąć go w ramiona i utulić i sama w jego ramionach szukać pociechy. Jednak nie skorzystałam z żadnej z tych możliwości. Zamiast tego wyszłam bez słowa. Mogłam zostawić go razem z tym jego segregatorem i nigdy więcej nie oglądać się za siebie. Ale naturalnie zdążyliście mnie już poznać i wiecie, że kiedy raz wejdę na drogę poszukiwania prawdy, to nie ma dla mnie odwrotu. Wszechświat nie znosi tajemnic.

Stosując się do mapki, jaką sobie wydrukowałam z programu MapQuest, zjechałam z autostrady na główną ulicę przedmieścia, która biegła wzdłuż ciągu sklepów i budynków biurowych. To przedmieście Detroit, trudne do odróżnienia od przedmieść innych amerykańskich miast, z ich Chick-Fil-A i Wal-Martem, Taco Bell i Home Depot, no i obowiązkowym Starbucksem, przypominało paradę domów prefabrykowanych. Wśród wielkich sieci handlowych jak rodzynki w cieście tkwiły małe zubożałe sklepiki – a to rzeźnik, a to warsztat samochodowy, a to wreszcie komis – które, niby zbuntowane wojsko protestowały przeciwko nieubłaganemu pochodowi gigantów. Sklepiki robiły wrażenie niszczących i bliskich upadku. Zauważyłam, że nie ma tu chodników, chociaż w bocznych uliczkach są domy mieszkalne. Przejechałam samochodem wiele kilometrów, ale nie zobaczyłam ani jednej pieszej osoby. A ludzie uważają, że to Nowy Jork budzi największy strach.

W miarę jak zbliżałam się do dzielnicy, w której mieszkali moi dziadkowie, wszystko wyglądało lepiej, a okolica wydawała mi się bardziej znajoma. Wiedziałam, że parterowy dom, w którym wychował się mój ojciec, a potem i Max, został kupiony przez młode małżeństwo, rozebrany i zastąpiony znacznie większym, całkowicie nowym. Skręciłam w dawną ulicę dziadków, ledwie unikając stłuczki, która nastąpiłaby wyłącznie z mojej winy. (Jestem najgorszym kierowcą na świecie, częściowo z braku wprawy, a częściowo z powodu tendencji do zamyślenia się. Wielu nowojorczyków, może nawet większość, nie prowadzi samochodu – po prostu chodzimy na piechotę lub jeździmy jako pasażerowie. Korzystamy też z metra albo – w moim wypadku zbyt często – z taksówek. Wtedy błędzenie myślami jest całkowicie na miejscu, nawet wskazane. Prowadzenie samochodu, jak zauważyłam, wymaga więcej skupienia).

Szukałam działki moich dziadków, ale wyglądało na to, że wszystkie domy na tej ulicy

były nowo zbudowane. Nie pamiętałam numeru ani nie potrafiłam odwołać się do nawet najbardziej mglistych wspomnień. Stare parterowe domy w stylu „ranczo” prawie całkowicie zniknęły, z wyjątkiem kilku, które wydawały się małe, szare i niepozorne wśród lśniących nowością budynków piętrowych. Na końcu ulicy znalazłam adres, którego szukałam: Wildwood Lane 314. Był to bez wątplenia najstarszy i najbardziej zaniedbany dom na całej ulicy, ze stojącym na ceglach na podjeździe starym chevroletem. Zaparkowałam równolegle do trawnika, czując, jak mi wali serce.

Pewnie się zastanawiacie – co ona do diabła robi na przedmieściach Detroit? Sama zadawałam sobie to pytanie, siedząc w wynajętym land-roverze we wściekłym upale. Zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie byłam na swój sposób stuknięta. Podobnie jak Jake.

Pracownię Jake’a opuściłam dosłownie w ataku furii, ale jadąc kolejką do domu, czułam, jak mnie szarpia czarne paluchy depresji. Przez rok jakoś im się wymykałam, lecz czern zawsze gdzieś tam się czaiła, grożąc, że mnie pochłonie. Wiedziałam, że jeśli się zatrzymam i odwrócę, żeby zobaczyć jej twarz, to pożre mnie żywcem. Złość mnie opuściła, pozostał morderczy ból głowy.

Po wejściu do mieszkania nawet nie zdjęłam płaszcza. Po prostu usiadłam w jadalni przy stole (metalowym, wykonanym przez Jake’a olbrzymie, którego z każdym dniem bardziej nienawidziłam za to, że jest taki zimny i ma odpychającą aurę) i otworzyłam segregator, pełen artykułów z prasy, dokumentów i kartek pokrytych ręcznym pismem, w którym poznałam prawie nieczytelne bazgroły Jake’a.

Na pierwszy rzut oka odniosłam wrażenie, że mam do czynienia z mieszaniną niepowiązanych ze sobą informacji, z których część już znałam. Zauważyłam wśród nich opinię lekarską z tamtej nocy, kiedy umarł Max. Zaczęłam przeglądać połączone metalowymi zszywkami kartki, nie znajdując w nich nic szczególnego (choć nie mogę powiedzieć, żebym kiedykolwiek dotychczas widziała taką opinię lekarską). Jake obwiódł kółkiem godzinę zgonu, która zgadzała się z tym, co wiedziałam na temat tamtej nocy. Zauważyłam też, że to Esme Gray zidentyfikowała zwłoki. W tym momencie zaczęłam się zastanawiać. Zawsze byłam przekonana, że to mój ojciec dokonał identyfikacji ciała. Pamiętam, jak mi mówił, że twarz Maksa była zmasakrowana. Nie miał zapiętego pasa i wyleciał przez przednią szybę. Jake zakreślił imię Esme, ale nie potrafiłam ustalić dlaczego.

Było też kilka artykułów z okresu po śmierci Maksa, opisujących wypadek, a także obszerniejsze materiały o Maksie i jego działalności charytatywnej, o założonej przez niego fundacji, która finansowała różne programy służące wspieraniu maltretowanych kobiet i dzieci, o jego niebywale udanej karierze deweloperskiej. Przeglądałam to wszystko, nie czytając umieszczonych na marginesach notatek Jake’a. Te, na których zatrzymałam oko, wydały mi się niejasne i trochę niesamowite, jakby paranoiczne. Na przykład, obok zdania wychwalającego działalność charytatywną Maksa Jake napisał: „Kłamstwa”.

Następna grupa artykułów zdawała się w ogóle nie mieć związku z Maksem; były to historie różnych zbrodni, jakie się wydarzyły na obszarze trzech stanów i praktycznie na całym świecie. Londyński „Times” donosił o przerażającym zjawisku dotyczącym Europy Wschodniej, gdzie z nocnych klubów i imprez znikają młode kobiety, po których ginie wszelki ślad. „Guardian” opisywał śledztwo prowadzone w sprawie morderstwa młodej czarnej

kobiety pochodzenia afrykańsko-karaibskiego, której tors wyłowiono z kanału. Policja wstępnie kojarzy tę sprawę z rytualnymi mordami dokonanymi wcześniej tego samego roku na młodym chłopaku i prostytutce, których poćwiartowane zwłoki znaleziono w niedalekiej okolicy. Wydruk z witryny internetowej BBC informował o handlu kobietami i dziećmi z Albanii, o ich torturowaniu i zmuszaniu do seksu. Zapobieganie temu procederowi i sądowe ściganie sprawców było prawie niemożliwe, ponieważ policja, zarówno albańska, jak i włoska, współpracowała z przestępczością zorganizowaną, a poza tym uwolnione kobiety odmawiały identyfikowania swoich ciemnych. Były też zdjęcia należącego do mafii albańskiej ślizgacza, przechwyconego przez policję na Adriatyku, fotografie stojących przed sędzią młodych kobiet o smutnych twarzach, a także nieostre fotki znanych gangsterów siedzących w kawiarni przy stoliku.

Znalazłam też kilka artykułów z „New York Timesa”, odnoszących się do przestępczości zorganizowanej: dotyczyły części ciała znalezionych w East River, jakiegoś morderstwa z Upper West Side, jakichś zaginionych młodych kobiet. W tamtym czasie nie widziałam między nimi żadnego związku. Odrażające wiadomości z odrażającego świata – co w tym nowego? Teraz zdaję sobie sprawę, że po zawartości segregatora oczekiwałam tylko potwierdzenia tego, że Jake jest niestabilny psychicznie, że czepia się każdego źdźbła. I że widziałam tylko to, co chciałam widzieć, czyli nic. Westchnęłam i zamknęłam oczy. Kiedy je otworzyłam, miałam uczucie, że wszystko pływa – tak bardzo byłam zmęczona. Postanowiłam się położyć. Gdy zamykałam segregator, na podłogę wypadł jakiś artykuł. Zwróciłam uwagę na datę i miejscowość.

Ponownie otworzyłam segregator i stwierdziłam, że artykuł pochodził ze zbioru „Detroit Register” i najwyraźniej został wydrukowany z mikrofilmu. Były to artykuły dotyczące zamordowania matki Maksa i procesu jego ojca. Towarzyszyły im ponure zdjęcia z miejsca zbrodni, których wolałabym nigdy nie widzieć. Nie mogłam uwierzyć, że rzeczywiście zostały opublikowane w gazecie.

Spojrzałam na trzymany w ręce artykuł. Tytuł brzmiał: *Siostrzeniec ofiary protestuje przeciwko wyrokowi skazującemu*.

Siedziałam przez kilka minut w samochodzie, aż spostrzegłam, że zaczyna prószyć lekki śnieg. Zgasiałam silnik i wysiadłam w lodowaty chłód. Zobaczyłam obłok pary unoszący się z moich ust przy oddechu. Szczelniej otuliłam się płaszczem i ruszyłam krótkim podjazdem w stronę przysadzistego brunatnego budynku, słuchając chrzęszczenia żwiru pod nogami. Nie widziałam wewnątrz żadnych świateł. Spojrzałam na zegarek i pomyślałam, że ktoś, kto tu mieszka, musi być jeszcze w pracy.

Zgodnie z „Detroit Register” już po zapadnięciu wyroku skazującego Race’a Smileya, kuzyn Maksa zgłosił się na policję i oświadczył, że tamtej nocy, kiedy zamordowano Lanę, widział w miejscu zbrodni innego mężczyznę. Wcześniej się z tym nie ujawniał, ponieważ bał się o siebie i swoją rodzinę. Ale policja nie uwierzyła chłopakowi i nie znalazła żadnych dowodów na potwierdzenie jego słów. Powiedzieli, że może w ten sposób chce pomóc swojemu wujowi. Artykuł rozpałił moją ciekawość z dwóch względów. Przede wszystkim nikt nigdy nie wspominał o tym kuzynie, chociaż musiał się wychowywać na tej samej ulicy, co Max i Ben. Wydało mi się to dziwne i intrygujące. A zresztą myśl o tym, że może mój dziadek mimo wszystko nie był mordercą, że został niesłusznie oskarżony i skazany, dała mi rodzaj

smutnej nadziei. Może jednak miejsce, z którego się wywodzę, nie było aż tak mroczne i ponure.

Poszukałam w internecie Nicka Smileya i dowiedziałam się, że w dalszym ciągu mieszka w rodzinnym domu. Był nawet numer telefonu, ale jakoś nie mogłam się zdobyć, żeby zadzwonić. Co niby miałabym powiedzieć? „Cześć, jestem, Ridley, twoja kuzynka. Co słychać? Interesuje mnie tamta noc, kiedy moja babka została pobita do nieprzytomności”...

Mój ojciec zawsze mówi, że ludzie wpadają w tarapaty, kiedy mają za dużo czasu i pieniędzy. Gdybym pracowała od dziewiątej do piątej i była za to przed kimś odpowiedzialna albo gdybym z trudem wiązała koniec z końcem, nie mogłabym robić tego, co robię. Ale być może było to coś więcej niż tylko okazja, brak czegoś lepszego do roboty. Zawsze miałam w sobie wielką potrzebę dążenia do prawdy. I to właśnie ona stała się przyczyną moich obecnych kłopotów. Myślałam o tym, bukując się na najbliższy lot do Detroit.

– Czego pani chce?

Z bocznej części domu wyszedł gruby brodaty mężczyzna. Najtrafniej można by go określić jednym słowem: groźny. Miał masywne czoło i głęboko osadzone ciemne oczy. Wąskie usta sprawiały wrażenie, jakby nigdy się nie uśmiechały ani nie powiedziały w życiu życzliwego słowa. Mężczyzna, ubrany w ocieplaną flanelową koszulę i brązowe sztruksowe spodnie, wyglądał, jakby był gotów do walki.

– Szukam Nicholasa Smileya – powiedziałam, z trudem powstrzymując się przed tym, by nie rzucić się biegiem do land-rovera i nie odjechać z piskiem opon.

– Czego pani chce? – powtórzył.

Właśnie, czego chciałam? Dobre pytanie.

Doszłam do wniosku, że wobec takiego faceta nie ma co łagodzić ciosu. Wyglądał na kogoś, kto może być nawet zadowolony, jak oberwie.

– Chcę porozmawiać o tamtej nocy, kiedy umarła Lana Smiley.

Drgnął i cofnął się, jakbym rzuciła w niego kamieniem.

– Wynocha z mojego domu – powiedział.

Nie postąpił w moją stronę, więc pozostałam na miejscu. Gapiliśmy się na siebie, a ja cały czas kombinowałam, co by tu powiedzieć, żeby go przekonać do rozmowy ze mną, ale nic mi nie przychodziło do głowy.

– Kiedy nie mogę – odpowiedziałam w końcu. – Muszę wiedzieć, co tamtej nocy widziałeś. I nie ruszę się stąd, dopóki mi nie powiesz.

Ściągnęłam ramiona i wysunęłam brodę. Był to dość żaloszny popis brawury, bo przecież oboje wiedzieliśmy dobrze, że gdyby tylko postąpił w moją stronę, rzuciłabym się w panice do ucieczki. Może właśnie dlatego jak gdyby odrobinę zmiękł: opuścił ramiona, tępo patrząc w ziemię.

– Stara historia – mruknął. – Oni wszyscy już nie żyją.

– Owszem, Lana, Race, Max... wszyscy odeszli. Ale ja jeszcze żyję i muszę wiedzieć, co widziałeś tamtej nocy.

Zaśmiał się krótko, nieprzyjemnie.

– A kim ty do cholery jesteś?

– Jestem córką Maksa.

Mało się nie udławiłam tymi słowami; tak bardzo w moich ustach miały smak kłamstwa.

Nie odezwał się słowem, tylko skierował na mnie spojrzenie ciemnych, podejrzliwych oczu. Trudno powiedzieć, czy mi nie wierzył, czy go to po prostu nie interesowało. Widziałam, że szuka w mojej twarzy śladów podobieństwa do Maksa. A tymczasem zamieć śnieżna przysypała białym puchem jego włosy i brodę porastającą prawie całą twarz.

– Zostawmy zmarłych w spokoju – powiedział, odwracając się na pięcie.

– Ale mówiłeś, że to kto inny zabił Lanę, że kogoś widziałeś! – zawołałam za nim podniesionym głosem. – Mówiłeś, że kiedy Lana zginęła, Race’a nawet nie było w domu. Jeśli to prawda, to dlaczego wtedy milczałeś, dlaczego czekałeś, aż skażą Race’a?

Przystanął, ale nie odwrócił się do mnie.

– Proszę cię – zaczęłam już ciszej – ja muszę wiedzieć, co się tamtej nocy stało. Oni wszyscy już nie żyją. Co złego się stanie, jeśli powiesz mi prawdę?

Odwrócił się, popatrzył na mnie, a następnie z wyraźnym niepokojem spojrzał najpierw w jedną, a potem w drugą stronę ulicy. Nie było jednak w pobliżu nikogo, nikt nie stał w oknie i nas nie obserwował. Czułam, jak chłód dosłownie wpełza do mojego wnętrza; zaczęłam dygotać. A potem w jego twarzy zaszła jakaś zmiana – ze złej stała się smutna. Do dzisiejszego dnia nie wiem, co sprawiło, że zmienił zdanie. Może po prostu wyglądałam tak żałośnie i tak rozpaczliwie, jak się czułam. A może nie chciał, żebym tam, na jego podjeździe, zrobiła scenę. W każdym razie odwrócił się, gestem dając mi znać, że mam iść za nim. Ale wtedy to ja zaczęłam się wahać. Może chce mnie zwabić do środka i zamordować czy związać i zostawić w piwnicy, albo zrobić coś równie potwornego? Zawahałam się, kiedy mi zniknął za rogami domu. W końcu jednak ciekawość zwyciężyła i poszłam za nim.

– Ludzie wiedzą, że tu jestem – powiedziałam, kiedy się z nim zrównałam. Niestety, kłamałam. Prawda była taka, że nikt nie wiedział nawet, że pojechałam do Detroit. Gdyby uznano, że zaginęłam, to jak długo by potrwało, zanim by zauważono moje zniknięcie i mnie tu wytropiono?

Wysoki żywopłot oddzielał jego ogródek od posesji sąsiadów; ścieżka była wybrukowana okrągłymi blokami betonu. Gospodarz wszedł do domu bocznymi drzwiami, prowadzącymi do schludnej kuchni, która robiła wrażenie, jakby od dziesięcioleci nie była modernizowana. Weszłam za nim, zamykając za sobą drzwi, ale nie zdejmując ręki z klamki. Podeszedł do zlewu, nalał wody do czajnika i postawił go na kuchni.

– Nie usiądziesz? – zapytał.

– Nie, wolę postać – odparłam. Byłam zdenerwowana.

– Do tej pory nie wiedziałem, że Max miał córkę – powiedział.

Stał tyłem do mnie i wyglądał przez okno nad zlewozmywakiem.

– Ja sama o tym nie wiedziałam. Dowiedziałam się dopiero w ubiegłym roku po jego śmierci. Ale to długa historia. Wychowali mnie inni ludzie. Z pewnością znasz człowieka, który mnie wychował, to Benjamin Jones.

Wolno skinął głową, najwyraźniej starając się ogarnąć tę informację.

– Bennie Jones. Spotykaliśmy się tu, na tej ulicy. Porządny chłopak. Nie widzieliśmy się od lat. Od dziesiątków lat.

Przez chwilę milczeliśmy. Słyszałam gotującą się w czajniku wodę, leciutkie pbrzękiwanie metalu zmieniającego temperaturę. Doszłam do wniosku, że w domu jest niewiele cieplej niż na zewnątrz. Rozejrzałam się dokoła: zauważyłam starą tapetę w rogi

obfitości, z których wysypywały się owoce, poźółkłe blaty z laminatu, podłogę z zielonych płytek.

– Może herbaty? – zapytał.

Byłam zdumiona jego gościnnością.

– Tak, poproszę. Dziękuję bardzo.

Podeszedł do kredensu po filiżanki. Wyjmując z białego ceramicznego pojemnika herbatę ekspresową, obejrzał się przez ramię.

– Nie zrobię ci nic złego. Możesz usiąść.

Poczułam się głupio. Podeszłam do okrągłego kuchennego stołu z drewna, odsunęłam krzesło i usiadłam. Krzesło było kulawe i niewygodne, ale z grzeczności nie wstałam. Przyniósł herbatę i usiadł naprzeciwko mnie. Z wdzięcznością przyjął filiżankę, grzejąc o nią rękę.

– To zły pomysł – powiedział, potrząsając głową.

Poczułam, jak serce mi się ściska; wyglądało na to, że się przede mną zamyka. Twarz mu znieruchomiała, a usta się zacisnęły, jak na początku, w cienką linię. Uśmiechnęłam się ze zrozumieniem. Nie wiedziałam, co powiedzieć, żeby go przekonać do mówienia, więc na wszelki wypadek nie powiedziałam nic.

– Robisz wrażenie milej dziewczyny – powiedział, przez chwilę patrząc mi w oczy. – Nie chciałbym... – zawiesił głos i nie podjął wątku. Na moment zamknęłam oczy, nabrałam tchu i powiedziałam jedyne, co mi przyszło na myśl.

– Proszę...

Spojrzał na mnie ze smutkiem i szybko skinął głową.

– Od bardzo dawna nie myślałem o tamtej nocy – powiedział, ale z jakichś względów mu nie uwierzyłam. Podejrzywałam, że myślał o niej bardzo wiele, ale może po raz pierwszy od lat mógł o tym mówić. Może nawet potrzebował o tym mówić. I właśnie dlatego zmienił zdanie. – Chociaż z drugiej strony, jest to coś, o czym się nie zapomina. Coś, co w człowieku zostaje, nawet kiedy się o tym bezpośrednio nie myśli. Jakieś pięć lat temu zламаłem w pracy rękę i od tamtej pory jestem na zasiłku. Ręka się zrosła, ale nie odzyskałem w niej pełnej sprawności. Z niektórymi sprawami tak jest. Kiedy się staną, to już nigdy potem nie jest dobrze.

Nie mogłam się z tym nie zgodzić.

Nicholas Smiley nie wydawał się już taki niebezpieczny jak na pierwszy rzut oka. Teraz był wyraźnie łagodniejszy i grzeczniejszy; raczej przybity niż zły. Przez jakąś minutę nie mówił nic, tylko gapił się w swoją filiżankę. A ja wsłuchiwałam się w tykanie zegara wiszącego nad zlewozmywakiem i czekałam. I wreszcie:

– Byliśmy akurat u Lany i Race'a na kolacji. Zawsze święta spędzaliśmy razem – powiedział, wpatrując się w blat stołu.

Głos miał zachrypnięty, jakby go od dawna nie używał. Zastanawiałam się, czy mówienie o tym w jakiś sposób go nie odciąża. A może raczej przypomina ekshumację zwłok, wyciąganie czegoś, co powinno być pozostawione w spokoju.

Ponownie uderzyło mnie, jak wtedy, kiedy po raz pierwszy przeczytałam artykuł, że nigdy nie słyszałam o Nicholasie Smileyu czy jego rodzinie. Ani Max, ani mój ojciec, ani dziadkowie nigdy nie wspominali o tym kuzynie, który najwyraźniej wychowywał się

z Makssem i Benem i który musiał mieszkać na tej samej ulicy. Zastanawiałam się, czy warstwy tajemnic i kłamstw nigdy się nie skończą.

– To nie był dobry wieczór – podjął, spoglądając na mnie nieśmiało. – Race nie przyszedł na kolację, a Lana była pijana i wściekła jak wszyscy diabli. Bełkotała coś na temat swojego zasranego życia.

Ponownie wbił wzrok w filiżankę, a ja zauważyłam, że lekko drży mu ręka. Ten widok z jakichś względów przyspieszył bicie mojego serca.

– Race był sukinsynem. Bił Maksa i Lanę, zdradzał ją. Wszyscy o tym wiedzieli.

Mówił krótkimi, urywanymi zdaniami, jakby się bał, że nie zdąży skończyć, zanim zadzwoni zegar. Ale w jego sposobie mówienia był jakiś rytm, niemal metryczny. Czułam się jak zahipnotyzowana.

Musiał zauważyć coś w mojej twarzy. Każdy, kto przeprowadza wywiady, wie, że ton głosu nie może zdradzać twojego osądu, a ja zawsze byłam w tym dobra. Problemy miałam z czym innym – bałam się, że zdradzi mnie twarz.

– Nie wiem, dlaczego nikt w tej sprawie nigdy niczego nie zrobił – powiedział, jakbym zadała mu pytanie, które cisnęło mi się na usta. – Latami człowiek tego żałował. Ale w tamtych czasach po prostu się nie ingerowało w relacje między mężczyzną a jego rodziną.

Ze zrozumieniem pokiwałam głową.

– W każdym razie wyszliśmy wtedy od nich wcześniej. Lana, tak jak mówiłem, bełkotała, a Max przez cały wieczór prawie się nie odzywał. Z nim czasem tak bywało – jakby chciał być niewidzialny. Trudno nawet mieć do niego o to pretensje. Żył jakby w dolinie pomiędzy dwoma czynnymi wulkanami. Nigdy nie wiedział, który z nich akurat wybuchnie.

– Lana też się znęcała nad Makssem?

– Jeszcze jak – odparł. – Też go lała.

Max mówił o matce, jakby była skrzyżowaniem Matki Boskiej z Matką Teresą. Zawsze podkreślał, jaka była piękna, jaka dobra, jaka silna.

– Jesteś do niej bardzo podobna. Wiedziałaś o tym?

– Nie – odparłam – nie wiedziałam.

Niepotrzebna mi była ta informacja, nie miałam pojęcia, co z nią zrobić. Nagle pożałowałam, że tu przyszedłam.

Wzruszył ramionami.

– W porównaniu z Race'em nie była jeszcze taka zła. Ale Max nigdy nie wiedział, z której strony oberwie. Nigdy nie wiedział, czy go pogłaszczą, czy uderzą.

Na myśl o maltretowanym małym chłopcu, który w dodatku nie był moim wujem, tylko ojcem, nie wiedziałam, co powiedzieć. Czekałam, że obudzą się we mnie jakieś emocje, ale zamiast tego poczułam, że mam w piersi ołów. Spojrzałam w stojącą przede mną filiżankę i spostrzegłam, że mleko lekko się ścięło.

– W tamtym roku dostaliśmy z Makssem na Gwiazdkę walkie-talkie. Ale moim rodzicom tak się spieszyło, żeby już stamtąd iść, że zostawiłem swoje walkie-talkie pod drzewkiem. Byłem z tego powodu tak nieszczęśliwy, że o niczym innym nie mogłem myśleć ani mówić, a to doprowadzało ich do szału. Jutro – obiecali. Ale dla dziecka jutro to wieczność. Odczekałem, aż rodzice pójdą spać, włożyłem kurtkę i buty i wymknąłem się z domu.

Mogłam sobie to wszystko wyobrazić. Ciemne ulice, rozświetlone tylko świętecznymi

światłkami na domach i migoczącymi wewnątrz lampkami choinek; na ziemi śnieg. Niemal widziałam, jak brnie w kurtce włożonej na piżamę. Niemal czułam zapach mroźnego zimowego powietrza, słyszałam samochody na ruchliwej ulicy biegnącej prostopadłe do ich uliczki.

– Jeśli Max miał wtedy szesnaście lat, to ja musiałem mieć czternaście. Ale Max był ogromny jak na swój wiek. Nie tak wysoki jak wujek Race, ale niewiele niższy. Czułem, że Race już niedługo nie będzie mógł pomiać Maksem. W każdym razie szukałem wzrokiem samochodu Race'a na podjeździe. Gdyby był w domu, z miejsca bym wrócił do siebie.

Mogłabym przysiąc, że Nicholas jest w tej chwili tam, w tamtym domu, tamtego wieczoru: jego oczy nabrały jakiegoś dziwnego blasku – patrzył jakby na wylot przeze mnie. Staralam się nie odzywać.

– Pamiętam, że coś dziwnego wisiało w powietrzu, jakby noc wiedziała, że stało się coś złego. Nie podszedłem do drzwi, tylko do okna pokoju Maksa, ale jego tam nie było. Słyszałem głośno grający telewizor, więc poszedłem do okna salonu.

Przerwał i westchnął, jakby po tylu latach wspomnienie tamtej nocy w dalszym ciągu było dla niego przerażające. Ukrył twarz w dłoniach, po czym znów uniósł głowę.

– To właśnie tam zobaczyłem ciotkę Lanę – powiedział. – Poznałem ją tylko po ubraniu, to samo miała na sobie podczas kolacji. Jej twarz to była miazga; ubranie całe we krwi.

– Ale Race'a tam nie było? – zapytałam.

– Już ci mówiłem: na podjeździe nie było samochodu.

– Race mógł przecież przyjść do domu, zabić ją i wyjść – wtrąciłam. – Samochód mógł stać na ulicy.

– Nie – odparł Nicholas.

– A skąd możesz mieć pewność?

Spojrzał na mnie z czymś w rodzaju politowania. Przypuszczam, że w moim głosie była taka rozpaczliwa determinacja, jaką w tym momencie odczuwałam.

– Zobaczyłem go, stał nad nią. Miał krew na pięściach, na koszuli, na twarzy. A w oczach jakby mgłę. Uśmiechał się i ciężko dyszał, jak zawodowy bokser.

– Kto? – zapytałam ze zgrozą.

Potrząsnął głową, a z jego oczu potoczyły się łzy, płynąc po policzkach i znikając w brodzie. Potrząsnął głową i otworzył usta, ale nie wydobył z nich słów.

– Kto? – powtórzyłam, nachylając się do niego.

– Max – wyszeptał.

Szok był chyba większy, niż gdyby mnie zdzielił łomem. Żałowałam, że tego nie zrobił; żałowałam, że po prostu nie straciłam przytomności i nie dostałam amnezji, że nie zapomniałam wszystkiego, co mi powiedział. Przeklinałam siebie za to, że jestem taka uparta i ciekawa, i że tam w ogóle poszłam. Miałam kłopoty z oddychaniem.

– Nie – powiedziałam. – Byłeś taki młody. Poza tym było ciemno i widok ciotki w takim stanie cię przeraził.

Nicholas spojrzał na mnie.

– Wiem, co widziałem – odparł cicho – i nigdy tego nie zapomnę.

– To dlaczego nic nie mówiłeś? Dlaczego pozwoliłeś, żeby niewinny człowiek umarł w więzieniu?

– Obrócił się i zobaczył mnie w oknie. Ale to nie był Max, jakiego znałem. To był... potwór. Te wbite we mnie martwe, puste oczy... Wiedziałem, że jeśli kiedykolwiek puszcze parę na temat tego, co widziałem, to mnie rozerwie na strzępy. Uciekłem, a potem całą noc czekałem, że ten diabeł wcielony przyjdzie i teraz moją twarz zamieni w hamburgera. Ale tak się nie stało. Następnego dnia został aresztowany Race, a Lana zmarła kilka tygodni później, nie odzyskując przytomności. Maksa wzięli do siebie rodzice Benniego.

– Dlaczego nie wy? Byliście jego jedyną rodziną.

– Moi rodzice z trudem wiązali koniec z końcem. Mieli mnie i moje trzy siostry, nie mogli sobie pozwolić na jeszcze jedno dziecko. I tak poumierali, zostawiając długi, które splacam do dziś. – Rozejrzał się dokoła. – Ledwie mogę utrzymać ten dom. – Spuścił oczy.

– Nigdy o tobie nawet nie słyszałam – powiedziałam gniewnie. Nienawidziłam go za to, co mi powiedział, i czepiałam się myśli, że z jakichś względów kłamie, myli się albo po prostu jest stuknięty. – Ani Max, ani Ben nigdy nawet nie wspomnieli słowem o twojej rodzinie.

– Mieli nam za złe, że nie wzięliśmy Maksa. Nie padły żadne słowa, ale od tamtej chwili prawie straciliśmy z Maksą kontakt.

Wpatrywałam się w jego twarz i widziałam, że wierzy w to, co mówi. Widziałam w niej cały jego strach, smutek i potworność wspomnień.

– Ale tak naprawdę to przecież nie chodziło o pieniądze, prawda? – spytałam. – To nie dlatego twoi rodzice go nie wzięli?

Nicholas potrząsnął głową.

– Powiedziałeś rodzicom, co tamtej nocy zobaczyłeś. I oni ci uwierzyli.

– Tak – odparł. – Tak właśnie było.

– Ale nikt nie odezwał się słowem, kiedy Race został aresztowany i stanął przed sądem. Tak bardzo baliście się szesnastolatka?

– Czekaliśmy. – Nicholas odchrząknął. – Mieliśmy nadzieję, że Race zostanie uniewinniony. Że nigdy nie będziemy musieli ujawniać tego, co wiedzieliśmy. Ale nawet wtedy, kiedy Race został skazany, rodzice w dalszym ciągu nie chcieli, żebym powiedział to, co widziałem.

– Bo bali się Maksa?

Nicholas ponownie westchnął.

– Nie, nie o to chodziło. Myślę, że oni nie chcieli, żeby Max poszedł do więzienia. A może było to poczucie winy, że nie zrobili nic, by jakoś przeciwdziałać przemocy w tym domu? I wreszcie Race mógł być niewinny akurat tej zbrodni, ale pod wieloma innymi względami był znacznie bardziej winny od Maksa. Ten chłopak został wychowany w przemocy; nie znał nic innego. Moi rodzice uważali, że tamtej nocy Max mógł sobie nie zdawać sprawy ze swojej siły. Że całe życie cierpień i trosk było dla niego wystarczającą karą.

– Ale ty tak nie uważałeś?

– On tego nie żałował – powiedział Nicholas, patrząc mi w oczy. – Poznałem to po sposobie, w jaki na mnie patrzył. Dla wszystkich innych miał smutną twarz. Ale kiedy byliśmy sami, spojrzął na mnie tymi swoimi oczami i już nie miałem wątpliwości. Zabił matkę, a potem oskarżył ojca i zeznawał przeciwko niemu. W gruncie rzeczy zabił ich oboje. I przypuszczam, że ani przez chwilę nie spędzało mu to snu z powiek.

Próbowałam w jakiś sposób pogodzić tę wersję z obrazem człowieka, którego znałam. Opisany przez Nicka Smileya chłopak był psychotycznym mordercą i kłamcą, przebiegłym manipulatorem. Nigdy nie dostrzegłam w Maksie nic, co by mogło potwierdzać tę charakterystykę. Nigdy.

– I dlatego w końcu zdecydowałaś się o tym powiedzieć? Bo nie widziałeś, żeby tego żałował?

– Nie wiem, czy „zdecydowałaś się” jest dobrym określeniem. Raczej jest to na wpół uświadomiona próba naprawienia jednej z licznych krzywd, jakie zostały wyrządzone tamtej nocy i wszystkich innych nocy, które do niej doprowadziły. Dręczyły mnie wyrzuty sumienia, nie mogłem spać ani jeść. Wreszcie rodzice zaprowadzili mnie na policję, gdzie powiedziałem, że tamtej nocy w domu Smileyów był jeszcze ktoś. Powiedziałem im o walkietalkie, o tym, że nie widziałem samochodu Race’a i że zobaczyłem tam jeszcze jakiegoś mężczyznę, którego nie widziałem nigdy wcześniej. O Maksie słowem nie wspomniałem.

Upił trochę herbaty, która, sądząc po temperaturze mojej, musiała być już kompletnie zimna.

– Powiedziałem im, że do tej pory nie ujawniałem tej sprawy, ponieważ się bałem, że ten nieznajomy przyjdzie i zabije mnie i moją rodzinę.

– Nie uwierzyli ci?

Potrząsnął głową.

– Nie było niczego na potwierdzenie moich słów. Nikt nie widział żadnego obcego samochodu ani nikogo, kto by tam przychodził czy wychodził, poza Race’em, który pojawił się później. Powiedzieli mi, że mam senne koszmary. Krótko mówiąc, że nie zamierzają wznowić sprawy, która już dawno została zamknięta – oskarżony został osądzony i skazany – z powodu bredzenia jakiegoś chłopaka. Ale ktoś z policji się wygadał i następnego dnia w gazecie ukazał się na ten temat artykuł. W nocy obudziły mnie kamienie, którymi ktoś rzucał w moje okno. Wyjrzałem na ulicę i zobaczyłem Maksa. Stał z łomem w ręku, pod latarnią, w jej świetle zobaczyłem te jego oczy. Wiedział, że jestem tchórzem – pomiałał mną niemal od pieluch. Nigdy więcej nie puściłem na ten temat pary z ust.

Siedziałam w milczeniu. Nick robił wrażenie człowieka uczciwego, prostego i szczerego. Kuchnia była schludna i czysta, jak to kuchnie w domach robotniczych na przedmieściach miast – nic nadzwyczajnego, ale wszystko przyzwoite. W jego opowieści było dużo szczegółów, ale mało ozdobników. Pobrzmiwała w niej prawda – widać było, że Nick wierzy w to, co mówi, że ta sprawa w dalszym ciągu go nurtuje. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Musiałam się gapić na niego ze zgrozą i niedowierzaniem, bo zachwiał się niespokojnie na krześle.

– Mówiłem ci, żeby nie ruszać zmarłych – powiedział. – Trzeba było mnie słuchać.

Nikt nie lubi tych, co wiedzą lepiej.

Mój wuj Max (zawsze będę tak o nim myślała) był niedźwiedziowatym olbrzymem, wielkim w sensie postury, ale nie tylko: jego serce i osobowość pozostawały w zgodzie z warunkami fizycznymi. Był dla nas wesołym miasteczkiem, sklepem z zabawkami, jedną ogromną lodziarnią. Od czasu do czasu, gdy moi rodzice wybierali się w podróż, podrzucali Ace'a i mnie do Maksa (pod opieką niani, naturalnie, jako że Max nie nadawał się do takich rzeczy jak sznurowanie butów czy robienie grillowanych kanapek z serem). Wiązą się z tym najpiękniejsze wspomnienia z mojego dzieciństwa. Nigdy nie widziałam wuja bez uśmiechu na twarzy. Ręce miał zawsze pełne prezentów, a kieszenie pieniędzy, słodczy i różnych drobnych niespodzianek.

Przynajmniej taki jawi się Max w moich wspomnieniach. Ostatnio jednak przestałam im ufać – nie w sensie samych faktów oczywiście, ale różnych ulotnych niuansów, które z pewnością musiały mi umknąć. Moje życie w tak znacznej mierze opierało się na fundamencie kłamstw, że własna przeszłość wydawała mi się mroczną bajką – ładną z wierzchu, ale pełną ponurych podtekstów. Pod moim łóżkiem czaiły się potwory, a ja byłam zbyt naiwna na to, żeby chociaż bać się ciemności.

Wracając samolotem do Nowego Jorku, szukałam pęknięć, szczelin, przez które mógłby „prześwitywać” prawdziwy Max, psychotyczny maltretowany młody człowiek, który zabił swoją matkę, zrobił w to morderstwo ojca, a kuzyna sterroryzował, wymuszając na nim milczenie. Prawdziwy Max, mój ojciec.

Przypomniała mi się nasza ostatnia rozmowa.

Zbliżał się koniec dorocznego przyjęcia, jakie moi rodzice wydawali z okazji wigilii Bożego Narodzenia. Ojciec wyprowadził grupę gości na nieunikniony spacer ze świecami, a matka wściekle szorowała w kuchni gary, jak zwykle odrzucając wszelkie oferty pomocy z mojej strony i jak zwykle dając do zrozumienia, że nikt nie mógłby zrobić tego tak dobrze jak ona. Pretekst zresztą był nieważny. Otóż zabłądziwszy do frontowego pokoju w poszukiwaniu słodczy, zastałam tam wujka Maksa siedzącego samotnie przed naszą gigantyczną choinką. Jest to jeden z moich ulubionych widoków: płonąca świecącymi choinka w przyciemnionym pokoju. Padłam na kanapę obok niego, a on mnie objął ramieniem, wolną ręką przytrzymując stojącą na jego kolanie szklaneczkę burbona.

– Co słyhać, wujku?

– Nic specjalnego, dziecinko. Miły wieczór.

– Aha.

Siedzieliśmy tak przez chwilę w przyjaznym milczeniu, ale w pewnym momencie coś sprawiło, że na niego spojrzałam. Max płakał, nie wydając najmniejszego odgłosu: po policzkach spływały mu cienkie strużki łez. Twarz, na której malował się bezbrzeżny smutek, wydała mi się pusta. Był to dla mnie szok – patrzyłam na niego w milczeniu, a po chwili wzięłam w obie ręce jego potężną niedźwiedzią dłoń.

– Co się stało, wujku? – wyszeptałam, jakbym się bała, że ktoś go w tym stanie zobaczy, że

świat pozna jego prawdziwą twarz. Chciałam go jakoś ochronić.

– To wszystko do mnie wraca, Ridley.

– Co wraca, wujku?

– Całe dobro, jakie próbowałam czynić. Wszystko to spieprzyłam. I to jak spieprzyłam. – Głos mu drżał.

Potrząsnęłam głową. Pomyślałam: jest pijany. Jest po prostu pijany. I wtedy Max złapał mnie za ramiona, niespecjalnie mocno, ale z pasją. Jego oczy były jasne i czyste w wyrazie desperacji.

– Jesteś szczęśliwa, prawda, Ridley? Dorastałaś w poczuciu, że jesteś kochana, bezpieczna, prawda?

– Prawda, wujku. Oczywiście, że tak – odparłam, bardzo chcąc go uspokoić, chociaż nie byłam pewna, dlaczego w tym momencie moje szczęście jest dla niego takie ważne. Skinął głową i poluzował uścisk, ale w dalszym ciągu patrzył mi prosto w oczy.

– Ridley – powiedział – możliwe, że jesteś jedynym dobrem, jakie kiedykolwiek w życiu uczyniłam.

– Co się dzieje, Max?

Odwrociliśmy się oboje i zobaczyliśmy stojącego w drzwiach ojca. Był obrysowaną światłem czarną sylwetką, a jego głos zabrzmiał jakoś dziwnie. Miałam wrażenie, że coś obcego zakradło się w jego duszę. Max zeszywniał i puścił mnie nagle, jakby moje ciało zaczęło go parzyć.

– Chciałbym z tobą porozmawiać – zwrócił się do niego ojciec i Max wstał.

Ruszyłam za nim do drzwi, ale ojciec położył mi rękę na ramieniu. Max nie zatrzymał się, tylko przeszedł do gabinetu ojca. Z opuszczonymi ramionami i zwieszoną głową odwrócił się jeszcze do mnie i uśmiechnął, zanim zamknęły się za nim drzwi.

– Co się z nim dzieje? – zapytałam ojca.

– Nie martw się, słoneczko – odparł ojciec z wymuszoną swobodą. – Wujek Max troszkę za dużo wypił. Prześladowają go różne demony i czasem alkohol je w nim wyzwala.

– Ale o czym on mówił? – drażylałam uparcie, mając poczucie, że bronią mi dostępu do czegoś bardzo ważnego.

– Ridley – zaczął ojciec zbyt surowo, ale zaraz się zreflektował i złagodził ton. – Naprawdę, nie martw się o Maksa, kochanie, burbon przez niego przemawia.

Odwrócił się i zniknął za drzwiami gabinetu. Przez chwilę jeszcze słuchałam szmeru ich głosów, ale zdawałam sobie sprawę, że przez te grube dębowe drzwi nie mam szansy cokolwiek usłyszeć: wiele razy próbowałam tego w dzieciństwie. A poza tym sięgnęłam po swoje ulubione koło ratunkowe, któremu na imię mechanizm wyparcia. W uszach zabrzmiały mi słowa pociechy: „To tylko burbon. To tylko demony Maksa przez niego przemawiają. Znasz go. Jutro będzie wszystko w porządku”. Ten mechanizm jest jak dobra ciotka: niby krucha, ale jeśli z nią współpracujesz, potrafi cię opleść potężną pajęczyną i – jak długo nie patrzysz jej w oczy – zamknąć w swoim kokonie. A tam jest bezpiecznie i ciepło. Znacznie przyjemniej niż na zewnątrz.

Wtedy widziałam wujka Maksa po raz ostatni. Z twarzą mokrą od łez i zaczerwienioną od burbona, ze smutnym uśmiechem. No i te jego ostatnie słowa: „Ridley, możliwe, że jesteś jedynym dobrem, jakie kiedykolwiek w życiu uczyniłam”.

Z każdą rzeczą, jakiej się dowiadywałam o Maksie, te słowa nabierały nieco odmiennego znaczenia. Co innego znaczyły, kiedy uważałam, że był moim kochanym smutnym wujkiem, który zginął jeszcze tego samego dnia wieczorem. I zgoła co innego, kiedy się dowiedziałam, że był moim ojcem, człowiekiem, który popełnił tyle strasznych błędów i który mnie zawiódł na tak wiele sposobów. Zastanawiałam się, co będą dla mnie znaczyły na końcu drogi, na której się znalazłam. Przeglądałam artykuły z segregatora Jake'a – doniesienia o ponurych zbrodniach, zaginionych kobietach, dzieciach i dziewczynach uprowadzonych z nocnych klubów, a potem sprzedawanych i zmuszanych do prostytucji. Dlaczego zbierał te artykuły? Co to miało wspólnego z Maksem? I dlaczego FBI w dalszym ciągu się nim interesowało?

Siedzący obok mnie mężczyzna chrapał cicho z głową opartą o okno samolotu pod dziwnym kątem. Dziewczyna siedząca po drugiej stronie przejścia czytała jedną z powieści Lee Childa. Normalni ludzie żyjący normalnym życiem. Być może. Prawdopodobnie to samo myśleli o mnie.

Przekonałam się, że z im większą determinacją sięgałam do wspomnień o Maksie, tym bardziej mgliste i niejasne mi się wydawały. Ale jedno było dla mnie pewne: jeśli Nick Smiley miał rację, jeśli Max był rzeczywiście tym, za kogo go uważał, to znaczy, że nigdy tego człowieka tak naprawdę nie poznałam. Że był tak doskonale ukryty za swoją maską, że nigdy mi nawet nie mignęła zza niej jego prawdziwa twarz. Widziałam tylko cząstkę człowieka – tyle, ile sam chciał mi pokazać.

W taksówce, w drodze z lotniska La Guardia do domu, wyciągnęłam z torby komórkę. Tak, owszem, zachowałam komórkę mimo ponawianych zapowiedzi, że się jej pozbędę. Może pamiętacie niechęć, z jaką się do nich odnosiłam (nienawidzę komórek chyba jeszcze bardziej niż aparatów cyfrowych). Telefony komórkowe to jeszcze jedna wymówka, żeby nie być obecnym, jeszcze jedno usprawiedliwienie tego, że jesteśmy bardziej gruboskórni i bardziej niewrażliwi niż zwykle. Ale cóż mogę na to powiedzieć? Zwyciężyło wygodnictwo.

Wyświetliły mi się trzy telefony od Jake'a, ale żadnych nagranych wiadomości. Miałam dojmującą potrzebę zadzwonienia do kogoś – ale nie do niego. Nie chciałam podsycać płomienia jego obsesji. Nie mogłam też zadzwonić do Ace'a ani do ojca, ponieważ żaden z nich nie chciałby słuchać pytań, jakie chciałabym zadać (choć ojciec był najbardziej oczywistym ich adresatem). Z matką od ponad roku praktycznie nie rozmawiałam. Odchyliłam głowę na winylowe oparcie siedzenia i obserwowałam jarzące się tylne światła samochodu przed nami i białe snopy reflektorów mojej taksówki w ciemności.

A potem zadzwonił telefon w mojej ręce. Nie zidentyfikowałam dzwoniącego, ale pod numerem 917 uzyskałam informację, że kontaktowano się ze mną z komórki. Odebrałam telefon ze zwykłego poczucia samotności.

– Detroit jest ładnym miejscem o tej porze roku – odezwał się niski męski głos. – Zwłaszcza, jak się lubi zadupia.

– Kto mówi? – zapytałam, czując, że kurczy mi się żołądek. Przecież nikt nie wiedział, że jadę do Detroit. Nikogo o tym nie informowałam; po prostu wyjechałam rano, płacąc śmieszłą sumę za dobowy bilet powrotny.

– Jestem ciekaw: zdjęcia do ciebie dotarły, mam nadzieję? I pewnie rozmawiałaś ze swoim chłopakiem? Czy kiedykolwiek ktoś ci mówił, że masz umysł śledczy? Wygląda na to, że się minęłaś z powołaniem.

– Agent Grace? – zapytałam. Lęk ustąpił niepokoju, uczuciu, które zaczęło charakteryzować nasze spotkania.

– No więc co takiego powiedział ci Nick Smiley?

– Że Max był psychopatą – odparłam, domyślając się, że tyle to i on wie. – Mordercą.

– Uwierzyłaś mu?

– Ja już nie wiem, komu mam wierzyć.

– Czy Nick Smiley mówił ci może, że cierpi na zdiagnozowaną schizofrenię paranoidalną i że przez ostatnie dwadzieścia lat jest od czasu do czasu leczony litem?

– Nie – odparłam. – O tym nie wspominał.

Poczułam, że napięcie w moich ramionach częściowo ustąpiło.

– To jeszcze nie znaczy, że jest kłamcą, tylko że jego wersja może być podważona.

Czy nie do tego sprowadza się prawda? Nie do zgodności różnych wariantów? Pomyślcie o waszym ostatnim dramacie rodzinnym czy o kłótni ze współmałżonkiem. Co się tak naprawdę stało? Kto co powiedział i kiedy? Kto był prowokatorem, a kto reagował? Czy istnieje prawda absolutna, niezależna od wersji osobistych? Może tak. A może nie. Fizyka kwantowa uczy nas, że życie jest pewną liczbą możliwości istniejących równolegle w dowolnym momencie; to nasze wybory decydują o naszej wersji rzeczywistości. Nick Smiley wybrał swoje wspomnienie Maksa. Ja swoje. Kto z nas ma rację? Ale niewykluczone, że Max był kameleonem zmieniającym barwy w zależności od sytuacji, w jakiej się akurat znajdował. Nicka zniewalał terrorem, mnie adoracją, ale żadnemu z nas nie pokazywał prawdziwej twarzy.

– Co pan mi próbuje powiedzieć? – zapytałam. – I dlaczego mnie pan śledzi?

– Nie muszę odpowiadać na twoje pytania – odparł spokojnie.

Przez chwilę się nad tym zastanawiałam. Najpierw zatrzymują mnie na ulicy i zabierają mi zdjęcia, a potem pokazują mężczyznę, którego najwyraźniej uważają za Maksa. Chociaż wiem, że Max nie żyje. Wreszcie agent Grace dzwoni do mnie, najwyraźniej ze mną igrając, i daje mi do zrozumienia, że śledzą każdy mój ruch. Nie bardzo rozumiałam, o co mu chodzi i co chce osiągnąć. Może po prostu czuł się samotny, sam na sam ze swoją obsesją, jak ja, jak Jake. Może zwyczajnie potrzebował z kimś porozmawiać.

– Jesteś tam, Ridley?

– Mówiłam panu, żeby się pan tak do mnie nie zwracał.

– Jest tam pani?

– Nie – odpowiedziałam i przerwałam połączenie.

To jasne, że na mnie czekał; siedział w limuzynie i kiedy taksówka się zatrzymała, wysiadł, a jego partner pozostał za kierownicą. Podeszłam do drzwi i wsadziłam klucz w zamek, całkowicie go ignorując.

– Myślałam, że pan jest kierowcą, a nie pasażerem – powiedziałam, skinieniem głowy wskazując samochód.

– Przez jakiś czas nie mogę prowadzić samochodów służbowych – odparł z uśmiechem, świadczącym o tym, że ma o sobie wysokie mniemanie. – W ciągu siedmiu miesięcy skasowałam trzy samochody. Muszę iść na kurs. A do tej pory – nie mam wyjścia.

Złapałam się na tym, że nie wiadomo dlaczego porównuję go z Jakiem. Była w nim jakaś arogancja (a może po prostu pewność siebie) w przeciwieństwie do uprzejmej skromności

Jake'a. Brakowało mu też jego elementarnej słodyczy, ale także i złości, jaką Jake miał gdzieś w sobie. Jake był wytworny w sensie fizycznym, nie chodzi o to, że po prostu przystojny czy sexy, ale wręcz piękny dla oka. A agent Grace, no cóż... Była w nim jakaś twardość, brak artyzmu. Jeśli Jake był z marmuru, to on z granitu. Ale w linii ust, w rysunku powiek kryła się zwierzęca seksualność, która budziła we mnie niepokój, jakbym się znalazła w klatce z tygrysem, który według zapewnień miał być łagodny niczym baranek. W obecności agenta Grace'a zaczynałam tęsknić za Jakiem, za poczuciem bezpieczeństwa, jakie znajdowałam w jego ramionach.

Uznałam, że agent Dylan Grace absolutnie mi się nie podoba. Że może nawet trochę go nienawidzę.

– Dobranoc, detektywie – powiedziałam, żeby go zdenerwować.

– Jestem agentem federalnym, panno Jones.

– Rzeczywiście, przepraszam.

Kiedy chciałam mu zamknąć (zatrzasnąć) przed nosem drzwi, nagle przytrzymał je (mocno) ręką.

– Czy mogę wejść? Musimy porozmawiać.

– Z mojego doświadczenia wynika, że agenci federalni są jak wampiry: kiedy się ich wpuści do domu, to potem bardzo trudno się ich pozbyć. Ani się człowiek spostrzeże, jak ma ich zęby w szyi.

Uśmiechnął się i w tym uśmiechu dostrzegłam coś chłopięcego. To trochę złagodziło jego wizerunek. A potem wszystko zepsuł, mówiąc:

– Nie chciałbym pani ponownie zatrzymywać. Jest późno. Ale zrobię to, jeśli będzie trzeba.

Ja też nie chciałam, żeby mnie ponownie zatrzymywał. Byłam za bardzo zmęczona. Rozważyłam wszystkie za i przeciw, a następnie odstąpiłam na bok. Puścił mnie przodem i ruszył za mną do windy. W milczeniu wjechaliśmy na czwarte piętro, wpatrzeni w podświetlone zielono guziki nad nami, odmierzające jazdę w górę. W windzie panowała taka cisza, że słyszałam jego oddech. Staliśmy tak blisko siebie, że czułam zapach płynu po goleniu.

– Ładny budynek – zagadnął, kiedy wysiedliśmy. – Przedwojenny?

Skinęłam głową, podchodząc do drzwi. Otworzyłam je i weszliśmy do środka.

– Pani chłopak jest w domu?

Obróciłam się do niego, zsuwając kurtkę z ramion i stawiając torbę na podłodze.

– Czego pan chce, panie Grace? – zapytałam ze złością i ze łzami w oczach. Odczuwałam jego obecność jako najście, wobec którego byłam bezbronna. Przekraczał wszelkie ustanowione przeze mnie granice, co doprowadzało mnie do furii. A kiedy jestem wściekła, wtedy płaczę. Nienawidzę tego u siebie, ale nic nie mogę na to poradzić, obojętne, jak bardzo się staram. – Ja nie żartuję – powtórzyłam łamiącym się głosem. – Pan sobie ze mną igra, tak? Czego pan chce?

Zrobił taką przerażoną minę, jaką robią niektórzy mężczyźni, kiedy się obawiają, że znajdująca się w ich towarzystwie kobieta zacznie płakać. Uniósł ręce dłońmi do góry.

– Okej – powiedział. – Proszę się nie denerwować. – Mówił wolno, spokojnie, jakby usiłował wyperswadować samobójcy, by nie skakał z parapetu. Rozejrzał się po pokoju;

naprawdę nie wiem, czego szukał.

– Czy pan tego nie rozumie? – spytałam. – Ja po prostu nic nie wiem.

– Okej – powtórzył.

Odsunął stojące przy stole krzesło i gestem zaprosił mnie, żebym usiadła. Usiadłam i ukryłam twarz w dłoniach. Przy okazji zauważyłam, że segregator Jake'a leży tam, gdzie go zostawiłam. Nie wiem dlaczego, ale najwyraźniej oczekiwałam, że kiedy wrócę do domu, segregatora nie będzie. Agent Grace usiadł naprzeciwko mnie, a ja popchnęłam segregator w jego stronę. Szczęśliwie udało mi się szybko pohamować łzy, co mi oszczędziło upokorzenia, że oto rozplakałam się w obecności nieznanego, który na siłę wdarł się do mojego życia i do mojego domu.

– Co to jest? – zapytał.

– Dostałam to od Jake'a. – Podniosłam na niego oczy, żeby mu pokazać, że nie płaczę. – Ten artykuł na wierzchu... Z niego się dowiedziałam o Nicku Smileyu, dlatego pojechałam do Detroit. Reszty po prostu nie rozumiem.

Przez chwilę Grace w milczeniu przewracał kartki segregatora, po czym zamknął go i zaśmiał się krótko.

– Pani chłopak ma twarde orzechy do zgryzienia, prawda?

Skinęłam głową.

– Czy pani sądzi, że on chce się zatrudnić w FBI?

Spojrzałam na niego spode łba.

– Czy pan coś z tego rozumie?

Grace wziął plik wycinków z „New York Timesa” i odwrócił je w moją stronę.

– Co te wszystkie artykuły mają ze sobą wspólnego?

Raz jeszcze przejrzałam wycinki, ale nic nie zauważyłam. Wzruszyłam ramionami i spojrzałam na Grace'a. Przez cały czas, kiedy byłam pochylona nad artykułami, nie spuszczał ze mnie wzroku. Na jego twarzy malował się dziwny wyraz. Sięgnął przez stół i pokazał mi nazwisko autorki. Nie mogłam uwierzyć, że go nie zauważyłam. Który dziennikarz czyta artykuł, nie zwracając uwagi na nazwisko autora? Wszystkie te materiały wyszły spod pióra jednej osoby: Myry Lyall. Wiedziałam, że dzwoni, ale jeszcze nie wiedziałam, w którym kościele.

– Kto to jest?

– Dziennikarka, specjalizująca się w tematyce kryminalnej; dwukrotnie nominowana do nagrody Pulitzera. Ostatnio pisała dla „Timesa”.

– Pisała? W czasie przeszłym?

– Ona i jej mąż, fotoreporter, zaginęli dwa tygodnie temu.

Przypomniała mi się historia, o której słyszałam w telewizji i czytałam w prasie. Ale miałam uczucie, że to nazwisko obilo mi się o uszy jeszcze gdzieś.

– Zaproszeni przyjaciele – podjął agent Grace – przyszli na kolację i nie zastali gospodarzy, Myry i jej męża Allena. Po dniu bezskutecznych prób skontaktowania się z nimi zawiadomili policję. W mieszkaniu na podłodze znaleziono kałużę krwi, ale po gospodarzach wszelki ślad zaginął. Stół był nakryty do kolacji, mięso w piekarniku, rondle na kuchni.

W prawym uchu usłyszałam dźwięk, który odzywa mi się zawsze, kiedy jestem w wielkim stresie.

– Nad czym ona pracowała? – zapytałam.

– Nie wiemy. Zarówno jej laptop, jak i komputer w pracy zostały wyczyszczone. Nawet z serwera „Timesa” usunięto całkowicie całą jej mejlową korespondencję.

Zacząłam się zastanawiać. Nie bardzo wiedziałam, co o tym wszystkim sądzić.

Wreszcie spytałam:

– To nad tym pan pracuje? Nad tą zaginioną parą, tak?

Skinął głową.

– Ale co to wszystko ma ze mną wspólnego?

– Ostatnia historia, jaką Myra Lyall opublikowała, dotyczyła trójki dzieciaków z projektu „Na ratunek”. Pisała o wpływie, jaki na nich wywarło to, co się z nimi stało. Był to materiał dla „Magazine”, nieco łagodniejszy w tonie od jej zwykłych artykułów śledczych.

Przypomniałam sobie, gdzie słyszałam nazwisko Myry.

– Ale co to ma wspólnego ze mną? – zapytałam ponownie, chociaż w tej chwili sprawa nie była już dla mnie tak niejasna jak na początku.

– W notesie Myry Lyall było pani nazwisko i telefon. Zgodnie z jej zapiskami trzykrotnie próbowała się z panią skontaktować, by prosić o komentarz, ale pani nigdy nie oddzwoniła.

– Jedynymi ludźmi, z którymi jeszcze bardziej nie lubię rozmawiać niż z agentami FBI, są reporterzy.

Parsknął śmiechem.

– A pani nie jest reporterką?

Najeżyłam się.

– Jestem pisarką – odparłam wyniośle. – Piszę długie prestiżowe artykuły. To nie jest to samo.

– Dobrze, niech będzie.

To naprawdę nie było to samo. W żadnym wypadku. Ale nie miałam zamiaru wdawać się w tego rodzaju dyskusje z takim palantem. Rozmowy o subtelnościach i niuansach z ludźmi pokroju Grace’a uważałam za zwykłą stratę czasu.

– Twierdzi pan, że oni zaginęli dwa tygodnie temu? – zapytałam.

Spojrzał na zegarek.

– Dwa tygodnie, trzy dni i mniej więcej dziesięć godzin, zgodnie z naszymi obliczeniami.

– Ale te zdjęcia, moje zdjęcia... niektóre z nich zostały zrobione wiele miesięcy temu.

Skinął głową i wbił wzrok w stół. Dopiero wtedy do mnie dotarło.

– FBI mnie śledziło, tak?

– Tak, od ponad roku.

– Dlaczego?

Grace wyjął z segregatora świadectwo lekarskie.

– W tym świadectwie są niekonsekwencje. Zdaniem naszych ekspertów czas zgonu nie zgadza się o prawie dziesięć godzin. – Wskazał na coś, co Jake obwiodł kółkiem. – To ciało ważyło jakieś dziewięćdziesiąt trzy kilogramy, a przecież pani wie, że Max był o wiele potężniejszy, musiał ważyć ponad sto dwadzieścia pięć kilo.

Spojrzałam na leżący przede mną dokument.

– Zgoda. Był to lekarz z małego miasteczka; popełnił błędy. To się często zdarza. Ale co powiedział w rozmowie z wami?

– On nie żyje – odparł agent Grace. – Zginął przypadkiem w kraksie samochodowej zaledwie kilka dni po wystawieniu tego świadectwa, mniej więcej w tym czasie, kiedy zostało skremowane to ciało.

Zwróciłam uwagę na formę „to ciało”.

– Dlaczego pan podkreślił słowo „przypadkiem”? – zapytałam, naśladowując jego ton.

– Bo ktoś mu „przypadkiem” poprzecinał linki hamulca.

Wertowałam świadectwo lekarskie, czując rozpacz i strach.

– Ciało zidentyfikowała Esme Gray – powiedziałam słabo. – Byli kiedyś kochankami. Gdyby to nie było ciało Maksa, z pewnością by się zorientowała.

Agent Grace spojrział na mnie z czymś w rodzaju politowania.

– Tak się składa, że Esme Gray nie należy do niewiniątek.

Przypomniał mi się ten ostatni wieczór z Maksym – jak zaczął płakać, jak w drzwiach pojawiła się ciemna postać mojego ojca i jak ojciec zabrał Maksa do siebie, a mnie dosłownie zamknął drzwi przed nosem. „Burbon przez niego przemawia” – powiedział jeszcze, zanim zamknął drzwi.

– Czyli że FBI śledziło mnie od tamtej pory, tak? Uważając, że jeśli Max żyje i jeśli będzie się próbował z kimś skontaktować, to właśnie ze mną? Chodzi o miłość, tak?

Grace skinął głową.

– A próbował się z panią skontaktować, panno Jones?

– Kto? – zapytałam tępo.

– Max Smiley – odparł Grace ze zniecierpliwieniem. – Pani wuj, pani ojciec, zresztą wszystko jedno, kim on, do cholery, dla pani jest.

– Nie! – prawie wrzasnęłam.

– Poprzedniej nocy o trzeciej trzydzieści nad ranem dzwoniło na pani numer z zagranicy – powiedział stanowczym głosem, nachylając się do mnie.

Przypomniałam sobie o tym telefonie – zupełnie wyleciał mi z głowy, aż do tej chwili.

– Ale nie było nikogo na linii – odrzekłam już łagodniej. – Obojętne, kto dzwonił, w każdym razie się nie odezwał. Pomyślałam, że to Ace.

Wpatrywał się we mnie intensywnie, jakby chciał w moich oczach dostrzec kłamstwo.

– Jeśli podsłuchujecie moje telefony, to musi pan wiedzieć, że mówię prawdę.

– Nie podsłuchujemy pani telefonów – powiedział, chociaż nie wiem, na jakiej podstawie myślał, że mu uwierzę. – Dziś rano zażądałem pani billingów telefonicznych, żeby się zorientować, po co pani pojechała do Detroit.

– A ma pan do tego prawo? – zapytałam z wściekłością. – Przecież nie popełniłam żadnego wykroczenia.

– Gdybym uważał, że pani pomaga człowiekowi poszukiwanemu i jest z nim w zмовie, to owszem, miałbym prawo podsłuchiwać pani rozmowy telefoniczne i śledzić panią dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Nie żałujecie pieniędzy i czasu na takiego człowieka jak Max. Ale ja naprawdę nie wiem, co to ma wspólnego z pańską zaginioną parą.

Tak jak poprzednio, brodę Grace'a pokrywał cień czarnego zarostu. Zastanawiałam się, czy był to efekt zamierzony, czy chciał się wydać starszy, a może lekko zaniedbany. W każdym razie nie przypominał żadnego z agentów FBI, z którymi dotychczas miałam do czynienia.

Sztywni i gładko wygoleni, grzeczni chłopcy z nienaganną opinią – może zresztą to taki ich fason. W każdym razie Dylan Grace nie pasował do żadnych stereotypów.

– Chcę powiedzieć, że ja naprawdę tego nie rozumiem – powtórzyłam, nie uzyskawszy odpowiedzi. – Widzi pan moje nazwisko w notesie tamtej zaginionej dziennikarki, tak? I zamiast zadzwonić do mnie i poprosić o rozmowę, wchodzi pan w jakieś dziwne konszachty z moim laboratorium fotograficznym, żeby wykraść zdjęcia, a następnie zatrzymuje mnie pan na ulicy i wciąga do samochodu. Czy pan przypadkiem nie przesadził? Przecież byłam najbardziej logicznym wyborem Myry Lyall. Przecież jestem okazowym przykładem dziecka z projektu „Na ratunek”.

Grace nie odezwał się słowem, tylko siedział z wlepionymi we mnie oczami.

– Okej, to nie wszystko – podjęłam po chwili wzajemnego wpatrywania się w siebie. – Więc wprowadził pan moje nazwisko do tych wszystkich komputerów, które tam macie, i okazało się, że już jestem inwigilowana.

Grace w dalszym ciągu milczał; było to bardzo denerwujące.

– W porządku – zakończyłam, widząc, że wstaje i idzie do drzwi. – Pan ma prawo zadawać mi wszystkie możliwe pytania. Ale czego pan ode mnie chce?

– Do widzenia, panno Jones. – Otworzył drzwi. – Przepraszam za kłopot. Będziemy w kontakcie.

– Niech pan mi powie tylko jedną rzecz. – Nie dawałam za wygraną, ruszyłam za nim do przedpokoju. – Ten zagraniczny telefon... skąd on był?

– A po co pani ta wiadomość? – zapytał, odwracając się do mnie.

– Tak, z ciekawości. To mógł być ktoś, kogo znam. Oczywiście ktoś niewinny.

Grace zastanawiał się przez chwilę.

– Londyn. Telefon był z Londynu. Zna pani kogoś w Londynie?

Wzruszyłam ramionami.

– Chyba nie.

Po wyjściu Grace'a zastanawiałam się, co zyskał przez naszą rozmowę, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Bo ja uzyskałam dość ważne informacje. Przez resztę wieczoru miałam poczucie, że w rozgrywkach z agentem Grace'em zdobyłam punkt. Dopiero znacznie później zrozumiałam, że punkt należał do niego. Nacisnął wszystkie moje guziki. Nakręcił mnie i tylko patrzył, jak chodzę.

W jakąś godzinę później, kiedy leżałam na kanapie, oglądając powtórkę *Gillian's Island* i bezskutecznie starając się chociaż na chwilę wyrzucić ze świadomości wszystko to, co się wydarzyło i czego się dowiedziałam, usłyszałam zgrzyt klucza w drzwiach i wszedł Jake. Miał na sobie czarny wełniany płaszcz, szary kaszmirowy wycięty w serek sweter, który dostał ode mnie, i dziesięcioletnie – podejrzewam – levisy. Zobaczył mnie na kanapie i ruszył w moją stronę. Usiadłam, a potem do niego podeszłam, nie protestując, kiedy wziął mnie w objęcia. Tulił mnie mocno, całował moje włosy. Zsunęłam mu płaszcz z ramion, a on pozwolił, by upadł na podłogę. Przywarliśmy do siebie ustami. Moje serce wypełniała rozpacz, desperacka potrzeba połączenia się z kimś, poczucia czyjejś bliskości. Bezwolnie, popychana przez Jake'a, wycofywałam się do sypialni, nie reagując, kiedy ściągał mi sweter przez głowę, a potem patrząc, jak to samo robi ze swoim. Przytuliłam twarz do atlasowej twardości jego klatki piersiowej, do jego brzucha.

– Wszystko w porządku? – zapytał, przygniatając mnie swoim ciałem. Zaskrzypiało pod nami łóżko. Z drugiego pokoju dochodziły odgłosy telewizora, widziałam jego niebieskawe błyski. Czulałam buchający od Jake’a żar i patrzyłam, jak pod wpływem ruchów jego mięśnie kurczą się i prostują. Wdychałam zapach jego skóry.

– Tak, tak – dyszałam, biorąc w dłonie jego twarz. Palcami wyczuwałam gładkość wygolonej brody, wzniesienie kości policzkowych. Wszystko w twarzy Jake’a wydawało mi się takie piękne. Kiedy spojrzałam w zielone oczy, zobaczyłam w nich dobroć i siłę. Jak bardzo go kochałam. Co wcale nie znaczyło, że mogliśmy być razem, ale co sprawiało, że w smutnym kontredansie naszego związku ciągle pragnęłam bliskości jego ciała, dotyku skóry.

Wpadające przez drzwi światło rzucało na przeciwległą ścianę nasze gigantyczne nagie cienie, jako że reszta dzielących nas ubrań też wylądowała na podłodze. Wziął mnie brutalnie, a ja się poddałam jego dojmującej potrzebie, bo taka sama była we mnie. Słowa piosenki mówią, że miłość nie wystarczy (jak bardzo są one prawdziwe, wiemy wszyscy), ale w takiej chwili, w chwili zaspokojenia, niemal uwierzyłam, porażona prądem naszego kochania, że jednak miłość wystarczy, a nawet jest czymś więcej.

– Byłam w Detroit – powiedziałam. Jake leżał obok, trzymając rękę na moim brzuchu. – I rozmawiałam z Nickiem Smileyem.

Nie zdziwił się. Jakoś nie dziwiło go nic z tego, co robiłam. Zupełnie jakby wcześniej przeczytał scenariusz mojego życia i teraz tylko czekał na kolejne sekwencje wydarzeń.

– Rozmawiał z tobą? – zapytał, podpierając się na łokciu.

Patrzył w jakiś punkt za mną.

– Rozmawiał.

– Wiesz, że on jest stuknięty? – powiedział po chwili. – Przypadek kliniczny. Leczył się w szpitalach psychiatrycznych, przez większą część dorosłego życia brał lit.

Cały czas patrzyłam na jego twarz; była bardzo spokojna.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Chcę powiedzieć, żebyś o tym wszystkim zapomniała – odparł z westchnieniem, w końcu patrząc mi w oczy. – Wczoraj wieczorem powiedziałaś, że zamierzasz dać sobie z tym spokój. Dlaczego tego nie robisz? Ja też będę próbował dać sobie z tym spokój.

– Ale świadectwo lekarza i zniknięcie Myry Lyall... – powiedziałam z niedowierzaniem, mając w pamięci drobiazgowy notatki, jakimi Jake opatrzył zawartość segregatora.

Skinął głową.

– Ten lekarz był niekompetentny; popełnił w swojej karierze wiele błędów. A Myra Lyall... Nikt nigdy nie dopatrzył się żadnego związku pomiędzy jej zniknięciem a sprawami, jakie opisywała. Właściciel domu, w którym mieszkała, ma silne powiązania z mafią albańską. Za mieszkanie, które Lyallowie zajmowali, dostanie cztery razy tyle, ile oni mu płacili. W dzisiejszych czasach to taki sam dobry motyw jak każdy inny.

Nie odezwałam się słowem, tylko obserwowałam jego twarz. Było w niej jakieś napięcie, zmęczenie – coś w kącikach ust, w powiekach.

– Policja Nowego Jorku przygląda się temu właścicielowi – powiedział. – Przestali się interesować sprawami, nad którymi pracowała Myra.

– To jest sprawa FBI. – Usiadłam, ściągając z Jake’a prześcieradło. – Dlatego zatrzymali mnie.

– FBI wtykało swoje trzy grosze, kiedy policja Nowego Jorku odkryła wątek projektu „Na ratunek”. Niewykluczone, że go rozpracowują na własną rękę, szukając czegoś, czego mogliby się ucześcić, tak jak mówiłaś. Znam gliniarza, który się zajmuje tą sprawą, a on właśnie mówi, że pilnie obserwują tego właściciela.

– Lekarz, który wystawił świadectwo zgonu Maksa, został zamordowany – powiedziałam.

– Miał wypadek samochodowy.

Jake nie spojrział mi w oczy, widziałam tylko poruszające się mięśnie jego żuchwy.

– Ktoś mu przeciął linki hamulca.

Roześmiał się krótko.

– To nie jest najskuteczniejsza metoda pozbycia się kogoś. A poza tym, kiedy jest bardzo zimno, taka linka potrafi sama strzelić tak równo, że będzie wyglądała jak przecięta.

Nie odezwałam się słowem. Nie wiedziałam nawet, czy jest to prawda, czy nie.

– Chcę powiedzieć, że ta metoda zbyt wiele pozostawia przypadkowi – podjął Jake. – Nie ma żadnej gwarancji, że wypadek będzie śmiertelny.

Wzruszyłam ramionami. Była to tak radykalna zmiana w sposobie jego myślenia na ten temat, taka zamiana ról między nami, że z zaskoczenia nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Jeśli rzeczywiście chcesz kogoś zabić, to do niego strzelasz – tłumaczył mi Jake. – A jeśli chcesz upozorować wypadek, to zrucasz ofiarę z wysokiego piętra albo ją wypychasz pod pociąg. Ale linki hamulca? Skutek przecięcia linek hamulcowych jest taki, że płyn hamulcowy wycieka i ostatecznie hamulec przestaje działać, ale nigdy nie wiadomo, kiedy się to stanie. Trudno na tym polegać.

– Najwyraźniej sporo nad tym myślałeś.

Jake westchnął i położył się na wznak, z rękami pod głową.

– I te artykuły z londyńskiego „Timesa” czy materiały BBC w internecie... – powiedziałam. – Co to wszystko ma wspólnego z Makssem?

– Nic. Nie wiem. Szukałem w sieci informacji o zaginionych dzieciach i jakichś ewentualnych związków czy nici prowadzących do projektu „Na ratunek”. Próbowałem, Ridley. Staralem się ustalić, czy to, co wiemy, nie jest przypadkiem elementem jakichś puzzli.

– No i?

– Doszedłem do wniosku, że nie jest. I wiesz, co jeszcze? Zastanawiając się nad tymi artykułami, zyskałem pewną perspektywę. To, co się stało ze mną, okej, było złe. Ale nie tak złe jak to, co spotkało dziewczyny i dzieci z tych artykułów. Bo ja żyję. Ostatecznie jesteśmy tu razem.

Potrząsnęłam głową. Nie wierzyłam własnym uszom.

– Wczoraj wieczorem byłaś naprawdę wkurzona – powiedział Jake do sufitu. – Po twoim wyjściu pierwszy raz dotarło do mnie, jak bardzo cię ranię, trzymając cię w tym wszystkim jak w pułapce. Zamiast szukać powodów, żeby drażnić dalej, zacząłem szukać powodów, żeby tego nie robić. I znalazłem. Max nie żyje – tego jesteś pewna. Nikt nie zapłaci za projekt „Na ratunek”. To nie fair, to niesprawiedliwe, ale wymierzanie sprawiedliwości nie jest moją sprawą. Zniszczyłbym tylko do końca swoje życie. – Odwrócił się do mnie. – A poza tym straciłbym ciebie, jeśli już nie straciłem...

Te słowa zabrzmiały cudownie. Jake powiedział dokładnie to, co od dawna chciałam usłyszeć. Mogłam się łatwo w tym zanurzyć i uwierzyć, że mimo wszystko jakoś nam się ułoży.

Nie wiem, czy próbował mnie uchronić przed czymś, czego się dowiedział, czy szukał jakiegoś sposobu, żeby mnie raz na zawsze zniechęcić do dalszego drażenia sprawy, czy po prostu usiłował jakoś naprawić nasze mocno nadszarpnięte wzajemne relacje. Jedno wiedziałam ponad wszelką wątpliwość: Jake kłamał. A co za tym idzie, upewniłam się, że nigdy nie przestanie dążyć do tego, co w jego pojęciu było sprawiedliwością, dopóki jej nie znajdzie lub sam nie zginie. Podejrzewam, że było mu z grubsza obojętne – jedno czy drugie.

– Straciłem? – zapytał, siadając i przyciągając mnie do siebie. – Straciłem cię? Powiedz.

Objęłam go ramionami, wtulając się w niego mocno.

– Nie wiem, Jake. Naprawdę nie wiem.

Ale ja też kłamałam. Oboje kłamaliśmy z miłości.

Kiedy rano się obudziłam, Jake'a już nie było. Na poduszce znalazłam liścik: „Musiałem iść. Naprawdę bardzo cię kocham, Ridley. Porozmawiamy później”. Było w tej notatce, nabazgranej na skrawku papieru, który wziął z mojego biurka, coś, co mnie przejęło chłodem.

W kuchni bez zdziwienia spostrzegłam, że segregator zniknął.

Zauważyliście zapewne, że nie mam żadnych przyjaciół. Ale nie zawsze tak było. W szkole średniej zdobyłam wielu przyjaciół. Na studiach znałam masę osób. Z koleżankami, z którymi dzieliłam pokoje, dobrze się dogadywałam, miałam kilku chłopaków. Ale i kilka przyjaciółek – takich, z którymi można przegadać całą noc, zajadać mrożone jogurty, stawiać sobie taroka. Ale chyba nigdy nie potrafiłam się tak zwierzać jak one. A w relacjach z chłopakami nie miałam specjalnych obaw; podejrzewam, że spowodowałam więcej zawodów miłosnych, niż sama ich przeżyłam. Nie przypominam też sobie z tamtego okresu większych problemów rodzinnych, jeśli nie liczyć Ace'a, mojej bolesnej starannie strzeżonej tajemnicy. Może byłam zbyt powściągliwa, może za mało dawałam z siebie i pewnie właśnie dlatego żadna z tych przyjaźni nie wytrzymała próby czasu.

Utrzymywałam kontakt z kilkoma osobami jeszcze po studiach, kiedy wszyscy zamieniliśmy bohemę akademickiej egzystencji na stabilizację ludzi pracujących. Byli więc: Julia, dziewczyna z niewyparzoną gębą, graficzka studiująca wschodnie sztuki walki, Will, mój przyjaciel gitarzysta i swego czasu kochanek, i Amy, pogodna, pewna siebie osoba, pracująca w wydawnictwie. Ale jakoś i ci przyjaciele, jedno po drugim się powykruszali. Julia i ja wdałyśmy się w rodzaj współzawodnictwa, którego żadna z nas nie mogła wygrać. Will zawsze chciał ode mnie więcej, niż mogłam mu dać. Amy zniknęła dla świata: utonęła w ramionach wymagającego Włocha i po prostu przestała się pokazywać.

Były też inne przyczyny, dla których nie miałam trwałych przyjaźni. Oczywiście, znaczną część mojej energii pochłaniał zawsze Ace; byłam też niezwykle blisko z ojcem, nie szukałam powierniczki. Potem nastąpiła era Zacka, który nie był specjalnie towarzyski, w związku z czym niewiele wychodziliśmy z domu. A następnie pojawił się projekt „Na ratunek” i – Jake. Nie zrozumcie mnie źle: mam pełno znajomych, kolegów, bywam często zapraszana na przyjęcia – to znaczy głównie służbowe. Tylko co do prawdziwych przyjaciół od serca... no cóż, nikogo takiego nie mam, poza Jakiem i ojcem, a te relacje w sposób oczywisty zostały narażone na szwank.

Może jednak nie chodzi o przyczyny zewnętrzne. Może przyczyna tkwi we mnie, w dziennikarce, która zawsze staje obok i obserwuje. Może w tym, że nie jestem do końca wewnątrz, a na zewnątrz też tylko o tyle, żeby móc dobrze widzieć. Może ludzie to we mnie wyczuwają i zdają sobie sprawę z dystansu, jaki podświadomie narzucam. Nie wiem. Obojętne, jakie są powody, ostatnio czuję się dość samotna.

Myślałam o tym sporo, ponieważ musiałam zadać sobie pytanie, dlaczego zrobiłam to, co następnie zrobiłam. Podejrzewam, że nie miałam się do kogo zwrócić, nie miałam z kim o tym porozmawiać, nie było nikogo, kto by mi to odradził.

Było zimno, a ja siedziałam na ganku, huśtając się na drewnianej zwisającej z sufitu bujawce i obserwowałam grupkę dzieci bawiących się na ulicy w kickball. Wszyscy mieli czerwone policzki i wrzeszczeli – głównie chłopcy i ze dwie dziewczynki – twardziele. Zabawa była dość brutalna, dużo popychania, parę upadków na beton, trochę łez, ale na

szczęście nic poważnego. Pamiętałam takie uliczne zabawy z czasów dzieciństwa. Był w kombinacji podniecenia i wysiłku fizycznego jakiś ładunek elektryczny, którego brakuje dorosłym. Teraz wszystko, co sprawia taką przyjemność, jest obciążone bagażem, ciężarem, który przytłacza.

Przy każdym swoim oddechu widziałam kłęby pary; nogi zdrętwiały mi z zimna. Czekałam od dwóch godzin i gotowa byłam w razie potrzeby czekać dłużej. Zobaczyłam ją, kiedy słońce zaczęło się chylić ku zachodowi. Wsiadła z autobusu na rogu, kierując się do domu. Była chuda i przygarbiona, w prostym wełnianym płaszczu i niebieskiej czapce z włóczki. Szła z torbami zakupów i ze wzrokiem wbitym w ziemię. Przy bramie zatrzymała się i spojrzała w górę, na mnie. Potrząsnęła głową.

– Nie mogę z tobą rozmawiać – rzekła. – Wiesz przecież.

– Dochodzenie zostało zakończone. Możesz mówić, jeśli tylko chcesz.

Postawiła na ziemi torby z zakupami, otworzyła bramę i ruszyła ścieżką w stronę domu. Nie wstałam, żeby jej pomóc. To się już skończyło.

– Jasne – odezwała się. – Ale ja nie chcę. Nie mam ci nic do powiedzenia, dziewczynko.

Kiedy otwierała drzwi, zwróciłam uwagę, że jest mizerna i blada. Ciemne koła pod oczami świadczyły o tym, że źle sypia: poczułam, że gdzieś w środku czerpię z tego ponurą lodowatą satysfakcję. Nie wstałam, tylko patrzyłam, jak otwiera drzwi i wciąga zakupy do środka. Usłyszałam kliknięcie zamka. Podeszłam i spojrzałam na nią przez szybę.

– Wiem, że on żyje – powiedziałam głośno, choć tak naprawdę wcale tego nie wiedziałam. W gruncie rzeczy byłam przekonana, że jest odwrotnie. Ale chciałam zobaczyć, jaka będzie jej reakcja.

Przysunęła twarz blisko do szyby. Spodziewałam się, że zobaczę na niej strach. Zamiast tego jednak dostrzegłam mieszaninę gniewu i politowania.

– Zwariowałaś? – zapytała.

– To ty identyfikowałaś zwłoki tamtej nocy. Dlaczego nie mój ojciec?

– Bo on by tego nie wytrzymał, Ridley. A co sobie wyobrażasz? Nie byłby w stanie oglądać twarzy swojego najbliższego przyjaciela pociętej szkłem, zmasakrowanej, praktycznie nie do rozpoznania, nie był w stanie oglądać zmarłego na noszach. Zadzwonił do mnie, a ja przyjechałam, żeby mu tego widoku oszczędzić.

– Dlaczego ty? Dlaczego nie moja matka?

– Skąd, do diabła, mam to wiedzieć? – warknęła. W oczach miała szaleństwo.

– Jesteś pewna, że to był on, czy w tej sprawie też kłamałaś?

Zamknęła oczy i potrząsnęła głową.

– Zdecydowanie powinnaś pomyśleć o profesjonalnej pomocy – powiedziała nieuprzejmie.

Odczekałam chwilę. Szukałam osoby, którą kiedyś kochałam, ale ona zniknęła w sposób bardziej ostateczny, niż gdyby umarła.

– Czego ty się boisz, Esme? – spytałam w końcu. Ze zdziwieniem usłyszałam w swoim głosie smutek.

Zrobiła się biała jak papier, przede wszystkim chyba z wściekłości. Ale i z nienawiści. Nienawidziła mnie, a ja widziałam to bardzo wyraźnie; czułam, jak ta nienawiść napływa od niej falami.

– Boję się ciebie, Ridley – powiedziała po chwili. – Zniszczyłaś nas wszystkich i w dalszym ciągu wymachujesz siekierą. Powinnaś się wstydzić tego, co zrobiłaś.

Roześmiałam się, pokrywając mgłą dzielącą nas szybę. Mój śmiech zabrzmiał głośno i nieprzyjemnie nawet dla mnie samej. Wiedziałam, że Esme obarcza mnie winą za to wszystko, co się stało. Zdawałam sobie sprawę, że moi rodzice też tak po części uważali. To zdumiewające, że teraz mówiło się o tym, co ja zrobiłam im. Był to szokujący pokaz egoizmu, dokładnie takiego, jaki pozwolił im zrobić to, co zrobili tym wszystkim dzieciom, co zrobili mnie, mając przy tym poczucie całkowitej słuszności. Czasami napawało mnie to obrzydzeniem; starałam się o tym nie myśleć. Przypuszczam, że to był jedyny powód, dla którego Jake nie wierzył w niewinność mojego ojca, że nie potrafił przebaczyć.

Dawno, dawno temu świadomość, że Esme mnie nienawidzi, byłaby dla mnie bardzo bolesna. Teraz po prostu czułam złość.

– Będę się huśtała tak długo, aż poznam odpowiedzi na wszystkie pytania – powiedziałam z uśmiechem.

– To się huśtaj, aż skończysz jak ta reporterka „New York Timesa” – warknęła Esme z takim jadem, że cofnęłam się o krok. Po tych słowach poczułam się, jakby mi w piersi eksplodowały rakiety.

– Co takiego? Co ty powiedziałaś? Masz na myśli Myrę Lyall?

Spojrzała na mnie spode łba i mogłabym przysiąc, że kąciki jej ust podjechały do góry w chorym uśmiechu. Zaciągnęła mi przed nosem firankę, a ja słyszałam, jak się oddala korytarzem. Przez przezroczysty materiał widziałam jej cień znikający w jasnych drzwiach. Zawołałam za nią kilka razy, bębniąc w drzwi, ale nie zareagowała. Zauważyłam, że dzieciaki na ulicy przestały się bawić. Jedne stały, gapiąc się na mnie, inne zaczęły się rozchodzić.

Wreszcie dałam za wygraną i poszłam do metra. Serce waliło mi jak młotem, w głowie miałam szum. W tak wielkim byłam szoku po tym, co mi powiedziała Esme, że nie mogłam sformułować na ten temat ani jednego pytania. Bałam się, miałam niesamowite uczucie, że znalazłam się na krawędzi życia... Znowu. Wszyscy dokoła mnie wydawali się pełni złośliwości; niebo zaciągnęło się ołowianymi chmurami, grożąc śnieżycą.

Moi rodzice mieszkali w odległości zaledwie jednej stacji kolejki od Esme, więc postanowiłam tam jechać, mimo że nie było ich w mieście. Wyjechali w ubiegłym tygodniu na miesięczny rejs po Morzu Śródziemnym. Ojciec został wypchnięty na częściową emeryturę i wreszcie mogli „sobie trochę pojeździć po świecie, o czym tak zawsze marzyli” – jak to ujęła matka z nieco wymuszonym entuzjazmem. Cieszyłam się z tego razem z nimi (no, może niezupełnie), chociaż i w tym było dla mnie coś irytującego. Czułam się kompletnie rozbita, a oni potrafili się tak beztrąsko od tego wszystkiego odciąć. Jakoś mnie to bolało, że oni potrafią, a ja nie. Wiem, że to dziecinne.

Ze stacji kolei ruszyłam na piechotę przez szacowne centrum miasta, które miało wyglądać jak pocztówka, z szalowanymi ścianami restauracji i sklepów, z miejscowym sklepem wielobranżowym, w którym sprzedają lody, i z działającymi latarniami gazowymi. Poszłam ulicą, która wiała się pod górę. Po drodze mijałam pięknie odrestaurowane domy w stylu wiktoriańskim, usadowione na idealnie wypielęgnowanych trawnikach. Każda pora roku miała tu swój odrębny charakter, ale zawsze było uroczo. Dziś jednak, kiedy większość drzew pozbyła się swoich jesiennych kolorów i było jeszcze za jasno na latarnie, a już panowała tak

zwana szarówka, nie wydawało się tak pięknie jak zawsze. Ostatnio moje wizyty w domu nie sprawiały mi takiej przyjemności jak dawniej, szczególnie dzisiejsza.

Weszłam frontowymi drzwiami i skierowałam się prosto do gabinetu ojca. Stałam w drzwiach, z ręką na gałce o kształcie ślimakowym. Kiedy byliśmy z Ace'em dziećmi, wstęp do tego pokoju był surowo wzbroniony. Mogliśmy tu wchodzić tylko pod opieką dorosłych, więc w sposób naturalny gabinet mnie fascynował. Zawsze usiłowałam wymóc na ojcu zaproszenie, jakby przebywanie z nim w gabinecie oznaczało dla mnie coś w rodzaju świadectwa dorosłości. Ale takiego zaproszenia nigdy nie dostałam.

Nie chciałam zakradać się tam chyłkiem, jak robił to Ace; wtedy nie widziałam w tym sensu. Ale Ace zawsze był tam, gdzie nie powinien. I jeśli już o tym mowa, to właśnie siedział ukryty za biurkiem ojca tamtego wieczora, kiedy Max i Ben rozmawiali na temat projektu „Na ratunek” i kiedy Max przyniósł mnie moim rodzicom. Ale o tym bardzo długo nie wiedziałam.

Kiedy byłam starsza, zaczęłam widzieć w tym pokoju cichą przystań ojca, miejsce, w którym mógł być sam, z dala od potrzeb swoich dzieci czy krytycznych uwag żony; gdzie mógł sobie w oknie zapalić cygaro czy napić się w spokoju burbona. Dziś ten pokój był dla mnie symbolem wszystkiego tego, co trzymano przede mną w tajemnicy, wszystkich kłamstw, jakie zostały wypowiedziane.

Kiedy weszłam do środka, powitała mnie cisza, jakby dom wstrzymał oddech. Pokój wydawał się zagracony i zakurzony. Było to jedyne miejsce, które matka zostawiała w spokoju w przystępie swojej nieustępliwej manii sprzątanania. Pachniało tu lekko zatechłym dymem cygar. Komplet: kanapa, fotel i otomana, pokryte tym samym wiecznie zielonym aksamitem, stały tak samo jak za czasów mojego dzieciństwa. Niski ciężki stolik z ciemnego drewna pokrywały książki i czasopisma. W kominku leżało świeże drewno i podpałka czekająca tylko na płomień.

Ojciec siadywał przed kominkiem niczym zahipnotyzowany, wpatrzony w ogień, ze wzrokiem dziwnie pustym. Jako dziecko zastanawiałam się często, o czym myśli, kiedy jest tu sam. Teraz zastanawiałam się, czy myślał o tamtym dniu, kiedy Max przyniósł mnie do nich, prosząc, żeby mnie wychowali jak swoją; czy myślał o innych dzieciach z projektu „Na ratunek” i o tym, co się z nimi stało, czy o tamtej nocy, kiedy umarła matka Maksa. Czy wiedział, co się wtedy działo według Nicka Smileya? Czy się martwił, że Max miał jeszcze inną twarz? A jeśli o tym wiedział, dlaczego pozostali sobie tak bliscy?

Wszelkie przywiązanie, jakie miałam dla tego zakazanego miejsca, znikło. Teraz pragnęłam tylko jednego: przedzierać się przez ten pokój, otwierając szuflady, ściągając książki z półek. Chciałam znaleźć cokolwiek z rzeczy, które ten pokój w sobie ukrywał. Nienawidziłam go za wszystkie jego tajemnice, łącznie z tymi, które dotyczyły ostatnich dni życia Maksa. Co ci dwaj mężczyźni mieli sobie do powiedzenia, kiedy drzwi się przede mną zamknęły?

Prawdopodobnie uważacie, że – jak zwykle – wypieram ze świadomości to, co się tyczy Maksa. Myślicie o zdjęciach, o niekonsekwencjach w akcie zgonu, o dziwnym zachowaniu Esme i o jej groźbach. Pewnie jesteście już w tej chwili przekonani, że Max żyje. Co nie zmienia faktu, że Max – mój Max – nie żyje. I tu żadnego zmartwychwstania nie przewidywałam. Człowieka, którego uwielbiałam, straciłam raz na zawsze.

Gdyby się bowiem okazało, że Max Smiley żyje przez jakiś dziwny przypadek czy

nikczemną intrygę, byłby dla mnie kimś obcym – albo jeszcze gorzej. No bo ktoś, kogo (jak mi się wydawało) znam, był tylko złudą, stereotypem dobrego wujaszka. Prawdziwy człowiek pozostał dla mnie tajemnicą, przerażającą tajemnicą, której rozwiązania może wcale nie pragnęłam. Ale jeśli żyje – postanowiłam – to go znajdę i spojrzę mu w oczy. Zażądam wyjaśnienia, kim jest i co się stało tamtej nocy, kiedy zostałam uprowadzona, a moja biologiczna matka zamordowana. Zażądam, żeby mi powiedział, jakie były losy Jake’a. Zmuszę go, żeby poniósł konsekwencje działalności projektu. Każdej spowodowanej przez tę organizację rozpacz czy tragedii. Ambitne zadania, powiecie? Otóż nigdy nie wiadomo.

Usiadłam przed komputerem ojca, włączyłam go, ale był to dinozaur i trwało wieki, zanim ożył monitor. W międzyczasie buszowałam po szufladach, gdzie znalazłam jakieś pióra, stare gumki recepturki i spinacze, a także teczki z fascynującymi dowodami, takimi jak rachunki za wodę, telefon i elektryczność, akt notarialny na tytuł własności do działki, którą rodzice mieli w Nowym Meksyku, ale na której nigdy nie postawili domu, świadectwo ich ślubu i inne dokumenty. Ostatecznie monitor zajaśniał i zażądał hasła. Nie musiałam się długo zastanawiać: wklepałam „słoneczko”, zdrobnienie, jakim zawsze nazywał mnie ojciec. Elektroniczna melodyjka nagrodziła moje zdolności dedukcyjne.

– Czego szukasz? – zadałam sobie głośno pytanie.

Ojciec został niedawno poddany śledztwu federalnemu. Wszystko, co mogłoby go obciążać, a co było w tym komputerze, zostałyby znalezione przez śledczych albo wykasowane. Najprawdopodobniej. Bezwstydnie zaczęłam przeszukiwać pliki w Wordzie, skupiając się szczególnie na folderach „Dom”, „Wykłady” i „Korespondencja”. Ojciec nie był szczególnie biegły w sprawach komputerowych, dlatego znalazłam niewiele. Wystarczyło mi zaledwie dwadzieścia minut, żeby przejrzeć wszystko i nie znaleźć nic, poza zupełnie nieszkodliwymi dokumentami, takimi jak list do malarza, który wziął od rodziców pieniądze i nie dokończył malowania kuchni, wykład, jaki wygłosił ojciec na temat oznak typowych dla dzieci molestowanych, na które lekarze powinni zwracać uwagę (nie sądzę, żeby to był wykład z ostatniego okresu), lista zawierająca różne sprawy organizacyjne dotyczące domu.

Następnie przejrzałam pocztę mejlową ojca. Kiedy otworzyłam skrzynkę odbiorczą Outlook, ukazał się zalew zwykłego spamu: lekarstwo na impotencję, gołe dziewczyny i wygrana międzynarodowej loterii. Przeszukałam następnie ostatnią pocztę wychodzącą i kosz. Wszystko było puste, wymiecione do czysta; ani jednego mejla. Wydało mi się to dziwne. Pomyślałam o swojej skrzynce mejlowej. Zostawiłam w niej prawie wszystko z poczty wychodzącej i wszystko z przychodzącej, skatalogowane według osób i celów. Wydało mi się dziwne, że ojciec nie zostawił nic; był jeszcze większym chomikiem niż ja. Może po tym dochodzeniu zrobił się ostrożny.

Już zaczęłam podejrzewać, że tracę czas, kiedy nagle przypomniałam sobie, czego uczył mnie Jake. Twój komputer pamięta każdą stronę internetową, którą odwiedziłaś. Takie strony wysyłają na twój komputer małe sygnały, zwane ciasteczkami, które komputer przechowuje, by pomogły w identyfikacji, kiedy następnym razem odwiedzisz tę stronę. Masz w swoim komputerze także log, który pokazuje wszystkie strony internetowe, jakie odwiedziłaś w ostatnim tygodniu czy kilku dniach, w zależności od tego, jak jest twój komputer ustawiony.

Otworzyłam plik ciasteczek i zobaczyłam całą wiązkę takich stron, jak amazon.com i Hurtownia Sprzętu Domowego czy strony dotyczące inwestycji i wiadomości. Nie znalazłam

nic niezwykłego ani interesującego.

Weszłam na log odwiedzonych stron internetowych i w pierwszej chwili tu również nic nie przyciągnęło mojego wzroku. Potem przejrzałam stronę, która wydała mi się dosyć dziwna: przypominała zbiór przypadkowych liczb, liter i symboli. W miarę jak przesuwalam obraz w dół, zauważyłam, że ojciec odwiedził tę stronę dziesięć razy w przeciągu ostatniego półtora tygodnia. Log był ustawiony na dwa tygodnie i wszystko, co się znalazło poza tą granicą, przepadało. Ale nie ryzykowałam wiele, przyjmując, że ojciec odwiedzał tę stronę niemal codziennie.

Wprowadziłam adres do wyszukiwarki i czekałam na ukazanie się strony. Kiedy się pojawiła, była pusta i wypełniała monitor czerwonym blaskiem, tak jaskrawym, że raził w oczy. Czekałam na pojawienie się jakiegoś wstępu czy podpowiedzi. Ale nic się nie pokazało. Tylko ten jaskrawoczerwony ekran, bez jakichkolwiek obrazów czy tekstu. Było w tym coś niepokojącego. Kolor niebezpieczeństwa.

Przesunęłam kursor i kliknęłam dwukrotnie w kilku różnych miejscach, ale bez skutku. Po chwili gapienia się w pustą czerwień poczułam w piersi skurcz frustracji. Wiedziałam, że patrzę na coś ważnego, ale nie rozumiałam, o co w tym wszystkim chodzi. Moje zniecierpliwienie przerodziło się w dziecinną złość i przez chwilę miałam ochotę rozwalić pięścią monitor. Złapałam za krawędź biurka, czekając, aż przejdzie mi atak wściekłości. Wypuściłam powietrze, nie zdając sobie nawet sprawy, że wstrzymywałam oddech. Na skrawku papieru zapisałam tajemnicze URL (Uniform Resource Locator – uogólnienie adresu internetowego) i wsunęłam do kieszeni. Skasowałam wszystkie śmieci, jakie napłynęły podczas mojej wizyty, i wyłączyłam komputer. (Przeszło mi nawet przez głowę, żeby iść do kuchni, wziąć jakiś detergent i zetrzeć biurko, klawiaturę komputera i wszystko, czego dotykałam, ale uznałam, że to moje dziwactwo).

Szybko przeszłam przez dom, przez puste pokoje mojego dzieciństwa. Pokój dzienny, w którym zbieraliśmy się na wspólne oglądanie telewizji czy różne gry niewiele się zmienił, ale niedawno rodzice kupili nowe meble, a stary telewizor zastąpili nowym, o dużym ekranie. Ich znajdująca się na parterze sypialnia wychodziła na ogródek matki. Wiosną matka otwierała oszklone drzwi i pokój wypełniał się zapachem róż. Pamiętam, jak siedząc przed toaletką, czesała się i robiła makijaż, a ja ją obserwowałam, uważając, że jest najpiękniejszą kobietą na świecie. Pokój był zaaranżowany w stylu Marthy Stewart, z akcentami wiktoriańskimi, z ciężkimi brokatami i reprodukcjami o tematyce kwiatowej. Panował w nim porządek, a na nocnych stolikach leżały stosy książek. Następnie poszłam na górę do swojego pokoju, gdzie posiedziałam chwilę na łóżku, patrząc na oprawione dyplomy, na trofea z debat, na pierwszy artykuł, jaki zamieściłam w szkolnej gazetce. Na łóżku znalazłam tę samą starą bieliznę pościelową Laury Ashley co dawniej. Miejsce, które kiedyś było najszcześniejsze i najbezpieczniejsze na świecie, teraz wydało mi się zimne i ciemne. Ogrzewanie było wyłączone, więc owinęłam się szczelnie żakietem. Czułam, jak znów zaczynają mnie szarpać paluchy rozpaczy, ale je odsunęłam, pospiesznie opuszczając pokój i schodząc na dół. Zamknęłam za sobą drzwi domu rodziców i ruszyłam do miasta.

Mam niezwykłą zdolność szufladkowania swoich emocji. Niektórzy ludzie nazywają to mechanizmem wyparcia, ale ja myślę, że jest to raczej zdolność usuwania ze świadomości na jakiś czas spraw nieprzyjemnych dla uzyskania jakichś określonych celów. Przez następne

kilka godzin nie myślałam więc o agencji federalnym, Myrze Lyall czy o przygnębiającym spotkaniu z Esme Gray. Nie zaprzętałam też sobie głowy Maksem ani dociekaniem, czy prochy, które rozsypałam z Mostu Brooklyńskiego, były rzeczywiście jego prochami. Po prostu napisałam artykuł o Elenie Jansen, zrobiłam staranną korektę i mejlem przesłałam tekst do redakcji „O Magazine”. Miałam już wtedy prawie cały artykuł w głowie – chodziło tylko o przelanie go na papier. Dla mnie samo pisanie stanowi zaledwie dziesięć procent całego procesu; pozostałe dziewięćdziesiąt to praca umysłowa. W znacznej mierze podświadoma. Przypuszczam, że większość moich działań tak właśnie wygląda.

Po napisaniu artykułu poczułam się lepiej. Wobec tragedii Eleny Jansen dramatyczne epizody z mojego własnego życia wydały mi się błahe i pozbawione znaczenia... przynajmniej na sekundę czy dwie. Może właśnie dlatego pisałam tego typu artykuły, może dlatego ciągnęło mnie do takich psychicznych siłaczy jak Elena. Oni mi uświadamiali, że moje losy nie są takie złe. Że inni przeżywają znacznie większe tragedie. W zetknięciu z nimi nabierałam nadziei, że jeszcze kiedyś będę miała normalne szczęśliwe życie. Czy to egoizm?

Wystarczy jednak, że taki artykuł napiszę i wyślę, a wszystko do mnie wraca i od nowa zaczyna dręczyć. Wyjęłam z kieszeni dziwny adres strony internetowej i wprowadziłam do mojej wyszukiwarki. Pojawił się ten sam czerwony ekran. Przez chwilę gapiłam się w niego jak urzeczona. Przejechałam kursorem po całej stronie, klikając na chybił trafił, tak jak u rodziców. Nic. Poczulałam, że zaczynam dostawać lekkiego świra. Wiedziałam, że coś w tym jest, że gdybym zjechała ze stroną w dół, pokazałby się komunikat: błąd. Mój ojciec odwiedzał tę stronę codziennie. Musi być na nią jakieś wejście. W tym momencie zadzwonił telefon.

- Cześć – powiedział Jake, kiedy odebrałam. – Co robisz?
- Kończę artykuł na jutro.
- Mam przyjść?
- Nie dzisiaj. Jestem wykończona. I nie chcę zawalić terminu.
- Coś się stało? – zapytał po chwili.
- Nie – skłamałam. – Nic się nie stało.
- A jak się czujesz w całej tej sprawie? Wiesz, chodzi mi o Maksa i w ogóle.
- Szczerze? Dzisiaj w ogóle o tym nie myślałam.

Długa chwila ciszy, jaka zaległa po drugiej stronie, świadczyła o tym, że Jake mi nie uwierzył.

- Okej – powiedział w końcu. – Odezwać się jutro rano?
- Koniecznie.
- No to dobranoc, Ridley.
- Dobranoc, Jake.

Po fatalnej nocy wstałam i zaczęłam dzień od kilku telefonów. Słowa Esme i to, co mi powiedział agent Grace o Myrze i Allenie Lyallach, paliło mnie żywym ogniem. Wracając wczoraj wieczorem do miasta, widziałam na plakacie ich twarze. W porannych aktualnościach pojawił się detektyw, który z nosem opuszczonym na kwintę komunikował, że w sprawie zaginionych małżonków nie wykryto żadnych nowych wątków i że ktokolwiek miałby jakieś wiadomości, proszony jest o zgłoszenie się na policję.

Dotarło do mnie wreszcie, że między mną a Myrą Lyall istniał jednak jakiś związek. Zaczęłam żałować, że wtedy, kiedy mogłam, nie odpowiadałam na jej telefony. Ale to nie wszystko: zastanawiałam się, czy dokonała jakiegoś odkrycia – w związku z projektem „Na ratunek” albo Makssem – co stało się przyczyną jej śmierci. Odczuwałam to jako potworne swędzenie, które domagało się podrapania.

Znałam w „Timesie” dwie osoby: redaktorkę z działu „Sztuka i Rekreacja”, Jennę Rich, i dziennikarza sportowego, z którym krótko się spotykałam, niejakiego Dennisa Leacha. Nie zastałam żadnego z nich, więc zostawiłam wiadomość. Jeszcze kilka razy odwiedziłam tajemniczą stronę internetową, ale z tym samym skutkiem co poprzednio, po czym wskoczyłam pod prysznic. Kiedy się ubierałam, zadzwonił telefon.

– Cześć, tu Jenna – usłyszałam młodzieńczy głos. – Jak się miewasz, nieznajoma?

– Cześć. Dzięki, że oddzwoniłaś. Nie narzekam, a ty?

Wybrałam Jennę jako osobę gadatliwą; praktycznie była jednoosobowym maglem. Opowiedziała mi, że w ubiegłym roku wyszła za mąż, awansowała w pracy i właśnie spodziewała się swojego pierwszego dziecka. Wiedziałam, że jesteśmy mniej więcej w tym samym wieku i chociaż życzyłam jej jak najlepiej, to jednak czułam się trochę opóźniona, jakby Jenna brała lekko i z wdziękiem wszystkie przeszkody, podczas gdy ja ciągle jeszcze marudziłam na linii startu. Słuchając jej paplania, zastanawiałam się, jakby wyglądała nasza rozmowa, gdybym dwa lata temu przyjęła oświadczyzny Zacka i wyszła za niego za mąż i czy w ogóle by do niej doszło. Czy też byłabym w ciąży? Czy przyjąłabym jedno z licznych stanowisk dla dziennikarzy piszących, jakie mi w ciągu lat proponowano? Czy byłabym szczęśliwa, żyjąc w nieświadomości swojego prawdziwego pochodzenia jako żona człowieka, którego nigdy bym nie pokochała, ale z którym stanowiliśmy mniej więcej dobraną parę? Ale nie zaprzętałam sobie tym głowy zbyt długo; to bezcelowe. Dokonujemy wyborów i przemy do przodu. Albo zwijamy się w kłębek i pławimy w żalach. Jedna i druga postawa ma swoje dobre strony. Akurat w tym momencie parlałam do przodu.

– No więc, o co chodzi? – zapytała Jenna, kiedy już wymieniliśmy uprzejmości. – Masz dla mnie jakąś propozycję?

– Niezupełnie – odparłam. – Jestem ciekawa, co wiesz na temat Myry Lyall. Parę tygodni temu dzwoniła do mnie kilka razy. Podejrzewam, że miało to coś wspólnego z projektem „Na ratunek”. Zamierzam do niej oddzwonić, ale przedtem postanowiłam sprawdzić, czy ją znasz.

Jenna milczała przez chwilę.

– Jak to, nie słyszałaś? – spytała.
– O czym? – W moim głosie była troska i zainteresowanie, udawałam głupią.
– O Boże – powiedziała z westchnieniem. – Jakieś dwa tygodnie temu zniknęła Myra i jej mąż. Wygląda na to, że ktoś się dobrał do naszych serwerów – co jest, nawiasem mówiąc, prawie niemożliwe – i wyczyścił jej twardy dysk i całą pocztę mejlową. Wszyscy tutaj są dość wystraszeni. To jest okropne, Ridley.

– Rety... – udałam zszokowaną. – Rzeczywiście okropne. A co na to policja? Czy ktokolwiek ma chociaż blade pojęcie, co się mogło z nimi stać?

– Istnieje masa najróżniejszych teorii na ten temat. – Jenna zniżyła głos do szeptu. – Jedna z nich kręci się wokół właściciela domu, w którym mieszkali Lyallowie. Oni z nim wojowali. Mieszkali od lat siedemdziesiątych na uprzywilejowanych warunkach, płacąc czynsz regulowany. A nowy właściciel, który niedawno ten budynek kupił, chciał, żeby się wyprowadzili, bo wtedy mógłby za to mieszkanie wziąć dużo wyższy czynsz. Nagle Lyallowie zaczęli mieć wielkie problemy z myszami i karaluchami; ciągle nawalało ogrzewanie. Wyglądało na to, że w pewnym momencie zawiesili płacenie, dopóki facet nie doprowadzi wszystkiego do porządku. I to go ostatecznie wkurzyło. Mówi się, że ten człowiek ma powiązania z mafią albańską.

– Ale to nie odpowiada na pytanie, w jaki sposób został wyczyszczony serwer „Timesa” i dlaczego?...

– Rzeczywiście nie odpowiada – odparła Jenna miękko.

– A co jeszcze ludzie mówią? Chodzi mi o to, nad czym Myra ostatnio pracowała.

Przestraszyłam się, że niczego więcej już się od Jenny nie dowiem. Słyszałam jej oddech. Była ładną kobietą o drobnych regularnych rysach, intensywnie zielonych oczach i brzoskwiniowej cerze. Już dawno nie rozmawiałam z nią twarzą w twarz, ale mogłam sobie wyobrazić, że marszczy czoło i stuka długopisem w biurko.

– Wiele osób uważa, że się na coś nadziała, ale to są tylko domysły.

– W związku z projektem „Na ratunek”?

– Nie sędzę. Ponad miesiąc temu przygotowała materiał do druku. Dotyczył w ogóle spraw ludzkich, nie był to typowy dla niej artykuł śledczy. Skłonił ją do tego taki nowy redaktor, chciał, żeby te kawałki kryminalne miały jakieś ludzkie twarze, wiesz, tego rodzaju rzeczy. A poza tym, jak to się mówi w środowisku, nie było nic nowego na tapecie.

– No... i co dalej?

– Kiedyś, sto lat temu, spotykałam się z takim facetem od techniki informacyjnej. Nazywa się Grant Webster. Ma lekkiego świra na punkcie swojej pracy, może nawet nie lekkiego, jeśli już o tym mowa. Zresztą była to jedna z głównych przyczyn naszego zerwania. Całą stronę internetową poświęcił historii hakowania i swojej spiskowej teorii w sprawach technik informatycznych. W każdym razie on twierdzi, że to nie mogło być zwykłe hakowanie. Co innego włamać się i przeczytać czyjąś pocztę mejlową czy próbować ukraść komuś dane dotyczące jego karty kredytowej, czy wreszcie na jakiś czas przejąć witrynę. Ale wejść na taki poziom, żeby wyczyścić serwer, to już zupełnie inna para kaloszy. On uważa, że to musiał być ktoś „swój”, kto dostał za to pieniądze... – Jenna zawiesiła głos.

– Albo? – zapytałam.

– Albo to sprawa jednej z agencji federalnych.

Odczekałam chwilę, aż informacja nabierze mocy.

– Jak CIA albo FBI?

– Właśnie.

– Więc mówi się, że wdepnęła w coś, czego nie powinna była ruszać, że weszła w drogę jednej z agencji rządowych i dlatego ktoś ją usunął i wyczyścił całą jej mejlową korespondencję?

Jenna nie pochwyciła nuty sceptycyzmu w moim głosie.

– I jej twardy dysk, zawierający wszystko, nad czym ostatnio pracowała, plus wszystko, nad czym pracowała w przeszłości, chociaż naturalnie większość z tych rzeczy została opublikowana. No i jej pocztę głosową też – dodała Jenna. – Co według Granta jest znacznie łatwiejsze niż wyczyszczenie poczty mejlowej.

– To kawał teorii – powiedziałam.

– Niech się tylko zbierze przy piwku kilku reporterów i informatyków, to szkoda gadać, co z tego może wyniknąć – prychnęła Jenna. – Każdy z tych facetów od techniki informatycznej jest w głębi duszy zwolennikiem teorii spiskowej.

Przez chwilę jeszcze mówiła o Grancie. Zawsze podejrzewała, że kiedy się kochali, cały czas układał w głowie linie kodów i że jego koncepcja miłego spędzania czasu sprowadzała się do pudełka batoników Twinkies i telewizora z płaskim dziewiętnastocalowym monitorem. Ponownie wspomniała jego stronę internetową, więc zapisałam: www.komuzalezny.com. Pozwoliłam jej mówić dalej, chichocząc razem z nią w stosownych miejscach, wydając potwierdzające odgłosy tam, gdzie ich oczekiwała, byle tylko nie zdradzić się zbytnim zainteresowaniem Myrą Lyall.

W pewnym momencie wróciłam do tematu, może niezbyt zręcznie, ale Jenna się nie spostrzegła.

– Są jeszcze jakieś inne szalone teorie na temat Myry?

– Hmm... Słyszałam tylko, że na kilka dni przed zniknięciem dostała jakiś anonimowy cynk, którym się zajęła.

– Jaki cynk?

– Nie wiem. Według jej asystentki dostała mejla, a może to był telefon, po którym wyskoczyła z redakcji jak z procy. Tyle, jak sądzę, wiedzą wszyscy. W każdym razie wszystkie jej mejle, a nawet notatniki...

– Przepadły – dokończyłam za nią.

Przez chwilę milczałyśmy obie. Nagle usłyszałam w tle dzwonek drugiego telefonu i staccato palców Jenny na klawiaturze.

– Mam cię informować, gdybym się czegoś jeszcze na ten temat dowiedziała? – zapytała.

– To by było wspaniale. Czy mogłabyś dać mi też kontakt do Granta? Piszę artykuł o przestępstwach komputerowych. Chętnie bym go spytała o parę rzeczy.

Jenna zawahała się na chwilę.

– Jasne, ale to chyba nie jest twoja zwykła działka?

– Zgadza się, ale ostatnio rozszerzam zakres zainteresowań.

Podawała mi informacje dotyczące Granta, ale zanim odłożyła słuchawkę, dodała:

– Tylko nie powtarzaj mu tego, co ci o nim mówiłam, dobrze?

– Możesz na mnie polegać – zapewniłam ją.

Skończyłyśmy rozmowę, a ja, nalewając sobie kolejną filiżankę kawy i idąc do okna, jeszcze raz ją w myśli przeżywałam. Następnie wróciłam do komputera i weszłam na stronę internetową Granta. Na czarnym monitorze rozbłysło na biało intro: „Komu zależy?”. I kolejny napis: „Władze federalne robią sobie z nas jaja”, a wreszcie: „A my siedzimy, oglądamy *Rzykantów*, zajadamy pizzę i spokojnie na to patrzymy. Obudźmy się!”. Monitor zaczął błyskać. „Najwyższy czas na rewolucję!”. Intro się skończyło i otworzyła się właściwa strona internetowa. Z dużą ilością czerni i czerwieni miała przypominać stronę gazety. Główny tytuł brzmiał: „GDZIE JEST MYRA LYALL?”.

Artykuł podawał znane szczegóły zniknięcia Myry i Allena Lyallów, wszystko to, co już usłyszałam albo przeczytałam w materiałach zebranych przez Jake'a. A oto jego treść:

Policja Nowego Jorku i media chcą, żebyśmy uwierzyli, że za zniknięciem Lyallów stoi ich albański gospodarz, że to albańska mafia dokonała na nich egzekucji w zemście za to, że zajmowali mieszkanie na uprzywilejowanych warunkach, płacąc zaniżony czynsz. Czy to nie jest typowo amerykańskie? Zwalanie wszystkich naszych problemów na Trzeci Świat? Ale prawda jest taka, że tylko bardzo nieliczna grupa osób dysponuje odpowiednimi środkami i technologią, żeby się włamać do serwerów „New York Timesa” i wyczyścić dane. A jej poczta głosowa? Okej, to łatwizna, wystarczy się zalogować, podać hasło i już jesteś dobry. Ale dostęp do poczty mejlowej i bazy danych to nie tylko jej skrzynka, to jeszcze kopie zapasowe na serwerach. A to już wydaje się niemożliwe, chyba że jest się z CIA, FBI albo jakiejś innej kurewskiej agencji rządowej.

Niektórzy z nas są zdania, że Myra wdepnęła w coś, czego nie powinna wiedzieć. Z całą pewnością ostatni artykuł, jaki opublikowała, dotyczył projektu „Na ratunek” (a jeśli mówimy o drastycznych próbach tuszowania przez władze różnych skandali: to czy kiedykolwiek ktokolwiek za to odpowiedział? Setki, a może nawet tysiące dzieci z biednych rodzin zostały uprowadzone z domów i SPRZEDANE bogatym rodzinom. I nikt nigdy za to nie siedział???) Czy nikomu nie przyszło do głowy, że ktoś to wszystko celowo zapieprzył?).

Tu aż się skuliłam w obawie, że wymieni mojego ojca albo Maksa, ale jakoś szczęśliwie tego nie zrobił. Z dziwnym uczuciem czytałam kogoś, kto w ten sposób wyrażał się o projekcie „Na ratunek”. Nigdy nie myślałam o tym w kategoriach spisku czy próby zatuszowania, ale wydaje mi się, że rozumiałam, o co mu chodzi.

Wiemy z całą pewnością, że Myra – zanim w piątek przed swoim zniknięciem w pośpiechu opuściła redakcję – dostała telefon. Jej asystentka powiedziała, że „była podniecona i lekko zdenerwowana”. I wtedy po raz ostatni widziano ją w „Timesie”.

Gdyby Myra nagrywała swoje notatki na dyskietkę i gdzieś ją chowała (co ZAWSZE wszystkim polecam, kiedy mają do czynienia z informacjami wrażliwymi), może bylibyśmy dziś mądrzejsi. Proszę o kontakt każdego, kto miałby więcej informacji na temat Myry, jakieś skojarzenie czy teorię. Chciałbym pomóc. Ale na miłość boską uważajcie, z kim rozmawiacie, co mówicie i jak to mówicie. Dla bezpieczeństwa dzwońcie do mnie na następujący numer w celu umówienia się na spotkanie.

Przejrzałam resztę jego tekstów. Były tam artykuły o szczepionce na gripę, o syndromie Wojny w Zatoce i będących na wyczerpaniu zasobach uranu, o niebezpieczeństwach ciasteczek internetowych, o SARS-ie, o telewizyjnych reality show i o hakerskim panteonie stawy (z użyciem naturalnie tylko ksywek internetowych). W mniemaniu Granta za wszystko, co jest

w świecie choćby w najmniejszym stopniu niepokojącego, odpowiada „imperium zła”, czyli władze federalne Stanów Zjednoczonych. Miał zaraźliwy sposób pisania i kiedy kończyłam przeglądanie jego strony, dotarło do mnie, że zaczynam się z nim zgadzać.

Wstałam od komputera i podeszłam do okna, żeby sobie parę spraw przemyśleć. Coś mnie męczyło. Wiem: grunt to decyzja. Podeszłam do biurka i zaczęłam przeglądać leżące tam papiery, aż znalazłam mały różowy notes, gdzie zapisywałam telefony. Przewracając kartki notesu, natrafiłam na nazwisko Myry Lyall, liczbę, datę i godziny jej telefonów. Od Jenny dowiedziałam się, że ostatni artykuł Myra oddała do druku ponad miesiąc temu, a ostatni telefon do mnie wykonała dwa i pół tygodnia temu, na dwa dni przed zniknięciem, tak przynajmniej wynikało z informacji Dylana Grace’a. Jeśli więc Myra nie dzwoniła do mnie w związku z artykułem na temat ofiar projektu „Na ratunek”, to po co?

Mimo że Max nie żył już od lat, jego mieszkanie pozostało nietknięte, jak je zostawił. Ojciec nie chciał go sprzedać, chociaż miesięczny koszt utrzymania był doprawdy zawrotny. Chodziliśmy tam, tak jak się chodzi na groby, żeby pamiętać, żeby być blisko.

Ja na przykład lubiłam stawać w garderobie, gigantycznym pomieszczeniu, większym od mojej sypialni, i wachać jego ubrania. Były tu piękne drewniane szafy i komoda z granitowym blatem i z szufladami na skarpetki, bieliznę i biżuterię. Garderoba Maksa przypominała dział ekskluzywnej odzieży męskiej u Barneya. Przechadzałam się wzdłuż rzędów jedwabnych i wełnianych garniturów, dotykając materiału i wdychając zapach. Czułam tam Maksa – nie tylko resztki wody kolońskiej trzymającej się marynarek, ale coś jeszcze, coś właściwego tylko Maksowi. Sprawiało mi to ból i jednocześnie przynosiło pociechę: widok tęczy jedwabnych krawatów, starannie poukładane pudełka z butami, równy rząd koszul w stonowanych kolorach – białe, szare, niebieskie – wszystkie z czystej bawełny, niekrochmalone, żeby nie obcierały szyi.

„To tylko rzeczy” – mawiał Zack, mój były chłopak i niedoszły morderca, po każdej mojej wizycie w mieszkaniu Maksa. „Teraz, kiedy on już nie żyje, to nie ma żadnego znaczenia”. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego zasypiałam spokojnie na sofie wśród miliona zdjęć rodzinnych, nie rozumiał, że łączność ze szczęśliwszą przeszłością, kiedy wszyscy byliśmy razem, daje mi poczucie bezpieczeństwa.

Oczywiście tak było dawniej, kiedy myślałam, że wielka pustka po stracie Maksa nigdy się we mnie nie wypełni. Zanim się dowiedziałam, że Max był moim ojcem.

Kiedy tamtego przedpołudnia, po rozmowie z Jenną, przekraczałam drzwi jego mieszkania, nie przyszłam tu szukać pociechy we wspomnieniach. Tutaj już na żadną pociechę nie liczyłam. Mój smutek po stracie Maksa najpierw wezbrał gorącą falą, a potem ostygł. Teraz miałam w sercu tylko gniew i pytania bez odpowiedzi. Na smutek nie mogłam sobie pozwolić – zmiękczał kolana, osłabiał wole. A ja miałam poczucie, że i tak zbyt długo byłam miękka, że traciłam siłę.

Podjeżdżałam, że wszystko to, co mogłoby pomóc w wyjaśnieniu, kim był Max – kim był naprawdę – dawno zniknęło. Już ponad rok temu odkryłam, że jego dokumenty, terminarze (które gromadził jak pamiętniki), a także komputer zabrali prawnicy. Kosztowności, takie jak zegarki, biżuteria i inne przedmioty o charakterze osobistym, wzięli moi rodzice. Szczerze mówiąc, nie bardzo wiedziałam, czego tak naprawdę szukam. Zaczęłam otwierać szuflady i szafki, przekładać stare książki, zaglądać za fotografie.

Ale szuflady i szafy na dokumenty były puste. Nie znalazłam tajnych sejfów w podłodze ani za obrazami. Wszystko wyglądało tak samo jak wtedy, kiedy Max żył, wszystko było w idealnym porządku, tyle że... martwe. Brakowało energii toczącego się życia, ważnych papierów, niezbędnych dokumentów.

Maksa zawsze cechowała pedanteria. Potwierdzało to wnętrze jego szuflady ze skarpetami idealnie pozwijanymi i poukładanymi według kolorów. Przypomniało mi się, że zawsze coś poprawiał: obrazy na ścianie, srebra na stole, przedmioty na swoim biurku czy komodzie. Doprowadzało to do szału moją matkę – prawdopodobnie dlatego, że sama była taka. Uważała, że kiedy Max przychodził do nich na przyjęcie i zaczynał wszystko zmieniać, inaczej układając sztucce czy aranżując środek stołu, to że jest to z jego strony wyzwanie do jakiegoś współzawodnictwa.

Max naturalnie miał całą armię ludzi, którzy mu sprząтали, ale wymagał od nich utrzymania tak wysokich standardów, że rotacja była bardzo szybka. Osobiste asystentki, pokojówki, kucharki – przychodziły i odchodziły, tworząc plejadę grzecznych, chłodnych, zawsze zdenerwowanych nieznajomych, po tygodniach czy miesiącach służby zastępowanych nowymi. Tylko Klara, w jednej osobie pokojówka i kucharka na pół etatu, a czasami i niańka, kiedy trzeba było zająć się mną i Ace'em, wytrzymała wiele lat, niezrażona wysokimi wymaganiami Maksa. W jaki sposób to o nim świadczyło? Nie miałam pojęcia. Po prostu przyszło mi to do głowy, kiedy myszkowałam po jego mieszkaniu. Może nic nie znaczyło. Może nie było niczego, co by cokolwiek znaczyło.

Po chwili, sfrustrowana i niezadowolona, usiadłam na gigantycznym łożu, z pościelą ze stuprocentowej egipskiej bawełny, nakrytym pikowaną kapą z brązowego surowego jedwabiu, ze stertami ozdobnych poduszek. Oparłam się o aksamitną powierzchnię, zastanawiając się, co ja tu robię, czego szukam i co zamierzam, jeśli już to znajdę. Po chwili wstałam i podeszłam do przeciwległej ściany, gdzie na półce wnękowej stał wielki telewizor z płaskim monitorem, kolejna porcja zdjęć (głównie moich) i przedmiotów, które Max zgromadził podczas swoich podróży dookoła świata, takich jak nefrytowy słoń, duży Budda, a także wysokie, wyrzeźbione precyzyjnie w czarnym drewnie żyrafy. Mój wzrok padł na znajomy koszmarek z gliny – popielniczkę, ulepioną dziecinnymi paluszkami na przedszkolnych zajęciach z tak zwanego garniarstwa. Naczynie było pomalowane na wszystkie możliwe kolory: fiolet, jaskrawy róż, zielony i pomarańczowy. W środku napisałam: „Kocham mojego wójka Maksa”, a na spodzie wyryłam swoje imię. Nie pamiętam, żebym tę popielniczkę robiła, ale pamiętam, że od zawsze stała w gabinecie na jego biurku. Zastanawiałam się, w jaki sposób wylądowała tutaj. Wzięłam ją do ręki i poczułam ogarniającą mnie falę głębokiego smutku. Kiedy już miałam odstawić popielniczkę na miejsce, zauważyłam, że stała na małej dziurce od klucza. Szybko przeszukałam wnękę, spodziewając się znaleźć jakąś szufladkę czy w ogóle jakąkolwiek odpowiedź na pytanie, co może kryć tajemniczy zamek, gdybym go zdołała otworzyć, jednakże zamek zdawał się prowadzić donikąd. Z trudem powstrzymałam chęć ciśnięcia popielniczką o ścianę.

Wróciłam do sypialni i rzuciłam się na łóżko.

I wtedy poczułam delikatny zapach męskiej wody. Nie była to pamięć Maksa, jaką zachowały moje zmysły, tylko konkretny zapach w powietrzu albo w pościeli. Serce zaczęło mi walić jak młotem. Szybko wstałam z łóżka, rozglądając się za czymś zwracającym uwagę.

Niewielki zegarek stojący przy łóżku nagle wydał mi się bardzo głośny, a ruch uliczny przypominał daleki głuchy pomruk.

Duchy to subtelne zjawisko. To nie latające talerze czy krwawiące ściany. Ani ponure jęki w ciemnym kamiennym korytarzu. To są zapachy i światłocienie, mglista sylwetka znanej osoby na fotografii, mignięcie twarzy w tłumie. Te niuanse, te ułamki sekund są nie mniej przerażające. Czujesz się tak, jakbyś dostał w splot słoneczny, te same lodowate palce macają cię po krzyżu.

Stojąc jak sparaliżowana, z nosem wycelowanym w powietrze, wdychałam jego zapach. Max. Bez względu na alchemię jego skóry i wody kolońskiej, nie mógł to być nikt inny. Tak jak znakiem mojego ojca była mieszanina wody deszczowej i old spice'a, a matki kremu Nivea z czymś, co przypominało ocet... co było nie do pomylenia z niczym innym, nie do zapomnienia. Wsłuchiwałam się w ciszę. Jakiś dźwięk, delikatny i rytmiczny, wywołał mnie z miejsca, w którym stałam. Przeszłam po dywanie do łazienki. Kolejne wielkie pomieszczenie, onieśmielające przepychem granitowej posadzki i ścian, wypolerowanych chromowanych baterii, wanny z jacuzzi i parowej kabiny prysznicowej. Zatrzymałam się w progu i spostrzegłam, że drzwi od kabiny prysznicowej i lustra są lekko zaparowane. Podeszłam do kabiny i otworzyłam szklane drzwi. W dziurkach gigantycznego umieszczonego pośrodku sufitu prysznicowa zauważyłam kropelki wody, które, zlewając się w jedną, tworzyły wielką lżę skapującą do odpływu w podłodze. W myśli przebiegłam całą listę powodów, dla których kabina mogła być świeżo używana. Budynek był bezpieczny, strzeżony. Moi rodzice, jedyjni, poza mną, którzy mieli dostęp do mieszkania, wyjechali. Zamknęłam kran i kapanie ustało.

Oddychałam dość gwałtownie, a od przyływu adrenaliny lekko drżały mi ręce. Raz na miesiąc, jak wiedziałam, przychodziła tu służba posprzątać. Nie miałam jednak wątpliwości, że w tym miesiącu już byli; nie wyobrażałam sobie zresztą, żeby mogli zostawić niedokręcony kran czy jakieś mokre powierzchnie.

Poszłam do telefonu bezprzewodowego, znajdującego się obok łóżka Maksa, i zadzwoniłam do portiera.

– Tak, słucham, panno Jones – odezwał się Dutch, odwieczny portier, którego mijałam, wchodząc do budynku.

– Czy był dzisiaj ktoś w mieszkaniu? – zapytałam.

– Nie na mojej zmianie. A jestem od piątej rano. – Słyszałam, jak Dutch przewraca kartki. – Nie było nikogo ani wieczorem, ani przez cały wczorajszy dzień. W każdym razie nie mam w dzienniku żadnego śladu.

– Dziękuję – odparłam.

– A czy coś jest nie w porządku?

– Nie, nic. Dziękuję, Dutch. – Przerwałam połączenie, zanim zdążył zadać kolejne pytanie.

Telefon zadzwonił, kiedy jeszcze trzymałam go w ręku. Odezwał się bez namysłu.

– Halo?

Ale usłyszałam tylko zakłócenia na linii.

– Halo? – powtórzyłam.

Połączenie zostało przerwane.

Czasem wydaje mi się, że to nie same duchy są najbardziej przerażające, tylko ciemne

zakamarki, w których mogą się kryć. Przejęta lękiem, dalej przeszukiwałam mieszkanie. Do każdego miejsca podchodziłam z ociąganiem, jakbym miała ochotę się cofnąć, zakryć ręką oczy – jakbym samotnie oglądała nocą film grozy. Patrząc wstecz, mam wrażenie, że bardziej zależało mi na tym, żeby nie znaleźć nic, niż żeby znaleźć coś konkretnego. Chciałam okazać się pilna, żeby – o ile potwierdzi się najgorsze – nie mieć sobie nic do zarzucenia. Żeby się nie okazało, że przymykam oczy jak Elena.

Na zewnątrz zaczęło się zmierzchać i niebo zrobiło się granatowe; poczułam wielkie zmęczenie. Zapach ulotnił się z mieszkania, a łazienka była teraz sucha jak pieprz. Zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem sobie tego wszystkiego nie wymyśliłam. Zapaliłam jeszcze kilka lamp, żeby rozpędzić ponury mrok, jaki mnie zaczął ogarniać, i w tym momencie coś przyciągnęło mój wzrok.

W blasku światła dostrzegłam pod stolikiem jakiś mały biały rożek. Padłam na kolana i... podniosłam kartonik zapalek. Obracając go w rękę, zauważyłam z każdej strony wytłoczony opalizujący symbol, widoczny tylko pod pewnym szczególnym kątem. Były to trzy ząbki się koła w większym kole. Wydało mi się, że jest w tym coś znajomego, ale nie wiedziałam co. Czułam, jak zaciska mi się żołądek, a fala nudności podchodzi do gardła. Otworzyłam kartonik. W środku znalazłam notatkę: „Pokaż to przy drzwiach. Pytaj o Anioła”.

W moich snach siedzę koło niego i zadaję mu wszystkie możliwe pytania. Siedzimy razem jak tamtego ostatniego wieczoru. Łzy spływają Maksowi po policzkach, a on odpowiada mi z błaganiem w oczach, trzymając mi ręce na ramionach. Porusza wargami, ale nie słyszę, co mówi. Dotyka mnie, ale jest jakby za niewidzialną barierą. Nie mogę do niego sięgnąć, jego głos do mnie nie dociera. Usiłuję czytać z ust, ale udaje mi się dopiero, kiedy mówi „Przepraszam cię, Ridley”. Chce do mnie sięgnąć, ale ja się cofam. Gniew i nienawiść, jakie mną targają w tych snach, są silniejsze niż cokolwiek, co czułam na jawie. Uświadamiam sobie, że mam w ręku broń.

W tym momencie się budzę, zrozpaczona i bezradna. Nigdy do tej pory nie wierzyłam w powracające sny. Ale każdy psychoterapeuta wam powie, że jest to sposób waszej podświadomości na rozwiązywanie problemów, z którymi nie radzicie sobie w życiu. Niewiele trzeba, żeby do tego dojść. Szkoda, że to w moim wypadku nie działa.

W swojej skrzynce pocztowej znalazłam kartkę od ojca, wysłaną najwyraźniej z docelowego miejsca ich podróży, z Positano. „Jest cudownie!” – brzmiał tekst, napisany jego zamaszystymi charakterem pisma. „Nie zapominamy o tobie, jak zawsze”. Szczerze mówiąc, na myśl o rodzicach, o tym, jak się włóczą po Europie, pstrykając zdjęcia i wysyłając pocztówki, zrobiło mi się niedobrze. Wyrzuciłam kartkę do kosza, nalałam sobie wina ze stojącej na ladzie do połowy opróżnionej butelki i zaczęłam odsłuchiwać pocztę głosową. Miałam jakieś niemiłe uczucie: złapałam się na tym, że snuję się po własnym mieszkaniu, zaglądając do ciemnej sypialni.

„Hej, to ja”. – Jake. „Czy moglibyśmy się spotkać dziś wieczorem? Jeśli masz ochotę, to przyjdź do mnie do pracowni około ósmej. Pójdziemy do Jaffy albo gdziekolwiek”.

Spojrzałam na zegarek. Wpół do siódmej. Byłam głodna, czułam się samotna i brałam pod uwagę, że się jednak wybiorę do śródmieścia na spotkanie z Jakiem.

Biiiiip.

„To ja”. – Niski męski głos, przytłumiony, depresyjny. Ace. „Nie odzywałem się przez kilka dni. Chciałbym się z tobą zobaczyć. Mam do pogadania”.

Fantastycznie. Byłam przekonana, że chodziło o kolejny katalog oskarżeń wymierzonych w rodziców i we mnie, jakie mu podsuwa jego terapeuta.

– Aha – powiedziałam do pustego mieszkania. – Już lecę. – Nagle przyszła mi do głowy koszmarna myśl – że wolałam mojego brata, kiedy był ćpunem.

Wprawdzie też miał depresyjne nastroje i wszystkich oskarżał, ale przynajmniej nie miał takich skłonności do refleksji nad sobą.

Biiip.

„Cześć, tu Dennis. Miło było usłyszeć twój głos. Odezwij się, jak będziesz mogła”. Dziennikarz sportowy z „Timesa”, z którym się krótko spotykałam. Ton głosu entuzjastyczny. Wiedziałam, że zwykle pracuje do późna, więc postanowiłam zaryzykować. Poszłam sprawdzić jego numer i zadzwoniłam. Zmusiłam się do tego, żeby nadać głosowi lekko flirtujący ton i wcisnęłam mu ten sam kit co Jennie, o tym, że chciałam oddzwonić do Myry, itd.

– Koszmarna, niesamowita historia – zakończył Dennis te same rewelacje, którymi uraczyła mnie Jenna.

– To straszne, Dennis – powiedziałam i odczekałam chwilę. – Czy znasz dobrze jej asystentkę? Bo i ona do mnie dzwoniła. Przypomnij mi, proszę, jak się nazywa. – Było to kłamstwo.

– Sara Duvall.

– O, właśnie.

– Od czasu do czasu chodzi na drinki z moimi kolegami. Miła dziewczyna. W tej chwili jest jak gdyby w zawieszaniu. Nikt nie wie, czy Myra wróci, a jednocześnie nikt nie chce przyznać, że nie wróci, dlatego Sara jest obecnie w zawodowej próżni. To musi być dla niej

bardzo trudne.

W telefonie zaległa niezręczna cisza. Przypomniało mi się, jak pewnego wieczoru wybraliśmy się na miasto i Dennis tak bardzo się upił podczas kolacji w Union Square Café, że w następnym klubie, do którego poszliśmy, prawie urwał mu się film. Kiedy wychodziliśmy, musiałam go niemal nieść, a gdy wsadzałam go do taksówki, próbował mnie lizać po szyi. Muszę przyznać, że było to dość obrzydliwe.

– No i co... – powiedział w końcu. – Chcesz się spotkać?

– Jasne – odparłam. – Muszę tylko sprawdzić moje plany na przyszły tydzień i zadzwonię do ciebie.

– Fantastycznie. Już się z góry cieszę.

Kończąc rozmowę, oboje wiedzieliśmy, że nic takiego nie zamierzam zrobić.

Odkładałam słuchawkę z dziwnym uczuciem, że ktoś wpatruje się w mój kark. Obróciłam się w fotelu i... napotkałam pustkę. Przeszłam całe mieszkanie, ale nie znalazłam nic – nic, co mogłoby się poruszyć. Zaczęłam się zastanawiać, czy moje zachowania nie są przypadkiem paranoiczne, ale rzeczywiście działo się coś dziwnego. Energia została uwolniona, a ja nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie opuszczę mieszkanie.

Ruszyłam do śródmieścia. Postanowiłam iść na piechotę. Skierowałam się więc na południe, idąc Park Avenue South, następnie przecięłam Madison Square Park w punkcie Flatiron Building i doszłam do Broadwayu. Przez jakiś czas posuwałam się tą ulicą, po czym skręciłam na wschód w Ósmą. Najlepiej mi się myśli, kiedy idę przez miasto. To mi dodaje energii – cały ten hałas i różne oblicza kolejnych dzielnic. I kiedy nadęty przepych Park Avenue South przechodził łagodnie w tumult Broadwayu, a następnie w swojską krzepę East Village, myślałam o swojej dzisiejszej wizycie w mieszkaniu Maksa. Próbowałam to wszystko ogarnąć: czerwoną stronę internetową i kartonik zapalek, widmowy zapach Maksa i mokrą łazienkę, telefon Myry Lyall i jej zniknięcie, wyczyszczenie serwera „Timesa” i to, co mi powiedziała Jenna. Skończyło się bólem głowy i napięciem w ramionach. Im więcej o tym myślałam, tym bardziej mąciło mi się w głowie i tym bardziej złowrogie mi się to wszystko wydawało. No i był jeszcze agent Dylan Grace ze swoimi dziwnymi i groźnymi pojawieniami się i pospiesznymi zniknięciami.

– Co się dzieje? – zapytałam na głos, nie zdając sobie z tego nawet sprawy. Przestraszyłam się własnych słów, ale nikt w pobliżu ich nie usłyszał. Niebo pociemniało i zrobiło się zimniej. Jak zwykle ubrałam się nie dość ciepło. Poczulałam w kieszeni wibrowanie telefonu i wyjęłam go zgrabiałą, czerwoną z zimna ręką. Na monitorze była anonimowa wiadomość: „Klasztor. Jutro 8 wieczór. Nie ufaj nikomu”.

Pchnęłam drzwi pracowni Jake’a, ciągle jeszcze dygocząc. Kiedy wbiegałam po wąskich schodach i wchodziłam do dużego loftu, nawet się nie zastanawiałam, dlaczego drzwi są otwarte. Miałam uczucie, że ktoś za mną chodzi, mimo że na ulicy nie zauważyłam nikogo podejrzanego. Nie mogłam złapać tchu, więc musiałam się na chwilę zatrzymać. W mieszkaniu było ciemno; jedyne światło sączyło się z gabinetu Jake’a na lewo. Namacałam wyłącznik, ale światła się nie zapaliły. Budynek był starym pustym magazynem, prawie bez okien, i elektryczność nawalała w nim równie często jak działała.

– Jake! – zawołałam, kiedy wreszcie odzyskałam oddech.

Odpowiedziała mi cisza. Wielkie ponakrywane rzeźby Jake’a były mi dobrze znane, jak

grono przyjaciół – zamyślony mężczyzna, płacząca kobieta, kochająca się para – chociaż dzisiaj te postacie wydawały mi się jakieś niesamowite, złe. Przez chwilę miałam złudzenie, że ozywają pod białymi płachtami.

Minęłam szybko rzeźby, idąc w kierunku sączącego się spod drzwi gabinetu światła. Spodziewałam się, że zastanę Jake'a pochylonego nad laptopem, ze słuchawkami na uszach, jak zwykle nieświadomego mojej obecności. Ale pokój był pusty. Włączony laptop mrucał cicho. Podeszłam do biurka. Kawa przyniesiona z pizzerii na dole była zimna.

Usiadłam na krześle i oparłam ramiona na biurku, a głowę na ramionach. Serce dalej waliło mi jak oszalałe. Ale w znajomej przestrzeni poczułam się bezpieczniejsza, spokojniejsza. Wyprostowałam się, żeby wyjąć z kieszeni telefon i jeszcze raz popatrzeć na tajemniczy tekst, ale niechcący potrąciłam laptop. Spadające gwiazdki wygaszaczka ekranu zniknęły, a ja przez chwilę gapiałam się na monitor, zanim dotarło do mnie, na co patrzę. Kolejną chwilę trwało, zanim uwierzyłam własnym oczom.

Był to ten sam czerwony ekran, jaki widziałam w swoim komputerze. Ta sama strona internetowa. Tylko że tym razem w prawym górnym rogu otworzyło się małe okienko, obraz wideo w internecie przedstawiający róg ulicy, pełen eleganckich przechodniów. Nachyliłam się bliżej: już po samym ruchu ulicznym poznałam miasto: czarne przysadziste taksówki, czerwone piętrosy. To był Londyn. Niskie brunatne budynki, wystawy butików i uliczne kafejki skojarzyły mi się z Soho, no może z Covent Garden.

Patrzyłam dalej. Była noc, ulicę oświetlał tylko pomarańczowy blask latarni. Ciepło ubrani ludzie poruszali się szybko. Jeśli obraz szedł na żywo, to musiało być po północy. Ludzie robili wrażenie młodych i trzymali się w grupach – jakby wracali z pubów albo z drinków, na które wpadli po teatrze. Zbliżyłam twarz do monitora, właściwie nie bardzo wiedząc, czego szukam. Mimowolnie spodziewałam się tamtej mglistej postaci z fotografii, od której się to wszystko zaczęło. Ale nie mogłam nic znaleźć, poza grupkami jowialnych ludzi, spieszących tamtego zimnego wieczoru z jednego miejsca w drugie.

Po chwili odchyliłam się na oparcie krzesła i przetarłam oczy, które zaczęły mnie piec i łzawić.

– Co ja tutaj widzę? – zapytałam głośno samą siebie. – Skąd się coś takiego wzięło w komputerze Jake'a?

Jedyną odpowiedzią na moje pytanie był łagodny dźwięk dochodzący z głębi loftu. I wtedy dotarło do mnie, że drzwi na dole były otwarte. Przez cały czas, od kiedy tu przychodziłam, te drzwi były otwarte tylko raz. Poczułam suchość w gardle; wstałam i podeszłam do drzwi dzielących gabinet Jake'a od pozostałej części loftu. Zauważyłam, że wysokie, jedyne tutaj okno jest otwarte. Zerwał się wiatr i wpadające do środka podmuchy poruszały białymi płachtami na rzeźbach. Z ulgą pomyślałam, że to właśnie ten dźwięk musiałam słyszeć. W podmuchach wiatru ponakrywane postacie wyglądały jak niespokojne duchy, wrośnięte w ziemię, ale marzące o ucieczce.

Kiedy rozglądałam się po pokoju, zauważyłam coś jeszcze: dużą ciemną plamę w kształcie nerki na podłodze, koło lamp, które Jake zapalał, kiedy pracował. Obok plamy leżał młot, służący do wyginania i kształtowania metalu. Ruszyłam wolno w tamtą stronę, świadoma szeleszczących postaci za mną i głośnego dzwonienia w prawym uchu, stanowiącego mój sygnał stresowy. Jadąc dłonią po metalowym pręcie lampy, szukałam włącznika, który

znalazłam bez trudu. Chociaż oświetlenie sufitowe nie zadziało, ta lampa się zapaliła. Zamrugałam pod wpływem ostrego blasku żarówki. Kilka sekund trwało, nim wzrok się przyzwyczaił.

Wtedy stwierdziłam, że plama nie jest czarna, tylko ciemnoczerwona. Krew. I było jej zbyt wiele, by taka strata mogła pozostać bez uszczerbku dla czyjegokolwiek zdrowia. Cofnęłam się. Pokój przechylił się nieprzyjemnie.

A potem rozległ się grzmot, dalekie, nieustępliwe dudnienie. W pierwszej chwili pomyślałam, że to w mojej głowie, ale w końcu rozpoznałam odgłos kroków na schodach. Byłam w szoku: zdana na pastwę własnych przerażających wyobrażeń co do powstania kałuży krwi, modliłam się, żeby nie była to krew Jake'a. Obróciłam się i zobaczyłam wbiegającego po schodach mężczyznę z wyciągniętą bronią. Instykt podpowiadał mi, że bym uciekała, ale droga ucieczki była tylko jedna.

I wtedy usłyszałam swoje imię.

– Ridley?

Poznałam ten głos.

Kiedy znalazł się w kręgu światła, jego twarz wydała mi się łagodniejsza i sympatyczniejsza, niż ją zapamiętałam. Nie taka arogancka, naznaczona groźną tajemną wiedzą. Agent Dylan Grace.

– Ridley – powiedział, kładąc mi ręce na ramionach. – Wszystko w porządku? – Jego wzrok padł na plamę krwi. – Jesteś ranna?

– Nie – odparłam. – Nie jestem.

– Co się stało? Skąd się tutaj wzięłaś?

Chciałam uciec od intensywności jego wzroku. Zaczęłam się wyrывać, ale przytrzymał mnie mocno, zmuszając do tego, że bym spojrzała mu w oczy.

– Posłuchaj mnie – powiedział. – Esme Gray nie żyje. Świadkowie mówią, że na miejscu zbrodni był widziany mniej więcej w tym czasie Jake Jacobsen. Gdzie on jest?

Potrząsnęłam głową.

– Nie wiem. Na podłodze jest krew.

Czułam się tak, jakbym oddychała przez słomkę. Esme nie żyła. Na podłodze była potworna ilość krwi. Co się mogło stać z Jakiem? Przed moimi oczami wykwitły białe plamy, przerażająca feeria fajerwerków. Niewiele pamiętam z tego, co się wydarzyło zaraz potem.

Muszę przyznać, że w chwilach wielkiego stresu mam skłonność do zamroczeń. Dowiedziałam się tego o sobie całkiem niedawno. Jeśli byliście ze mną od samego początku, to pewnie o tym wiecie. Nie jest to omdlenie czy utrata przytomności w całym tego słowa znaczeniu – ten stan przypomina raczej rodzaj zwarcia elektrycznego. Zbyt wielkie przeciążenie – za dużo strasznych szalonych myśli i – trzask: gaśnie światło. Ale to nie jest omdlenie, nawet o tym nie myślcie.

Kiedy odzyskałam świadomość, dalej mąciło mi się w głowie. Przekonałam się, że siedzę przy biurku Jake'a. Nade mną stał agent Grace z butelką wody. Odkręcił ją i podał mi. Miał smutny wyraz twarzy i ciemne koła pod oczami.

– Czy pan powiedział, że Esme Gray nie żyje? – zapytałam, zastanawiając się, czy przypadkiem mi się to nie przyśniło.

Skinął głową.

– Nie żyje. Ktoś ją pobił na śmierć. Pięściami.

Kiedy zaczęłam o tym myśleć; przypomniały mi się potworności, o jakich opowiadał Nick Smiley, a także moje ostatnie spotkanie z Esme, która mnie przedstawiła jako osobę wymachującą młotem i dybiącą na życie wszystkich po kolei. To, że ona nie żyje i że zginęła w tak okrutny sposób, było dla mnie czystą abstrakcją, czymś zupełnie nierealnym; nie czułam nic, poza lekkimi mdłościami.

– To nie Jake – powiedziałam.

Wzruszył ramionami.

– Ostatnio widziano Jacobsena na jej ganku, jak walił w drzwi, domagając się, by go wypuściła. Mniej więcej godzinę później stamtąd uciekał.

– Kiedy to było?

– Dziś.

– Kto wezwał policję?

– Telefon był anonimowy.

– Został zidentyfikowany w sposób niebudzący wątpliwości?

– Rozpoznała go najbliższa sąsiadka Esme, która widziała Jake'a podczas jego poprzedniej wizyty. Najwyraźniej Esme powiedziała jej, kim jest, i poprosiła, żeby wezwała policję, gdyby się pojawił podczas jej nieobecności.

Potrząsnęłam głową.

– Gdyby Jake zamierzał ją zabić, byłby znacznie ostrożniejszy.

– Chyba że to nie było zabójstwo z premedytacją.

Ponownie potrząsnęłam głową. Znałam to jedno jedyne serce na świecie jak żadne inne. Znałam goszczącą w nim gorycz i złość, ale też i bezwarunkową dobroć. Znałam Jake'a. To było wykluczone.

Ciągle jeszcze nie docierało do mnie, że Esme nie żyje. Później na pewno będę ją oplakiwała, stosownie do tego, kim kiedyś dla mnie była. Ale teraz mogłam myśleć tylko o Jake'u.

– Niech pan mi wierzy – powiedziałam. – Ja znam tego człowieka. To jest absolutnie niemożliwe, żeby w ogóle zabił Esme, a cóż dopiero w ten sposób.

Grace jak gdyby się zastanawiał, czy mi czegoś nie powiedzieć, ale zmienił zamiar. Mogłam bez trudu zgadnąć, co myślał: że już poprzednio myliłam się w takich sprawach i że w ocenianiu ludzkich charakterów nie jestem najlepsza. Może na przykład chciał powiedzieć, że w pewnym momencie prawie wszyscy z mojego najbliższego otoczenia okazali się kimś innym, niż mi się wydawało.

Wstałam i wskazałam w stronę loftu.

– A ta krwawa plama? – zapytałam. – Coś musiało się tutaj stać. Może ta osoba, która zabiła Esme, skrzywdziła także i Jake'a...

Pomyślałam o czerwonym monitorze komputera, uśpionym w tej chwili, o scenie z londyńskiej ulicy, o kartoniku zapalek z dziwnym symbolem i notatką wewnątrz, który w dalszym ciągu spoczywał w mojej kieszeni. Wszystko to miałam na czubku języka. Ale przypomniało mi się zawarte tam przesłanie: „Nie ufaj nikomu”. Wydało mi się to dobrą radą. Nie odezwałam się słowem.

– O co chodzi? – zapytał Grace. Wpatrywał się we mnie, jakby czytał w moich myślach. –

Nad czym się teraz zastanawiasz?

Prawie uwierzyłam, że jednak mogę mu zaufać. Że mogę mu to wszystko powiedzieć, żeby moje informacje albo potraktował jako cenny materiał w dochodzeniu, albo odrzucił. Najłatwiej byłoby zwalić na niego całą odpowiedzialność i po prostu sobie iść. Może gdyby Jake nie zagiął (oczywiście nie chodzi o takie prawdziwe zaginięcie; po prostu nie wiedzieliśmy, gdzie się w tej chwili znajduje) i gdyby nie ta kałuża krwi u niego na podłodze, byłabym bardziej skłonna do skorzystania z pomocy agenta Grace'a. Ale coś, co tkwiło we mnie bardzo głęboko, mówiło mi, żebym się trzymała tamtej rady i że jeśli się do niej nie zastosuję, to zapłaci za to właśnie Jake.

– Myślę – zaczęłam, ale mój własny głos wydał mi się lekko histeryczny – że coś się musiało stać Jake'owi. I zastanawiam się, co zamierzacie w tej sprawie zrobić.

Nic nie powiedział, tylko dalej wpatrywał się we mnie tymi swoimi szarymi oczami.

– Jeśli ktoś zabił Esme, a tutaj na podłodze jest krew – teraz już wrzeszczałam – to czy nie widzi pan związku między jednym a drugim?!

– Patrzę na ten związek, Ridley.

Teraz to ja zamilkłam.

– Zaginiona para, Myra i Allen Lyallowie. Zabita kobieta, Esme Gray. Kałuża krwi na podłodze w mieszkaniu Jacobsena, z którym nie wiadomo, co się stało. Ostatnio widziano go, jak opuszczał miejsce zabójstwa. Co ci wszyscy ludzie mają ze sobą wspólnego? Co ich łączy?

Nie trzeba było być geniuszem, żeby się zorientować, dokąd Grace zmierza.

– Nie jestem jedynym elementem, który ich łączy – powiedziałam, zajmując pozycję obronną.

– Nie – odparł wolno. – Jest jeszcze projekt „Na ratunek”, ale i z nim masz ścisły związek.

Usiadłam. Agent Grace przyciągnął blisko do mnie drugie krzesło, siadając, odchylił je w stronę ściany i zaczął balansować na tylnych nogach. Dużo bym dała za to, żeby się wywalił, uderzył w głowę i zrobił z siebie idiotę.

– Kiedy ostatni raz widziałas swojego chłopaka? – Przy słowie „swojego” wyczułam sarkazm czy nawet wrogość, a zresztą jedno i drugie. Zastanawiałam się, czy mu nie powiedzieć, że Jake w sensie formalnym nie jest już moim chłopakiem, ale nie chciałam być wobec niego niełojalna. Ani odpowiadać na ewentualne pytania co do obecnej natury naszego związku.

– Przedwczoraj wieczorem.

– A kiedy ostatni raz miałaś od niego jakieś wiadomości?

– Dzisiaj nagrał mi się na sekretarkę. Mieliśmy się spotkać tutaj i około ósmej iść coś zjeść.

– O której zostawił wiadomość?

– Nie wiem. Około trzeciej, może czwartej. Tak myślę.

– A jaki miał głos?

– Normalny. – Szczerze mówiąc, nie pamiętałam jego głosu.

– Czy dzwonił do ciebie z telefonu stacjonarnego – skinieniem głowy wskazał aparat stojący na biurku Jake'a – czy z komórki?

– Nie wiem. Myślę, że z tego telefonu, ale mogę się mylić.

Jake dzwonił z komórki; poznałam to po szumach w tle. A przynajmniej tak mi się wydawało. Postanowiłam, że po powrocie do domu sprawdzę. W każdym razie nie chciałam, żeby agent Grace wiedział, że dzwonił z komórki, wydawało mi się to obciążające. Miałam ochotę zadzwonić do Jake'a zaraz, ale uznałam, że w obecności agenta Grace'a to byłoby niemądre.

Grace dalej zadawał mi pytania, zapisując odpowiedzi w małym czarnym notesie, który wyciągnął z kieszeni.

– Gdzie byłaś w tym czasie, skoro nie mogłaś odebrać jego telefonu?

Zawahałam się. Miałam ochotę skłamać, ale się rozmyśliłam.

– Byłam w mieszkaniu Maksa.

Spojrzał na mnie zdziwiony.

– Po co?

Wyjaśniłam mu przyczyny, dla których czasami tam chodzę. Sądząc z wyrazu jego twarzy, nie zrozumiał, i uznał moje zachowanie za podejrzane. Bo rzeczywiście takie było.

– Czy ktoś może potwierdzić, że w tym czasie tam byłaś?

– Portier Dutch. – Patrzyłam, jak Grace zapisuje. – Czy to mniej więcej wtedy zginęła Esme? – zapytałam, wnosząc to z jego pytań. – Dziś po południu około trzeciej czy czwartej?

Ale Grace nie odezwał się słowem, cały czas notował. Czulałam ogarniającą mnie falę paniki, rozpaczyliwy ból w piersi ze strachu o Jake'a.

– Muszę być wobec ciebie szczery, Ridley – powiedział po chwili agent Grace. – Przypuszczam, że nie mówisz mi wszystkiego. Mam kłopot z zaufaniem ci w tej chwili.

Próbowałam udawać oburzoną, ale nie wyszło. Wzruszyłam ramionami.

– Mam gdzieś to, co pan sobie o mnie pomyśli, panie Grace – powiedziałam cicho. Była to prawda; całkowicie przestałam się tym przejmować – coś zupełnie u mnie nowego. Normalnie bardzo się martwiłam tym, co inni o mnie pomyślą, starałam się wszystkich zadowolić, przestrzegać reguł gry. Ale tak było dawniej. Zanim się dowiedziałam, że jestem córką Maksa. – Ja panu też nie ufam.

Zastanawiałam się, kiedy Grace zacznie przeszukiwać gabinet Jake'a, popatrzy na komputer i zauważy dziwną stronę internetową. Byłam ciekawa, czy skojarzy obraz wideo z londyńskiej ulicy z zagranicznym telefonem do mnie. Oczywiście, że skojarzy. Do skojarzeń był jedyny. Interesowało mnie też, ile już wiedział. Prawdopodobnie znacznie więcej niż ja.

– Załatwię, że ktoś cię odwiezie do domu, Ridley, i wolałbym, żebyś się na razie stamtąd nie ruszała.

– Ale ja chcę być tutaj na wypadek, gdyby wrócił Jake.

– Jeśli tu nawet wróci, to gwarantuję ci, że nie będzie się nadawał do tego, żeby iść na kolację – odparł chłodno Grace. – Daj mi swoją komórkę.

– Co takiego? Dlaczego?

– Chcę zadzwonić do Jacobsena z twojego telefonu. Próbowaliśmy się z nim skontaktować, ale się nie odzywał. Jestem ciekaw, czy odbierze telefon od ciebie.

Nie wiedziałam, jakie są w tej sytuacji moje prawa. Ogarnęła mnie znów fala paniki. Skrzyżowałam ramiona na piersi i wbiłam wzrok w podłogę. Grace wyciągnął rękę.

– Mówię poważnie. Nie zmuszaj mnie, żebym ci odebrał telefon siłą. Albo żebym cię

zatrzymał, odebrał ci wszystko, co masz przy sobie, i przeszukał twoje mieszkanie. Może w końcu będę musiał to zrobić, ale niekoniecznie akurat w tej chwili.

Wyglądało na to, że z agentem Grace'em bez takich gróźb się nie obejdzie. Spojrzałam na jego twarz i zrozumiałam, że nie żartuje. Po chwili wahania wręczyłam mu komórkę, a potem patrzyłam, jak wchodzi do mojej książki telefonicznej, wybiera numer i przyciska guzik. Włączył głośnik i oboje słuchaliśmy sygnału. Zamknęłam oczy i dopóki nie odezwała się poczta głosowa, błagałam w myślach Jake'a, żeby odebrał. Serce podjechało mi do gardła, kiedy agent Grace przerwał połączenie. Wstrzymałam oddech, czekając, czy Grace zechce przejrzeć listę moich połączeń i sprawdzić wszystkie wiadomości. Ale tego nie zrobił; po prostu oddał mi telefon. Byłam zdziwiona, wydawało mi się logiczne, że przejrzy pocztę zarówno wychodzącą, jak i przychodzącą. Nasze spojrzenia się spotkały, a ja przez chwilę brałam pod uwagę zawierzenie mu wszystkiego. Później miałam na to patrzeć jak na ostatni moment, gdy jeszcze mogłam poprosić o pomoc z otchłani, w którą się osuwałam... moment niewykorzystany.

Do domu odwiózł mnie białą crown victoria mężczyzna o kamiennej twarzy, ostrzyżony na jeża blondyn z blizną od szyi do ucha. Poznałam w nim partnera agenta Grace'a. Nie pamiętałam, jak się nazywał. W przesuwających się światłach ulicznych jego głowa przypominała drucianą szczotkę. Wyglądając przez okno, płakałam cicho w nadziei, że nie słyszy, dopóki nie wręczył mi bez słowa jednorazowej chusteczki. Bałam się o Jake'a, bałam się o siebie, nie miałam pojęcia, co robić.

Mężczyzna za kierownicą nie odezwał się słowem, kiedy wysiadałam. Już miałam mu podziękować (taką jestem grzeczną dziewczynką), ale w ostatniej chwili zrezygnowałam i zamiast tego trzasnęłam drzwiami. Kiedy wchodziłam do budynku, zauważyłam, że zgasił silnik i rozsiadł się w samochodzie, najwyraźniej nie zamierzając na razie odjeżdżać.

Ostatnio pamięć płata mi figle. Kiedy się dowiedziałam, że większość faktów z mojego życia, które uważałam za prawdę, jest kłamstwem, straciłam zaufanie do pamięci. Minione wydarzenia z mojego życia? Okazało się, że pamiętam je różnie: pojawiły się nowe odcienie i niuanse. I już nie miałam pewności, czy to moje oryginalne wspomnienia, czy też późniejsze były bliższe temu, co stopniowo wychodziło na jaw.

Na przykład chwile, które Max i mój ojciec spędzali razem w gabinecie ojca. Zawsze sobie ich wyobrażałam, jak wyluzowani śmieją się, popijając koniak i paląc cygara. Teraz zastanawiam się, o czym rozmawiali. O mnie? O projekcie „Na ratunek”? Jeśli rzeczywiście istniała druga, ciemna strona natury Maksa, to czy mój ojciec o niej wiedział? I radził mu tamtego wieczoru, jak walczyć z „demonami”, o których wtedy mówił?

Albo ta szorstka rozmowa między Maksem a moją matką. Nie podobała jej się kolekcja anonimowych kobiet, które się przewinęły przez jego życie. Nie tolerowała ich obecności w swoim domu i życiu towarzyskim. Klócili się nawet o to, ale tylko wtedy, kiedy uważali, że ojciec tego nie słyszy. Zastanawiałam się teraz, co ją to obchodziło. Czy w złości, jaką słyszałam w ich głosach, było coś więcej? Intymna bliskość? Zazdrość?

Pomyślałam o tych kobietach. Kim były? Pamiętam tylko, że wszystkie były blondynkami, pięknymi i chłodnymi, wszystkie chodziły w pantoflach na wysokich obcasach i miały w sobie coś tandetnego. Czy były prostytutkami? Przynajmniej niektóre? Szczerze mówiąc, nie wiedziałam. Nie znałam ich imion, żadnej z nich nie widziałam więcej niż raz. W jaki sposób

świadczyło to o Maksie? Mogłabym już w tej chwili próbować kojarzyć fakty: sylwetka Maksa, jaką naszkicował Nick Smiley, oskarżenie o matkobójstwo, opowieść o tym, jak to Max nigdy nie miał żadnych trwałszych związków z kobietami. Ale wolałam się z tym wstrzymać. Jeszcze za wcześnie – uznałam.

Max nie był przystojnym mężczyzną. Żółta cera i blizny po trądziku, jaki go nękał, kiedy był nastolatkiem, mocno przerzedzone ciemne włosy. Jako olbrzym poruszał się dość niezdarne, ale miał w sobie charyzmę, która przyciągała do niego ludzi jak magnes metalowe opiłki. No i trudno nie wspomnieć o jego nieprzyzwoitym bogactwie. Ono też przyciągało ludzi. Jednak mimo że zawsze było wokół niego tłoczno, nie opuszczała go aura samotności. W gruncie rzeczy był najbardziej samotnym człowiekiem, jakiego znałam. Może dlatego, że miał tyle do ukrycia.

Po przyjściu do domu położyłam się na kanapie, szukając we wspomnieniach tych chwil, w których mogłam odnaleźć choćby cień prawdziwego Maksa, a nie tego, co było jedynie moją kreacją. Ale nie potrafiłam wyjść poza pewien mit, którego się rozpaczliwie uczepiłam. Jako dziecko zbliżałam twarz do ekranu telewizyjnego i próbowałam za niego zajrzeć. Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że coś tam jest. Okazywało się jednak, że nie ma nic, poza dwuwymiarowym obrazem. Tak samo teraz usiłowałam zajrzeć za ekran mojej pamięci. Ale i tu nic nie znalazłam.

Próbowałam nie myśleć o Esme i o tym, jak umarła. Przypomniało mi się, co Jake mówił o jej nieprawdopodobnym strachu. I ja ten strach widziałam. Wyglądało na to, że miała wszelkie powody, by się bać. Kto ją zabił i dlaczego, nawet nie próbowałam sobie wyobrazić. Przypomniał mi się koniec tamtej naszej rozmowy: „Będę się huśtała tak długo, aż poznam odpowiedzi na wszystkie pytania” – powiedziałam. „To się huśtaj, aż skończysz jak ta reporterka «New York Timesa»” – usłyszałam w odpowiedzi.

Wspomnienie było tak niemiłe, że aż się skuliłam w sobie.

Systematycznie, co jakiś czas, brałam do ręki komórkę i wybierałam numer Jake’a, a następnie, po usłyszeniu poczty głosowej, zostawiałam wiadomość albo po prostu przerywałam połączenie. Usiłowałam nie myśleć o kałuży krwi, jaką odkryłam u niego na podłodze, o tarapatach, w jakie mógł wpaść, o tym, że może być ranny albo... jeszcze gorzej. W przeciwnym razie paniczny strach i bezradność zamieniały się w mojej piersi w groźne żywe stworzenie.

Zadzwoiłam do Ace’a.

– Dość długo czekałem, żebyś raczyła oddzwonić – powiedział na powitanie, kiedy wyświetlił mu się mój numer. A może po prostu byłam jedyną osobą, która w ogóle do niego dzwoniła. Mieszkał przy Upper West Side w pobliżu Lincoln Center w niedużym mieszkaniu z jedną sypialnią i z widokiem na Hudson. Mieszkanie było całkiem przyjemne i niezagracone. Na urządzenie składały się w salonie: kanapa, biurko, komputer i telewizor, a w sypialni łóżko i komoda. Ace twierdził, że próbuje pisać powieść, co mnie mocno zaniepokoiło, choć nie umiałabym powiedzieć dlaczego.

– Miałam na głowie kilka spraw, Ace – powiedziałam może bardziej szorstko, niż na to zasłużył. – Świat nie kręci się tylko dokoła ciebie.

– Jezu, a ty jakie znów masz problemy?

W końcu zaczęłam mówić. Powiedziałam mu o wszystkim, co się wydarzyło w ciągu

ostatnich kilku dni, o wszystkim, czego się dowiedziałam, co odkryłam, o mojej wyprawie do Detroit, o Esme, o zaginięciu Jake'a. Powiedziałam mu nawet o anonimowym ostrzeżeniu mimo jego złowrogiej wymowy. Kiedy to wszystko z siebie wyrzuciłam, zamilkłam w oczekiwaniu jakiegoś ironicznego komentarza, polecenia, żebym przestała o tym myśleć, czy uwagi, że zaczynam dostawać świra. Ale Ace nic takiego nie powiedział, przynajmniej nie od razu. Słyszałam jego oddech.

– Czy ty mnie przynajmniej słuchasz, Ace? – zapytałam.

Czasami w trakcie rozmowy ze mną skakał po kanałach albo siedząc na czacie, stukał w klawiaturę komputera. Ale nie daj Boże, gdyby się zdarzyło, że ja podczas rozmowy z nim miałabym drugi telefon albo gdyby mu się wydało, że nie dość uważnie go słucham. Natychmiast się wkurzał. Wiem, że jest narwany.

– Owszem. – Jego głos zabrzmiał jakoś dziwnie i poważnie.

– Czy kiedykolwiek miałeś poczucie, że Max był kimś... innym? – zapytałam. – Że coś jest z nim nie w porządku? Ale tak naprawdę nie w porządku?

Ace westchnął czy może wypuścił dym, mimo że częścią jego detoksu było rzucenie palenia.

– Jeśli chodzi o mnie – powiedział cicho – to nigdy nie patrzyłem na niego tak jak ty.

Nie odezwałam się słowem. Zdawałam sobie sprawę, że zbiera myśli.

– On był dla ciebie zawsze bohaterem – dodał w końcu. – Jeszcze nie wiedziałaś o tym, że jest twoim ojcem, ale mogłaś mieć taką wiedzę na poziomie komórkowym. Zawsze patrzyłaś na niego tymi swoimi wielkimi pełnymi uwielbienia oczami. Nigdy nie rozumiałem istoty waszych wzajemnych relacji. Jako dziecko byłem w tej sprawie całkowicie zdezorientowany. Nigdy nie mogłem pojąć, co ty w nim widziałaś.

Byłam zdziwiona jego słowami – ich mądrością i bystrością.

– A ty co w nim widziałaś?

– Szczerze? Widziałem wiecznie wściekłego bardzo samotnego faceta, który się przylepił do naszej rodziny z braku własnej. On był nieustannie pijany, Ridley, z nieodłączną prostytutką uwieszoną u ramienia. – Ace na chwilę przerwał, a potem zaciągnął się mocno, co mnie upewniło, że jednak pali.

Nie wiem, dlaczego Ben i Grace zgadzali się na to, żebyśmy jako dzieci spędzali z nim tyle czasu bez żadnego nadzoru. Ani co oni w nim widzieli.

Próbowałam to wszystko ogarnąć.

– Czy wiesz, że kiedyś uderzył mnie mocno w twarz? – odezwał się Ace.

– Kiedy? – zapytałam zdziwiona.

– Mogłem mieć wtedy trzynaście lat. Kłóciłem się z mamą. – Dawno nie słyszałam, żeby Ace tak ją nazywał. Zawsze o rodzicach mówił Ben i Grace, jakby chciał w ten sposób podkreślić swój dystans wobec nich. – Wrzeszczeliśmy na siebie, ale nawet nie pamiętam, o co nam poszło. Wtedy często wybuchały między nami awantury. Niewiele przypominam sobie okresów spokoju w naszym domu, a ty?

Nie mogłam mu odpowiedzieć. Mieliśmy całkowicie różne dzieciństwa, chociaż wychowywaliśmy się w tym samym domu z tymi samymi rodzicami. Mówiłam już wcześniej, że każde z nas widziało w rodzicach kogo innego, dla każdego z nas mieli inną twarz. Przypuszczam, że dotyczyło to także Maksa. Max nigdy nie podniósł na mnie głosu, nie

mówiąc o ręce. Nigdy nie był wobec mnie nawet surowy.

Ale Ace nawet nie oczekiwał odpowiedzi.

– Zareagował błyskawicznie – podjął Ace. – Krzyknął, że mam się tak nie odzywać do matki, i dał mi w szczękę.

– Pięścią?

– Tak. Może nie tak mocno, jakby mógł, ale wystarczająco mocno.

– A co na to mama?

– Wściekła się. Wykopała go. Pocieszyła mnie, przyłożyła mi lód, ale przykazała, żebym nic nie mówił tacie.

– Dlaczego?

Ace milczał przez chwilę.

– Nie wiem – powiedział wreszcie.

Było mi go żal, a jednocześnie byłam wściekła na Maksa, że uderzył mojego brata, poza tym nie wiedziałam, co myśleć o tym, że matka utrzymywała ten incydent w tajemnicy przed ojcem.

Ace często kłamał, co jest typowe dla osobowości człowieka uzależnionego. Było sporo przesady w tym, co mówił na temat panującej w naszym domu atmosfery niezgody, a przynajmniej ja tak uważałam. Zawsze wierzyłam, że w ten sposób szuka usprawiedliwienia dla swoich błędnych życiowych wyborów. Ale w tej sprawie nie kłamał. Brakowało tu zwykłego elementu litowania się nad sobą. Nie było tyrady o tym, jak on się czuł i do czego go to doprowadziło.

– Wierzysz mi? – zapytał. W jego głosie wyczułam smutek. Takie jest przekleństwo łgarza: kiedy mówi prawdę, nikt mu nie wierzy.

– Oczywiście, że wierzę – odpowiedziałam. Gdybyśmy stali koło siebie, zarzuciłabym mu ręce na szyję. – Przepraszam cię, Ace.

– Za co?

Zastanawiałam się nad tym przez chwilę. Uczucia, jakie Ace żywił dla Maksa, musiały sprawiać, że czuł się bardzo samotny. Max był najlepszym przyjacielem ojca, moim bohaterem, a matki... nawet nie wiem kim. Wydawało mi się takie dziwne i smutne, że przez cały czas Ace widział w Maksie kogoś zupełnie innego i że mógł mieć rację.

– Właściwie to nie wiem – odpowiedziałam w końcu.

Usłyszałam metaliczne bzyknięcie zamka błyskawicznego, trzaski płonącego papieru i gwałtowne zaciągnięcie się papierosem.

– Powiedz mi, Ridley, czy ty musisz się pchać w kłopoty? – Wróciła jego arogancja i ironia, co powitałam niemal z ulgą.

– Ja się o kłopoty nie prosiłam. O żaden z nich.

– Czy jesteś tego pewna?

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Chcę powiedzieć, że rok temu mogłaś się od całej tej sprawy odciąć. Nie zrobiłaś tego. Teraz możesz ją przekazać facetowi z FBI, jednak też nie zamierzasz tego zrobić. Zawsze opowiadasz o wyborach i o tym, jak to one wpływają na nasze życie, bla, bla, bla. Tylko co z tego dla ciebie wynika?

Nikt nie lubi, żeby go łapać za słowa. Chociaż muszę przyznać, że do pewnego stopnia

miał rację. Dokonywałam pewnych kontrowersyjnych wyborów. I rzeczywiście narażałam się na pewne niebezpieczeństwa, kiedy mogłam tego uniknąć. Ale czasem odwrócenie się tyłem po prostu nie wchodzi w grę.

– Nie wiem – odparłam. – Muszę się zastanowić.

– Założę się, że wiem, gdzie cię będzie można znaleźć jutro o ósmej wieczorem.

Pomyślałam o SMS-ie, o Jake'u. Strach, jaki poczułam w piersi, sprawił, że mój oddech stał się płytki.

– Ace? – Nagle przypomniałam sobie, jak czasem w dzieciństwie potrzebowałam starszego brata, żeby mi pomógł odgonić nocne koszmary.

– Tak?

– Pójdiesz ze mną?

– Niech to szlag – powiedział łagodnie, przeciągając słowa. Przypomniało mi się, że nigdy nie chciał, żebym mu włąziła do łóżka, kiedy byliśmy mali, i że zawsze się odsuwał, robiąc mi miejsce.

– Pójdiesz? – powtórzyłam, zdziwiona strachem, jaki zabrzmiał w moim głosie.

Ace westchnął.

– Okej.

Zapadłam w niespokojny sen na kanapie, z komórką w rękę. Budziłam się kilka razy, przekonana, że dzwoni telefon. Za każdym razem spodziewałam się zobaczyć na wyświetlaczu numer Jake'a, ale okazywało się, że to tylko wyobraźnia. Kiedy wreszcie telefon zadzwonił naprawdę, odebrałam go nawet nie patrząc, kto to.

– Jake? – spytałam.

– Nie. Nie Jake. – Był to agent Grace.

– Która godzina?

– Trzecia nad ranem.

– O co chodzi?

– Twój chłopak ma zero minus, tak?

Pomyślałam o kałuży krwi i o tym, jaka była ciemna i gęsta.

– Tak – odparłam.

Wiedziałam to tylko dlatego, że kiedy byliśmy razem w szpitalu, zerknęłam na jego kartę. Jake jest tak zwanym dawcą uniwersalnym – może dawać krew każdemu, ale sam może dostać tylko zero minus. Wydawało mi się to bardzo niesprawiedliwe. Zwłaszcza że Jake jest dawcą w całym tego słowa znaczeniu: nigdy nie prosi o nic w zamian.

– Krew w jego pracowni to AB plus.

Poczułam, jakby nagle puściło coś, co do tej pory ścisnęło mnie za serce. Jakby zelżało napięcie w mięśniach. Cokolwiek się tam stało, to nie Jake wykrwawił się na podłogę. A to już było coś. Z kolei zaczęłam się zastanawiać, czy to przypadkiem nie on był autorem tamtego SMS-a.

– Pomyślałem, że pewnie cię to zainteresuje.

Nie odpowiedziałam. Ta uprzejmość była dla Grace'a nietypowa. Z pewnością miał w tym jakiś interes.

– Czy może przypadkiem spojrzęłaś na jego laptop, kiedy tam byłaś? – zapytał.

Miałam ochotę skłamać, ale jakoś nie mogłam wydobyć z siebie słów.

– Nie zadawaj sobie trudu z odpowiedzią. Twoje odciski palców są na całej klawiaturze. Fakt, że potrafił prowadzić rozmowę praktycznie bez mojego udziału, wydał mi się fascynujący. To była naprawdę sztuka.

– A ta strona internetowa z ruchomym obrazem wideo z Londynu: czy to ci coś mówi?

– Nie – odparłam tylko po to, żeby zaznaczyć swój udział w rozmowie. – Nie mam pojęcia, co to jest.

– Czy kiedykolwiek przedtem to widziałaś?

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Usłyszałam je także przez telefon.

– Czy mogę wejść? – zapytał Grace.

Wpuściłam go. Robił wrażenie zmęczonego. Włosy miał potargane, a na koszuli tłustą plamę.

Przerwał połączenie i schował telefon do kieszeni.

– Na dole otworzyła mi jedna z twoich sąsiadek. Widocznie wracała z jakiejś nocnej eskapady – powiedział, odpowiadając na pytanie, którego nie zadałam.

– Gdzie jest pana partner? – spytałam, zamykając drzwi. Zaczęłam się już prawie przyzwyczajać do tych najść i uznałam, że dziś mi to nawet nie przeszkadza. Teraz, kiedy już wiedziałam, że krew na podłodze nie należała do Jake’a, przestałam być taka napięta i odzyskałam poczucie humoru. Wszystko inne wydawało mi się bardzo odległe, jak znikający koszmara senny.

– Jest w samochodzie.

– A czy nie macie obowiązku chodzenia wszędzie razem? Jak pan może bez niego stosować gierki dobrego gliniarza–złego gliniarza?

– Nie najlepiej się zgadzamy.

– Mogę to zrozumieć.

Spojrzał na mnie spode łba.

– Możesz mi wierzyć albo nie, ale ja tu wcale nie robię za złego gliniarza. Pewnie byś się zdziwiła, gdyby się okazało, że masz we mnie jedyne przyjaciela.

Znów sobie uświadomiłam, że facet zachowuje się inaczej niż wszyscy agenci FBI, z jakimi się dotychczas zetknęłam. Ci, którzy mnie przesłuchiwali w związku z projektem „Na ratunek”, mieli pełne gęby przepisów i procedur; byli zdecydowani, oficjalni, biurokratyczni i precyzyjni. Innymi słowy, stanowili przeciwieństwo Dylana Grace’a.

– Gdzie to widziałaś po raz pierwszy?

– Ale co?

– No, tę stronę internetową.

Z westchnieniem zapadłam się w sofę. W uszach dźwięczały mi słowa Ace’a: „Teraz możesz ją przekazać facetowi z FBI, jednak też nie zamierzasz tego zrobić”. O co chodziło? Czy po prostu byłam uparta? Czy świadomie coraz głębiej pakowałam się w kłopoty, z których w końcu nie będę się mogła wykaraskać o własnych siłach? A może byłam owładnięta jakąś potrzebą autodestrukcji, zrodzoną z depresyjnych nastrojów świata, w jakim żyłam? Postanowiłam udowodnić mojemu bratu, że się myli.

– W domu moich rodziców – odparłam z westchnieniem. – Na komputerze ojca. – To przyznanie się miało dla mnie smak klęski. Czułam się tak, jakbym powiedziała: „Sama sobie z tym nie poradzę”. Miałam też niemiłe poczucie, że zdradziłam ojca. Nie wiedziałam, co

znaczyła ta strona internetowa ani kto jej używał, lecz wiedziałam, że to nie może być nic dobrego. – Ale kiedy na nią weszłam, była tylko czerwoną plamą, bez żadnego obrazu wideo – dodałam.

Przyciągnął sobie krzesło, usiadł na nim okrakiem, jak miał w zwyczaju, i położył ramiona na oparciu. Jego twarz przybrała dziwny wyraz. Mogłabym pomyśleć, że zatroskany, gdybym uważała, że Grace jest zdolny do takich uczuć. Może zresztą byłam dla niego zbyt surowa. I znów: „Nie ufaj nikomu”. Powinnam to sobie wytatuować na ramieniu.

– Próbowałam wejść na tę stronę na swoim komputerze, ale z tym samym skutkiem. Po prostu czerwony monitor – dodałam, kiedy się nie odzywał.

Niepewnie skinął głową, nie przestając na mnie patrzeć. Często patrzył na mnie tak, jakby próbował sprawdzić, czy kłamię, jakby mógł to wyczytać z mojej twarzy. Odwróciłam się; było coś denerwującego w spojrzeniu tych szarych oczu. Mogłam mu przecież powiedzieć znacznie więcej. Ale nie powiedziałam. Jak we flircie: daj trochę, a trochę zostaw dla siebie. Może jednak Ace miał rację, kiedy mówił o mnie to, co mówił.

– Czy pan ma chociaż blade pojęcie, co może znaczyć ta strona? – Nie byłam w stanie opanować ciekawości. Nie miałam ochoty rozmawiać z Dylanem Grace'em, a jednak znów z nim rozmawiałam.

Wzruszył ramionami.

– Na tym etapie mogę powiedzieć jedynie, że to jakaś zaszyfrowana strona. Gdzie można zostawiać i odbierać wiadomości. Musi być jakiś sposób, żeby się zalogować, ale na razie nie wiem, jak to zrobić.

– A wideo?

Znów wzruszył ramionami.

– Pracują nad tym nasi ludzie. Na pewno wkrótce sprawa się wyjaśni. – Pod koniec zdania zniżył głos, jakby to miało być ostrzeżenie.

Wciągnęłam nogi na kanapę i usadowiłam się wygodnie. Ze zmęczenia zaczęły mi opadać powieki. Teraz, kiedy wiedziałam, że z Jakiem jest wszystko w porządku, a przynajmniej że ta krew w pracowni na podłodze nie należała do niego, wszystko inne wydało mi się mniej przerażające i pilne. Ale w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin miało się okazać, że jest to jedna z wielu rzeczy, co do których się myliłam.

Obudziło mnie słońce wlewające się do mieszkania przez okna od strony wschodniej. Wystarczyła sekunda na otrzeźwienie, by wszystkie wydarzenia dnia poprzedniego wróciły do mnie z obezwładniającą jasnością. Czy agent Grace rzeczywiście u mnie był? Czy naprawdę mi powiedział, że tamta krew na podłodze to nie jest krew Jake'a? Na samą myśl o tym, że to wszystko mogło mi się przyśnić, zrobiło mi się słabo. Albo że mogłam zasnąć, kiedy on siedział w moim mieszkaniu. I do jakiego stopnia było to kompromitujące. Zauważyłam, że ktoś zdjął z łóżka kordonkową narzutę i mnie nakrył. Kiedy usiadłam, poczułam tępy ból w tyle głowy. Na stoliku znalazłam wiadomość: „Porozmawiamy jutro” – groziła notatka podpisana DG. Było to aroganckie pismo upierdliwego faceta – duże okrągłe litery, wielkie inicjały. Musiałam się uśmiechnąć. W dalszym ciągu go nienawidziłam, ale zaczynał mi się coraz bardziej podobać.

Próbowałam zadzwonić do Jake'a. W dalszym ciągu brak odpowiedzi. Zrobiłam sobie kawę, ale była tak mocna, że poczułam gorycz w gardle. Przeszłam do pokoju do pracy

i przejrzałam notatki, jakie robiłam podczas rozmowy z Jenną i Dennisem. Sprawdziłam godzinę; była siódma. Miałam trzynaście godzin na to, żeby się dowiedzieć jak najwięcej o Myrze Lyall i o stronie internetowej, zanim wieczorem pójde do Klasztoru.

Wiem, co sobie myślicie: że w najlepszym razie jestem lekkomyślna i głupia, a w najgorszym, że jestem samobójczynią. Cóż mogę na to poradzić? Może i macie rację.

Było za wcześnie, żeby dzwonić do jakiegoś niedoszlęgo hakera w rodzaju Granta, byłego kochasia Jenny, ale ludzie ambitni wstają wcześnie. Pomyślałam, że młoda asystentka z „New York Timesa”, szczególnie taka, której zależy na pracy, na pewno już o świcie siedzi za biurkiem. Zadzwoiłam przez centralę „Timesa” i ze zdumieniem i rozczerowaniem wysłuchałam poczty głosowej. Zostawiłam wiadomość.

– Sara, tu Ridley Jones. Myra Lyall próbowała się ze mną skontaktować przed swoim zniknięciem. Od tamtej pory zdarzały mi się różne dziwne rzeczy. Chciałabym z tobą porozmawiać. Może byśmy się umówiły na kawę?

Zostawiłam swój numer i przerwałam połączenie. Wiem, że było to z mojej strony dość ryzykowne, biorąc pod uwagę, jak wiele uszu i oczu mogło mnie śledzić – nie mówiąc już o niej. Uznałam, że mój komunikat powinien być na tyle interesujący, żeby Sara oddzwoniła. Nie czekałam nawet pięciu minut.

– Czy to ty, Ridley? – Głos był młody; praktycznie szept.

– Sara?

– Aha.

– Dostałaś moją wiadomość?

– Dostałam. Możemy się spotkać?

Umówiliśmy się za pół godziny w Jadłodajni Brooklyńskiej, turystycznej knajpce w centrum, do której z pewnością nie zagląda żaden prawdziwy nowojorczyk. Trochę mnie zdziwił jej wybór, ale doszłam do wniosku, że po prostu nie chciała się nadziać na nikogo z „Timesa”.

– Jak cię poznam? – spytałam.

– Wiem, jak wyglądasz.

Była to jedna z korzyści wynikających z infamii.

Kiedy otworzyłam drzwi, z zatłoczonej knajpki buchnęła kakofonia głosów i brzęk sztućców. Jednocześnie zaatakowały mnie silne zapachy kawy i jajek na bekonie, z którymi mieszał się słodkawy aromat leżących na ladzie ciast. Kiszki zaczęły mi grać marsza. Stojąc przy drzwiach, szukałam wzrokiem samotnie siedzącej kobiety. Zauważyłam drobną blondynkę z gładko ściągniętymi do tyłu włosami, ale ona siedziała z nosem w „Post”, obojętnie popijając kawę z grubej białej filiżanki. Przy barze zauważyłam różnorodną grupkę ludzi. Różową puszystą trzyosobową rodzinę w T-shirtach „I ♥ NY”, pochyloną nad przewodnikiem ze zdjęciem Statui Wolności na okładce. Pomodliłam się w myślach, żeby nie zostali brutalnie napadnięci. Jakiś biznesmen rozmawiał głośno przez telefon komórkowy, nie przejmując się zaniepokojonymi spojrzeniami sąsiadów. Starsza kobieta upuściła serwetkę; siedzący obok niej młody mężczyzna schylił się, podniósł ją i wręczył z uśmiechem.

Obserwując otoczenie, zaczęłam się w tym zatracać – jak to zwykle ja, kiedy kontempluję ludzi. Jacy oni są? Czy są dobrzy, czy okrutni, szczęśliwi czy smutni? Co sprawia, że zachowują się po chamsku albo grzecznie? Dokąd się udadzą, kiedy stąd wyjdą? Kto umrze

w przyszłym tygodniu? Kto dożyje setki? Kto kocha żonę i rodzinę? Kto po cichu myśli o tym, żeby zmienić tożsamość, ukryć swoje aktywa i uciec na dobre? Takie pytania przeszywały moje myśli jak błyskawice, właściwie poza moją świadomością. Potrafię się dosłownie zadrzeć listą pytań i odpowiedzi. Przypuszczam, że to właśnie dlatego pisuję szkice biograficzne. Że w ten sposób przynajmniej uzyskuję odpowiedzi dotyczące wybranej osoby – choćby nawet te, których ona sama chce udzielić.

Poczułam czyjaś rękę na łokciu i odwróciłam się. Przede mną stała dziewczyna o młodzieńczym wyglądzie, włosach pomarańczowych jak miedziany drut i białej nieskazitelnej cerze niczym skorupka od jajka. Ciemne koła pod oczami błękitnymi jak niebo świadczyły o tym, że dziewczyna jest w stresie i źle sypia. Widoczne w jej twarzy napięcie mówiło o tym, że się boi.

– Jestem Sara – powiedziała cicho.

Skinęłam głową i potrząsnęłam jej ręką, która wydała mi się chłodna i słaba.

Hostessa wskazała nam boks w głębi sali, do którego się wślizgnęliśmy. Zauważyłam, że Sara nie zdjęła żakietu, więc i ja zostałam w swoim.

– Mam niewiele czasu – powiedziała. – Muszę wracać do biura.

– Okej – odparłam i z miejsca przeszłam do rzeczy. – Dlaczego Myra przed zniknięciem próbowała się ze mną skontaktować? W pierwszej chwili myślałam, że chce ze mną porozmawiać o swoim artykule, ale teraz wiem, że oddała go do druku dwa tygodnie wcześniej. Czego wobec tego mogła ode mnie chcieć?

Podeszła do nas kelnerka. Zamówiliśmy kawę, a ja poprosiłam jeszcze o struclę jabłkową.

– Nie mam pojęcia, o co jej chodziło – powiedziała Sara, nachylając się do mnie. – Wiem, że pracowała nad jakąś historią związaną z projektem „Na ratunek”. To nie miało nic wspólnego z newsami; po prostu seria sylwetek ludzi, którzy mogli być jako dzieci uprowadzeni z domów. Ona sama się tym specjalnie nie interesowała, raczej chciała spełnić oczekiwania nowego redaktora „Magazine”. Ale podczas zbierania materiałów natrafiła na coś, co naprawdę rozpało jej ciekawość.

– I co to było takiego? – zapytałam. Sara miała w sobie jakąś płochliwość; bałam się, że lada chwila zerwie się z miejsca i zniknie. Chciałam ją przytrzymać za rękę, żeby mi nie uciekła.

Potrząsnęła głową.

– Nie mam pojęcia.

Spojrzałam na nią, próbując nie okazać zniecierpliwienia.

– Okej. – Wypuściłam powietrze i uśmiechnęłam się z wyrazem rezygnacji. – To wobec tego zacznijmy od początku. A zatem pracowała nad tymi sylwetkami... – zawiesiłam głos.

Sara podjęła wątek.

– I zbierała informacje dotyczące Maxwella Allena Smileya i ciebie. Rozmawiała z ludźmi z FBI. Pewnego dnia była wyraźnie poruszona. Przyszła z jakiejś rozmowy w centrali FBI i narzekała, że jeszcze nigdy nie trafiła na taki opór wobec relacji dziennikarskiej, szczególnie że śledztwo zostało już zakończone. Podejrzewała, że w tej historii jest coś więcej, że nie chcą wszystkiego ujawnić.

– I postanowiła, że do tego dotrze?

Sara patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami. Zaczęłam się zastanawiać, czy z tą dziewczyną aby na pewno wszystko jest w porządku. Albo była jakaś niemrawa, albo zwyczajnie przestraszona i dlatego bardzo powściągliwa. Intrygowało mnie, dlaczego zgodziła się ze mną spotkać.

– Nie jestem pewna, ale tak myślę. Wszystko działo się niesamowicie szybko.

Spojrzała na stół, a kiedy podniosła wzrok, miała w oczach łzy. W milczeniu czekałam, aż się weźmie w garść i zacznie mówić dalej.

– Była w swoim gabinecie. Usłyszałam, jak dzwoni jej telefon. Odebrała go, a potem wstała i zamknęła drzwi. Nie słyszałam rozmowy. Jakies pół godziny później wyszła z redakcji, a mnie powiedziała, że już dziś jej nie będzie i że wychodzi, bo musi zbadać pewien trop. No i wyszła.

– Nie zapytałaś jej, dokąd idzie i czego sprawa dotyczy?

Spojrzała na mnie.

– Ona nie była taka. Nie mówiła nic o swojej pracy. W każdym razie dopóki nie skończyła pisać. I przypuszczam, że co do mnie się nie myliła.

– Co masz na myśli?

– Podczas naszej ostatniej rozmowy służbowej Myra powiedziała mi, że się obawia, że jest we mnie za mało ciekawości, że brakuje mi tego ognia, jak się wyraziła. Że być może bardziej się nadaje do zbierania materiałów niż do dziennikarstwa śledczego.

Widziałam, że ta uwaga bardzo uraziła dziewczynę, ale zarazem była strzałem w dziesiątkę.

Kelnerka przyniosła nam kawę i moje ciasto. Rozpaczliwie pragnęłam jakiegoś pocieszenia i dlatego miałam ochotę całe to słodkie ciasto wepchnąć sobie na raz do ust.

– Kiedy poszłam wyłączyć jej komputer i zgasić światło na noc – ciągnęła Sara, upiwszy łyk kawy – zobaczyłam coś dziwnego.

Zastygłam z filiżanką kawy w drodze do ust.

– Otwartą stronę internetową i cały czerwony monitor.

Popchnęła w moją stronę kartkę, na której był adres strony internetowej, ten sam co u ojca i Jake'a. Zaczęło się dzwonić w prawym uchu. Uzmysłowiłam sobie, że rozglądam się po restauracji, zastanawiając się, czy nas ktoś nie obserwuje. Sama wzmianka o tej stronie internetowej wprawiła mnie w zdenerwowanie. Nie mam pojęcia dlaczego.

– Czy powiedziałaś o tym ludziom prowadzącym śledztwo w sprawie jej zniknięcia? – zapytałam.

– Tak – odparła ze wzruszeniem ramion. – Ale nikt się tym nie zainteresował.

– Czy wiesz cokolwiek na temat tej strony? Co ona może znaczyć?

Powoli potrząsnęła głową.

– Nie bardzo się znam na komputerach – mruknęła, spuszczaając błękitne oczy.

Odstawiłam filiżankę i potarłam czoło. Odniosłam wrażenie, że Sara nie wie w tej sprawie ani trochę więcej ode mnie. Znów zaczęłam się zastanawiać, dlaczego zgodziła się na spotkanie ze mną. Tym razem zapytałam ją o to.

– Chcę jej pomóc. Być bardziej ciekawa, tak jak ona sobie tego życzyła, bo wtedy mogłabym więcej powiedzieć policji. I może udałoby się ją znaleźć. Myślałam, że wiesz coś więcej – powiedziała płaczącym głosem. I po chwili dodała: – Wiesz?

Potrząsnęłam głową.

– Właściwie to nie.

– Mówiłaś, że zdarzały ci się różne niesamowite rzeczy. Na przykład co?

Przypomniał mi się SMS z ostrzeżeniem. Już prawie zaufałam Ace'owi, ale z tego, co wiedziałam, był to błąd. Patrzyłam na tę dziewczynę i zastanawiałam się, co bym mogła osiągnąć, mówiąc jej więcej i czy ewentualny zysk przewyższałby ryzyko. W końcu pchnęłam w jej stronę kartonik zapalek. Wzięła go do ręki i zbliżyła do twarzy, wpatrując się w niego i marszcząc nos. Wreszcie włożyła okulary, jeszcze raz przyjrzała się opakowaniu zapalek, otworzyła je, przeczytała tekst i zwróciła mi, wzruszając ramionami.

– Przykro mi – powiedziała z dziwnym wyrazem twarzy.

– Nic ci to nie mówi?

Zaczęła gorączkowo grzebać w torebce, położyła na stoliku pięć dolarów i szybko wstała.

– Muszę iść – oznajmiła. – Nie sądzę, żebyśmy w jakikolwiek sposób mogły sobie nawzajem pomóc. Powinnaś... – zauważyłam, że patrzy nad moją głową na coś znajdującego się za mną. Odwróciłam się, żeby podążyć za jej wzrokiem, ale nic nie zobaczyłam. – Powinnaś... – powtórzyła – uważać.

– Uważać na co?

Wyszła z boksu i szybkim krokiem ruszyła do drzwi. Położyłam na stoliku drugą piątkę i rzuciłam się za nią. Na ulicy zaczęła biec lekkim truchtem.

– Saro! – zawołałam za nią, przyspieszając. – Zaczekaj!

Zatrzymała się gwałtownie, jak gdyby coś ją przestraszyło. Przez sekundę stała bez ruchu, a potem sięgnęła ręką za siebie, jakby się chciała podrapać w trudno dostępne miejsce. Szarpnęła się, ale zanim się z nią zrównałam, osunęła się na kolana, a cały hałas uliczny jak gdyby zamarł i zaległa śmiertelna cisza. Upadłam na kolana obok niej. Twarz Sary zastygła w wyrazie bólu, a jej skóra zrobiła się tak biała, że prawie błękitna. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale wysączył się z nich na brodę, a potem na różowy kołnierzyk bluzki strumyczek krwi. Do ludzi zaczęło docierać, że coś jest nie w porządku, i zrobili do nas dojsście; ktoś krzyknął.

– Potrzebna jest pomoc – powiedziałam – trzeba wezwać pogotowie.

Podtrzymałam Sarę, która przechylała się na mnie powoli, aż wreszcie zwała się całym ciężarem. Jakiś młody mężczyzna przystanął przy nas i upuściwszy teczkę na chodnik, z telefonu komórkowego zadzwonił na numer 911.

– Co jej się stało? – zapytał.

Nie odpowiedziałam mu, bo sama nie miałam pojęcia. Zdjął ze mnie Sarę, położył ją na ziemi, rozpiął płaszcz i odsunął pasek torby przewieszzonej przez pierś. Włosy Sary rozsypały się dokoła głowy, tworząc rodzaj aureoli, a na jej bluzce wykwitły dwa czerwone kwiaty. Leżąc tak na betonie, wyglądała jak upadły anioł.

Mężczyzna spojrzął na mnie z niedowierzaniem.

– Ona została postrzelona – powiedział.

Popatrzyłam na niego, a potem obok niego. W tłumie ludzi, zbierającym się dokoła nas, zauważyłam mężczyznę, który oddalał się powoli. Miał na sobie długi czarny płaszcz i czarny filcowy kapelusz. Robił wrażenie, jakby płynął, jakby go stopniowo wchłaniał tłum. Usłyszałam zawodzenie syren.

– Hej! – wrzasnęłam.

Kłęczący nad Sarą młody mężczyzna podniósł na mnie wzrok; miał zaczerwienioną twarz.

– Co się dzieje?

Ale ja już zdążyłam się zerwać na nogi i biegłam teraz przed siebie, roztrącając tłum.

– Nie uciekaj! – usłyszałam za sobą głos mężczyzny. – Nie znasz jej?

Ale ja biegłam, nie spuszczać z oka mężczyzny w czerni, oddalającego się w pośpiechu zatłoczoną ulicą. Chwilami traciłam go z oczu, to znów odnajdywałam, a on niewiarygodnie szybko posuwał się w kierunku zachodnim. Kiedy przekroczyliśmy Ósmą Aleję, byłam wykończona. Na Dziewiątej już całkiem straciłam go z oczu. Stojąc na rogu, patrzyłam to w jedną, to w drugą stronę ulicy.

Leżący na macie z kartonu bezdomny przyglądał mi się ciekawie. Robił wrażenie tak wyluzowanego i zadowolonego, jakby wypoczywał na kanapie we własnym salonie. Prawym ramieniem tulił do siebie dygoczącego chihuahue, a w lewej ręce trzymał transparent następującej treści: „Nie ignorujcie mnie. Pewnego dnia możecie zająć moje miejsce”. Zignorowałam go.

– Za pięć doliców powiem ci, dokąd poszedł – odezwał się.

Popatrzyłam na jego brudną twarz, na zmierzwioną jasną brodę, na podartą koszulkę Rangersów i buty nie od pary. Wyciągnęłam piątkę z kieszeni i wręczyłam mu. Wskazał na południe.

– Coś wyrzucił do jednego z tych pojemników na śmieci i zatrzymał taksówkę.

– Zatrzymał taksówkę? – zapytałam, świadoma niepokoju i strachu, jakie się wkradły do mojego głosu.

Bezdomny wzruszył obojętnie ramionami, mały piesek zaczął nieprzyjemnie jazgotać.

Podeszłam do wskazanych śmietników. Stały przy krawężniku trzy – jeden obok drugiego. Smród był porażający.

– Do którego?

– Do tego. – Mężczyzna wskazał prawy pojemnik.

Zawahałam się.

– Ładna panienka nie chce sobie ubrudzić rączek – powiedział do swojego pieska, uśmiechając się z rozbawieniem. – Witaj w moim świecie.

Spojrzałam na niego spode łba i uniosłam pokrywę śmietnika. Uderzył mnie odór i widok tego, co znalazłam w środku. Na białej plastikowej torbie ze śmieciami leżał pistolet z tłumikiem na lufie. Nie wiem, czy sprawił to smród, czy widok broni, w każdym razie myślałam, że zwymiotuję. Mimo to sięgnęłam do pojemnika i wyjęłam pistolet, głównie dlatego, żeby przekonać samą siebie, że jest prawdziwy. I rzeczywiście był. Patrzyłam na niego z niedowierzaniem. Byłam świadkiem tego, jak na ulicy została zastrzelona dziewczyna, przez jakiś czas ściagałam jej mordercę, a potem znalazłam broń z tłumikiem. Poczulałam wielki ciężar w piersi; ręce zaczęły mi się trząść. Nie wiem nawet, jak długo tam stałam.

– Rzuć broń. Ręce do góry.

Zamarłam. Podniosłam oczy i zobaczyłam, że jestem otoczona przez policjantów. Dokoła mnie stało czterech umundurowanych funkcjonariuszy. W tej samej chwili podjechały dwa wozy patrolowe. Bezdomny zniknął.

Depresja nie jest niczym gwałtownym, ale wszechogarniającym. Skrada się powoli

i w pierwszej chwili nawet jej nie dostrzegasz. Wchodzi ukradkiem przez okno, kiedy śpisz – jak kot. Najpierw zabiera ci drobiazgi – apetyt czy chęć odpowiadania na telefony. A potem wraca po najważniejsze: wolę życia.

Twoje nogi robią się coraz cięższe – jakby ktoś do nich przywiązał worki z piaskiem. Sama myśl o tym, że masz umyć zęby, napawa cię przerażeniem, jak gdyby zadanie było ponad siły. Nagle stwierdzasz, że twoje życie jest czarno-białe – nie ma w nim nic kolorowego, nic ładnego. Dźwięki muzyki wydają się słabe i odległe. To, co kiedyś było zabawne, jest nudne i fałszywe.

Zapadałam się w taką właśnie otchłań, kiedy przesłuchiwali mnie detektywi z Wydziału Zabójstw Śródmiejskiej Komendy Północ. Powtarzałam im w kółko moje półprawdy na tyle sposobów, na ile sobie życzyli. Kiedy odpowiadałam na telefon Myry, dowiedziałam się od Sary o jej zniknięciu. Sara poprosiła mnie o spotkanie w wyniku nieporozumienia: myślała, że będę coś wiedziała o Myrze. Opuściła restaurację, kiedy się zorientowała, że nie wiem nic więcej niż ona. Wysłałam za nią z uczuciem niepokoju. Widziałam, jak upada na ulicy. Kiedy do niej podeszłam, zobaczyłam w jej piersi dwie rany postrzałowe, a Sara już nie żyła. Widziałam uciekającego mężczyznę, który mógł być jej zabójcą. Próbując go dogonić, znalazłam broń.

Jeśli Sara zachowała moją wiadomość na sekretarce, to się zorientowali, że musi być w tej historii coś więcej niż to, co im powiedziałam. Ale ponieważ zrobiła na mnie wrażenie bardzo czujnej, miałam nadzieję, że skasowała nagranie.

– A więc dlaczego Myra Lyall usiłowała się z panią skontaktować? – zapytał trzeci facet, który właśnie przyszedł ze mną porozmawiać. Był starszy, miał ziemistą cerę i robił wrażenie zmęczonego. Widziałam, że guziki koszuli ledwie wytrzymują napór brzucha; spodnie miał za krótkie. Przedstawił mi się wprawdzie, ale zdążyłam już zapomnieć nazwisko. W tym momencie moja depresja bardziej przypominała apatię.

– Przypuszczam, że miało to związek z artykułem, nad którym właśnie pracowała, a który dotyczył dzieci objętych projektem „Na ratunek”.

Detektyw przyglądał mi się przez chwilę.

– Aha, to stąd znam pani twarz.

– Zgadza się – odparłam, ziewając, chociaż takie zachowanie mogło się wydawać ordynarne i aroganckie, a może właśnie dlatego. Miałam powyżej uszu tych wszystkich gliniarzy z ich głupimi gierkami. Wszystkim im się wydawało, że są tacy mądrzy, że coś wiedzą na temat ludzkiej kondycji, coś wiedzą o mnie. Ale nie wiedzieli. Nie wiedzieli najważniejszego: że od chwili rozpoczęcia dochodzenia w sprawie projektu „Na ratunek” nieraz już siedziałam w takich pokojach. Że cała ta sprawa straciła dla mnie moc zastraszania, że już przestałam się bać.

Policjant siedział z oczami wbitymi we mnie, a te oczy miały czerwone obwódki, były płaskie i zimne. Zapewne tyle widziały w życiu zła, że już przestały dostrzegać dobro.

– Czy pani jest zmęczona, panno Jones?

– Nie ma pan pojęcia, jak bardzo.

Mężczyzna westchnął i zaczął oglądać skórki wokół paznokci, które były w fatalnym stanie. A potem znów podniósł na mnie wzrok.

– Dziewczyna nie żyje. Czy to w ogóle panią obchodzi?

Jego pytanie wyrwało mnie ze stanu odrętwienia. Oczywiście, że mnie obchodziło. W gruncie rzeczy, gdybym się zastanowiła nad swoją odpowiedzialnością za to, co się stało z Sarą, i nad tym, że była drugą osobą w ciągu niecałych dwóch lat, która ginęła dosłownie na moich oczach, chyba bym się rozsypała na drobne kawałki i leżała w postaci smętnych szczątków na podłodze.

– Oczywiście – powiedziałam cicho i wraz z tym moim przyznaniem się wrócił ból w piersi i skurcz w gardle. Miałam nadzieję, że się nie rozplaczę. Nie chciałam się rozplakać. – Ale ja nie mam pojęcia, kto ją zabił ani dlaczego. Znałam ją nie dłużej niż dwadzieścia minut.

Detektyw uroczyście skinął głową. Wstał i bez słowa opuścił pokój. Położyłam na stole skrzyżowane ramiona i oparłam na nich głowę. Usiłowałam nie widzieć upadającej na ulicy Sary, nie pamiętać tamtego wieczoru, kiedy Christian Luna osunął się na ławkę w parku z idealną czerwoną kropką na czole. Usiłowałam nie widzieć pistoletu z tłumikiem leżącego na worku w pojemniku na śmieci. Ale oczywiście wszystkie te obrazy przesuwały się przed moimi oczami jak makabryczny pokaz slajdów. Czarne palce coraz mocniej zaciskały się na moim gardle.

Drzwi otworzyły się i zamknęły. Oczekałam kilka sekund, zanim spojrzałam, kto następny zamierza mnie przesłuchiwać. Nigdy nie przypuszczałam, że ucieszy mnie widok Dylana Grace'a, ale w tej chwili poczułam odprężenie w każdym mięśniu ciała. Nagle zaczęłam płakać. Nie szlochałam, ale z oczu płynęły mi łzy i pociągałam nosem. Grace podszedł do mnie i pomógł mi wstać.

– Przede wszystkim trzeba cię stąd zabrać – powiedział cicho.

– Ale nie zakujecie mnie w kajdanki? – zapytałam, wycierając oczy jednorazową chusteczką, którą wyjął z kieszeni. Wykombinowałam sobie, że zabierze mnie do aresztu federalnego. Nie wyobrażałam sobie, żeby w jakikolwiek inny sposób mógł mnie wyrwać z łap nowojorskiej policji.

– Nie. O ile będziesz się grzecznie zachowywała.

Jego partner, którego imienia dalej nie znałam i, szczerze mówiąc, wcale nie starałam się poznać, wyprowadził mnie do samochodu, podczas gdy agent Grace wypełniał jakieś papiery. Jak wynikało z rozmowy między nim a jednym z przesłuchujących mnie detektywów, nazywali mnie świadkiem federalnym. Nie byłam pewna, co to dla mnie znaczyło.

Partner Grace'a w ogóle się do mnie nie odzywał; po prostu otworzył tylne drzwi samochodu, a następnie, kiedy już się wślizgnęłam do środka, zamknął je za mną. Był pogodny, słoneczny dzień, chłodny i wietrzny. Z trudem zapalił papierosa, a potem oparł się o bagażnik. Wzięłam za klamkę – drzwi nie otworzyły się od środka.

Po chwili pojawił się agent Grace i ruszyliśmy na północ. Doszłam do wniosku, że jedziemy do centrali FBI, ale ostatecznie zorientowałam się, że tak nie jest. Nie pytałam, dokąd jedziemy. Wykorzystałam jazdę samochodem do tego, żeby zamknąć oczy i zastanowić się poważnie, jak mam się pozbyć tych facetów, żeby się skontaktować z Grantem i dostać do Klasztoru. Możecie mi wierzyć albo nie, ale nie było jeszcze pierwszej po południu. Jeszcze ciągle miałam czas.

Kiedy samochód się zatrzymał, otworzyłam oczy. Agent Grace wręczył swojemu partnerowi kopertę.

- Te dokumenty trzeba włączyć do akt – powiedział.
- A dlaczego ja mam to robić?
- W ramach szkolenia – odparł Grace z uśmiechem. – Kiedy szkolisz nowicjusza, możesz zwalać na niego całą swoją papierkową robotę.
- Dokąd pan idzie ze świadkiem?

Obserwowałam ich odbicie w lusterku wstecznym. Widziałam urazę na twarzy faceta i obojętność na twarzy Grace'a, który bez słowa wysiadł z samochodu i otworzył mi drzwi. Byliśmy na Dziewięćdziesiątej Piątej przy Riverside. Nie bardzo wiedziałam, o co w tym wszystkim chodzi. Partner posłał Grace'owi przez szybę mściwe spojrzenie i odjechał z piskiem opon, szybko włączając się do ruchu.

- Co robimy? – spytałam.
- Idziemy na spacer.

Poczułam trzepot serca. Nie podobał mi się partner agenta Grace'a, ale robił wrażenie tego „dobrego gliniarza”. W sensie osobistym mógł być nawet nieprzyjemny, ale nie wydawał się groźny. Myślę, że nie ufałam Grace'owi. Niewiele było dokoła nas ludzi. Znajdowaliśmy się w dzielnicy zamieszkaną przez klasę robotniczą, graniczącej z Morningside Hights. Riverside Park to wąski skrawek ziemi wciśnięty między Riverside Drive a rzeką Hudson, położony na wysokim dziale wodnym, wzdłuż którego parę pięter niżej przebiega autostrada. Słyszałam ruch, ale drzewa przesłaniały drogę. Kiedy wchodziliśmy do parku, minęła nas uprawiająca jogging para. Poza tym zarówno sam park, jak i najbliższa okolica wydawały się całkowicie wyludnione.

- Co będziemy tutaj robić? – spytałam ponownie, zatrzymując się.

Nie zamierzałam iść dalej, dopóki się nie dowiem, o co w tym wszystkim chodzi. Grace też się zatrzymał i stał, patrząc na mnie, z rękami w kieszeniach, a następnie podszedł do jednej ze stojących wzdłuż ścieżki ławek i usiadł. Gdzieś niedaleko odezwała się syrena, która po chwili ucichła. Zastanawiałam się przez moment, czy nie usiąść, ale postanowiłam jednak stać.

- Dajmy sobie spokój z tymi bzdurami, dobrze? – powiedział.
 - Co pan ma na myśli?
 - Teraz jesteśmy tylko my dwoje, ty i ja, Ridley. Nikt nas tu nie słyszy. Powiedz mi po prostu, co się dzieje.
 - A dlaczego miałabym cokolwiek mówić?
 - Bo ty i ja mamy wspólny cel. Możemy sobie nawzajem pomóc.
- Spojrzałam w górę na drzewa nad nami, na błękitne niebo, na białe obłoki. Czulałam spaliny i mokrą trawę. Słyszałam płynącą z radia salsę.
- Nie wiem, co pan rozumie przez „wspólny cel”.
 - Czy to nie jest oczywiste?
 - Nie jest.
 - Oboje szukamy twojego ojca.

Wiedziałam, że ma na myśli Maksa, i nienawidziłam go za to, że w ten sposób o tym mówi. Może dlatego, że była to prawda. Bo ja rzeczywiście szukałam swojego ojca, zarówno w sensie dosłownym, jak i przenośnym. Może go zresztą zawsze szukałam. Poczułam, jak mechanizm wyparcia budzi się w mojej piersi, a potem sadowi w gardle.

– Wszyscy go szukamy – podjął Grace. – Ja, ty, twój chłopak.

– Max nie żyje.

– Wiesz co? Może i masz rację, ale w dalszym ciągu próbujesz go znaleźć, prawda?

W dalszym ciągu chciałaś wiedzieć, kim był albo... kim jest.

Patrzyłam wszędzie, tylko nie na twarz Grace'a.

– A czy przynajmniej wiesz dlaczego? – zapytał, nachylając się i opierając łokcie na udach.

Czułam, że zbliża się jedna z tych typowych dla niego jednostronnych rozmów.

– Dlatego, że dopóki się nie dowiesz, naprawdę się nie dowiesz, kim był twój ojciec, nie znajdziesz odpowiedzi na jeszcze ważniejsze pytanie: kim jesteś ty? Kim jest Ridley Jones?

– Ja wiem, kim jestem – powiedziałam, wysuwając agresywnie do przodu podbródek. Ale Grace otworzył we mnie otchłań strachu: bałam się, że może mieć rację, że nie będę wiedziała, kim jestem, dopóki tak naprawdę nie poznam Maksa. Jediną rzeczą, jakiej się od ubiegłego roku dowiedziałam o sobie na pewno, było to, że nie jestem córką Bena i Grace. Że nie jestem dobrym dzieckiem dobrych ludzi. Jednak czyją tak naprawdę byłam córką – nie wiedziałam w dalszym ciągu. Owszem, miałam dokładniejsze pojęcie o swojej biologii, ale to wszystko.

Może uważacie, że się mylę. Że jeśli zostałam wychowana przez Bena i Grace, jeśli oni mnie uczyli i kochali, to właśnie od nich pochodzę, to oni są moimi prawdziwymi rodzicami. Oczywiście do pewnego stopnia macie rację. Ale przecież jesteśmy czymś więcej niż tylko sumą własnych doświadczeń i lekcji, jakich nas życie nauczyło. Czy nie mam racji? Czy nie kryjemy w sobie jakiejś tajemnicy? Każda matka wam powie, że jej dziecko przyszło na świat z właściwą tylko jemu osobowością, z kompletem upodobań i fobii, które nie mają nic wspólnego z nauką i doświadczeniem. I tego właśnie elementu swojej tożsamości poszukiwałam. Brakowało mi własnej tajemnicy, tego czegoś, co istniało jeszcze przed moim urodzeniem, a co żyło we włóknach DNA Maksa. Jeśli nigdy nie poznam jego, to jak mam poznać siebie? Z jakichś względów nie odczuwałam tego samego głodu wiedzy wobec Teresy Stone, mojej biologicznej matki. Wydawała mi się kimś bardzo dalekim, mitem, w który nie bardzo wierzyłam. Być może te pytania miały przyjść później. Na razie to Max wypełniał bez reszty tę ogromną przestrzeń w moim życiu.

Tak surowo oceniałam Jake'a za jego obsesyjne zainteresowanie Maksem, a przecież teraz byłam wściekła na siebie za to samo.

– Naprawdę? – zapytał agent Grace. – Naprawdę wiesz, kim jesteś?

– Wiem – odparłam agresywnie.

– To po co go ścigasz?

Parsknęłam śmiechem.

– To nie ja go ścigam, tylko pan. Dlaczego?

– Taką mam pracę.

– Nie – odparłam, siadając obok niego i twardo patrząc mu w oczy. – Tu chodzi o coś więcej niż tylko praca.

Teraz on odwrócił wzrok. I dopiero w tej chwili zrozumiałam, dlaczego nie ufam temu człowiekowi. Miał jakiś ukryty cel, jakiś plan, coś znacznie głębszego niż jedynie nawyk solidnego wykonywania swojej pracy. On też czegoś potrzebował od Maksa. Wyczułam to

w nim, jeszcze zanim byłam w stanie nazwać rzecz po imieniu.

– O co tu chodzi, Dylan? – Po raz pierwszy zwróciłam się do niego po imieniu. Nagle wydało mi się to słuszne; stawiało nas na równej płaszczyźnie. Zauważyłam, że już od jakiegoś czasu zwracał się do mnie per Ridley, mimo że kilkakrotnie mu tego przywileju odmówiłam. – Czego ty szukasz?

Spodziewałam się, że warknie na mnie, że nie musi odpowiadać na moje pytania. Ale zamiast tego westchnął głęboko i opuścił ramiona, jakby opadło z niego napięcie. Dostrzegłam w jego twarzy coś, czego nie widziałam wcześniej. Wydał mi się starszy i bardziej surowy, a w jego oczach pojawił się smutek.

– Max Smiley – zaczął, ale zaraz urwał, zaciskając usta w cienką surową linię, jakby słowa uwięzły mu w gardle. Siedział wpatrzony w jakiś bardzo daleki punkt. Nie naciskałam. Wbiłam wzrok w asfalt, by nie wyglądało, że się na niego gapię. Robiło się coraz zimniej, więc wsadziłam ręce w kieszenie.

Po chwili, po upływie minuty, czy może pięciu minut, powiedział:

– Max Smiley zabił moją matkę.

Pozwoliłam, żeby jego słowa zawisły w powietrzu, mieszając się z odgłosami ruchu ulicznego i dochodzącej z oddali salsy. Ktoś uderzał o asfalt piłką koszykową. W oddali dostrzegłam rozpaczliwie chudego nastolatka, który na korcie samotnie celował piłką do kosza i chybiał.

Nie wiedziałam, o co zapytać w pierwszej kolejności: Jak? Kiedy? Dlaczego? Ta informacja rozeszła się po całym moim ciele, wywołując mrowienie. Za oczami poczułam tępy ból.

– Nie rozumiem – powiedziałam.

– Zapomnij o tym – odparł. – To nie ma żadnego wpływu na sprawę.

Położyłam rękę na jego ramieniu, ale szybko ją cofnęłam. Grace siedział, w dalszym ciągu wpatrzony w jakiś odległy punkt.

– Daj spokój. Powiedz mi, co się stało. Gdybyś nie chciał, tobyś mnie tu nie przyprowadził, nie powiedziałbyś nic.

W tym momencie pomyślałam o Jake’u, o wszystkich tajemnicach z jego przeszłości, które odkrywałam po trochu, przedzierając się przez warstwy kłamstw i półprawd. Zastanawianie się nad tym, gdzie jest i dlaczego do mnie nie dzwoni, przypominało ból skręconej kostki – niby możesz chodzić, ale cały czas ją czujesz. Od chwili, kiedy się poznaliśmy, Jake tylko raz zniknął mi tak jak teraz, i to w dramatycznych okolicznościach. Przychodziło mi na myśl, czy to przypadkiem nie on zabił Esme i dlatego musi się ukrywać, ale z drugiej strony jakoś mi to do niego nie pasowało. Czy może raczej nie chciałam sama przed sobą przyznać, że mogło tak być – że w końcu gniew wziął nad nim górę.

– Szczegóły są nieważne – powiedział Grace.

– Ale uważasz, że on ją zabił.

– Ja wiem, że on to zrobił. – Wreszcie odwrócił się do mnie.

– Jak? – zapytałam.

Zachował kamienną twarz i milczenie.

– Przecież nie możesz rzucać takiej prowokacyjnej uwagi, a potem nabierać wody w usta. Powiedz mi, kim ona była? Jak poznała Maksa? W jaki sposób zginęła? – zapytałam. –

I dlaczego myślisz, że to on ją zabił?

Dylan Grace westchnął głęboko.

– Jej ciało znaleziono w zaułku za jednym z paryskich hoteli. Została pobita na śmierć – powiedział.

Ta informacja mnie zmroziła. Przypomniało mi się to, co mi mówił Nick Smiley. Ale głos Dylana był beznamiętny, a twarz nieprzenikniona. Wyglądało na to, że przestał cokolwiek przeżywać na poziomie emocjonalnym.

– Przykro mi – powiedziałam.

Brak odpowiedzi. Nie rozumiałam sposobu komunikowania się tego faceta. Albo nie można go było powstrzymać, kiedy się rozgadał, albo milczał jak grób. Wstałam z westchnieniem i zaczęłam spacerować tam i z powrotem, żeby choć trochę pobudzić krążenie w zdrętwiałych z zimna nogach. Coś mi tu nie grało. Ale jednocześnie nie przestawałam kontrolować czasu.

– Dlaczego myślisz, że Max ją zabił? – zapytałam ponownie. Bez jakichkolwiek szczegółów cała ta sprawa wydawała się zmyślona. Nie przekonywała mnie.

Otworzył usta, ale zaraz zamknął. I po chwili:

– Powiedzmy, że miał wystarczający motyw i okazję.

Potrząsnęłam głową. Nie chciałam lekceważyć ani jego, ani jego tragedii, lecz to jeszcze nie był dowód.

– Będziesz musiał to jakoś mocniej uzasadnić – powiedziałam. – Ale niezależnie od wszystkiego, naprawdę nie wiem, co to ma wspólnego ze mną. To znaczy... – ciągnęłam, kiedy nie odpowiadał – jeżeli uważasz, że ja coś wiem o Maksie, to rozmawiasz z niewłaściwą osobą.

– Przeciwnie – odparł. – Uważam, że rozmawiam z najwłaściwszą osobą. Tyle tylko, że nie mówisz mi wszystkiego, już ci to wcześniej powiedziałem. Daję ci więc okazję, żebyś zrobiła to teraz, kiedy spotkaliśmy się w cztery oczy, tylko ty i ja. W tej chwili ty nie jesteś świadkiem federalnym, a ja agentem FBI. Jesteśmy po prostu dwojgiem ludzi, którzy mogą sobie nawzajem pomóc w poszukiwaniu tego, co ma dla nas życiowe znaczenie. Ty musisz znaleźć ojca. Ja muszę znaleźć zabójcę matki. A tak się składa, że to ta sama osoba. Możemy sobie nawzajem pomagać albo się nawzajem krzywdzić. To już zależy od ciebie.

– Mam lepszy pomysł: dajmy sobie nawzajem święty spokój. Byłam dzisiaj świadkiem czyjejś śmierci. Chcę iść do domu i zapomnieć o tym, że coś takiego się w ogóle wydarzyło. Proponuję, żebyśmy wrócili – ty do swojej pracy, ja do swojego życia – i zapomnieli, że się w ogóle spotkaliśmy. Możesz spróbować jakiejś terapii. Ja pewnie też spróbuję.

Niewykluczone, że mieliśmy te same cele: oboje chcieliśmy, żeby Max Smiley odpowiedział za czyny, które mógł popełnić. Ale nawet przez jedną chwilę nie wierzyłam, że jesteśmy po tej samej stronie. Z tego, co wiedziałam, mógł to być z powodzeniem fortel Dylana Grace'a obliczony na zyskanie mojego zaufania i wyciągnięcie ode mnie wszystkiego, co wiedziałam, a to by oznaczało murowany sukces zawodowy. Spektakularne aresztowanie, stanowiące ważny szczebel w karierze.

Miałam zamęt w głowie, byłam przerażona i zła. W wyniku zdarzeń ostatnich kilku dni i działań człowieka, który chciał, bym uwierzyła, że jest moim przyjacielem i sprzymierzeńcem, czułam się kompletnie rozbita. Zrobiłam więc jedyną rzecz, jaką w tym

momencie uznałam za właściwą: zaczęłam uciekać.

Jestem żałośnie kiepską biegaczką. To wina mojej budowy. Brakuje mi i szybkości, i wytrwałości. Mimo to zdołałam uciec Dylanowi Grace'owi, chociaż, jak podejrzewam, tylko dlatego, że nie zerwał się zaraz z miejsca i nie zaczął mnie ścigać z wystarczającą determinacją... A także dlatego, że zanim dobiegł do ulicy, udało mi się zatrzymać taksówkę.

– Ridley, nie bądź głupia! – wrzasnął za mną.

Pomachałam mu z odjeżdżającej z dużą szybkością taksówki.

– Nie powinna pani tak uciekać od swojego chłopaka – zbeształ mnie taksjarsz. Spojrzałam na tabliczkę identyfikacyjną: nazywał się Obi Umbabwai i miał bardzo wyraźny afrykański akcent. – Dobrych mężczyzn nie ma zbyt wielu.

Rzuciłam mu ponure spojrzenie.

– Dokąd jedziemy? – zapytał, minawszy ze dwa квартаły ulic w kierunku południowym.

– Jeszcze nie wiem – odpowiedziałam. – Ale jedźmy.

– To pani musi być bogata – skomentował.

– Proszę jechać. – Wyciągnęłam z kieszeni komórkę i wybrałam numer, który wzięłam ze strony internetowej Granta. Modliłam się, żeby po sygnale nie usłyszeć poczty głosowej. Było wpół do drugiej.

– Słucham – odezwał się Grant.

– Muszę się z tobą zobaczyć.

– A czy my się znamy? – usłyszałam po przerwie.

– Jasne, że się znamy. Nie wygłupiaj się. Wczoraj wieczorem poznaliśmy się w Yaffie. I sam powiedziałaś, że musimy się jeszcze zobaczyć.

Najpierw zaczął protestować, a potem chwycił, o co chodzi. Nie za szybko, jak na teoretyka konspiracji. Prawdopodobnie we czwartki wieczorami spotykał się ze swoimi kumplami, żeby grać z nimi w Lochy i Smoki, i to pewnie była jedyna konspiracja, z jaką się zetknął.

– Ach tak, oczywiście – powiedział z szacunkiem. – Cieszę się, że dzwonisz.

– Czy możemy się spotkać teraz, zaraz?

– Teraz? – zapytał lekko zdziwiony i trochę niepewny.

– Teraz albo nigdy. Jestem osobą dość zajęta.

Znów nastąpiła pauza. Słyszałam jego oddech, ciężki, podniecony.

– Gdzie?

Powiedziałam mu, gdzie może mnie zastać, i przerwałam połączenie. Podejrzewałam, że to mu sprawi radochę na cały dzień, a może nawet i rok. Podałam kierowcy, dokąd ma jechać, co skwitował ponurym spojrzeniem w lusterko.

– Jak sobie życzysz, malutka.

Zadzwoniła moja komórka i na wyświetlaczu pojawił się numer Dylana. Nacisnęłam guzik i przyłożyłam telefon do ucha, ale nie odezwałam się słowem.

– Popęlniasz wielki błąd, Ridley – powiedział. – Czy rzeczywiście chcesz być pieprzonym

zbiegiem?

Po tonie jego głosu i po tym, że przeklina, poznałam, że jest naprawdę wkurzony. Przerwałam połączenie i zamknęłam oczy. Oparłam się na nieskazitelnie czystej tapicerce ze sztucznej skóry i pozwoliłam taksjarszowi wieść się na Times Square.

Znając moje dorosłe życie, nigdy byście nie powiedzieli, że wychowywałam się w atmosferze wolnej od dramatycznych wydarzeń. Mój brat stwarzał wokół siebie dużo zamieszania, więc postanowiłam, że przynajmniej ja będę tym „dobrym dzieckiem” i nikomu nie przysporzę kłopotów. Owszem, złapali mnie kiedyś na paleniu papierosów (nawet nie były moje), zdarzało mi się też od czasu do czasu wrócić za późno do domu, ale nic gorszego. Nie pamiętam nawet, żeby mi kiedykolwiek zabronili za karę wychodzić z domu.

Ale był czas, po wyprowadzeniu się Ace’a, że musiałam ten fakt odreagować – tak bardzo byłam smutna i zła. Miałam uczucie, że w mojej piersi zagnieździł się ból, nie znajdując ujścia. Zauważyłam, że źle śpię i nie mogę się skupić w szkole. Przestałam chodzić z przyjaciółmi do centrów handlowych i do kina. Miałam tylko ochotę siedzieć w swoim pokoju i spać. Zaczęłam udawać chorą, żeby nie iść do szkoły. To niełatwe, kiedy ma się ojca pediatrę. Ale mówiłam, że mam bóle miesiączkowe, i ojciec wierzył mi bezwarunkowo.

Rodzice chyba nie dostrzegali mojej rozpaczki, może dlatego, że sami byli pogrążeni w depresji. Próbowali oddać mojego brata na leczenie odwykowe wbrew jego woli. Skutek był taki, że wyniósł się z domu. Mieszkał gdzieś w Nowym Jorku, marnując życie. Przerwał naukę tuż przed maturą, a rodzice nic na to nie mogli poradzić, ponieważ Ace właśnie skończył osiemnaście lat. To była dla nich absolutna klęska. Czasem w nocy, kiedy nie mogłam spać, schodziłam do kuchni, żeby coś zjeść. Dwa razy przez zamknięte drzwi gabinetu słyszałam, jak ojciec płacze.

Któregoś dnia rano, kiedy jadłam śniadanie, rodzice się kłócili. Wolałam, żeby mnie nie widzieli. Wzięłam swoje rzeczy i wymknęłam się z domu bez pożegnania. Zamiast czekać na rogu na autobus, zeszłam na dół do stacji kolei i wsiadłam do pociągu o siódmej pięć. Na stacji Hoboken przesiadłam się w pociąg linii PATH do Christopher Street. Przez jakiś czas spacerowałam po West Village, aż w końcu dotarłam do ulicy Pięćdziesiątej Siódmej, ale zanim dojrzałam na miejsce, Max zdążył już wyjść do pracy. Do budynku wpuścił mnie portier Dutch, a do mieszkania pokojówka Maksa Clara. Zrobiła mi grillowaną kanapkę z serem i dała kubek mleka czekoladowego. Następnie poszłam do gościnnego pokoju, opuściłam rolety i położyłam się spać.

Clara o nic mnie nie pytała, zajrzała tylko raz i zamknęła drzwi. W chłodnym, ciemnym pomieszczeniu czułam się jak w kokonie. Dobrze mi było w ciszy i w miękkiej pachnącej brem pościeli. Nie mam pojęcia, jak długo spałam.

Clara musiała zadzwonić do Maksa, bo wrócił do domu wczesnym popołudniem. Obudził mnie lekkim pukaniem do drzwi.

– Zapraszam cię na lunch – powiedział, siadając na brzegu łóżka.

Zabrał mnie do American Grill na Rockefeller Plaza. Przyglądając się krążącym po lodowisku łyżwiarzom, pożerałam ogromnego cheeseburgera z frytkami i popijałam koktajlem mlecznym. Nie zadał żadnego z pytań, jakich się spodziewałam. Szczerze mówiąc, chyba niewiele rozmawialiśmy. Po prostu jedliśmy razem w sympatycznym milczeniu, dopóki nie uznałam, że jestem syta. Potem poszliśmy do kina. Nie przypominam już sobie, na co, ale

wiem, że było to coś śmiesznego i od osiemnastu lat, w każdym razie coś, na co moi rodzice nigdy by mnie nie puścili. Max zarykiwał się ze śmiechu, ściągając na nas pełne irytacji spojrzenia i wściekle „szszsz” nielicznych poza nami uczestników seansu. Pamiętam jeszcze, że absurdalnie głośny śmiech Maksa był zaraźliwy i że wkrótce ja też zaczęłam chichotać. Poczułam, że ciężar z mojej piersi ustępuje, a smutek powoli znika i że znów mogę oddychać.

W drodze powrotnej, w limuzynie, Max w pewnym momencie powiedział:

– Życie jest nieraz do dupy, Ridley. Niektóre sprawy idą źle i z czasem wcale nie jest z nimi lepiej. Ale to, co idzie źle, na ogół nas nie zabija, jednocześnie to, co dobre, daje nam siłę i napęd. Wielu ludzi ciężko pracowało na to, żebyście widzieli więcej dobra niż zła. Ale ta sprawa z Ace'em... – przerwał i wzruszył ramionami. – Całkowicie wymknęła się spod kontroli.

– Tęsknię za nim – powiedziałam. Sam fakt, że mogłam to powiedzieć głośno, odczułam jako ulgę. – Chcę, żeby wrócił do domu.

– Wszyscy tego chcemy, Ridley. I to, że go żałujesz, jest w porządku. Chodzi mi tylko o to, żeby cię ta sprawa nie zniszczyła. Żebyś nie spieprzyła swojego życia dlatego tylko, że Ace spieprzył swoje. Nie opuszczaj szkoły i nie obwiniaj rodziców. Nie chowaj się po ciemnych kątach, bo jesteś jak promień słońca. I niech tacy jak Ace nie próbują cię zgasić.

Skinęłam głową. Dobrze było porozmawiać na ten temat z kimś, kto nie cierpiał z tego powodu tak bardzo jak ja.

– Twoi rodzice są w tej chwili całkowicie rozbici. Staraj się być dla nich wyrozumiała.

Kiedy wróciliśmy, czekał na mnie u Maksa ojciec. Wracając do domu do New Jersey i stojąc w długich korkach godzin szczytu, mówiliśmy o wszystkim, co czułam. Na koniec poprosił mnie, żebym nie rozmawiała o tych sprawach z matką.

– Kiedy będzie gotowa, siądziemy wszyscy razem i wtedy porozmawiamy. Teraz jeszcze ta sprawa jest dla niej jak otwarta rana.

Od tej pory nie wspomnieliśmy ani razu imienia Ace'a.

Kilkakrotnie dzwoniłam do niego z taksówki, ale nie było żadnej odpowiedzi. Nawet poczty głosowej. Próbowałam tłumić w sobie strach, jaki odczuwałam na myśl o tym, że Ace wystawi mnie do wiatru i że sama będę musiała iść do Klasztoru. Kiedy mknęliśmy przez Hudson, zadawałam sobie pytanie: Dlaczego wszyscy mężczyźni w moim życiu są tacy jacyś poprzetrącani? Co takiego było w mojej karmie, że przyciągałam taką energię? Pomyślałam o Maksie, zastanawiając się, czy to możliwe, żeby żył, i czy to on miał na mnie czekać w Klasztorze. A może to Jake? Wyobraziłam sobie tych dwóch mężczyzn jako dwa ciemne księżycy krążące wokół mojego życia. Miałam uczucie, że ich orbity kiedyś się przetną, a oni się zderzą i jeśli nie dotrę w porę do jednego albo drugiego z nich, zginą w zderzeniu albo oni obaj, albo – ja. A jeśli jeszcze do tego dodamy Dylana Grace'a, kto wie, czym to się może skończyć.

Trochę w bok od Times Square jest pasaż z salonem gier komputerowych i internetową kawiarenką pod nazwą Obca Planeta. Trzy piętra najnowszych gier wideo i przez cały dzień, aż do późnej nocy, tłum wszelkiego rodzaju przygłupów i świrów. Lokal ten, ciemny i zatłoczony, pełen różnych drzwi, stanowił idealne miejsce potajemnego spotkania z maniakiem komputerowym. Okna były zaciemnione, więc kiedy się wśliznęłam do środka, miałam uczucie, że znalazłam się w jakimś dziwnym świecie przyszłości. Surfujący faceci,

dziewczyny skaterów, punki i hakerzy – całe to towarzystwo kłębiło się, śmigając od gry do gry, popijając koktajle mleczne i próbując wyglądać cool. Dokoła otyłego chłopaka podrygującego przed grą kung-fu zebrał się tłumek. Z głośników dudniła muzyka techno, na którą nikt nie zwracał uwagi. Jakaś azjatycka cizia w dziwnej grze disco tańczyła frenetycznie, poruszając się według własnego rytmu.

W niesamowity sposób lokal przypominał mi narkotykowe spelunki, które odwiedzałam, rozpaczliwie poszukując mojego brata. Też były ciemne i tłoczne od zombie zainteresowanych tylko tym, żeby przeżyć od haja do haja. Tam, gdzie przebywali, chwila obecna nie istniała; zamglonymi oczami wpatrywali się w rzeczy, których ja ani nie widziałam, ani nie rozumiałam. Zarówno tam, jak i tu czułam się anonimowa i niewidzialna. Co mi ostatnio bardzo odpowiadało.

Wbiegłam po schodach na tyłach budynku i weszłam do kawiarenki internetowej. Znalazłam wolne stanowisko w głębi, zamówiłam cappuccino i czekając na Granta, zaczęłam sprawdzać swoją pocztę internetową. Miałam nadzieję, że go poznam.

W swojej skrzynce znalazłam zwykle śmiecie. Przekopując się przez nie, natrafiłam na mejl od ojca. Temat obwieszczał tryumfalnie: „Wspaniałe wakacje!”. Była to krótka wiadomość informująca, że rodzice są w Hiszpanii, że się zachwycają „spektakularną architekturą” i „boskim jedzeniem i winem”. Ogarnęła mnie fala złości tak intensywnej, że ukryłam twarz w dłoniach; myślałam, że wyrzycam całe cappuccino. Kliknęłam „usuń”. Jak zwykle moi rodzice bujali gdzieś w swoim małym świecie, podczas kiedy mój się walił. Zaczynałam rozumieć, dlaczego Ace tak ich nienawidził. A potem zobaczyłam mejl od mojego brata – bez tematu. Treść brzmiała: „Nie dam rady dziś wieczorem, Ridley. Przemyśl to. Sorry”.

Odpisałam mu: „Tchórz”. I kliknęłam na „wyślij”. Ostatnio łudziłam się, że będę mogła w razie potrzeby polegać na swojej rodzinie. Ale przypomniało mi się to, czego się nauczyłam w ubiegłym roku: „Jesteś już samodzielna”.

Wyciągnęłam z kieszeni komórkę i znów wybrałam numer Jake’a. Zanim jeszcze usłyszałam sygnał, odezwała się poczta głosowa.

– O Boże – jęknęłam cicho do telefonu. – Gdzie ty jesteś?

W kawiarence kłębił się różnorodny tłum składający się ze studentów z plecakami i biznesmenów z miękkimi torbami na laptopy, zauważyłam nawet starszą panią z balkonikiem zaparkowanym obok fotela. Wszyscy mieli twarze rozświetlone blaskiem bijącym od monitorów. Mimo to nigdy nie czułam się tak samotna jak teraz. Sprawdziłam godzinę na komórce; Grant był już pięć minut spóźniony. Do spotkania w Klasztorze, na które – zgodnie z moimi obawami – będę musiała pójść sama, miałam jeszcze sześć godzin. Sięgnęłam do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyjęłam portfel, w którym nosiłam całą kolekcję paragonów, najróżniejszych wizytówek i bardzo mało pieniędzy. Grzebiąc w tym śmietniku, znalazłam wreszcie to, czego szukałam: wizytówkę jedyne go agenta FBI, który w czasie dochodzenia dotyczącego mojego ojca potraktował mnie przyzwyczajenie. Była to Claire Sorro, starsza ode mnie o jakieś dziesięć lat. Bardzo profesjonalna i uprzejma, okazała mi wiele ciepła w sytuacjach, w których inni byli chłodni i oficjalni. Wybrałam jej numer, wtulając się w sztuczne drewno otaczającej mnie boazerii.

– Sorro – zgłosiła się.

- Tu Ridley Jones.
- Ridley – powiedziała, a ja wyczułam w jej głosie ostrożność i zaczęłam się zastanawiać, czy ludzie już wiedzą, że urwałam się agentowi Grace'owi.
- Muszę z kimś porozmawiać na temat agenta specjalnego Dylana Grace'a.
- Okej... – głos Sorro jak gdyby zawisł w powietrzu.
- On nie powinien pracować nad sprawą Myry Lyall. Jest w pewnym sensie osobiście zaangażowany w sprawę Maksa Smileya. Uważa, że Max zabił jego matkę. I próbuje mnie wykorzystać do tego, żeby się przekonać, czy Max rzeczywiście nie żyje.
- Ridley – zaczęła Sorro, ale jej przerwałam. Gdybym się uważniej wsłuchała we własne słowa, tobym doszła do wniosku, że gadam bez sensu. Zakładałam, że Sorro wszystko wie.
- Zdaję sobie sprawę z tego, że nie powinnam była od niego uciekać, ale ja bym się sama zgłosiła do FBI, gdybyście odebrali tę sprawę Dylanowi Grace'owi. Nawet i jutro rano. Nie miałam nic wspólnego z zamordowaniem Sary Duvall. – Zaczerpnęłam tchu.
- Ridley – powiedziała szybko Sorro, wykorzystując chwilę ciszy. – Nie mam zielonego pojęcia, o czym ty mówisz.
- O agencji Dylanie Gracie.
- Nigdy o nikim takim nie słyszałam. – Serce zaczęło mi walić jak młotem. – Wiem tylko jedno: że we wszystkich newsach jest twoja twarz, interesują się tobą w związku z zamordowaniem Sary Duvall i że jakiś wspólnik pomógł ci uciec z aresztu policyjnego.
- Jaki wspólnik!? To nie jest żaden mój wspólnik. – Poczułam, jak robi mi się sucho w ustach. – Zabrał mnie stamtąd agent Grace. Jestem świadkiem federalnym.
- Już nie jesteś. Sprawa projektu „Na ratunek” dawno została zamknięta.
- Od roku mnie śledzą. Ktoś z FBI w dalszym ciągu szuka Maksa Smileya. Uważają, że może się ze mną próbować kontaktować; on mnie kochał.

W ciszy, jaka zapadła, zorientowałam się, że robię z siebie idiotkę. Smutna, zdolowana wariatka, która poszukuje nieżyjącego człowieka dlatego tylko, że kiedyś ją kochał.

- Ridley – powiedziała uspokajająco agentka Sorro. – Max Smiley nie żyje. Przecież wiesz o tym.

Próbowałam sobie przypomnieć, co mi mówił Dylan Grace, i nagle to wszystko wydało mi się bardzo mgliste. Ile z tego było dziełem mojej wyobraźni? A co mówił naprawdę? Opowiedziałam jej, jak wtedy, kiedy zatrzymał mnie na ulicy w związku z tamtymi zdjęciami, pokazał legitymację służbową, jak za mną chodził i że miał dostęp do moich rozmów telefonicznych i wreszcie, jak mnie wyprowadził z posterunku policji. Musiałam zrobić na Sorro wrażenie histeryczki i mitomanki. Zastanawiałam się, czy próbuje namierzyć mój telefon, ustalić, skąd dochodzi sygnał i na tej podstawie określić, gdzie jestem.

Znów zaległo ciężkie milczenie.

- Powtórz mi jeszcze raz nazwisko tego człowieka.
- Dylan Grace – odparłam, z sekundy na sekundę czując się coraz bardziej głupio. – Na serio nigdy o nim nie słyszałaś?
- Nigdy – powtórzyła Sorro. – W tej chwili zaglądam do bazy danych. – Słyszałam, jak stuka palcami po klawiaturze. – W naszych plikach nie ma nikogo o takim nazwisku. W ogóle nikt taki nie pracuje w FBI na terenie całych Stanów Zjednoczonych.

Odczekałam chwilę, aż ta wiadomość dotrze do mnie z całą siłą. Przez moment

zastanawiałam się, czy aby go sobie w ogóle nie wymyśliłam i czy to wszystko nie jest wytworem mojej wyobraźni. Może powinnam się gdzieś zgłosić na jakieś badanie, brać jakieś leki?

– Wiesz co, Ridley, odnoszę wrażenie, że masz więcej kłopotów teraz, niż gdybyś się dobrowolnie zgłosiła na policję. Policja Nowego Jorku chce z tobą po prostu porozmawiać – powiedziała z pewną szczególną intonacją, która kazała mi się domyślać, że w pojęciu Sorro przekroczyłam pewne granice. – Możemy się gdzieś spotkać i mogę z tobą pójść na policję, jeśli chcesz. Wspólnie się nad tym wszystkim zastanowimy. Trzeba ustalić, kim jest ten facet, dlaczego podaje się za agenta FBI i czego tak naprawdę od ciebie chce. Możemy sobie nawzajem pomóc.

W tym momencie usłyszałam delikatne kliknięcie na linii. To mnie sprowadziło na ziemię. Zaczęłam rozważać za i przeciw zgłoszenia się na policję. Sorro miała rację: to by z pewnością było dla mnie bezpieczniejsze. Ale jednocześnie coś mi mówiło, że jedyna droga do Maksa prowadziła przez spotkanie w Klasztorze. Uczepiłam się tej myśli i chociaż nie miałam żadnego powodu sądzić, że istotnie tak jest, to jednak nie mogłam się od niej uwolnić. Jeśli o godzinie ósmej nie będzie mnie w Klasztorze, to Max może mi się wymknąć raz na zawsze, a ja nie wiedziałam, czy potrafię z tym żyć.

– Okej, Sorro – powiedziałam – dziękuję ci bardzo.

– Gdzie chcesz, żebyśmy się spotkały?

– Hmm... zastanowię się i do ciebie zadzwonię.

– Ridley...

Przerwałam połączenie i siedziałam przez chwilę napięta jak struna. Każdy nerw w moim ciele drgał, w brzuchu miałam rewolucję. Dylan Grace, mój domniemany przyjaciel, okłamał mnie; wpadłam w jego zasadzkę i nawet nie wiedziałam, jak mam na to wszystko zareagować i co o tym sądzić. O dziwo, wcale nie czułam się tym wstrząśnięta ani zdradzona. Po prostu był kimś innym, niż się wydawał. Niemal z ulgą przyjął fakt, że się co do niego nie pomyliłam.

Rozejrzałam się bacznie dokoła, ale nikt nie patrzył w moją stronę, każdy z najwyższą uwagą gapił się w monitor przed sobą. Miałam ochotę wołać o pomoc, ale oczywiście tego nie zrobiłam. I wtedy zobaczyłam młodego faceta, który mocno zadyszany, wdrapywał się po schodach. Był pulchny i miękki, ale miał ładną twarz w aureoli złotych kędziorów, a na nosie delikatne okrągłe okulary w srebrnej oprawce. Nie ulegało wątpliwości, że to musi być Grant. Nagle przeraziłam się, że wystawiam biedaka na niebezpieczeństwo i że skończę na klęczkach nad jego martwym ciałem. Miałam ochotę uciekać, ale zdążył mnie już zauważyć i właśnie zmierzał w moją stronę.

– Wiedziałem, że to ty – powiedział, ciężko siadając koło mnie. Zdjął okulary i wytarł w brzeg koszulki. Na piersiach miał napis: „Do tego, żeby zło zatryumfowało, potrzeba jedynie, żeby dobrzy ludzie nie robili nic”.

Ze zdziwienia, że mnie poznał, nie odezwałam się słowem.

– Musiałaś wdepnąć w niezłe gówno, bracie. – W jego głosie usłyszałam podziw. – Musiałaś odwalić niezły numer w poprzednim życiu, skoro jeszcze w tym tyle ci się wali na łeb.

Uznałam, że jest bardzo nietaktowny, i powiedziałam mu to.

– Przepraszam – odparł – masz rację. Jak się wymknęłaś policji?

Zaskoczyło mnie to pytanie. Sprawa musiała być istotnie nieźle nagłośniona. Gdzieś w głębi duszy miałam nadzieję, że agentka Sorro przesadza czy może nawet to wymyśliła jako część pewnego skomplikowanego fortelu. Może miała to być przykrywka dla tajnych działań zmierzających do ustalenia, czy Max ostatecznie żyje, czy nie.

– Ja sobie nie zdawałam sprawy z tego, że się im „wymykam” – odparłam dość agresywnie. – Myślałam, że zostałam aresztowana przez władze federalne.

Grant przechylił głowę i spojrzał na mnie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Opowiedziałam mu całą historię od chwili, kiedy Dylan podszedł do mnie na ulicy aż do mojej ucieczki z Riverside Park. Powiedziałam Grantowi nawet o SMS-ie i o spotkaniu w Klasztorze.

– To jest, bracie, gorsze gówno, niż myślałem – oświadczył, potrząsając głową.

Zdecydowanie zanadto go to wszystko bawiło. Zaniepokoiłam się.

– To bardzo odważnie z twojej strony, że przyszedłeś, biorąc pod uwagę liczbę osób z mojego otoczenia, które w ciągu paru ostatnich dni straciły życie albo zniknęły. – Zrewanżowałam mu się za jego wcześniejsze uwagi.

– Mnie nikt nie tknie, jestem zbyt znaną osobą – powiedział z niepewnością w oczach, nonszalancko wzruszając ramionami. Pomyślałam, że żartuje. Czy rzeczywiście uważał się za znaną osobistość? O mało się nie roześmiałam, ale stwierdziłam, że jednak mówi poważnie, i skinęłam głową porozumiewawczo.

– Oczywiście, że jesteś.

Grant najwyraźniej nie wyczuł ironii w moim głosie.

– Skąd się o mnie dowiedziałas? Ze strony internetowej?

– Nie – odparłam. – Powiedziała mi o tobie Jenna Rich.

– Och.

Był wyraźnie speszony. Zastanawiałam się, czy z innych źródeł słyszał o nie całkiem miłych rzeczach, jakie Jenna o nim mówiła. Nagle zrobiło mi się głupio.

– Powiedziała, że jesteś komputerowym geniuszem i że masz ciekawe teorie na temat Myry Lyall. Weszłam na twoją stronę internetową i pomyślałam, że mógłbyś mi pomóc.

Na te słowa trochę się rozpogodził.

– Pomóc ci, w jaki sposób? – zapytał, nachylając się do mnie skwapliwie.

Wpisałam adres internetowy i pojawił się czerwony monitor.

– Muszę się dowiedzieć, co to za strona internetowa. – Powiedziałam mu też o pliku wideo z Covent Garden, który widziałam na komputerze Jake’a.

Przysunął się do mnie i popchnął wyżej okulary na nosie. Nie powiem, żeby pachniał niemilo – jak pączki Krispy Kreme. Było w nim coś z sympatycznego niedźwiadka. Przez chwilę stuknął w klawiaturę i wkrótce otworzyły się dwa wąskie okienka. Cursor zamrugał w jednym z pustych białych prostokątów, czekając na odpowiedź.

– Czeka na login i hasło – powiedział, odwracając się do mnie.

– Jak to zrobiłeś? – spytałam z wymuszonym podziwem.

Grant parsknął lekceważąco.

– Podstawowy program płaszcza i szpady. Kurs dla początkujących szpiegów.

Zauważyłam, że jego czoło lśni od potu. Zastanawiałam się, czy to zdenerwowanie, czy jest mu po prostu za gorąco. Miał wyraźnie kiepską kondycję, pomieszczenie było przegrzane i nawet ja po pokonaniu schodów byłam trochę zdyszana.

Potrząsnęłam głową.

– Nie rozumiem.

– To się nazywa steganografia, z greckiego, „ukryte pismo”. Pozwala ukryć w tekście jakąś pozornie niewinną wiadomość. Jest taki program, jak Głośna Burza czy Śnieg, który pozwala ci zastąpić bezużyteczne czy nieużywane dane w normalnych plikach... grafiką, dźwiękiem lub nawet wideo. A ja po prostu szukałem tak długo, aż znalazłem okienko, gdzie kryły się podpowiedzi.

Patrzyłam na podpowiedzi, usiłując sobie przypomnieć login i hasło ojca. Prawdopodobnie – uznałam – są takie same jak w domowym komputerze. Co jak co, ale był to człowiek przewidywalny. Sięgnęłam do klawiatury.

– Zaczekaj, nie spiesz się za bardzo. Jeśli zrobisz fałszywy ruch, możesz uprzedzić administratora sieci, że ktoś nieupoważniony chce wejść na stronę. A wtedy i podpowiedzi, i sama strona mogą zniknąć bezpowrotnie.

Patrzyłam na niego bez słowa, ale cofnęłam rękę.

– Chociaż to nie jest typowe dla stron steganograficznych – dodał, jakby głośno myślał. – Zwykle jest to podszywanie się pod coś, na przykład pod strony porno czy nawet księgarnię z kryminałami. Wtedy wiadomość jest ukryta, jak mówiłem, w plikach graficznych czy dźwiękowych strony internetowej.

– Albo w plikach wideo – dodałam, mając na myśli komputer Jake’a.

Grant skinął głową.

– A do tego wszystkiego wiadomości mogą być jeszcze zaszyfrowane. Istnieje taki program, który się nazywa Spam Mimie. Powiedzmy, że na takiej stronie internetowej jest do ciebie wiadomość. Zagładasz do skrzynki, a tam są zwykle śmieci, które byś normalnie wykasowała, tymczasem wiesz, że to jest dla ciebie sygnał, żebyś sprawdziła stronę internetową.

Przypomniał mi się komputer ojca i te śmieci, jakie znalazłam w jego poczcie. Zastanawiałam się, czy właśnie tam nie kryje się przypadkiem sygnał, że czeka na niego wiadomość.

A tymczasem Grant ciągnął:

– Klikasz na link i on cię prowadzi do strony internetowej z wiadomością. Odbierasz ją i zakładamy, że wiesz, jak ją odszyfrować.

– I kto by się w to zabawiał?

Grant wzruszył ramionami.

– Władze robiły dużo szumu, że to sposób komunikowania się terrorystów. Domagają się bardziej restrykcyjnych przepisów dotyczących programów, które umożliwiają szyfrowanie wiadomości w ten sposób. Bo takie wiadomości są praktycznie nie do wykrycia. Jeżeli ktoś się nie natknie na taką stronę i nie wie, z czym ma do czynienia, to nie będzie wiedział, że coś takiego istnieje. Ten rodzaj komunikowania się coraz bardziej wypiera telefon. Władze są zaniepokojone, bo ta metoda w znaczący sposób ogranicza zwykłe „gadanie”, które łatwo monitorować za pomocą konwencjonalnych środków antyterrorystycznych.

Nie wiedziałam, co rozumie przez „gadanie”, chociaż już wcześniej spotkałam się z tym terminem. Zapytałam o to Granta.

– Tak, władze mogą monitorować aktywność terrorystów, obserwując częstotliwość komunikowania się między znanymi grupami. Kiedy stwierdzają wzmożony ruch, a nawet spadek aktywności w komunikowaniu się grup terrorystycznych wraz z innymi oznakami, takimi jak powiedzmy przechwytywanie korespondencji czy obserwacje satelitarne – wtedy wiedzą, że coś się dzieje. Ale takie sprawy jak te strony internetowe, jednorazowe telefony komórkowe, a nawet kawiarenki internetowe, jak choćby ta, bardzo im utrudniają życie. Oczywiście organizacje w rodzaju FBI czy CIA prawdopodobnie przez cały czas używają takich stron internetowych, żeby się porozumiewać z funkcjonariuszami w terenie, ze współpracującymi z nimi freelancerami i Bóg raczy wiedzieć z kim jeszcze. I po prostu nie chcą, żeby ktokolwiek poza nimi się tym posługiwał.

– Sara Duvall powiedziała mi, że kiedy Myra Lyall wybiegła z redakcji „Timesa”, też miała tamtego popołudnia w swoim służbowym komputerze taki monitor.

– Poważnie? – zapytał. – Czy ja to mogę zainstalować na swojej stronie?

Spojrzałam na niego.

– Nie radzę – odparłam.

Grant zdjął okulary i znów przetarł je brzegiem koszulki. Pocił się teraz obficie.

– Czy można się w jakiś sposób dowiedzieć, kto założył tę stronę albo skąd ona pochodzi? – spytałam.

– Mogę wziąć adres internetowy, iść do siebie i zobaczyć, co z tego wyniknie – powiedział, zakładając okulary. – Są sposoby na to, żeby te rzeczy wytropić, a ja znam ze dwóch facetów, którzy by mogli pomóc. – Próbował okazywać spokój, ale nie bardzo mu to wychodziło. Po jego policzku spłynęła maleńka kropelka potu.

– Może ci przynieść wody albo czegoś do picia?

– Przepraszam. – Grant otarł ręką czoło, a rękę wytarł o spodnie. – Ja się tak pocę, kiedy jestem naprawdę podniecony. A jest się czym podniecać. Po prostu nie mogę uwierzyć, że siedzę tu teraz z Ridley Jones.

Sposób, w jaki wymówił moje nazwisko, pełen respektu i podziwu, sprawił, że zrobiło mi się mdło.

– Co masz na myśli?

– Od wielu miesięcy piszę o projekcie „Na ratunek”. Gdyby nie ty, te wszystkie sprawy nie wyszłyby na jaw. Teraz uciekasz przed policją. Max Smiley być może żyje. Aż za dużo tego dobrego.

Poczułam, że ze złości i zdenerwowania dostaję wypieków.

– To jest moje życie, Grant, nie jakiś film tygodnia. Zginęli ludzie. A to poważna sprawa.

– Wiem – odparł. – I dlatego to jest takie cool.

– Interesuje mnie tylko jedno, Grant – powiedziałam, trąc oczy. Nagle poczułam się bardzo zmęczona. – Pomożesz mi czy nie?

– A co byś chciała, żebym zrobił?

– Chcę wiedzieć, skąd pochodzi ta strona internetowa, jak się zalogować i jakie zawiera informacje.

Grant ponownie zdjął okulary i spojrzał mi prosto w oczy. Wdzięk misiaczka gdzieś się

ulołnit.

– A co ja z tego będę miał?

Wzruszyłam ramionami.

– A co byś chciał?

– Ekskluzywnego wywiadu z Ridley Jones na mojej stronie internetowej – odparł bez chwili wahania.

Co za sęp, pomyślałam. Jego oczy zrobiły się nagle małe jak paciorki. Odchylił się do tyłu z wyrazem samozadowolenia, a ja miałam ochotę dać mu fangę w to jego wielkie tłuste brzuszysko.

– Okej – powiedziałam. – Po zakończeniu sprawy.

Uniósł brwi.

– Bez urazy, ale na jakiej podstawie uważasz, że tobie się uda? Sama powiedziałaś, że wszyscy umoczeni w tym szambie znikają albo umierają. Skąd pewność, że z tobą będzie inaczej?

Czułam, że żołądek wywraca mi się na lewą stronę. Ludzie potrafią mówić najwredniejsze rzeczy. Czy nie mam racji?

Udając pewną siebie, obdarzyłam go bladym uśmiechem.

– To już ryzyko, które będziesz musiał podjąć, Grant.

Zastanawiałam się, czy wyjdzie. Nie musiał tego robić. Prawdopodobnie byłoby lepiej, gdyby tego nie zrobił. Ale z przyjemnością patrzyłam, jak ciekawość bierze górę nad ostrożnością.

– Jak będę mógł się z tobą skontaktować?

Popchnęłam w jego stronę wizytówkę z moim nazwiskiem, telefonem domowym, komórką i adresem mejlowym.

– Skontaktuję się z tobą w ciągu dwóch godzin.

– Dwóch godzin? – zaprotestował, podnosząc ręce. – To niemożliwe, brachu.

– Ja mam niewiele czasu, Grant. Postaraj się.

Skinął głową, na odwrocie mojej wizytówki zapisał adres mailowy, a wizytówkę schował do kieszeni džinsów.

– Będę leciał. – Wręczył mi swoją wizytówkę. – Tu masz moje telefony. Wszystkie są bezpieczne. Jest tam też bezpieczny adres mejlowy.

Schowałam wizytówkę do kieszeni i patrzyłam, jak Grant wstaje.

– Masz do czynienia z poważną osobą – powiedział, patrząc na mnie. – Twoja twarz jest wszędzie, w telewizji, na stronie internetowej „Timesa”... i na pewno będzie w wieczornych wydaniach gazet. Jeśli nie chcesz, żeby cię złapali, zachowaj ostrożność.

Ostatni raz moja twarz była wszędzie, kiedy uratowałam Justina Wheelera. Ludzie zatrzymywali mnie wtedy na ulicy, ściskali, życzyli wszystkiego najlepszego. A przecież w wyniku tego rozgłosu moje życie zamieniło się w piekło. Teraz zastanawiałam się, co się dzieje, gdy twoja twarz jest wszędzie, ale dlatego, że jesteś poszukiwany przez policję. Dotarło do mnie, że dostanie się do Klasztoru może nie być takie proste.

– Ty też, Grant – odparłam. – Tylko ani słowa o tej stronie. Ani o telefonie czy naszym spotkaniu. Mógłbyś nas oboje wpakować w niezłą kabałę.

Skinął głową i ruszył do wyjścia.

– Hej, pierwsze pytanie – odwrócił się jeszcze do mnie. – Jakie to uczucie, kiedy się jest totalnym dzieckiem projektu „Na ratunek”?

Spojrzałam mu w oczy.

– Do dupy, bracie. Totalnie do dupy.

Jeszcze przez jakiś czas siedziałam w bezpiecznej ciemności Obcej Planety, kombinując, co robić. Zamówiłam następne cappuccino. Miałam nieprzyjemne uczucie, że gdy tylko wychynę na światło dzienne, zostanę rozpoznana i aresztowana, co zresztą z punktu widzenia mojego osobistego bezpieczeństwa byłoby – podejrzewam – wcale nie takie złe. Przez kilka minut gapiłam się jeszcze na czerwony monitor, popijając cappuccino i zastanawiając się nad przestrogą agentki Sorro. A potem wróciłam myślami do Dylana Grace’a i do tego, co mi mówił w parku. Okazał się kłamcą, który Bóg raczy wiedzieć, dla kogo pracował i jakie miał cele, w każdym razie co do jednego się nie mylił: obojętne, czy Max był żywy, czy martwy, nie przestanę go ścigać.

Zamiast jednak powolnego poznawania swojej przeszłości, zyskiwania coraz większej jasności, czułam, że moja niepewna tożsamość staje się jeszcze bardziej mglista. Z każdym dniem mój związek z kobietą, którą dotąd byłam, wydawał mi się słabszy.

Nie miałam wątpliwości, że jedynym sposobem na to, by zrozumieć siebie, było znalezienie Maksa, mojego ojca. Albo go znajdę, albo się całkowicie zagubię. Jeśli pozwolę się aresztować, to zapewne nigdy nie znajdę odpowiedzi na moje pytania. Zamykały się jakies drzwi i wiedziałam, że jeśli nie zdążę w nie w porę wskoczyć, zatrzasną się przede mną na zawsze.

Przypomniał mi się tamten dzień w lesie za domem. Max powiedział wtedy: „Moje serce jest połączone złotym łańcuchem z twoim. Możesz mi wierzyć. Zawsze cię znajdę”. I miał rację. Wiedziałam to wtedy i wiem teraz. Było też dla mnie jasne, że jestem jedyną osobą, która mogła go sprowadzić. Ten związek między nami wydawał mi się zawsze wielkim darem. Teraz stał się przekleństwem.

Zdarzały się naturalnie i inne sytuacje, w które pakowałam się sama albo bywałam wciągnięta, w zależności od tego, jak na to spojrzycie: zniknięcie Myry Lyall; zamordowanie Esme Gray i Sary Duvall; zagadka Dylana Grace’a (nie mówiąc już o tym, gdzie się do cholery podział Jake?). Myra Lyall zarzuciła Sarze brak ognia, brak ciekawości w dążeniu do prawdy. Mnie by z pewnością o nic takiego nie oskarżyła. Co tak strasznego się za tym kryło, że wszyscy ci ludzie albo ginęli nagłą śmiercią, albo w tajemniczy sposób znikali, albo kłamali? Czego się dowiadywali? Komu zależało na tym, żeby ich uciszyć? Kim był mężczyzna w czerni, który zabił Sarę Duvall tak bezczelnie, na ulicy, a potem zniknął? Co to wszystko miało ze mną wspólnego?

Ace zarzucił mi, że pcham się w kłopoty. Może i miał rację. Ale chwilami wydawało mi się, że to kłopoty pchają się do mnie.

Kiedy zauważyłam, że słońce jest już nisko, wyszłam z Obcej Planety i wstąpiłam do drogerii, gdzie kupiłam kilka rzeczy. Następnie wynajęłam pokój na godziny w pobliżu Czterdziestej Drugiej ulicy, w koszmarnym miejscu, którego istnienia grzeczne dziewczynki z przedmieść nawet nie podejrzewają, zamieszkanym przez przejezdnych, bezdomnych, prostytutki i ludzi ledwie utrzymujących się na powierzchni i wiążących koniec z końcem. Ciemne schody, brudne korytarze, snujący się tam wypaleni ludzie, jednym słowem,

prawdziwa ziemia straceńców.

Pokój był mały i brudny, pachniało w nim środkiem odkażającym. Przez cienkie ściany słyszałam wrzaski i ryczenie licznych telewizorów. Nie zamierzałam się tu zatrzymywać; po prostu potrzebna mi była na chwilę mała prywatna łazienka. W plastikowej torbie miałam farbę do włosów, elektryczną golarkę, okulary przeciwsłoneczne i czarną czapkę z daszkiem.

Kiedy wyszłam z łazienki, moje grube kasztanowate warkocze, z których byłam taka dumna, mocno związane spoczywały w plastikowej torbie z drogerii. Trzymałam je w ręku z zamiarem wyrzucenia do pierwszego napotkanego śmietnika. Skórzaną kurtkę wywróciłam na lewą stronę, wycinając metki i eksponując jedwabną podszewkę. Z okularów usunęłam ciemne szkła i włożyłam samą oprawkę (nie ma nic bardziej zwracającego uwagę, jak okulary przeciwsłoneczne wieczorem). Na moje nowe sztywne sterzące platynowoblond włosy nacisnęłam czarną czapeczkę.

Kim była ta dziewczyna w lustrze? Nigdy wcześniej nie widziałam jej na oczy.

Zawsze uchodziłam za atrakcyjną – żadna seksówka czy piękność, ale byłam wystarczająco ładna, żeby sobie dawać radę, choć nie dość urodziwa, by zwracać niepotrzebną uwagę. Sprawiało mi to jakąś przewrotną satysfakcję. Nigdy nie marzyłam o tym, żeby wyglądać jak dziewczyny z katalogu Victoria's Secret, ze sterczącymi kośćmi i uwodzicielskimi spojrzeniami, czy jak modelki z okładek pism ilustrowanych z ich retuszowaną urodą. Nigdy się nie stroiłam, nie głodziłam ani nie zachowywałam wyzywająco wobec mężczyzn – takie wysiłki u innych kobiet wydawały mi się żalodne. Matka kładła mi do głowy: „To ty wybierasz, kochanie; nie czekasz, aż cię wybiorą”. Wiedziała coś, czego dzisiejsze kobiety na ogół nie wiedzą, a mianowicie, że ich atrakcyjność to przede wszystkim świadomość własnej wartości. Że kobieta bezpieczna w poczuciu własnej siły nie potrzebuje się głodzić ani okaleczać operacjami plastycznymi, a nawet nie musi ukrywać swojej siwizny. Zawsze będzie miała ten rodzaj piękności, na który ani wiek, ani przelotne mody nie mają wpływu.

Mówiła też: „Jeżeli sama cenisz się nisko, to i mężczyźni będą uważali, że mogą mieć cię tanio, a potem rzucić”. Chodziło jej o to, że farbowałam włosy, robiłam tatuaże henną, nosiłam krótkie topy odsłaniające pępek i siatkowe rajstopy. Ale nawet kiedy złościłam się na te restrykcje, kiedy się przeciwko nim buntowałam, to jednak zawsze dostrzegałam prawdę w tym, co matka mówiła. Myślałam o tym wszystkim z powodu lubieżnych spojrzeń, jakie przyciągałam na ulicy kosmykami platynowych włosów, które wymykały się spod czapki. Nie byłam przyzwyczajona do takich lepkich spojrzeń, naprawdę. Chcę powiedzieć, że to jest jednak Nowy Jork i że zawsze mogą cię tu spotkać chamskie gwizdy czy obrzydliwe odgłosy. Ale od zwykłych mężczyzn mogłam oczekiwać co najwyżej przelotnych spojrzeń czy uśmiechów. Kiedy szłam Broadwayem do stacji kolei podziemnej, faceci gapili się na mnie z beczelnymi uśmieszkami. Przyspieszyłam, z trudem powstrzymując się od biegu. Czy to sprawa utlenionych włosów, czy też było we mnie coś, co zdradzało mój strach i rozpacz?

Zbiegłam po schodach na stację Times Square, czekając na jedynekę albo na dziewiątkę. Kiedy przyjechał pociąg, wsiadłam, przeszłam przez cały skład, znalazłam najluźniejszy wagon, zaszyłam się w samym kącie i zamknęłam oczy.

W pewnym momencie poczułam, że ktoś koło mnie siada, i nie otwierając oczu, dosłownie wtuliłam się w ścianę.

– Ciekawie wyglądasz. Trochę jak Madonna z czasów Vogue'a.

Otworzyłam oczy. Koło mnie siedział Jake z uśmiechem rozbawienia. Nie wiedziałam, czy dać mu w pysk, czy rzucić mu się w ramiona. Wybrałam to drugie. Tulił mnie mocno, tak samo jak ja jego.

– Przepraszam cię – wyszeptał mi do ucha. – Bardzo cię przepraszam.

Wysiedliśmy z pociągu na Sto Dziewięćdziesiątej Pierwszej i znaleźliśmy kubańską kawiarnię w samym sercu ruchliwej dzielnicy Inwood. Jest to czubek Manhattanu, jeszcze nie całkiem Bronx, ale już bardzo blisko. Kolej jest tu naziemna, a ulice to mieszanina brudnych rodzinnych restauracyjek, pralni samoobsługowych, sklepów spożywczych i budynków

mieszkalnych. W sumie całkiem bezpieczna dzielnica robotnicza, choć położona w pobliżu nieprzyjemnych sklepów z alkoholami, wyposażonych w bramki, ze sprzedawcami ukrytymi za szybami kuloodpornymi. Są tu bardzo silne wpływy latynoskie, a to oznacza naprawdę dobrą kawę i unoszący się w powietrzu zapach duszonej wieprzowiny, ryżu, fasoli i czosnku.

Znaleźliśmy wolny stolik w głębi, a ja zdjęłam idiotyczne okulary.

– Myśla, że to ty zabiłaś Esme – powiedziałam.

– Ciebie też poszukują. Chcą cię przesłuchać w sprawie ucieczki z policyjnego aresztu i morderstwa tej dziewczyny z „Timesa”.

Jake wydawał się zmęczony i blady, ale oczy miał żywe. Zauważyłam u niego nietypowe podenerwowanie. Przyszła kelnerka i zamówiliśmy kawę z mlekiem i tosty kubańskie.

– Wczoraj nie byłem nawet w pobliżu Esme – rzekł. – Ostatni raz ją widziałem, kiedy przyszedłem do niej na rozmowę w sprawie Maksa.

– A co z tą krwią w twojej pracowni?

Potrząsnął głową.

– Poszedłem tam wczoraj wieczorem w nadziei, że się pojawisz. Drzwi były otwarte, więc pobiegłem do Tompkins Square Park. Pomyślałem, że tam cię złapię i zatrzymam, ale na sekundę się odwróciłem i w tym czasie minęłaś mnie tak szybko, że nie zdążyłem. Chciałem cię gonić, ale zobaczyłem, że się tam pchają agenci federalni, i dlatego dałem spokój. Wkrótce zauważyłem, że wychodzisz w towarzystwie jednego z nich, więc uciekłem.

– Mogłeś chociaż zadzwonić – burknęłam nadąsana. – Myślałam, że zwariuję z niepokoju o ciebie. Zostawiłam ci chyba ze sto wiadomości.

Podniósł do góry telefon komórkowy.

– Siadła mi bateria, a wiedziałem, że jesteś monitorowana – i ty, i twoje połączenia. Doszedłem do wniosku, że będzie lepiej, jeśli cię namierzę gdzieś na ulicy.

Skinęłam głową i spojrzałam na stół. Stwierdziłam, że Jake nie robi wrażenia zdziwionego krwią w swojej pracowni, że się nie interesuje, co tam jeszcze zobaczyłam, co znaleźli agenci federalni (jeśli to byli oni). Nawet go nie spytałam, dlaczego nie jest tego wszystkiego ciekaw.

– Prawie cię nie poznałem. – Podniósł rękę do moich włosów. – Dlaczego to zrobiłaś? Powinnaś się zgłosić na policję. To bez sensu.

– Nie mogę tego zrobić – odpowiedziałam, przesuwając dłonią po sterczących, sztywnych kosmykach.

– Dlaczego?

– Wiesz dlaczego.

– On nie żyje, Ridley.

– Sam w to nie wierzysz. A nawet jeśli on... to i tak... – Poczułam, że nie jestem w stanie dokończyć zdania.

– To i tak co?

– To i tak muszę się dowiedzieć, kim był naprawdę. Kto jak kto, ale ty powinieneś to zrozumieć.

Sięgnął przez stół i ujął mnie za obie ręce. Spojrzałam na jego piękną twarz – na szmaragdowozielone oczy, na delikatne zmarszczki w ich kącikach, na ciemny zarost pokrywający idealnie kształtną szczękę. Wargi Jake’a miały najbardziej urzekający odcień różu, jak cukierek malinowy. Poczułam do niego fizyczny pociąg.

Na moment spuścił oczy i po chwili znów je podniósł.

– Pomyślałem o tym, co mi powiedziała Esme, żebyśmy zmienili nazwiska i wyjechali stąd najdalej, jak tylko się da. Może moglibyśmy to zrobić. Ty i ja. Wyjechalibyśmy dokądkolwiek. I zaczęli wszystko od nowa. Założyli rodzinę. Zniknęli. Chcę dać sobie z tym spokój. Coś ze sobą zrobić. Mam poczucie, że zmarnowałem na tę sprawę, na tę złość kawał życia. To jest przecież możliwe, prawda? Żebyśmy po prostu się zmyli.

Wszystko we mnie wołało: tak, tak, to jest możliwe, uciekajmy. Moglibyśmy otworzyć bar pod palmami na Karaibach albo znaleźć sobie sad oliwny w Toskanii. Rzucę moją pieprzoną rodzinę i koszmar Maksa oraz to, kim mógłby się okazać. Będziemy mieli dzieci i powiemy im, że jesteśmy sierotami, bez żadnej rodziny. Trucizna naszej przeszłości nie znajdzie do nich dostępu. Będą miały czystą kartę. Brzmiało to pięknie i przez ułamek sekundy prawie wierzyłam, że jest możliwe. Ale przecież nie mogliśmy tego zrobić, prawda? Zrywając wszelkie więzy, tracisz część siebie. Możesz odejść i ukryć się przed ludźmi, którzy cię stworzyli, ale zawsze będziesz słyszeć ich głos wołający twoje imię. A przynajmniej tak byłoby ze mną.

Nic takiego jednak nie powiedziałam. Mimo to wiem, że moja twarz zdradzała emocje, jakie przeżywałam. Jake puścił moje ręce i opadł na oparcie fotela. Zaczął paznokciem odrywać odstający od stołu róg laminatu. Niemal widziałam, jak wraz z długim westchnieniem uchodzą z niego złudzenia.

– No i co dalej? – zapytał.

W jego głosie nie było rozczarowania, raczej rezygnacja, jakby już wiedział, że jest to dla nas niemożliwe. Po krótkiej chwili wahania powiedziałam mu o SMS-ie, o spotkaniu w Klasztorze, o Grancie i telefonie, jaki miałam wykonać.

– Ty też ją widziałeś – powiedziałam. – Mam na myśli tę stronę internetową. Była na twoim komputerze. I plik wideo z londyńskiej ulicy. Jak się zalogowałeś?

Potrząsnął głową.

– Ja tego nigdy nie widziałem. Mówiłem ci, że nie dotarłem wtedy do swojej pracowni.

W jego twarzy był jakiś dziwnie podejrzanym spokój; nie jestem pewna, czy mu wierzyłam. Na wszelki wypadek skinęłam głową.

– I to nie ty wysłałeś tego SMS-a?

Potrząsnął głową.

– Oczywiście, że nie. – I po chwili dodał: – Jak myślisz, Ridley, kto mógł ci go przysłać? Kogo spodziewasz się tam zastać?

Nie wiedziałam, jak się zachować. Czy spodziewałam się zastać tam Maksa, gotowego odpowiedzieć na wszystkie pytania, jakie nosiłam w sercu? Czy miałam nadzieję, że te odpowiedzi pozwolą mi pogodzić się z prawdą o tym, kim był i co zrobił? Może jakaś częśćka mnie uważała, że tak właśnie będzie. Ale reszta mnie nie wiedziała, nie była nawet przekonana, że to jest dobry pomysł. No i co z tego?

Bo oto znaleźliśmy się z Jakiem w miejscu, w którym milczenie wystarczało za odpowiedź, a niektóre pytania między dwojgiem tak dobrze znających się ludzi w ogóle odpowiedzi nie wymagały.

Piłam kawę, ani przez chwilę nie spuszczając z oka drzwi wejściowych.

– Musisz mi coś obiecać – powiedziałam.

– Co takiego?
– Jeśli się okaże, że on żyje, jeśli go odnajdziemy, to muszę mieć pewność, że go nie skrzywdzisz.

Spojrzał na mnie beznamiętnie.

– A ty uważasz, że co? Że chcę się mścić na Maksie Smileyu?

– A nie chcesz?

Przez chwilę nic nie mówił, tylko wznosił oczy do sufitu. Po czym zapytał:

– Ciekawe, dlaczego tak starasz się chronić Maksa Smileya?

– Bo jest moim ojcem – odparłam.

– Jest twoim ojcem biologicznym – powiedział, wysuwając się na krześle do przodu.

– Tak. Ale to nie jest bez znaczenia. Istnieje coś, czego potrzebuję od niego nawet teraz, tak samo jak ty potrzebujesz od swoich biologicznych rodziców. Rozumiesz mnie chyba, prawda?

Powoli skinął głową.

– Rozumiem. – I dodał: – Ale w tej chwili najbardziej potrzebuję bezpieczeństwa dla ciebie, Ridley. Muszę cię chronić. Nie mogę się zgodzić na to, żebyś została skrzywdzona. Takie są moje priorytety.

– A przed czym chcesz mnie chronić?

– Głównie przed tobą samą. Próbuję powstrzymać cię przed łądowaniem się w sytuacje bez wyjścia.

– Czy celowo nie wyrażasz się jasno? Co przede mną ukrywasz?

Odbyliśmy następnie pojedynek na spojrzenia, w którym poległ Jake. Spuścił oczy i już ich nie podniósł. Czasem przypominał mi czarną skrzynkę. Miałam uczucie, że nie dowiem się o nim wszystkiego, dopóki nasze życie nie zamieni się w płonący wrak.

– Zadzwoń do swojego faceta od sieci – zasugerował po chwili milczenia. – Żebyśmy przynajmniej mieli trochę lepsze pojęcie o tym, w co się pakujemy.

Nie odpowiedział na moje pytania. I nie obiecał mi tego, o co go prosiłam. Zaczynałam żałować, że mu w ogóle powiedziałam o spotkaniu.

Wyjęłam z kieszeni telefon i stwierdziłam, że jest na granicy rozładowania. Wybierałam po kolei wszystkie numery, które podał mi Grant, ale odezwała się tylko poczta głosowa. Byłam zdziwiona; wyobrażałam sobie, że Grant czeka na mój telefon. Ogarnął mnie jakiś mroczny niepokój.

– Nie odpowiada?

Potrząsnęłam głową i potarłam powieki, a następnie spojrzałam na wiszący nad kontuarem zegar. Mieliśmy jeszcze dwie godziny. Nagle Jake wydał mi się jakiś zdenerwowany; zaczął przez ramię zerkać na drzwi i rozglądać się po restauracji.

– Chodźmy stąd. Lepiej być w ruchu.

Szliśmy szybko Broadwayem, przytuleni do siebie, obejmując się ramionami. Jestem przekonana, że dla tych, co nas mijali, wyglądaliśmy na normalną parę młodych ludzi wracających wieczorem do domu. Ale byliśmy od tego bardzo dalecy – każde z nas miało swoje plany, głowę pełną lęków, a serce pytań i celów, które sami ledwie rozumieliśmy. Gdybym potrafiła przewidzieć, co nas czeka choćby na kilka godzin naprzód, wzięlibyśmy taksówkę na lotnisko Kennedy'ego, a rano byłibyśmy już w Toskanii.

Obudziłam się w mleczej ciemności, co wskazywało na to, że rano musi być blisko. W głowie pulsowało mi jak po ostrym piciu albo niezbyt poważnym wypadku samochodowym. Ból był tak intensywny, że bałam się poruszyć. A potem poczułam w prawym boku przeszywający mnie bagnet. Nie byłam w stanie określić swojego położenia. Z trudem powstrzymałam odruch wymiotny. Znajdowałam się w jakimś zupełnie obcym pokoju – zapewne hotelowym, tyle przynajmniej mogłam powiedzieć, eleganckim, luksusowo urządzone. Ściany jasnokremowe, puszysty czerwony dywan na podłodze, kołdra, pod którą leżałam – zamsz piaskowego koloru, poszewki na poduszki – czysta bawełna. Czułam w piersi ciężar strachu, który przygniatał płuca. W mroku dostrzegłam nocny stolik koło łóżka, a na nim niewielki zegar, którego podświetlone wskazówki pokazywały piątą czterdzieści osiem nad ranem. Pachniało lawendą.

Próbowałam usiąść, ale głowa i bok mi nie pozwalały. Gardło miałam boleśnie zdarte, suche. Sięgnęłam do telefonu i wybrałam zero.

– Dzień dobry, panno Jones. W czym mogę pomóc? – odezwał się energiczny męski głos z brytyjskim akcentem.

– Gdzie ja jestem? – wychrypiałam. Czy to wszystko mi się śniło?

Mężczyzna zachichotał.

– Jeszcze noc, prawda? Szanowna pani jest w hotelu Covent Garden w Londynie.

Wtedy przed moimi oczami zaczęły tańczyć różne obrazy. Wysokie kamienne mury i jacyś ludzie zbliżający się od strony kępy drzew. Słyszę strzelaninę i własny krzyk. Widzę upadającego Jake'a i krew, dużo krwi. Ten sam mężczyzna, którego widziałam na ulicy po zamordowaniu Sary Duvall, zbliża się do mnie, ale nie mogę dostrzec jego twarzy. A on pyta w kółko: „Gdzie jest duch? Gdzie jest duch?”. Nawet nie miałam czasu się przestraszyć ani zastanowić, czy te obrazy to wspomnienia, czy sny. Znow straciłam przytomność.

W parku Fort Tryon panowała prawie całkowita cisza, jeśli nie liczyć dochodzącego z oddali, od strony Mostu Hudsona, pomruku ruchu ulicznego. Byliśmy tu już z Jakiem tamtego wieczora, kiedy zginął przy mnie Christian Luna. Siedzieliśmy na parkingu w samochodzie. Szlochałam histerycznie, a Jake mnie pocieszał. To był paskudny wieczór, miałam nadzieję, że dziś będzie lepiej. Ruszyliśmy na ukos przez trawnik do Klasztoru. W powietrzu wisiała chłodna wilgoć, ale kiedy szliśmy między drzewami, czułam na czole delikatną rosę potu.

Cały czas pilnując baterii, ponawiałam próby dodzwonienia się do Granta. Telefon nie odpowiadał, a ja – kiedy wychodziliśmy stopniowo ze względnie bezpiecznej osłony drzew na betonowy podjazd – czułam, jak mój nieznaczny początkowo strach przybiera na sile. Kamienna gotycka bryła Klasztoru majaczyła na tle rozgwieżdżonego nieba. Złapałam Jake'a za ramię.

– Może to jednak nie jest najlepszy pomysł – powiedziałam, kiedy zbliżyliśmy się do budynku.

Spojrzał na mnie z ukosa.

– Jasne, że nie jest. Towarzyszę ci tylko z obawy, że i tak byś tu przyszła beze mnie. Ale możemy prysnąć choćby i zaraz.

Już miałam skorzystać z jego propozycji, kiedy zobaczyłam reflektory zbliżającego się powoli od strony Broadwayu samochodu. W pewnym momencie reflektory zgasty, ale samochód nie przestał się do nas zbliżać.

Kiedy znów się ocknęłam, było ciemno. Zegarek pokazywał dziewiątą osiem. Łomotanie w głowie trochę się zmniejszyło, ale nie ustąpiło całkowicie. Zauważyłam, że prześcieradło pode mną jest mokre. Dotknęłam go ręką – była ciemna od krwi. Uniosłam się z trudem i zapaliłam światło, walcząc z falami obezwładniającego bólu. Krew przesiąkła przez koszulę. Uniosłam ją i zobaczyłam, że mam w pasie bandaż, też ciemny od krwi.

Nie przypominam sobie żadnych myśli – tylko niesamowitą pustkę. Walcząc z zawrotem głowy, próbowałam wstać. W lustrze wiszącym nad ozdobnym antycznym biurkiem zobaczyłam dziewczynę, którą ledwie poznałam. Była blada, miała sińce pod oczami i chwiała się na nogach. Jej sztywne blond włosy, zmierzwiłone i brudne, sterczały na wszystkie strony. Pod okiem miała paskudną ranę, na szyi siniak. Nachyliłam się nad koszem na śmieci i zwymiotowałam żółcią.

Czepiając się mebli – nadmiernie wypchanego krzesła, komody i półki na książki – dowlokłam się do łazienki. Patrząc w lustro, ostrożnie zdjęłam bandaż. Z czerwonego otworu wolno sączyła się krew. Na ten widok zrobiło mi się słabo i tylko wysiłkiem woli powstrzymałam się przed zemdleniem i upadkiem na zimną marmurową posadzkę. Mogłam jedynie mieć nadzieję, że ktoś, kto mnie zabandażował, usunął też kulę. Naciskając brzegi rany, nie wyczuwałam pod skórą nic twardego, żadnego obcego ciała. Ale ból był taki, że znów zwymiotowałam żółcią do umywalki.

Usiadłam na klozecie, zmoczyłam ręcznik ciepłą wodą i przytknęłam go do rany – właściwie nie bardzo wiedziałam, co robić. To, żeby wezwać policję czy karetkę pogotowia, nawet nie przyszło mi na myśl. Musiałam być w szoku. W każdym razie ból był nie do wytrzymania – znów zrobiło mi się czarno przed oczami.

Samochód się zatrzymał, a ja stałam jak wryta, czując za sobą obecność Jake'a. Gdybym poszła za głosem instynktu, jeszcze w tej chwili moglibyśmy uciec, ale coś trzymało mnie w miejscu. Zarówno w moim sercu, jak i żołądku panował chaos: podniecenie i strach, przerażenie i nadzieja. Czy on tam jest? Czy jest tak blisko jak ten samochód? Czy mnie widział? Jake zaczął mnie ciągnąć za ramię. Cofnęliśmy się ku drzewom. Poczulałam w kieszeni wibrowanie telefonu; wyjęłam go szybko: na wyświetlaczu był numer Granta.

Oddzwoniłam natychmiast, czując, że Jake coraz natarczywiej ciągnie mnie za rękę. Zaczęłam oddalać się od samochodu.

– To nie jest czas na rozmowy telefoniczne, Ridley.

Jake nienawidził komórek jeszcze bardziej niż ja.

– Grant? – powiedziałam, ignorując Jake'a.

– Ridley – odparł. Jego głos zabrzmiał jakoś dziwnie, jakby mówił przez ściśnięte gardło.

– Nie idź tam. Nie idź do Klasztoru. Jesteś spalona.

– Co? – Usiłowałam sobie przypomnieć, czy mu powiedziałam o Klasztorze. Ale nie mogłam.

– Oni uważają, że wiesz, gdzie on jest. Że ich do niego zaprowadzisz. – Słowa Granta

przerwał koszmarne odgłos duszenia. Nie miałam pojęcia, o czym on mówi.

– Grant! – wrzasnęłam w telefon. Usłyszałam straszliwy bulgot. – Grant – powtórzyłam, tym razem było to raczej błaganie.

Zanim połączenie zostało przerwane, zdążył powiedzieć jeszcze jedno:

– Uciekaj, Ridley, uciekaj.

Obudziłam się w hotelowym łóżku. Czułam się lepiej. A może byłam bardziej odrętwiała, jakby ktoś podał mi środki odurzające. I miałam towarzystwo. W przytulnym, wygodnym kąciku wypoczynkowym koło mojego łóżka siedział na sofie Dylan Grace. Oczy miał zamknięte, głowę wspartą na pięści, nogi trzymał na stoliku. Nie wiedziałam, czy śpi, czy nie. Robił wrażenie bladego i chorego. Zabrakło mi energii, żeby się go bać. Byłam zbyt daleka od tego wszystkiego, jakaś wyciszona, miałam uczucie, że się unoszę w powietrzu. Niewątpliwie musiałam dostać środki odurzające.

– Kim jesteś? – zapytałam; było to pytanie filozoficzne. Otworzył oczy i usiadł.

– Wiesz, kim jestem, prawda? – Zmarszczył czoło, jakby sam nie był tego pewien.

– Wiem, kim powiedziałaś, że jesteś. Wiem też, że jesteś kłamcą. – Mówiłam bełkotliwie, niewyraźnie.

– Dokoła siebie masz samych kłamców – odparł. – A ja jestem najmniejszym z twoich problemów.

Pomyślałam, że to, co powiedział, jest nierozsądne, poza tym nie byłam pewna, co miał na myśli.

– Gdzie jest Jake? – zapytałam.

Potarł powieki, ale nie odpowiedział.

– Gdzie on jest? – powtórzyłam głośniejszym głosem.

Usiłowałam usiąść i w tym momencie Grace zerwał się z sofy i usiadł koło mnie.

– Spokojnie, spokojnie. Bo sobie znów narobisz szkody – powiedział, kładąc mi rękę na ramieniu i delikatnie popychając. – Nie wiem, gdzie jest Jake. Ale go znajdziemy. Obiecuję ci.

– Co się ze mną stało? Jak się tu znalazłam?

– Na to wszystko przyjdzie czas. Teraz powinnaś odpoczywać.

Sięgnął do nocnego stolika i podszedł do mnie ze strzykawką.

– Nie – zaprotestowałam, czując, jak mi w piersi wzbiera szloch. Mój głos był słaby, wąły, jak głos dziecka. W ręce, którą chciałam go odepchnąć, zabrakło siły. Nie patrzył mi w oczy, tylko stuknął palcem w plastikową rurkę.

– Bardzo mi przykro – powiedział i dźgnął mnie igłą w ramię.

Ból był krótki, ale intensywny, a ciemność, jaka mnie ogarnęła, nieprzenikniona.

– Co on powiedział? – Jake puścił moje ramię i wpatrywał się we mnie zatroskany.

– Powiedział, żebym uciekała – odparłam, ze zgrozą gapiąc się w telefon.

Jake złapał mnie za rękę.

– Dobra rada. Spadajmy. To był błąd.

Ale kiedy mnie ciągnął w stronę drzew, światła samochodu niczym sztylety przebiły ciemność. Stanęliśmy jak wryci. W naszym kierunku zbliżało się pięć, a może więcej punktów świetlnych, penetrując las, przez który dopiero co przeszliśmy. Serce zaczęło mi nieprzytomnie walić. Twarz Jake'a przybrała taki sam wyraz jak zawsze, kiedy znajdowaliśmy się w kłopotach: ponure skupienie, koncentracja stratega.

Z samochodu wysiadło dwóch mężczyzn, blokując nam drogę do ulicy. W ciszy, jaka panowała w parku, trzaśnięcie drzwi zabrzmiało niczym wystrzał z karabinu. Patrzyłam na dwie wysokie, chude postacie zbliżające się do nas wielkimi krokami. Żaden z mężczyzn nie był Maksem; co do tego miałam pewność nawet w ciemności, nawet gdy nie widziałam ich twarzy. Oczywiście, że to nie był Max. Co za idiotka ze mnie, że tu przyszłam, że wzięłam ze sobą Jake'a. Podszepnęło mi to jakieś kretyńskie urojenie. „Oni uważają, że wiesz, gdzie on jest. Że ich do niego zaprowadzisz”. Co Grant chciał przez to powiedzieć? Kim byli ci ludzie? Miałam uczucie, że wrosłam w ziemię, coś mnie zmuszało do tego, żeby stać i się w nich gapić, byłam jak porażona. Prawie nie czułam szarpania Jake'a.

– Opamiętaj się, Ridley. Zjeżdżamy stąd. – Położył mi ręce na ramionach i zaczął pchać.

Odwrociliśmy się i pobiegliśmy wzdłuż ściany muzeum, a nasze kroki na betonie odbijały się głośnym echem. Nie mieliśmy wyboru; droga do ulicy była odcięta. Biegając dokoła budynku, próbowaliśmy otworzyć dwoje ciężkich drzwi z drewna i kutego żelaza i kilka zakończonych szczytami okien, ale naturalnie wszystko było pozamykane. Muzeum też. A wewnątrz kuśiły bezpiecznym schronieniem francuskie średniowieczne podwórca, labirynty korytarzy prowadzących do wysoko sklepionych sal, jednym słowem, setki miejsc, w których można by się ukryć. Tutaj, na zewnątrz, byliśmy na widoku. Od kamiennego muru otaczającego teren Klasztoru dzieliła nas niewielka odległość. Słyszałam biegnących ludzi, nie wiedziałam, jakie mamy możliwości, ale podejrzewałam, że niewielkie.

– Dokąd idziemy? – zapytałam, widząc, że szybko zmierzamy do muru.

Jake wyjął spod kurtki pistolet, którego wcześniej nie zauważyłam.

– Pod osłoną drzew będziemy się posuwali wzdłuż muru na południe. Mam nadzieję, że ci ludzie nie są zbyt mocno zmotywowani, może dadzą nam spokój.

Trudno mi powiedzieć, czy Jake próbował być dowcipny, w każdym razie niemal jednocześnie z jego słowami usłyszeliśmy helikopter.

Uniósł się, jakby wystartował z przebiegającej pod nami autostrady. Wkrótce zostaliśmy ogłuszeni warkotem i podmuchem powietrza i oślepieni snopem reflektora znajdującego się na nosie śmigłowca. Mężczyźni, którzy zbliżali się do nas pod osłoną drzew, szli teraz bardzo szybko. Rzuciliśmy się do ucieczki.

Obudziłam się, wołając Jake'a. Oczywiście wyobraźni widziałam, jak pada. Sięgnęłam ręką, ale przecież wiedziałam, że go przy mnie nie ma. Cały czas prześladowało mnie jedno pytanie: „Gdzie jest duch?”. Byłam wściekła na moją zamroczoną głowę i słabe, obce ciało jak gdyby wypełnione piaskiem. Coś strasznego przydarzyło się mnie i Jake'owi, a ja nie miałam zielonego pojęcia co.

W pokoju poza mną nie było nikogo i zastanawiałam się, czy rzeczywiście widziałam tu Dylana Grace'a. Tak czy owak, uznałam, że muszę stąd zniknąć. Że nie mogę tu przebywać ani chwili dłużej. Wstałam z łóżka, co poszło mi łatwiej niż poprzednio. Bandaż był suchy i czysty. Na podłodze przy drzwiach zobaczyłam swoje dzinsy, buty i żakiet i z wielkim bólem jakoś się do nich dowlokłam. Rozglądałam się za jeszcze jakimiś rzeczami, ale nie znalazłam nic więcej.

Korytarz był pusty i winda przyjechała bardzo szybko. Nie miałam przy sobie dosłownie nic – ani torebki, ani pieniędzy, ani paszportu, ani żadnego innego dokumentu stwierdzającego tożsamość. W jaki sposób znalazłam się w Londynie? I czy rzeczywiście to był Londyn? Jak

się dostanę do domu? Byłam zbyt oszołomiona i zdezorientowana, żeby się bać.

W wytwornym hotelowym holu – podłogi z ciemnego drewna, wschodnie dywany, ściany ciemnoczerwone, kryte pluszem eleganckie meble – nie było żywego ducha. Z ulicy dochodziły odgłosy ruchu; zarówno recepcja, jak i restauracja świeciły pustkami. Musiał być świt. Rozejrzałam się za jakimś zegarem i znalazłam – w recepcji. Była druga jeden. Zadzwoiłam małym dzwonkiem. W drzwiach przy kontuarze ukazał się mężczyzna. Był młody, drobnej budowy, miał popielatoblond włosy, bardzo ciemne oczy, orli nos, cienkie wargi i bladą cerę. Wyglądał bardzo po angielsku.

– O, panna Jones. Pewnie chciałyby pani odzyskać swoje rzeczy – powiedział. – Czy ma pani dowód zameldowania?

Sięgnęłam do kieszeni i wyjęłam (jakim cudem?) mały świstek. Wręczyłam go mężczyźnie bez słowa. Bałam się, że zwymiotuję na lśniące drewno podłogi. Skinął głową życzliwie i zniknął w szatni, skąd wrócił ze sfatygowanym plecakiem na jedno ramię, który miałam ze sobą, zanim się to wszystko wydarzyło. W plecaku znalazłam: portfel, notes, paszport, klucze, kosmetyki i telefon komórkowy. Widok tych rzeczy, swojskich, znajomych, sprawił, że poczułam jeszcze większe mdłości i strach.

– Mam nadzieję, że się pani nie obrazi – zwrócił się do mnie mężczyzna grzecznie – ale nie wygląda pani dobrze.

Potrząsnęłam głową. To spotkanie było całkowicie surrealistyczne, nie wiedziałam nawet, czy w ogóle się wydarzyło. Grunt, na którym stałam, wydawał mi się niepewny i jakiś miękki.

– Ja... ja... właściwie nie wiem... jak się tu znalazłam. A pan... może pan wie? To znaczy... skąd ja się tu wzięłam? Skąd pan zna moje nazwisko? Od jak dawna tu jestem?

Mężczyzna wyszedł zza kontuaru i objął mnie ramieniem, podtrzymując jednocześnie za łokieć. Pozwoliłam mu zaprowadzić się do sofy i posadzić na poduszkach.

– Czy pani sądzi, panno Jones, że wskazane byłoby wezwanie lekarza?

Skinęłam głową.

– Myślę, że byłoby dobrze.

Zauważyłam, że recepcjonista spogląda w dół. Podążyłam za jego wzrokiem i stwierdziłam, że krew sącząca się z mojej rany znów przesiąkła przez bandaż. Na śnieżnej bieli mojej bluzki wykwitła czerwona róża. Nie poznawałam tej bluzki.

– Panno Jones... – Mężczyzna patrzył na mnie z prawdziwą troską; w jego głosie wyczułam nutę paniki. Robił wrażenie kogoś bardzo dobrego. – Proszę tu poczekać, panno Jones... – zaczął, ale końca zdania już nie usłyszałam.

Część II

Duch

Jung wierzył, że jedną z głównych przyczyn przemocy wobec kobiet jest niespójna dusza albo autonomiczny archetyp zawarty w zbiorowej nieświadomości człowieka symbolizujący żeńską część jego natury. Wierzył też, że wszyscy mężczyźni posiadają cechy żeńskie, a wszystkie kobiety – męskie. W mężczyznach jednak utrwaliło się przekonanie, że ich żeńskie cechy to coś wstydlivego i że należy je zwalczać. Rezultatem tego zwalczania stał się rodzaj globalnej mizoginii, pozbawione duchowego wymiaru spotkania seksualne i całe kultury, w których kobiety nie czują się bezpieczne we własnych domach. Jest to część teorii Junga dotycząca mrocznej strony ludzkiej natury, tej, którą staramy się ukryć i zniszczyć, po to jednak tylko, by ciągle, od nowa być przez nią atakowanym, zwykle w postaci „tego drugiego”. Jung wierzył, że ten aspekt ludzkiej psychiki stanowi źródło wszelkiego rasizmu, uprzedzeń kulturowych i nienawiści płciowych, że mentalność typu „my przeciwko nim” to sposób myślenia prezentowany przez tych, którzy nie zaakceptowali swojej ciemnej strony i dokonywali projekcji znieawidzonych cech własnych na grupę ludzi, których uważali za swoje przeciwieństwo.

Jestem grzeczną dziewczynką, lekcje mam odrobione, siedzę w piżamce Howdy Doody i obserwuję Maksa, jak jeździ po ulicy na rowerze w jedną i w drugą stronę. Jest już późno i zimno, ale zazdroszczę mu swobody. Zastanawiam się, czy on mi zazdrości mojej piżamy Howdy Doody i świeżo umytej buzi. Może jesteśmy tacy sami. Może jesteśmy nawzajem swoimi cieniami.

Otwieram oczy i słyszę wycie syren; w głowie mam te dziwne myśli i obraz Maksa. Syreny nowojorskie bardzo się różnią od syren londyńskich. Te londyńskie, modułowane, to wznoszące się, to opadające, wydają się znacznie grzeczniejsze. Chcemy przejechać – zdają się błagać. – Proszę się rozstać. Z kolei syreny nowojorskie są bezczelnie natarczywe, żeby nie powiedzieć po prostu: chamskie. Po co tu do cholery sterczycie? Wynocha, z drogi! Nie widzicie, że sprawa jest pilna?! Jeśli jesteś mieszkańcem Nowego Jorku, to odgłos syren jest stałym elementem twojej podświadomości. Jak nie karetki pogotowia, to wozy strażackie czy policyjne – wygląda na to, że zawsze w tym mieście ktoś jest w opałach i zawsze ktoś spieszy na pomoc. Kiedy przestajesz słyszeć te odgłosy, to znaczy, że stały się one dla ciebie częścią muzyki miasta.

Syreny londyńskie brzmią żałobnie, jakby mówiły: „Stało się coś strasznego, zrobimy co w naszej mocy, żeby pomóc, ale obawiamy się, że jest już za późno”. Syreny nowojorskie są nieprzyzwoicie pewne sukcesu.

Ja z całą pewnością słyszałam syrenę londyńską – wznosiła się i opadała, by w końcu ucichnąć w oddali. Potrwało chwilę, nim się zorientowałam, że leżę w szpitalu, w chłodnym, cichym pokoju. Panował tu mrok, choć przez małe okienko w drzwiach, a także przez szpary w zaciągniętych żaluzjach sączyło się mdłe światło – ale nie słoneczne; było to światło lamp ulicznych. Nie miałam pojęcia, która może być godzina.

Leżałam spokojnie, rozglądając się dokoła. Kiedy wzrok przyzwyczał się do półmroku,

zauważyłam siedzącą na krześle przy drzwiach drobną kobietę. Padał na nią prostokąt światła. Miała białe blond włosy i szerokie usta, których wygięte w dół kąciki tworzyły karykaturę „podkówki”. Mimo że siedziała lekko przechylona na bok, z głową podpartą ręką, robiła wrażenie pozbieranej i dyspozycyjnej w swoim granatowym mundurze i praktycznych płaskich czółenkach. Patrzyła w ścianę, miliony kilometrów w dal.

Odchrząknęłam i poprawiłam się nieznacznie na łóżku. Poczułam niesamowitą suchość w ustach i sięgnęłam po dzbanek z wodą, który zauważyłam na stoliku. Kobieta błyskawicznie zerwała się z krzesła i stanęła przy mnie. Nalała mi wody do kubeczka i podała.

– Dobrze się pani czuje? – spytała.

Biorąc pod uwagę okoliczności, pytanie było trudne.

– To zależy – odpowiedziałam; głos miałam chrypiący, zdarty.

Kobieta spojrzała na mnie pytająco.

– Od tego, gdzie jestem i jak się tu znalazłam. I co złego mi się stało.

Chciałam uchodzić za cool i dowcipną, ale w głębi duszy byłam pusta, wypalona.

Kobieta dyskretnie odwróciła oczy, kiedy próbowałam się napić z kubeczka, który trzymałam w drżącej ręce. A potem ujęła mnie za nadgarstek i wtedy poszło lepiej.

– Miałam nadzieję – powiedziała – że na niektóre z tych pytań to raczej pani odpowie. – Mówiła z wyraźnym akcentem londyńskim, chociaż widziałam wyraźnie, że starała się go minimalizować.

– Kim pani jest? – zapytałam.

– Inspektor Madeline Ellsinore. Prowadzę pani sprawę.

– Moją sprawę? – zdziwiłam się, odstawiając kubek z wodą i opadając na poduszkę.

– Tak. – Kobieta skrzyżowała ramiona na piersi, zatrzymując spojrzenie na mojej twarzy. – W londyńskim hotelu melduje się Amerykanka. Na dwa dni zawiesza na drzwiach tabliczkę „Nie przeszkadzać”. Jedyne, co można od niej usłyszeć, to że nie wie, gdzie jest. Pod koniec drugiego dnia pojawia się w hotelowym holu, tam okazuje się, że ma paskudnie zainfekowaną ranę postrzałową. Kobieta mdleje i zostaje odwieziona do najbliższego szpitala. Mimo że można bez trudu ustalić jej tożsamość – ma paszport, gotówkę i kartę kredytową – nie istnieje żaden dowód na to, że w ciągu ostatnich sześciu miesięcy przyleciała do Wielkiej Brytanii jakimkolwiek samolotem rejsowym. Czy to nie wystarczy, żeby wszcząć śledztwo?

Wolno skinęłam głową. Kobieta była oficjalna, ale nie powiem, że niesympatyczna. Miała jasnoniebieskie oczy. Była mała, drobna i chuda i wyglądała na szybką, silną biegaczkę.

– Jak pani się dostała do Anglii, panno Jones? I co pani tutaj robi?

Potrząsnęłam głową.

– Nie mam pojęcia.

Zdawałam sobie sprawę, że jest to dość dziwne wyznanie. Czy kiedykolwiek po ostrym picciu obudziliście się rano w obcym mieszkaniu z obcą osobą w łóżku? To było coś w tym stylu, tylko o wiele gorszego: miałam uczucie, że obudziłam się w cudzym ciele.

Kobieta zamrugowała.

– Trudno w to uwierzyć – powiedziała w końcu.

– Przykro mi, ale to prawda.

Obdarzyła mnie pustym oceniającym spojrzeniem. Pomimo urody i łagodnego ściszonego głosu, było w niej coś z zimnego robota.

– To może pani powie, kto panią postrzelił? – zapytała rzeczowym tonem, jakby ta informacja należała jej się ode mnie niejako na pocieszenie.

Ponownie potrząsnęłam głową. Grunt usunął mi się spod nóg, a ja unosiłam się na powierzchni życia, które wcale do mnie nie należało.

– Czy pani zdaje sobie sprawę, panno Jones, że w związku z zamordowaniem Sary Duvall jest pani „przedmiotem zainteresowania” nowojorskiej policji?

Przypomniał mi się tamten ranek, kiedy Sara upadła na ulicy i umarła na moich oczach, mężczyzna w czerni, którego próbowałam gonić, i to, jak mnie zatrzymała policja. A potem Dylan Grace mnie stamtąd wyprowadził, zabrał do parku Riverside, skąd mu uciekłam. I od tamtej pory było już tylko gorzej. Pomyślałam o Grancie i jego głupiej stronie internetowej. O Jake’u, jak upada. Próbowałam sobie przypomnieć, co się z nami stało po tym, jak dosłownie znikąd nadleciał helikopter, zalewając nas powodzią światła i dźwięku. Ale im intensywniej o tym myślałam, tym bardziej mi się to wymykało. Poczułam koszmarnie mdłości, ból w tyle głowy.

– FBI też się na panią szykuje w związku z niejakim Dylanem Grace’em.

Pomyślałam o tym, co mi Grace mówił w parku. Czyżby to były kolejne kłamstwa? Skąd mogłam wiedzieć? Czy rzeczywiście był u mnie w pokoju hotelowym, czy tylko mi się to przyśniło? Pamiętam, że i on wyglądał bardzo kiepsko. I że mnie ukłuł igłą. Ponownie pokręciłam głową.

– Pani naprawdę nie wie, co się z panią działo? – zapytała z niedowierzaniem Madeline, wręczając mi chusteczkę z pudełka stojącego przy łóżku. Wytarłam oczy i nos. W mojej wyobraźni pojawiały się fragmenty wspomnień: biegniemy z Jakiem wzdłuż muru klasztornego; trzaski strzałów przerywają nocną ciszę; ciężko upadam na ziemię, jakby mnie ktoś pchnął; ciemna męska postać, której twarzy nie widzę, pyta: „Gdzie jest duch?”. Ale przede wszystkim mam świadomość bólu – piekącego, totalnego, nieopisanego w swojej intensywności bólu, który litościwie zabija pamięć.

– Nie – powiedziałam w końcu. – Naprawdę nie wiem.

Ale tak między nami, nie była to całkiem prawda. Wspomnienia wracały szybko: przypomniał mi się ucisk czyjegoś kolana na plecach i czarny kaptur, który mi zarzucono na głowę. Nic z tego nie rozumiałam. Był to jakiś koszmarny kocioł.

– Czy nazwisko Myra Lyall coś pani mówi?

Wolno skinęłam głową.

– Amerykańska dziennikarka kryminalna pisząca dla „New York Timesa” – dodała tonem wyjaśnienia Madeline Ellsinore. – Jeśli się nie mylę, miała z panią coś wspólnego? W każdym razie chciała z panią porozmawiać w związku z przygotowywanym przez siebie artykułem na temat projektu „Na ratunek”. Potem zniknęła.

– Tak – przyznałam.

– Sara Duvall była jej asystentką.

Ponownie skinęłam głową.

– Wczoraj znaleźliśmy ciało Myry Lyall w kanale w odległości około półtora kilometra od King’s Cross, w jednej z dzielnic szczególnego zagrożenia. Była w walizce. W kawałkach.

Przypuszczam, że dawkowałam mi w ten sposób informacje dla uzyskania maksymalnego efektu. Próbowałam o tym myśleć w kategoriach abstrakcyjnych, a nie logicznych, a mimo to

mdłości i dreszcze, które zaczęły powoli ustępować, wróciły ze zdwojoną siłą.

– I też brak jakichkolwiek dowodów na to, że przyjechała do Londynu – dodała kobieta.

Nie odezwałam się słowem. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Miałam natłok różnych uczuć: z jednej strony żal z powodu śmierci Myry, z drugiej przerażenie wywołane sposobem, w jaki zginęła. Zastanawiałam się, jak to się stało, że ja wylądowałam w eleganckim hotelu w Covent Garden, a ona w jednym z londyńskich kanałów. W kawałkach.

– Panno Jones, gdyby przypomniała pani sobie cokolwiek z tego, co się ostatnio wydarzyło, byłoby bardzo wskazane, żeby się pani podzieliła tym ze mną. – Kobieta podeszła do stojącego przy drzwiach krzesła, przyciągnęła je do swojego łóżka i zasiadła jak do dłuższej pogawędki. – Nie mogę pani chronić ani pomóc bez pani współpracy. Ale robi pani wrażenie osoby rozsądnej. Rozumiem, że się pani boi, i wcale mnie to nie dziwi. Zginęło wiele osób, a sądząc ze stanu, w jakim się pani znajduje, jest tylko sprawą wyjątkowego szczęścia, że nie ma pani wśród nich. Może mogłybyśmy sobie nawzajem pomóc?

„Ja o to nie prosiłam. O żadną z tych rzeczy” – powiedziałam kiedyś do Ace’a.

„Czy jesteś tego pewna”? – zapytał.

Zdecydowałam w końcu, że jestem całkowicie bez szans, i poprosiłam ją, żeby się wylegitymowała. Nie zwlekała ani chwili. Dać się oszukać można tylko raz, prawda? Kiedy już zdecydowałam, że kobieta jest tą osobą, za którą się podaje, powiedziałam jej wszystko – a przynajmniej wszystko, co sobie przypominałam. Podczas naszej rozmowy pojawiali się różni lekarze i pielęgniarki, obmacując mnie, świecąc mi latarką w oczy i sprawdzając, a potem zmieniając opatrunek w boku.

Inspektor Ellsinore robiła obszerne notatki. Kiedy skończyłam zeznania, poprosiłam ją, żeby mi pomogła skontaktować się z ambasadą amerykańską, która obiecała przysłać do szpitala adwokata.

Po zakończeniu rozmowy telefonicznej położyła mi rękę na ramieniu i powiedziała:

– Zrobiłaś, co do ciebie należało, Ridley. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Niepewnie skinęłam głową.

– A co teraz ze mną będzie?

Spojrzała na zegarek.

– Teraz musisz odpocząć, a ja zawiadomię władze amerykańskie, że z nami współpracujesz. Jutro zobaczymy, kiedy i w jaki sposób można będzie odesłać cię do domu. Czy chciałabyś, żebym do kogoś zadzwoniła?

Moi rodzice harcowali gdzieś po Europie, robiąc zdjęcia i wysyłając kartki. Najprawdopodobniej zjawiliby się tutaj w ciągu kilku godzin, ale ja wcale o tym nie marzyłam, Ace zaś najwyraźniej nie był zdolny do jakiegokolwiek pomocy czy wsparcia. Wątpliwe, czy w ogóle miał paszport. Co do Jake’a, to nie miałam zielonego pojęcia, gdzie jest i w jakiej kondycji. Na myśl o Jake’u zakreśliły mi się łzy w oczach i ogarnął mnie znany już teraz paniczny lęk o niego, o jego bezpieczeństwo.

– Nie. Gdybyś się tylko mogła dowiedzieć czegoś o Jake’u Jacobsenie, bo to dla mnie ważne. Bardzo cię proszę.

– Zobaczę, co się da zrobić. Nie martw się na zapas.

Zostawiła na moim stoliku wizytówkę, pozbierała swoje rzeczy i ruszyła do drzwi. Z ręką na klamce, odwróciła się jeszcze.

– Przykro mi, Ridley, ale za drzwiami stoi dwóch policjantów. Zarówno ze względu na twoje bezpieczeństwo, jak i...

– Zatrzymanie – dokończyłam za nią.

Skinęła głową.

– W każdym razie dopóki nie będziemy wiedzieli na pewno, co się z tobą stało i w jaki sposób się tu znalazłaś. Rozumiesz to oczywiście, prawda? Dlatego przynajmniej dzisiaj nic się nie zmieni. A ty odpoczywaj. Podejrzewam, że masz przed sobą parę ciężkich dni.

Pokój był chłodny i sterylnie czysty. Leżałam, nie wiem jak długo, z szeroko otwartymi oczami. Raz wstałam na siusiu, ale zarówno wyprawa, jak sama czynność były tak bolesne, że postanowiłam na przyszłość skorzystać ze stojącego pod łóżkiem basenu. Tylko że nie wiedziałam, jak sobie z tym poradzę. Ogarnęło mnie odrętwienie; byłam przygnębiona i przerażająco samotna. Koło mojego łóżka stał telefon, ale właściwie nie miałam do kogo zadzwonić. No cóż, byłam samodzielna. Od chwili, kiedy Christian Luna przysłał mi zdjęcie, które zmieniło moje życie. Jediną osobą, na której od tamtej pory mogłam bezwzględnie polegać, był Jake, nawet jeśli nasz związek mocno ucierpiał z powodu jego kłamstw i półprawd. Próbowałam pozbyć się sprzed oczu jego widoku – zakrwawionego i spadającego ze znacznej wysokości.

Zastanawiałam się nad tym wszystkim, co się stało, a w każdym razie nad wszystkim, o czym wiedziałam: nad Dylanem Grace'em i Myrą Lyall, nad tym, co mi powiedział Grant, nad obrazem wideo z Covent Garden i nad faktem, że ocknęłam się w hotelu zaledwie parę ulic od tamtego narożnika. Próbowałam swoim umysłem pisarki ogarnąć te kompletnie niepowiązane ze sobą wydarzenia, doszukując się możliwych skojarzeń i wyprowadzając najróżniejsze teorie, ale jedynym skutkiem tego było powracające uczucie mdłości i strachu. Myślałam o koszmarnym końcu Myry Lyall, o umierającej na ulicy Sarze Duvall, o Esme Gray i ostatnim telefonie Granta. Ale przecież jeszcze przed tym wszystkim Dylan oskarżył mnie, że punktem centralnym tego wszystkiego byłam ja. Teraz widziałam, że miał rację.

A zaczęło się od tego, że chciałam poznać Maksa, zobaczyć jego prawdziwą twarz, żeby lepiej poznać siebie. Ale jak dotychczas nie udało mi się do niego zbliżyć. I do tego jeszcze nigdy nie byłam dalej od siebie niż teraz – ledwie poznałam tam swoje odbicie w lustrze. Reasumując, całe to przedsięwzięcie okazało się żalną śmiertelnie niebezpieczną klapą.

Weszła pielęgniarka i podała mi jakieś pigułki.

– Żebyś lepiej spała, kochanie – powiedziała życzliwie.

Wzięłam od niej pigułki i uśmiechając się z wdzięcznością, udałam, że połykam. Kiedy wyszła, wyplułam pigułki do stojącego przy łóżku kubka. Nie chciałam, żeby mnie odurzali środkami nasennymi. Nie czułam się wystarczająco bezpieczna.

Miotalam się między drzemką a pełnym niepokoju pobudzeniem, aż w pewnym momencie usłyszałam w korytarzu jakiś dziwny odgłos, który wyrwał mnie gwałtownie z odrętwienia, dżgając w brzuch paluchem strachu. Był to stłumiony nagły hałas – szybkie szuranie, a po nim łomot, który niemal przebrzmiał, zanim się na dobre zaczął. Ale w tym odgłosie coś mi się nie zgadzało... jakby coś zmieniło energię powietrza. Usiadłam z szeroko otwartymi oczami i przez chwilę nasłuchiwałam.

Po upływie minuty czy dwóch odprężyłam się nieco. Poza otaczającymi mnie odgłosami – telewizora, który grał cicho gdzieś w sąsiedztwie, pikania elektronicznej aparatury i dziwnego

wszecchobecnego brzęczenia świetlówek i setek aparatów medycznych – panowała cisza. Już miałam ponownie zapaść w drzemkę, kiedy rozległ się inny hałas – dokładnie pod moimi drzwiami: odgłos gwałtownie przewrócego krzesła. W pasku światła sączącego się przez szparę pod drzwiami zobaczyłam czyjeś stopy. Z wysiłkiem wstałam z łóżka i rozejrzałam się po pokoju. Łazienka była pułapką bez wyjścia. A moja obecna kondycja wykluczała przykucnięcie między łóżkiem a oknem. Cicho podeszłam do drzwi i rozejrzałam się za czymś, czym mogłabym się bronić. Wysilek, jakiego to ode mnie wymagało, był niehumaniczny.

Musiałam przedstawiać ciekawy widok: stałam z gołym tyłkiem, w szpitalnej koszuli i na bosaka. Z wielkim bólem schyliłam się i wzięłam spod krzesła jeden z moich butów. Był to jedyny przedmiot, jaki miałam siłę podnieść, na tyle ciężki i twardy, by wyrzucić nim jakąś szkodę.

Oddech miałam płytki, w żyłach czułam adrenalinę. Spojrzałam na telefon i leżącą koło niego wizytówkę inspektora Ellsinore, a także guzik dzwonka, który powinnam była nacisnąć, jeszcze leżąc w łóżku. Pomyślałam, żeby do niego wrócić, ale biorąc pod uwagę, ile wysiłku kosztowało mnie dobrnięcie do drzwi, odległość około półtora metra wydawała się nie do pokonania – na piechotę czy nawet na czworaka. Oparta o ścianę, trzymałam but w pogotowiu, wsłuchując się w odgłosy korytarza. Po upływie minuty czy dwóch zaczęłam się zastanawiać, czy nie jest to przypadkiem z mojej strony paranoja (trudno mieć chyba do mnie pretensję?) albo związany z traumą stres. Już miałam odłożyć but, kiedy nagle drzwi do mojego pokoju zaczęły się otwierać tak wolno, że chyba bym tego nie zauważyła, gdyby nie ciemna męska postać, która wśliznęła się do środka. Mężczyzna stał tyłem do mnie, patrząc na puste łóżko.

Zanim straciłam zimną krew, mocno wyrznęłam intruza w skroń. Cios był tak silny, że wywołał bolesny wstrząs w moim poranionym ciele. Zatoczyłam się do tyłu, upuszczając but i patrząc, jak mężczyzna z jękiem wali się na podłogę. Planowałam zadać cios i z krzykiem wybiec na korytarz, ale ledwie mogłam złapać oddech czy ruszyć się z miejsca, tak wielki czułam ból. Moje ciało mnie zdradziło; byłam wściekła na jego słabość. Złość i frustracja skłoniły mnie do tego, by czepiając się ścian, wolno posuwać się w stronę korytarza.

– Ridley, stój!

Odwróciłam się i spojrzałam na mężczyznę. W pokoju panował półmrok i dopiero kiedy usiadł, trzymając się za skroń, z której spływała strużka krwi, zobaczyłam jego twarz... To był Dylan Grace. Miałam z tysiąc pytań, które chciałam mu zadać. Ale zdołałam wyjąkać tylko:

– Trzymaj się ode mnie z daleka, ty dupku...

Osunęłam się po ścianie na podłogę. Postanowiłam spróbować, czy przypadkiem czołganie się nie będzie mniej bolesne. Konstatacja, jak niesłusznie zdrowie i siły fizyczne bierzemy za rzecz oczywistą, potrafi być naprawdę szokująca. Odległość do drzwi mogła równie dobrze wynosić ponad kilometr.

Dylan złapał mnie za nadgarstek. Miał szczęście, że nie mogłam sięgnąć po drugi but.

– Oni tu po ciebie przyjdą, Ridley. – W jego głosie brzmiała desperacja. – Idziesz ze mną. Albo konasz tutaj. Decyzja należy do ciebie.

Oklapałam pod ścianą, nie mając żadnych widoków na przyszłość, żadnej siły. Perspektywa śmierci – czy choćby utraty przytomności – zaczęła na mnie oddziaływać. Powolne zagłębianie się w ciemność, takich odczuć jak strach i ból – czy to byłoby takie straszne? Dylan zaczął się do mnie zbliżać, a ja postanowiłam użyć resztek sił, by wrzasnąć, kiedy

usłyszałam na korytarzu jakiś odgłos. Niby znajomy, ale w tym momencie nie potrafiłabym powiedzieć, co to było: zgrzyt metalu o metal, jakieś ostrze przecinające powietrze, gładko, bez wstrząsu? Już wiem – strzał z broni z tłumikiem. Może taki sam słyszałam wtedy na ulicy, kiedy zginęła Sara Duvall, nie wiedząc, co tak naprawdę słyszę? A potem jakby coś – ktoś – ciężko upadł na podłogę. Krzyk zamarł mi w gardle.

Dylan podpełzł do mnie, kładąc palec na ustach i wyciągając spod marynarki broń. Pistolet był płaski i czarny jak ten, który widziałam u Jake'a, jak ten, z którego strzelałam niecelnie w opuszczonym magazynie w Alphabet City. Nie wiem dokładnie, co to była za broń, ale jej widok wyraźnie mnie ucieszył.

Cisza, jaka potem nastąpiła, wlokła się godzinami. Gdzie byli policjanci, którzy mieli strzec moich drzwi? (Czy w Anglii nazywa się ich funkcjonariuszami, czy gliniarzami? Tak czy owak, powinni byli dać tym biedakom broń). Podejrzewam, że znałam odpowiedź. Próbowalam być dzielna. Strach, ból i zmęczenie były już właściwie ponad moje siły. Czułam wzbierający we mnie idiotyczny chichot, jak to mi się zdarzało w chwilach ciężkiego stresu i niebezpieczeństwa.

A potem drzwi zaczęły się otwierać i do pokoju wsunęła się jak duch wysoka, chuda postać. W opuszczonej ręce mężczyzna trzymał broń. Stał bez ruchu tyłem do nas – czułam zapach jego wody kolońskiej, widziałam odpruty obrębek marynarki. Wstrzymałam oddech. Dylan wstał bezgłośnie i uniósł broń. Kiedy mężczyzna obrócił się, czując za sobą jego obecność, wystrzelił. Ciemność eksplodowała. Zostałam ogłuszona – proch palił mnie w nosie i w gardle. Mężczyzna ciężko runął na podłogę, zanim zdążył unieść broń. Patrząc na żalną kupkę, jaka została z mojego niedoszłego zabójcy, słuchałam koszmarnego bulgotu, jaki wydobywał się z jego ust.

Dylan wyciągnął do mnie rękę.

– Możesz iść?

Zawahałam się, spoglądając to na niego, to na leżącego na podłodze mężczyznę. A może ten człowiek przyszedł uratować mnie przed Dylanem Grace'em? Może każdy z nich chciał mnie dla innych niecnym celów?

– Nie masz czasu na zastanawianie się, czy możesz mi zaufać, czy nie – warknął Dylan. Usłyszałam jakiś ruch na korytarzu. – Ci ludzie nie mogą zapewnić ci bezpieczeństwa.

Przypuszczam, że miał na myśli policję i personel szpitala. Z tym nie byłam w stanie dyskutować. Podałam mu rękę i pozwoliłam podnieść się z podłogi. Złapał z szafy mój plecak, co było z jego strony wyjątkowo przytomnym posunięciem; ja o nim zupełnie zapomniałam. Ze strachem uświadomiłam sobie, że mój paszport został u inspektora Ellsinore. Nie miałam pojęcia, jak wybrnę z tej sytuacji.

Wyszłam z pokoju mocno wsparta na Dylanie. Na korytarzu dwaj policjanci, którzy mieli mnie chronić i pilnować, żebym nie uciekła, bezwładnie zwisali ze swoich krzeseł. Pod jednym z nich zbierała się kałuża krwi. Na linoleum, z nienaturalnie wygiętą szyją, leżała twarzą do podłogi pielęgniarka; jeden z jej palców drgał.

– Ile jeszcze? – zapytałam. Nawet teraz, zadając to pytanie, nie wiedziałam, czy chodziło mi o to, ile osób jeszcze musi umrzeć, czy ile jeszcze po mnie przyjdzie.

– Nie wiem – odparł cicho.

Kiedy wychodziliśmy na klatkę schodową, usłyszałam krzyki i spieszne kroki. Dylan okrył

mnie swoim ciepłym wełnianym płaszczem i wymownie spojrzął na nogi w samych skarpetkach.

– No cóż, na to nic nie poradzimy, prawda?

Pochwyciłam jego akcent, ale nie wiedziałam, co o tym sądzić, nie miałam siły pytać.

Pokonywaliśmy niezliczone kondygnacje schodów. Mogłabym opisywać, jak powolna i bolesna była dla mnie ta droga, ale z pewnością sami sobie wyobrażacie. Wyszliśmy na niewielką uliczkę, słysząc za sobą dudnienie na schodach. W zimnej, mokrej ciemności czekał na nas stary peugeot. W kontakcie z moją skórą tapicerka wydała się lodowata; skarpetki miałam przemoczone. Dylan pomógł mi wsiąść na tylne siedzenie.

– Połóż się – polecił.

– Dokąd jedziemy? – zapytałam, kiedy zamykał drzwi.

– Spróbuj się uspokoić. Wszystko będzie dobrze.

Usiadł za kierownicą i mocno trzasnął drzwiami. Przez chwilę myślałam, że czekamy na kierowcę, dopóki sobie nie przypomniałam o lewostronnym ruchu. Uruchomił silnik. Odgłos był metaliczny, słaby.

– Czy masz jakiś plan? – zapytałam, kiedy wycofywał samochód z zaułka i jechał wolno cichą ulicą. Minęła nas kawalkada samochodów policyjnych jadących na syrenach w przeciwnym kierunku. Nie odpowiedział. Tego już zaczynałam się uczyć o Dylanie: że jeśli odpowiedź miałaby mi się nie podobać, to jej po prostu nie było.

– Spróbuj... się nie denerwować – odparł w końcu.

Akcent miał brytyjski. Zdecydowanie brytyjski. A może irlandzki. Czy raczej szkocki. Nie znałam się na akcentach.

– Kim ty do jasnej cholery, jesteś, facet? – zapytałam ponownie.

– Posłuchaj mnie, Ridley – odparł, patrząc mi w oczy w lusterku wstecznym. – Jestem jedynym przyjacielem, jakiego masz.

Powtarzał to uparcie, a ja miałam kłopot, żeby mu uwierzyć.

Zamarłam, słysząc otaczający nas ze wszystkich stron warkot śmigłowca.

Biegliśmy, trzymając się blisko kamiennego muru. Jake cały czas ciągnął mnie za rękę. Ziemia dokoła nas pluła i parskała lecącymi z góry pociskami. Strzelano do nas – wprost nie mogłam w to uwierzyć. Obejrzałam się za siebie, ale ludzi, których słyszałam, jakoś nie mogłam zobaczyć. Gdzie byli? Fakt, że ich nie mogłam zobaczyć, wywoływał we mnie tym większe zdenerwowanie; z dwojga złego wolałabym czuć, że mi depczą po piętach. A jeśli chcą nas zagonić w jakieś jedno miejsce jak owce do korralu, jeśli nagle w jakiś sposób pojawią się przed nami?

– Uciekajmy między drzewa, tam nas nie dopadnie! – wrzasnął do mnie Jake, pokazując na miejsce, gdzie kończył się mur, a zaczynał gęsto zadrzewiony teren, który opadał aż do autostrady. Moglibyśmy, korzystając z tej osłony, posuwać się aż do Mostu Henry’ego Hudsona. Dobiegający z niego szum w ogłuszającym huku helikoptera przypominał szept, mimo to słyszałam go bardzo wyraźnie i skinęłam głową. Biegliśmy więc, unikając kul, w stronę tego, co – miałam nadzieję – obiecywało bezpieczeństwo. Kiedy dopadliśmy miejsca, w którym południowa część muru łączyła się ze wschodnią, Jake wdrapał się szybko na górę, a następnie próbował wciągnąć mnie.

Nie było to jednak łatwe. Za pierwszym razem spadłam, znów spróbowałam i wreszcie udało mi się przeleźć na drugą stronę. Podejrzewam, że gdyby nie potężny zastrzyk adrenaliny, nigdy bym sobie nie poradziła. Mogę powiedzieć, że najpierw wdrapałam się na mur, a potem, po drugiej stronie, już po prostu z niego spadłam. Jake wylądował ze znacznie większym wdziękiem obok mnie. Słyszeliśmy, jak helikopter zawraca, ale w dalszym ciągu trzymał się blisko nas. Nasłuchiwaliliśmy. Nie było żadnych głosów, żadnych kroków.

– Przepraszam cię – powiedziałam. – Przepraszam, że cię tu przywlokłam.

– Nie, Ridley. To ja cię przepraszam.

– Ale niby za co? Przecież ty mnie chciałeś chronić.

Jake objął mnie ramieniem i przyciągnął do siebie. Ja też go objęłam i wtuliłam twarz w jego szyję.

– Ridley, w ciągu ostatnich kilku dni coś zrozumiałem – powiedział bardzo poważnie. – Zrozumiałem, że mogę odejść. To jest tylko sprawa wyboru. Oboje możemy to zrobić. Żeby normalnie żyć, nie musimy znać wszystkich odpowiedzi. Wcale tak być nie musi.

Przytknął usta do moich ust i smak tego pocałunku był naprawdę wyjątkowy. Poczułam w nim wszystkie rozkoszne możliwości, jakie kryło w sobie nasze wspólne życie. W tym momencie mu wierzyłam. Wierzyłam, że ma rację.

– Jeśli się z tego wywinie – wyszeptał mi do ucha – to ci obiecuję, że wszystko się zmieni. Przysięgam ci, Ridley. Przysięgam.

Tuliliśmy się tak do siebie przez chwilę, dopóki nie zauważyliśmy, że coś ostrego jak brzytwa kroi powietrze dokoła nas. Chcieliśmy uciekać, kiedy nagle zobaczyłam, jak ramię Jake’a podskoczyło gwałtownie i czerwony strumyk krwi wydostał się przez tkaninę

marynarki na zewnątrz. Jake wyciągnął do mnie jeszcze rękę i zaraz potem upadł na plecy. Wykrzyknęłam jego imię, wychylając się w stronę tej ręki, i wtedy poczułam potworne pieczenie w boku i upadłam do przodu z taką siłą, jakby mnie ktoś mocno popchnął z tyłu. Zobaczyłam jeszcze, jak z twarzy Jake'a odpływa cała krew i jak ta twarz nieruchomieje. Poczułam w ustach krew i ziemię.

Ocknęłam się nagle ze szlochem. Samochód jechał szybko; byliśmy na autostradzie.

– Czy on nie żyje? – zapytałam.

– Kto? – odpowiedział pytaniem, wpatrując się w drogę przed sobą. Dokoła panowały ciemności. Musieliśmy być już daleko za miastem.

– Jake.

– Nie wiem, Ridley – odparł cicho.

– Nie kłam.

– Nie kłamię. Naprawdę nie wiem.

Wszelkie rodzaje śmierci są na tym świecie możliwe. Śmierć ciała to jeszcze nie najgorsze, co może nas spotkać. Ale śmierć własnej osobowości, śmierć nadziei – to już o wiele gorsza sprawa.

Ja akurat nigdy się śmierci nie bałam. Oczywiście nie dlatego, żebym jej pragnęła. Śmierć zawsze była dla mnie czymś w rodzaju zgaszenia światła. Znikasz, nie ma cię. Albo jest to twój koniec, albo... początek. Tak czy siak, nie ma mowy o oglądaniu się za siebie. Na dobrą sprawę, nigdy nie kupiłam całej tej historii o ogniu piekielnym, karze i nagrodzie po śmierci. Opowieść o tym, że istnieje gdzieś rejestr naszych czynów dobrych, złych i obojętnych, że nasze dusze są według niego oceniane na całą wieczność, nie brzmi wiarygodnie. To ludzie osądzają innych w ten sposób, nie Bóg. On czy może Ona uczy nas z niewyczerpaną cierpliwością, dopóki wreszcie nie „chwycimy” lekcji w tym czy w przyszłym życiu.

Przypuszczam, że żal jest gorszy od śmierci. Kiedy umiera ktoś, kogo kochasz, nie możesz tego ogarnąć rozumem. Nieodwracalność tej straty i twoja całkowita bezsilność sprawiają, że mało nie spłoniesz w ogniu tej męki. Po śmierci Maksa cierpiałam tak bardzo, że nie mogłam uwierzyć, że jeszcze chodzę po ziemi, że wykonuję zwykłe życiowe czynności. Szczerze mówiąc, modliłam się, żeby mnie potracił samochód albo żeby spadła z jakiejś wysokości. Powtarzam: to wcale nie znaczy, że chciałam umrzeć. Chciałam leżeć na wyciągu. Chciałam, żeby moje ciało było tak samo rozbite jak duch, żeby mogła powoli wracać do zdrowia.

Nie boję się śmierci. Wiem, że może nas spotkać znacznie gorszy los.

Takie myśli chodziły mi po głowie, kiedy leżałam na tylnym siedzeniu samochodu, który mknął autostradą, z Dylanem za kierownicą.

– Dokąd mnie wiesziesz?

– W takie miejsce, gdzie chociaż przez chwilę będziemy bezpieczni, żeby się zastanowić, co dalej. Muszę pomyśleć.

– Masz mi powiedzieć, co się dzieje. Już, natychmiast.

Brak odpowiedzi. Dylan Grace zjechał z autostrady i wjechał na niewielką drogę lokalną. Wkoło panowała ciemność, jeśli nie liczyć żółtych prostokątów okien w dali, nielicznych i rozrzuconych w znacznej odległości jedno od drugiego. Czułam zapach trawy i nawozu. Dylan skręcił w prawo, w wąską drogę gruntową, i jechaliśmy teraz wolno podjazdem wysadzonym wysokimi drzewami. Na końcu podjazdu znajdowała się jakaś ciemna kamienna

budowla. Dom. Wyglądał na opuszczony i zaniedbany.

– Ten dom należał kiedyś do mojej rodziny.

– Należał?

– Nie zostało mi już wiele rodziny. Być może w tej chwili jest nawet mój.

– A co z twoją zamordowaną matką, agencie Grace? I z tymi wszystkimi bzdurami, których mi naopowiadałeś w parku? Czy Max zabił i resztę twojej rodziny?

Cofnął się, jakbym mu wymierzyła policzek.

– To była prawda – powiedział, wysiadając z samochodu. – Może nie cała prawda, w każdym razie nie kłamałem.

Otworzył drzwi i pomógł mi wysiąść. Byłam brudna, zmarznięta i przemoczona. Moje kroki na mokrej ziemi wydawały mlaszczący odgłos. Kiedy nogi odmówiły mi posłuszeństwa, wziął mnie na ręce, a nie jest to wbrew pozorom takie łatwe, jak się wydaje na filmach.

– Postaw mnie, ty dupku – powiedziałam, skrzepowana i zaniepokojona.

– Dziś już drugi raz mnie w ten sposób nazywasz – zauważył, szybko zmierzając do domu.

Postawił mnie na ganku i kluczem, który leżał na futrynie, otworzył ciężkie drewniane drzwi. Wewnątrz panował chłód i pachniało stęchlizną; poczułam tchnienie grobu. Pokuśtykałam do sofy, którą wypatrzyłam w mroku. Sofa była czerwona i zakurzona, twarda i niewygodna, ale uznałam, że lepsze to, niż gdybym miała stać. Obok niej zauważyłam fotel do kompletu i otomanę. Umeblowania dopełniał prosty drewniany stolik i kominek z gotową do podpalenia stertą drewna. Skuliłam się z zimna, z nieukrywaną nienawiścią patrząc, jak Dylan rozpala w kominku i okrywa mnie beżowym śmierdzącym kocem. W pewnym momencie zniknął mi z oczu i tylko słyszałam, jak się tłucze – chyba po kuchni. Znów zapadłam w sen.

Kiedy się obudziłam, siedział na fotelu z nogami na otomanie. Płomień oświetlał połowę jego twarzy. Jak wspomniałam, był na swój dość prymitywny sposób przystojny. Nawet zmordowany, blady i z podbitymi oczami, miał w sobie jakąś twardą męską seksualność. Wyobrażałam sobie, że gdyby nie był kłamcą i mordercą, mógłby mi się nawet podobać. Nie powiem, żeby w przeszłości takie rzeczy mnie zniechęcały.

– Nikt nie jest tym, kim ci się wydaje – powiedział, wyczuwając, że się obudziłam. – Ani ja, ani Max, ani nawet Jacobsen.

Nie patrzył na mnie, siedział ze wzrokiem wbitym w ogień. Było to coś tak oczywistego, że nawet nie zadałam sobie trudu, żeby mu odpowiedzieć.

– Kto jest duchem? – spytałam.

Odwrócił się do mnie gwałtownie.

– Gdzie to usłyszałaś?

Potrząsnęłam głową.

– Nie jestem pewna. Słyszę to za każdym razem, kiedy zapadam w sen. Jakiś mężczyzna mnie pyta: „Gdzie jest duch?”.

– Wiele osób chciałoby poznać odpowiedź na to pytanie – powiedział, nie przestając na mnie patrzeć.

– Łącznie z tobą?

Wzruszył ramionami.

– Najpierw coś zjedz, a potem porozmawiamy. – Wstał i szybko wyszedł z pokoju. Nawet nie próbowałam go zatrzymać. Zaczynałam się przyzwyczajać do swojej bezsilności. Nie

miałam ubrania, nie miałam siły. A za to miałam kłopoty z policją dwóch krajów i do tego jeszcze z FBI. Uczylałam się cierpliwości. Siedziałam więc i gapiłam się w ogień, próbując poukładać milion niepasujących do siebie kawałków, co jednak skutkowało najwyżej bólem głowy.

Po chwili wrócił Dylan, niosąc na drewnianej tacy zupę pomidorową i herbatę. Biorąc pod uwagę panujące w tym domu warunki, wołałam sobie nie wyobrażać, jak długo te produkty musiały tu leżeć. Zdumiał mnie jednak mój głód – nie pamiętałam, kiedy jadłam po raz ostatni. Próbowałam jeść powoli, żeby nie dostać mdłości. Nie mogłam się jednak powstrzymać i wychleptałam zupę dosłownie w kilka minut. Poczułam skurcz żołądka, ale szczęśliwie udało mi się nie wymiotować. Kiedy skończyłam, Dylan zrobił mi drugą porcję zupy, którą też zjadłam. A na koniec wręczył kilka pigułek i dużą szklanekę wody.

Podniosłam na niego wzrok.

– Nie mam zamiaru brać od ciebie żadnych pigułek.

Skinieniem głowy wskazał tacę.

– Wzięłaś zupę i herbatę. Mogłem ci w nich podać środki odurzające, gdybym w ogóle miał taki zamiar. – Znów pochwyciłam jego brytyjski akcent, który to się nasilał, to znikał. – To są antybiotyki. Bez nich będzie z tobą coraz gorzej.

Pigułki, małe dwukolorowe tabletki powlekane, rzeczywiście wyglądały na antybiotyki. Wbrew zdrowemu rozsądkowi zażyłam je. Poczułam się jak ryzykantka.

– Skąd wzięłaś antybiotyki?

– Zawsze mam zapas na wszelki wypadek.

Nie wiedziałam, czy to miał być żart, w każdym razie więcej pytań nie zadawałam.

Usiadł naprzeciwko mnie, opierając łokcie o kolana. Nie mówił nic, patrzył tylko, jak popijam wodę. Poczułam się silniejsza, nie miałam już takich zawrotów głowy. Zanim zaczęłam go naciskać, powiedział:

– Max Smiley wybrał dobry moment, żeby umrzeć.

Spojrzałam na niego, ale się nie odezwałam. Robił wrażenie przygnębionego i wyczerpanego, i to wcale nie w sensie fizycznym. Prawie było mi go żal.

– Jak na kogoś, kto wyrządził w życiu tyle zła, umarł w samą porę, zanim dopadły go skutki jego czynów. Śmierć była dla Maksa Smileya za dobrym wyjściem z sytuacji. Ludzie poczuli się oszukani.

– Jakie zło masz na myśli? Projekt „Na ratunek”?

– Projekt „Na ratunek” to jeszcze najmniejsze zło.

Już to słyszałam, od Jake’a. Prawie te same słowa.

– Chyba musisz wyrażać się jaśniej. Słyszę tylko w kółko, jakim potworem był Max, ile czynił zła, ale nikt nie powiedział nic konkretnego, co by mi pozwoliło w to uwierzyć. Wiem, że nie był tym, za kogo chciał wobec mnie uchodzić. To rozumiem. Ale zło to mocne słowo. Musisz je czymś poprzeć.

Wstał tak szybko, że się przestraszyłam. Minął mnie, a kiedy się odwróciłam, zobaczyłam, jak ze stojącego za sofą stołu bierze brązową kartonową teczkę i siada z nią na otomanie.

– To jest najbardziej kompletne dossier Maxwella Allena Smileya, jakie w ogóle istnieje – wyjaśnił.

– Przez kogo zebrane?

– Głównie przeze mnie. Pozbierałem wszystko, co zdołały ustalić różne agencje krajowe i międzynarodowe.

Teczka była gruba. Podobne teczki – złowrogie i ściśle tajne – widuje się na filmach. Instynktownie chciałam się cofnąć, ale stłumiłam znany odruch zaniechania. Wiedziałam jedno: w takiej teczce jak ta nie może być nic dobrego.

– Skąd mogę wiedzieć, że to nie jest kolejny kit, który chcesz mi wcisnąć? – powiedziałam w nagłym przyplywie złości i agresji. – Od chwili, kiedy się poznaliśmy, bez przerwy mnie okłamujesz. Nie jesteś agentem FBI. Nie wiem nawet, czy nazwisko, które mi podałeś, jest prawdziwe – nie wiem, jak powinnam się do ciebie zwracać. Jedno z moich najświeższych związanych z tobą wspomnień jest takie, że wbijasz mi igłę w ramię. A teraz siedzę z tobą w ponurej norze w jakimś zakazanym cholernym zadupiu. Twój akcent też się dziwnie zmienia. Z tego, co wiem, jesteś psycholem, który mnie porwał i zamierza zjeść na obiad moją wątrobę. Pytam cię po raz ostatni: Kim jesteś, do jasnej cholery?

Na twarzy Dylana rozlał się ten jego irytujący uśmiech. Gdybym nie była takim wrakiem, skoczyłabym mu do gardła. Musiałam się jednak zadowolić gniewnym spojrzeniem, które – jak wiemy – nie jest tak skuteczne.

– Ale ja pracuję dla FBI. Tylko że wie o tym niewiele osób, wśród nich nie ma twojej przyjaciółki, agentki Sorro. Ale naprawdę pracuję.

– Coś w rodzaju wojskowych „czarnych operacji”, tak? – prychnęłam.

Chciałam, żeby moje słowa zabrzmiały ironicznie, żeby odczuł, że się z niego nabijam, ale kiedy tak siedział w półmroku, stanowił dla mnie jedną wielką tajemnicę. W tej chwili byłam gotowa uwierzyć we wszystko, co się tyczyło Dylana Grace’a.

– Niezupełnie.

Czekałam, że będzie mówił dalej, ale oczywiście nie spełnił moich oczekiwań.

– A co?

– To naprawdę nieważne. Ważne jest to, że chcę ci pomóc, a nie skrzywdzić. Musisz to zrozumieć.

Potrząsnęłam głową.

– Dlaczego wszystko, co się z tobą wiąże, musi być zagadką? I niby dlaczego miałabym wierzyć w choć jedno twoje słowo na jakikolwiek temat?

– Choćby dlatego, że ci uratowałam tyłek – odparł z łatwą do przewidzenia arogancją.

– Dobrze, gdzie są posiłki, gdzie kawaleria? Czy spieszą nam na pomoc, żeby nas odwieźć do domu? Dlaczego musimy siedzieć tutaj, żebyś „wykombinował, co dalej”? – Uniosłam agresywnie palce, pisząc w powietrzu cudzysłów. – Wybacz, że to powiem, ale chyba trochę przeceniasz swoją wartość, bo najwyraźniej nikt się nie kwapi, żeby cię stąd odbić.

– Rzeczywiście – powiedział, choć jego uśmiech nieco zbladł. – W tej chwili nie mam wsparcia.

Potrząsnęłam głową. Nie wiedziałam, co myśleć o tym człowieku.

– Powiedz mi chociaż, co to znaczy.

Wytrzymał mój wzrok, ale nie odpowiedział.

– To znaczy, że jesteśmy całkowicie zdani na siebie, tak?

Ponownie wzruszył ramionami, ale skinął głową.

– A twój akcent? Jesteś Anglikiem?

– Mój ojciec był Amerykaninem, matka Angielką. Mieszkaliśmy w Anglii, od kiedy skończyłem rok, aż do szesnastego roku życia. Potem wróciłem do Stanów. Ten akcent wyłazi, kiedy jestem zestresowany, pijany albo zmęczony.

Pokiwałam głową.

– A dlaczego miałabym wierzyć choćby w jedno jedyne słowo z tego, co mówisz?

– Nie okłamałem cię. Ani razu.

– Po prostu omijałeś ważne szczegóły. Raczej tak, prawda?

Znów to milczenie, które opanował do perfekcji.

– Boże, jesteś naprawdę podły.

Uniósł teczkę do góry.

– Wszystko jest tutaj. Wszystko, co wiem o Maksie, twoim ojcu.

Położył teczkę koło mnie na sofie i wyszedł z pokoju. Usłyszałam odgłos zamykanych drzwi i zostałam sam na sam z płonącym na kominku ogniem. Sam na sam z Maksem. Z duchem.

Nie jesteśmy naszymi rodzicami. To pewne. Prawdopodobnie przez całe życie słyszeliście, że cechy, które was tak denerwują u matki czy ojca, ostatecznie ujawnią się i u was. Być może nawet wierzycie, że tak jest naprawdę. Ja osobiście uważam to za kompletną bzdurę. Wymówkę, coś, czym ludzie pocieszają się, nie chcąc wziąć odpowiedzialności za własne życie. Jeśli nie zastanawiasz się nad sobą, nie próbujesz samodzielnie rozwiązywać swoich problemów, nie umiesz odróżnić tego, co ważne, od tego, co nieważne, albo nie potrafisz decydować o swoim szczęściu, to jest wysoce prawdopodobne, że zostaniesz pijakiem albo gwałcicielem, zimnym, obojętnym sędzią, jakim był twój ojciec czy matka. Ale ja wierzę w wolny wybór. Wierzę, że jesteśmy kowalami własnego losu i że ludzka egzystencja to suma naszych wyborów – małych i dużych. Nie zawsze jednak to, co się z nami dzieje, stanowi efekt naszego wyboru: nie mamy na przykład wpływu na miejsce naszego pochodzenia, ale już to, jak reagujemy na różne wyobrażenia w naszym życiu, stanowi nasz własny wybór. Wybieramy, czy dążyć do zguby, czy zmądrzeć. Nietzsche (którego zawsze uważałam za, w pewnym stopniu, psychopatę) powiedział, że co nas nie zabije, to nas umocni. Uczepiłam się tej filozofii i muszę w nią wierzyć.

Muszę wierzyć, że nie jestem moim ojcem. Że jego DNA to nie choroba zakaźna, którą w sobie noszę, że nie jest to uśpiony wirus, który pewnego dnia mną zawładnie, zamieniając krew w truciznę.

Dylan dał mi godzinę na zapoznanie się z zawartością teczki, po czym wrócił i usiadł koło mnie. Ponure archiwum leżało na moich kolanach. Było tam jeszcze dużo do czytania, ale straciłam cierpliwość. Nie mogłam się zmusić do tego, żeby przewrócić kartkę. Oczyma wyobraźni widziałam Maksa, jak z upiornym uśmiechem stoi nad zmasakrowanym ciałem matki. Jak czeka pod oknem Nicka, wpatrzony w nie bezdusznym wzrokiem, już samą swoją obecnością stanowiąc koszmarnie zagrożenie. Widziałam, jak pięścią wymierza mojemu bratu cios w szczękę.

– Bardzo mi przykro – powiedział Dylan.

Patrzyłam w dogasający płomień. Robiło się coraz chłodniej. Ledwie mogłam uwierzyć w to, co przeczytałam, nie wierzyłam oczom, oglądając zdjęcia. Próbowałam jakoś ogarnąć to wszystko umysłem, ale czułam się tak jak wtedy, gdy oglądałam w telewizji obrazy skrajnej nędzy czy wojny. Wiesz, że to, co widzisz, jest prawdziwe, ale jednocześnie nie możesz tego zaakceptować, tak bardzo się to różni od twojego doświadczenia.

– Ja nie znam tego człowieka – powiedziałam.

Skinął głową; zrozumiał, co miałam na myśli.

– Dlaczego mi to pokazałeś? – zapytałam łagodnie. Ciągle mi ktoś wtykał teczki pełne złych wiadomości. Zaczynałam mieć tego dość.

Przez chwilę milczał, wpatrzony w kawałek podłogi między swoimi stopami.

– Mówiliśmy już o tym wcześniej, pamiętasz. Myślę, że jedyną drogą do niego jesteś ty.

Przypomniała mi się nasza rozmowa tamtego pierwszego dnia.

„Czy zna pani główny powód, dla którego ludzie objęci programem ochrony świadków zostają odnalezieni przez swoich wrogów i giną?

– Mianowicie? – zapytałam, chociaż nietrudno było zgadnąć.

– Miłość.

– Miłość – powtórzyłam.

– Nie potrafią trzymać się z daleka. Ulegają pokusie zadzwonienia albo pojawiają się incognito na ślubie czy na pogrzebie. [...] Byłam w jego mieszkaniu, które jest praktycznie sanktuarium poświęconym pani. Max Smiley popełnił w życiu straszne rzeczy, skrzywdził wiele osób, ale jeżeli w ogóle kogoś kochał, to panią”.

Wiedziałam, że to prawda. Od zawsze. Max i ja byliśmy ze sobą związani. Wiedziałam, że zawsze się znajdziemy.

– Chcesz mnie użyć jako przynęty – powiedziałam bez emocji.

– Prawda jest taka, Ridley, że już od dawna stanowisz przynętę. Tylko że do tej pory nie było brania.

Nie odezwałam się.

– Jake Jacobsen wykorzystywał cię w tym celu, jeszcze zanim cię poznał – powiedział łagodnie.

– Owszem, mogło się tak zacząć – przyznałam. – Chciał się dostać do Bena.

Dylan potrząsnął głową i znów wbił wzrok w podłogę. Miałam wrażenie, że ta rozmowa sprawia mu ból.

– Zobaczył moje zdjęcie w „Post” – powiedziałam, wychylając się do przodu. Poczułam, że serce zaczyna mi walić w piersi. – Podobnie jak Christian Luna. To był przypadek. A Jake potrzebował mojej pomocy.

– Uważasz, że właśnie w ten sposób cię znalazł?

Tamtego dnia na Moście Brooklyńskim (wydawało mi się, że to było lata świetlne temu) Jake w końcu powiedział mi prawdę (a przynajmniej jej część). Przyznał mianowicie, że wynajął mieszkanie w moim domu, bo szukał jakiegoś dojścia do Bena. Chciał się dowiedzieć czegoś więcej o projekcie „Na ratunek” i uznał, że to będzie najlepszy sposób. Wybaczyłam mu to już dawno. I tyle powiedziałam Dylanowi.

– Zastanów się nad tym, Ridley. Kiedy Jake wprowadził się do twojego domu?

Zaczęłam przeszukiwać pamięć, by osadzić to wydarzenie na osi czasu ostatniego okresu mojego życia. Przypomniał mi się tamten ranek, kiedy uratowałam Justina Wheelera. Moje wyjście z domu opóźniły dwie rzeczy. Po pierwsze, stwierdziłam, że moja skrzynka pocztowa jest przepełniona rachunkami i różnymi pismami, wśród których znalazłam gniewną kartkę od listonosza. Wyjęłam korespondencję ze skrzynki i pobiegłam odnieść ją do mieszkania. Ale przedtem zatrzymała mnie starsza pani, moja sąsiadka Victoria, żeby mi powiedzieć o hałaśliwym facecie, który się wprowadził na górę. Tydzień później spotkaliśmy się z Jakiem oko w oko. Na wspomnienie tamtej rozmowy poczułam skurcz żołądka. Znikła terażniejszość, wokół mnie zaczęły wirować wszystkie szczegóły naszego spotkania, a także tego, co nastąpiło po nim.

Nasze poznanie się, towarzysząca mu namiętność i dramaturgia późniejszych wydarzeń były tak bardzo intensywne, pochłaniające bez reszty. Może dlatego nigdy nie dokonałam oczywistych skojarzeń. A może po prostu podświadomie się przed nimi broniłam.

Zrozumiałam teraz, do czego zmierzał Dylan: Jake wprowadził się do mojego domu wieczorem dnia poprzedzającego wydarzenie, które na zawsze zmieniło moje życie.

Czy to możliwe? I co by to miało znaczyć? Nie wiem, jak długo siedziałam, analizując następstwo faktów i usiłując sobie wmówić, że to wszystko pomyłka. Gęsta mgła spowiła mój umysł.

Z trudem wydusiłam z siebie słowa:

– Czy chcesz powiedzieć, że on wiedział, kim jestem, zanim ja się dowiedziałam?

Dylan zwiesił głowę.

– Jak to możliwe?

Nagle ogarnął mnie wielki wstyd. Poczułam się jak dzieciak, który padł w szkole ofiarą okrutnego żartu i teraz stoi otoczony tłumem szyderców. Dostałam wypieków.

Akceptacja przychodziła powoli. A potem, kiedy stwierdziłam, że jednak Dylan ma rację, próbowałam znaleźć jakieś usprawiedliwienie dla kłamstw Jake'a na temat tego, jak mnie znalazł, i fałszywego scenariusza, jaki musiał wymyślić. Wiedziałam, że to żalosne. Ale i tak nic nie potrafiłam wykombinować. A potem zaczęło się główkowanie: jeżeli kłamał w sprawie tego, jak mnie znalazł, to w jakiej jeszcze sprawie mógł kłamać? W pamięci „przeglądałam” rzeczy, o których mi mówił. Jak skojarzył Maksa z pewnym barem w Jersey i spytał go o projekt „Na ratunek”. I jak w zaledwie kilka tygodni później Maks już nie żył.

Doszłam do wniosku, że do Maksa dotarło, jak wiele zła uczynił, i to spowodowało, że tamtego wieczoru wypił za dużo, jednym słowem, że popełnił rodzaj samobójstwa, upijając się i powodując wypadek na moście. Ale bohater dossier, udostępnionego mi przez Dylana, nie należał do ludzi, którzy umierają w wyniku rozczulania się nad losem innych. Ten człowiek w ogóle nie miał sumienia. Czy to mogło znaczyć, że Jake miał więcej wspólnego z jego śmiercią, niż mi się wydawało? Albo w ogóle więcej wspólnego z Makssem, niż się do tego przyznawał? Wszystkie te ewentualności były porażające.

– Myślę, że wiele z tego, co wiesz o Jake'u, jest prawdą – powiedział uprzejmie Dylan. – Całej historii związanej ze swoim dzieciństwem nie wymyślił, ani tego, że próbuje się dowiedzieć, kim jest naprawdę i skąd pochodzi.

– Skąd wiesz? – zapytałam ze złością. – Skąd wiesz to wszystko o Jake'u?

– Ponieważ obserwowałam go od lat.

Spojrzałam na niego pytająco.

– Dlaczego?

Uśmiechnął się smutno. Odpowiedź była oczywista. Sama jej sobie udzieliłam.

– Ponieważ on obserwował mnie, przekonany, że prędzej czy później Max się w jakiś sposób do mnie zbliży. Jake nigdy nie uwierzył, że Max zginął w tamtym wypadku, i czekał, że kiedyś spróbuje się ze mną skontaktować. O to ci chodzi? To chciałeś mi powiedzieć?

– I że kiedy do tego dojdzie, on będzie spał u twego boku – dodał Dylan. – Wiedział, że będzie pierwszą osobą, której to powiesz.

Poczułam się, jakby ktoś stanął mi na piersi nogą w bucie. Wróciły nasze wspólne noce i miłość, jaką go obdarzyłam. Na myśl o tym, że to wszystko było z jego strony częścią jakiejś gry czy sposobem na przeczekanie, aż Max się ze mną skontaktuje, poczułam się tak, jakby mi wbito nóż w serce.

– A gdyby doszło do mojego kontaktu z Makssem, to ty byś go podsłuchał, tak?

Ponownie wzruszył ramionami.

– Max Smiley jest człowiekiem, który ma sposoby, środki i motywy, żeby raz na zawsze zniknąć z oblicza tej ziemi. Z tego, co wiemy, ma tylko jedną słabość, jedno miejsce w sercu, które coś czuje.

Nie potrzebowałam pytać, co czy kogo Dylan ma na myśli. Pomyślałam, ile trzeba było cierpliwości, żeby tak dzień po dniu czekać, aż Max się ze mną skontaktuje, i jak niesamowicie musiało Jake'owi na tym zależeć.

– Nigdy nie rozumiałam jego obsesji. Sądziłam, że zależy mu na tym, by dowiedzieć się wszystkiego o sobie i spowodować, żeby Max i inni ludzie zamieszani w projekt „Na ratunek” odpowiedzieli za swoje czyny przed prawem. Że chciał, żeby ta sprawa w jakiś sposób została zamknięta, ale teraz rozumiem, że musiało być w tym coś więcej.

– Od tego się najprawdopodobniej zaczęło.

– A dalej?

– Przypuszczam, że im więcej dowiadywał się o Maksie, tym silniejsza była jego motywacja, żeby go znaleźć. Sądzę, że osobista potrzeba znalezienia odpowiedzi na pewne pytania przerodziła się u niego w obsesję. Że poszukiwanie Maksa stało się jedynym celem jego życia. Który w końcu zaczął go określać.

Widziałam teraz, jak mogło do tego dojść; w gruncie rzeczy czułam, jak do tego dochodziło u mnie. Ale jednocześnie diagnoza Dylana nie całkiem dawała się do mnie zastosować. Zdałam sobie sprawę, że obsesja Jake'a już od wielu miesięcy wydawała się nienaturalnie rozbuchana, aż przybrała absurdalne rozmiary. Na początku naszego związku myślałam, że to się będzie z czasem uspokajało, ale było akurat odwrotnie. To raczej ja powinnam mieć obsesję; ten człowiek był przecież moim ojcem.

– Podejrzewam, że musisz wiedzieć coś niecoś na temat obsesji – powiedziałam.

Przypomniały mi się fotosy ze scen zbrodni, które były w teczce. Widziałam, co Max zrobił z matką Dylana, a co pozwoliło mi lepiej go teraz zrozumieć.

– Owszem, zgadza się.

– Ty swoją obsesję obróciłeś w karierę zawodową.

Wzruszył ramionami.

– To jest życie.

Próbował się uśmiechnąć, ale uśmiech zamarł na jego ustach. Ja, ze swojej strony, wątpiałam, czy zdołam jeszcze kiedykolwiek się uśmiechać.

– Skąd Jake wiedział, że jestem córką Maksa?

– Może nie wiedział. Może tylko wiedział, że Max cię kochał.

– To po co miałby kłamać na temat tego, w jaki sposób do mnie dotarł?

– Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie.

A przecież takich pytań było znacznie więcej. Tak wiele jeszcze chciałam się dowiedzieć o tych ostatnich dwóch latach, dwóch tygodniach... Jeszcze nawet nie przebiliśmy się przez powierzchnię. Ale zanim zaczęłam na dobre drążyć temat, przez chwilę siedziałam w milczeniu. Chciałam zapytać o tamtych ludzi w Klasztorze. Jakim cudem znalazłam się w Londynie i kogo Dylan zabił w szpitalu. Obawiałam się, że kiedy już zacznę, to każde kolejne pytanie będzie prowadziło do następnego.

– Myra Lyall nie żyje – powiedziałam. – Znaleziono jej ciało w walizce w kanale.

Skinął głową.

– Wiem.

– Co Myra odkryła? Czy ci ludzie, którzy ją uprowadzili, to ci sami, którzy porwali mnie?

– Nie jestem pewien, Ridley. Nie wiem, co działo się z każdą z was. Miałem nadzieję, że na niektóre pytania odpowiesz ty.

Spojrzałam na niego spode łba. Do tej pory wydawało mi się, że tylko dlatego nie skończyłam tak jak Myra – dryfując w walizce po kanale – że Dylan Grace uratował mój tyłek, jak to wdzięcznie ujął. Widać z tego, że znów się myliłam.

– To w jaki sposób mnie znalazłeś?

Pamiętacie, z jaką łatwością uciekłam Dylanowi z Riverside Park? Okazuje się, że Dylan się tego spodziewał. W gruncie rzeczy chciał, żebym uciekła.

– Przypuszczałem, że coś ukrywasz. I pomyślałem, że jeśli pozwolę ci uciec, to pójde z tobą i zobaczę, dokąd mnie zaprowadzisz. Podśluchiwałem twoje rozmowy z telefonu komórkowego i namierzyliśmy cię najpierw w kawiarence internetowej, a potem w pokoju na godziny na Czterdziestej Drugiej. Następnie zgubiliśmy trop. Choć teraz wiem, że mijałaś mojego partnera. Nawiasem mówiąc, niezła robota z tymi włosami. Historia jak z Sex Pistols.

– Dzięki – powiedziałam, mrużąc oczy. – Ale ty też nie wyglądasz najlepiej.

– Dzwoniłaś też z Inwood, dlatego tam pojechaliśmy. Ostatni twój telefon, jaki udało nam się podsłuchać, to była rozmowa z Grantem Websterem. Ale umknęłaś nam, zanim się zorientowaliśmy, gdzie jesteś i zdążyliśmy tam dotrzeć. Kiedy przyjechaliśmy na miejsce, była już policja – wezwana z powodu strzałów i śmigłowca, ale gliniarze nie mieli pojęcia, co się stało. Przeszukiwali teren, zbierali łuski od pocisków z broni automatycznej i półautomatycznej, i tyle.

– I ani śladu Jake’a?

Pokręcił głową.

– Ani śladu. Wierz mi, Ridley, gdybym coś wiedział, z pewnością bym ci powiedział.

Skinęłam głową.

– Poszliśmy do mieszkania Granta Webstera w Village.

– Czy on?... – Nie mogłam dokończyć pytania.

– Był martwy? Tak – odparł łagodnie Dylan.

Znów odezwało się we mnie to mdlące poczucie winy, które ostatnio tak często mnie nawiedzało. Obarczałam się winą za to, co się stało z Sarą, Grantem, Jakiem, a nawet ze mną. Nie potrafiłam sobie z tym poradzić. Dlatego zablokowałam to uczucie.

Dylan ciągnął dalej:

– Z jego telefonu dowiedzieliśmy się, że jesteś w tarapatach, że uzyskał jakąś informację i chciał cię ostrzec. Ale Grant ma w swoim komputerze specjalny klawisz do usuwania danych z sieci. Zdążył to zrobić przed śmiercią. Przepadło wszystko, co wiedział.

Pokręciłam głową.

– Nie wierzę. Musi być gdzieś jakaś kopia zapasowa. – Przypomniała mi się jego strona internetowa, przypomniało mi się, jak surowo ganił ludzi za to, że nie chronią w dostatecznym stopniu danych wrażliwych i nie sporządzają kopii zapasowych. Zrobił na mnie wrażenie osoby, która sama stosuje się do głoszonych przez siebie zasad.

– Jeżeli nawet kopia zapasowa istnieje, to jej nie znaleźliśmy.

– Grant powiedział mi, że pakuję się w pułapkę, że według „nich” wiem, gdzie jest Max, i że ich prędzej czy później do niego zaprowadzę.

– A czy to jest prawda?

Spojrzałam mu w oczy.

– No... nie. Dlaczego mi nie wierzysz w tej sprawie? Przecież obserwujesz mnie już od dłuższego czasu. Czy gdybym się potajemnie komunikowała z Maksem, to byś o tym nie wiedział?

– O stronie internetowej nie wiedziałem. Ale z moich informacji wynika, że używałaś komputera w domu swoich adopcyjnych rodziców, żeby się z nim kontaktować.

Przypomniało mi się to, co powiedział Grant: że agencje rządowe nie lubią zaszyfrowanych stron internetowych i programów steganograficznych. Zaczęłam się zastanawiać nad obrazem wideo i że może to być właśnie sposób na ukrycie wiadomości. Wróciło pytanie: jaki może być login mojego ojca. Byłam przekonana, że gdybym miała dostęp do komputera, tobym z pewnością do tego doszła.

Dylan obserwował mnie we właściwy sobie sposób – jakby wierzył, że samą siłą wzroku wymusi przyznanie się do rzekomych kłamstw. Sęk w tym, że żadne z nas nie wiedziało, jak to ugryźć. Westchnęłam. Jedno było oczywiste: że sobie nawzajem nie ufamy. Ta przepychanka mogła trwać godzinami. Ale znudziło mi się powtarzanie w kółko tego samego, czyli: ostatnio znalazłam stronę internetową, tylko nie wiedziałam, jak się zalogować.

– No więc straciliśmy cię – powtórzył. – Nie wiedziałem nawet, gdzie zacząć cię szukać. Fakt, że cię aresztowałem, nie mając właściwie do tego prawa, a następnie pozwoliłem ci uciec, przysporzył mi wiele kłopotów. Dostałem naganę i groziło mi zawieszenie w czynnościach i taki pewnie byłby finał, gdyby nie to, że na tym etapie śledztwa jestem praktycznie nie do zastąpienia.

– To znaczy, że jednak pracujesz dla FBI?

Powoli skinął głową.

– Jestem członkiem Specjalnej Grupy Inwigilacyjnej FBI. Monitorujemy obcych agentów, szpiegów i tych, którzy nie są przedmiotem żadnego specjalnego dochodzenia.

– Jak ja?

Skinął głową.

– I jak Jake Jacobsen. Chodzi o to, że ja nie jestem typowym agentem pracującym w terenie. Zbieram dane, prowadzę inwigilację, monitoruję przepływ informacji i różne ruchy. Jeśli zobaczę coś podejrzanego, podnoszę alarm. Jacobsen był dla nas interesujący ze względu na swoje zdolności śledcze. Obserwowaliśmy go prawie dwa lata. A siłą rzeczy i ciebie.

Zamyśliłam się nad faktem, że byłam inwigilowana aż tak długo. Spojrzałam na Dylana Grace'a, człowieka, który najprawdopodobniej słyszał każdą moją prywatną rozmowę, czytał każdego mejla, widział każdy mój ruch od chwili, kiedy poznałam Jake'a. Speszyło mnie to, ale i zaintrygowało. Jak dobrze można poznać kogoś, obserwując jego życie z lotu ptaka? Widzisz różne twarze tego człowieka, słyszysz te same opowieści, z których każda, skrojona na potrzeby konkretnego słuchacza, brzmi trochę inaczej. Oglądasz taką osobę, kiedy jest przekonana, że nikt jej nie widzi. Możesz nawet usłyszeć, jak płacze w poduszkę albo się kocha z kimś, kogo pragnie, ale komu nie ufa. Czy z tym wszystkim poznasz ją lepiej, niż gdybyś był jej kochankiem czy przyjacielem? A może, nie mając wstępu do jej serca, nigdy jej

tak na dobre nie poznasz?

Dylan ciągnął dalej:

– Słuchałem twoich rozmów w sieci komórkowej, obserwowałem ruchy na kartach kredytowych i bankomatowych, kontrole paszportowe. Przez dwa dni nie znalazłem nic. Bałem się najgorszego. Myślałem, że znikłaś tak jak Myra Lyall.

– I co dalej?

– Nagle na twoim koncie Visa pojawił się rachunek za hotel Covent Garden. Wsiadłem w najbliższy samolot i poleciałem do Londynu. Przekupiłem recepcjonistę, żeby mi podał numer pokoju, i znalazłem cię, wiesz, w jakim stanie. Przez swoje londyńskie kontakty załatwiłem dla ciebie antybiotyk i środki przeciwbólowe – to było właśnie tamto ukłucie w ramię. A potem poszedłem po bandażę i coś do zdezynfekowania rany, żeby ci zrobić opatrunek. Wróciłem, ale ty tymczasem zdołałaś się dowlec do hotelowego holu. Na moich oczach zabrało cię pogotowie.

Myślałam o chronologii jego opowieści, ale w tych warunkach wydała mi się całkiem wiarygodna, chociaż trudno mi było uwierzyć, że tak wyglądało moje obecne życie – że wylądowałam w takim miejscu i z tym facetem, któremu w dodatku do końca nie ufałam. Ale i nie bałam się go. A ostatnio to wcale nie było tak mało.

– W porządku, wobec tego gdzie jest FBI? Skoro dla nich pracujesz, to dlaczego nikt nas nie próbuje ratować?

– Dlatego, że... nie rozumiesz tego jeszcze? Dlatego, że mnie tu nie powinno być. Powinienem siedzieć za biurkiem i słuchać twoich rozmów telefonicznych. A nie być tutaj z tobą.

– Bez żadnego ubezpieczenia? – Świadomie użyłam jego własnego słowa.

Skinął głową.

– No dobrze – powiedziałam. – I co dalej?

Na jego twarzy pojawił się wymuszony uśmiech. Przez chwilę patrzył w ogień, a potem spojrzał na mnie.

– Jestem otwarty na propozycje.

– To fantastyczna wiadomość.

Jeśli naprawdę dasz się porwać życiu, jeśli rozluźnisz kontrolę nad sobą i przestaniesz kurczowo trzymać się swojej tożsamości, to nigdy nie wiesz, gdzie w końcu wylądujesz. Ale większość ludzi tak się nie zachowuje. Większość trzyma się tego, co znane, i może to zmienić tylko jakaś tragedia. Na ogół ludzie żyją w tym samym mieście, w którym się urodzili, chodzą do tych samych szkół co ich rodzice, podejmują pracę, która zapewnia im godziwe życie, znajdują partnera, którego w swoim przekonaniu kochają, żenią się lub wychodzą za mąż, mają dzieci i co roku jeżdżą w to samo miejsce na wakacje. Czasem ten porządek bywa zaburzony – ktoś ma romans, ktoś się rozwodzi. Ale zawsze to jest to samo nudne życie z tą samą osobą. Chyba że wydarzy się coś okropnego, jak śmierć, pożar domu czy jakiś naturalny kataklizm. I wtedy ludzie zaczynają rozglądać się dokoła i myśleć: Czy to jest rzeczywiście jedyna możliwość? A może istnieje jakiś inny sposób na życie?

Max zawsze na ten temat bredził, kiedy był pijany. Miał fioła na punkcie tak zwanych „normalnych ludzi”, których uważał za żałosnych. Większość z nich to według niego zombie, którzy przechodzą przez życie jak lunatycy i umierają, nie pozostawiając po sobie

najmniejszego śladu. Sam Max był tytanem, spadającą gwiazdą, człowiekiem, za którego sprawą powstały tysiące budynków, a także organizatorem akcji charytatywnych w różnych krajach świata. Z tego, co wiedziałam, wykształcił przynajmniej dziesiątkę dzieci z Detroit, przyznając im ufundowane przez siebie stypendia imienia swojej matki. Ktoś taki musiał żyć na wielką skalę. To była jego norma.

Myślę, że większość ludzi po prostu próbuje być szczęśliwa i że ich poczynania, choć często niefortunne, na ogół zmierzają jednak do osiągnięcia tego celu. Prawie wszyscy chcą po prostu gdzieś należeć, chcą być kochani i czuć, że są dla kogoś ważni. Gdyby tak naprawdę prześledzić wszystkie ich błędne i nieudane przedsięwzięcia, to najczęściej wywodzą się one z tego właśnie podstawowego pragnienia. Gwałciciele, uzależnieni, okrutnicy i manipulatorzy – wszyscy ci ludzie rozpoczęli pogoń za szczęściem w zaraniu swego życia. Ktoś słowem albo czynem dał im odczuć, że są nic niewarci, i dlatego uważają, że muszą pazurami wywalczyć swoje, zostawiając po sobie blizny i powodując szkody. Oczywiście w ten sposób przysparzają tych szkód jeszcze więcej – sobie i innym.

W pogoni za szczęściem biorą udział nawet psychopaci i socjopaci, którzy popełniają na niewinnych ofiarach najohydniejsze zbrodnie. Ale ich motywy są chore i ciemne; ci ludzie zostali źle okablowani. Niektórzy wierzą, że zło to obecność czegoś; ja uważam, że jest to czegoś brak.

Czy Max był złym człowiekiem? W dalszym ciągu tego nie wiedziałam. Gdybym przyglądała mu się bliżej, jak Ace, to może dostrzegłabym pewne symptomy potwierdzające te podejrzenia. Ale ja byłam całkowicie pod jego urokiem. Gdyby nie seria wydarzeń, które wstrząsnęły fundamentami mojego życia, może bym nigdy nie zapytała, jakim był naprawdę człowiekiem. I żyłabym dalej w nieświadomości. Częścią siebie – znaczną częścią siebie – żałowałam, że nie posłuchałam rady Nicka Smileya, żeby nie ruszać zmarłych.

Spojrzałam na leżącą na moich kolanach teczkę, usiłując pogodzić się ze zdjęciami, które miałam przed sobą, a które obejmowały kilka dekad. Przedstawiały mężczyznę, który wyglądał inaczej na każdej fotce. Max, może wówczas trzydziestoparoletni, szczuplejszy niż ten, którego ja znałam, w białej koszuli i spodniach khaki, wysiada z czarnego mercedesa w pobliżu opuszczonego stadionu w Sierra Leone. Towarzyszy mu dwóch mężczyzn z bronią automatyczną. Max, z brodą i z wilczym uśmiechem, siedzi w paryskiej kawiarni, w towarzystwie grupy mężczyzn i trzyma rękę na opasłej szarej kopercie. Max ściska rękę ciemnoskóremu mężczyźnie, ubranemu w czarne szaty i turban. Takich zdjęć było wiele, wszystkie nieostre, zrobione z dużej odległości. Tajne spotkania na całym świecie – na pustych placach, na parkingach, na przystaniach i w opuszczonych magazynach. Dużo broni i groźnie wyglądających mężczyzn.

Max Smiley, którego znałam, był renomowanym agentem nieruchomości na międzynarodową skalę i deweloperem, który musiał wiele podróżować w interesach. Zbudował luksusowe kondominia w Rio, hotele na Hawajach, wieżowce w Singapurze. Grywał w golfa z senatorami, odbywał połowy dalekomorskie w towarzystwie szejków saudyjskich. Ale w interesach Maksa zawsze były jakieś odcienie szarości, tak, o tych, z którymi prowadził interesy, zawsze mówiono półgłosem. A potem wybuchł skandal z projektem „Na ratunek”, ujawniając jego powiązania z przestępczością zorganizowaną i rolę, jaką w tym odegrał prawnik Alexander Harriman. FBI zaczyna drążyć bankową

przeszłość Maksa, mimo że został legalnie uznany za zmarłego.

– Znaleźliśmy setki milionów dolarów na zagranicznych kontach bankowych. – Głos Dylana przerwał moje myśli. – To jest to, co udało nam się wytropić. A ile jeszcze jest na kontach, których nie udało nam się powiązać z Maksem ani z jego interesami czy różnymi przedsięwzięciami „charytatywnymi”, nawet nie próbuję oszacować.

Odłożyłam teczkę na stół i wyciągnęłam się na sofie. Nie wiem, jak długo rozmawialiśmy. Powinnam właściwie odpocząć, ale tego, że mogłabym się przespać, jakoś w ogóle nie brałam pod uwagę. Moje ciało już dawno przekroczyło granice zmęczenia, ale umysł był niespokojny.

– Rozumiem, że te pieniądze nie pochodzą z działalności deweloperskiej.

– Nie. Max Smiley był legalnie człowiekiem bogatym, mającym dochód w wysokości kilku milionów dolarów rocznie. Te pieniądze pochodziły z innych źródeł. Zaczęliśmy obserwować niektóre konta. I stwierdziliśmy, że dokonywano z nich wypłat, wpływały też depozyty.

– Dlatego uznaliście, że on może żyć?

Skinął głową.

– A potem nasze śledztwo zostało zablokowane.

– Przez kogo?

– Przez CIA.

– Dlaczego?

– Powiedzieli nam, że prowadzona przez nas inwigilacja jest sprzeczna z toczącym się śledztwem, i poproszono, żebyśmy się wycofali. Albo kazano.

– A ci mężczyźni na zdjęciach, te spotkania... Jakie interesy prowadził Max?

Dylan usiadł na podłodze koło mnie, wziął teczkę i ze sterty zdjęć wyciągnął jedno.

– Ci mężczyźni są związani z mafią albańską.

– A jak on ich poznał? – zapytałam.

Mój głos zabrzmiał jakoś obco, był dziwnie cienki, daleki. W głowie kłębiły mi się czarne myśli – natrętnie wracały dzieci z projektu „Na ratunek”. Zastanawiałam się, jak wiele jeszcze się za tym kryje, czego nie ogarniałam nawet wyobraźnią. A tymczasem Dylan dalej pokazywał mi mężczyzn na zdjęciach: znanych terrorystów, ludzi związanych z rosyjską, włoską i włosko-amerykańską mafią.

– To dlatego CIA w dalszym ciągu go poszukuje. Bez względu na to, co go z tymi ludźmi łączyło.

– Możliwe.

Zastanawiałam się, czy Dylan celowo wyraża się niejasno, czy gra na zwłokę. Zapytałam go o to wprost.

– Jak ci powiedziałem, moje śledztwo zostało zablokowane. W dalszym ciągu nie wiem, na czym polegały związki Maksa z tymi ludźmi. O, tutaj – powiedział, wyciągając jedno z wyraźnie późniejszych zdjęć. – Ci ludzie to są tajni agenci CIA. A to spotkanie odbyło się na miesiąc przed jego śmiercią.

– CIA – powtórzyłam.

– Mogli działać pod przykryciem. Max najprawdopodobniej nie wiedział, kim tak naprawdę są. Ich śledztwo rozpoczęło się na długo przed naszym.

– Czyli że Myra Lyall mogła się natknąć na któreś z tych działań – obojętne, co to było.

I jeden z tych ludzi może być odpowiedzialny za jej śmierć. A także za śmierć Sary Duvall i Granta Webstera. Praktycznie każdy z nich mógł porwać mnie w parku, przyjść za mną do szpitala.

Skinął głową.

– Każdy. Łącznie z ludźmi z CIA.

Odczekałam chwilę, aż ta informacja na dobre do mnie dotrze.

– To, co teraz mówisz, to paranoja.

Spojrzał na mnie, jakbym była ociążała umysłowo. Właśnie szykowałam się, żeby go spytać o jego matkę, kiedy nagle wstał z miejsca.

– Myślę, że dosyć na dzisiaj. Nie możemy tu zbyt długo przebywać, a ty musisz odpocząć, zanim ruszymy dalej.

Nie sprzeczałam się z nim. Tyle jeszcze zostało do powiedzenia i tyle pytań do zadania, a i tak już miałam za dużo do myślenia. Byłam na granicy przeciążenia umysłowego; gdybym przyjęła jeszcze choć trochę więcej informacji, groziła mi utrata czegoś najważniejszego, jak zdolność dodawania i odejmowania. Pozwoliłam się zaprowadzić do małej sypialni położonej przy głównym pokoju. Był tam fotel na biegunach i duże małżeńskie łóże z zagłówkiem z kutego żelaza, nakryte patchworkową kołdrą. Dylan pomógł mi się położyć w zatechłej pościeli i zajął się rozpalaniem ognia. Leżąc, obserwowałam go i myślałam o tym, że mój ojciec zabił jego matkę i że to nie wróżyło dobrze naszym wzajemnym relacjom, bez względu na ich charakter. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek poznam człowieka, którego Max nie zniszczył emocjonalnie. Taka była moja ostatnia myśl, zanim zapadłam w płytki niespokojny sen.

Dwa razy w ciągu nocy Dylan przynosił mi pigułki, które brałam bez protestu. Za drugim razem widziałam, jak zatrzymał się w drzwiach. Nie mogłam dostrzec wyrazu jego twarzy. Czekałam, że może coś powie, ale po upływie minuty czy dwóch wyszedł, cicho zamykając drzwi. Miałam ochotę go zawołać i zapytać, o czym myśli, ale w gruncie rzeczy nie byłam przekonana, że naprawdę chce to wiedzieć.

Ranek wstał dżdżysty. Krople deszczu bębniły w szyby okna i przez sekundę, zanim otworzyłam oczy, mogłam sobie niemal wyobrazić, że jestem w East Village na jakąś godzinę przed uratowaniem Justina Wheelera, co dało początek całemu temu koszmarowi. Myślałam o milionach możliwości, jakie wtedy przed sobą miałam: mogłam, na przykład, zasnąć albo zerwać się z łóżka w ostatniej chwili i pojechać na wizytę do dentysty, zamiast ją odwoływać. Cokolwiek innego bym wtedy zrobiła, uchroniłoby mnie to przed sytuacją, w jakiej się obecnie znalazłam – że budzę się oszołomiona w obcym miejscu.

Zatoki miałam obrzmiałe, ale bok bolał znacznie mniej. Wstałam z łóżka, postawiłam nogi na lodowatej podłodze z desek, podeszłam do okna o sześciu szybach i wyrztałam na gęstą kępę drzew. W porannej mżawce zobaczyłam łanię i jej małe skubiące trawę. Obserwując tę scenkę, wstrzymałam oddech. Zwierzęta, nieświadome chaosu, w jakim żyłam, uosabiały piękno i spokój. Patrzyłam, jak powoli znikają wśród drzew, i ogarniał mnie spokój. Poczułam się bezpieczna, jakbym tutaj nie mogła już doznać żadnej krzywdy. Na stojącym przy drzwiach bujanym fotelu zauważyłam stertę porządnie poskładanych ubrań. Granatowy wełniany sweter, para zniszczonych dżinsów i tenisówki Nike we właściwym rozmiarze i nie najgorszym stanie. Ale nie było skarpet i bielizny. Czego zresztą oczekiwałam?

Przy pokoju, koło kominka, była mała łazienka. Ogień płonął równo, jakby ktoś go świeżo podsycił. Weszłam do łazienki, obmyłam się zimną wodą nad umywalką i spędziłam kilka minut przed lustrem, z przerażeniem przyglądając się swoim włosom. Sprawdziłam bandaż, był czysty, więc postanowiłam go nie ruszać.

Sweter okazał się za wielki, musiałam podwinąć rękawy. Dżinsy były odrobinę za ciasne w tyłku, a tenisówki piły mnie w małe palce, ale poza tym było okej.

Wchodząc do salonu, spodziewałam się zastać Dylana stojącego na straży przy drzwiach, ale on drzemał na sofie.

– Niezły z ciebie cerber – powiedziałam.

– Ja nie śpię. Po prostu muszę dać odpocząć oczom.

W tym momencie dostrzegłam w jego ręce broń i zorientowałam się, że najprawdopodobniej w ogóle nie spał. Właściwie powinno być mi go żal, ale nie było. Częściowo winiłam go za to wszystko, chociaż nie umiałabym powiedzieć dlaczego. Minęłam go i skierowałam się do drzwi, gdzie zostawił mój plecak. Schyliłam się niezdarnie, żeby go podnieść i położyć na stoliku. Grzebiąc w plecaku, usłyszałam, że Dylan siada, i poczułam na sobie jego wzrok. Głęboko, już prawie na samym dnie, znalazłam to, czego szukałam. Wyjęłam kartonik zapalek, znaleziony w mieszkaniu Maksa całe wieki temu, i mu podałam.

Powiedziałam, skąd je wzięłam i w jaki sposób wyczułam, że ktoś musiał być tam tuż przede mną.

– Czy to ci coś mówi?

Dylan uniósł zapalki, żeby je obejrzeć w blasku ognia. Po chwili wolno skinął głową.

– Myślę, że pochodzą z pewnego londyńskiego klubu nocnego o nazwie Pocałunek. Ten symbol jest częścią zestawu stycznych kół Kartezjusza. A Pocałunek wziął się z wiersza *Dokładny pocałunek*, w którym autor Frederick Soddy, wyjaśnia, jak każde z czterech kół styka się z trzema pozostałymi. Choć myśl Kartezjusza ograniczała się do kół, to sądzę, że właściciel klubu widział w tym symboliczne powiązanie wszystkich rzeczy na świecie.

– Rety – powiedziałam po chwili. – Nie myślałam, że mam do czynienia z matematycznym świrem.

Wzruszył ramionami.

– Jestem pełen niespodzianek.

Tego właśnie bałam się najbardziej.

– Tam w środku jest tekst – zwróciłam mu uwagę.

Otworzył opakowanie zapalek, przeczytał tekst i nie powiedział ani słowa.

– Jak myślisz, kto to może być ten Anioł?

Potrząsnął głową.

– Nie mam pojęcia.

– Musimy tam iść. I potrzebny nam będzie komputer, trzeba spróbować szczęścia, a nuż się dostaniemy na tę stronę internetową. Chciałabym też sprawdzić moją pocztę mejlową, na wypadek gdyby Grant zdążył mi coś przesłać, zanim...

Nie mogłam się zmusić do tego, żeby skończyć zdanie. O tym wszystkim myślałam, myjąc się i ubierając. Chciałam za wszelką cenę odzyskać kontrolę nad swoją zmasakrowaną egzystencją. Miałam dość złamanej osoby z utlenionymi włosami. Córki Maksa. Zranionej i ukrywającej się przed najróżniejszymi zagrożeniami. Chciałam znów być sobą.

– A czy ty się w ogóle do tego nadajesz? – zapytał sceptycznie.

– Nie całkiem. Ale jaki mamy wybór? Siedzieć tutaj i czekać, aż nas dopadnie policja czy któryś z wrogów Maksa? Lepiej być aktywnym, nie uważasz?

– Myślałem o tym, żeby się zgłosić na policję – powiedział, stając koło mnie.

– Nie, w żadnym razie – odparłam szybko. – Jeszcze nie teraz.

Myśl o tym, że mogłabym zostać złapana i uwięziona, napełniła mnie przerażeniem. Zamykało się jakieś okno. Jeżeli nie znajdę Maksa szybko, to mi zniknie jak duch, którym był. Przyjdzie czas, że zapłacę za wszystkie popełnione błędy. Ale później.

Odwróciłam się do Dylana i ze zdumieniem przekonałam się, że stoi tuż za mną.

– Spieprzyłem sprawę, Ridley – powiedział. – Miałaś rację, tutaj sytuacja nas po prostu przerosła.

Było to zwykłe przyznanie się do winy, nic dramatycznego, nawet bez nuty żalu w głosie. Podobała mi się łatwość, z jaką przyznawał się do błędów. Uznałam, że to dobra cecha charakteru.

Położył mi rękę na ramieniu. Przeszkadzała mi jego bliskość, przeszkadzał jego zapach i ciepło bijące od jego ciała. Chciałam się od niego odsunąć, ale nie mogłam, zamiast tego przysunęłam się jeszcze bliżej. Przyciągnął mnie do siebie i poczułam jego usta na swoich. Poczułam, jak przez moje ciało przechodzi fala gorąca. W rozpaczliwej potrzebie pociechy pozwoliłam mu się pocałować, sama go pocałowałam. Poczułam na sobie jego ramiona. Objął mnie z pełnym przekonaniem, ale jednocześnie bardzo ostrożnie, z wielką czułością. Jake zawsze całował mnie z czymś w rodzaju rewerencji, bolesnej delikatności. Dylan całował mnie, jakbym była jego własnością, jakby mnie znał. Oderwałam się od niego, odepchnęłam go, a następnie wymierzyłam mu mocny policzek. Odgłos, jaki wydała moja ręka w zetknięciu z jego policzkiem, przyniósł mi satysfakcję. Poczułam się lepiej. Prawie tak dobrze jak wtedy, kiedy go całowałam.

– Dupek – powiedziałam, wściekła na mój puls za to, że bije tak szybko, wściekła na moje buntownicze wypieki.

– To trzy – powiedział z szerokim uśmiechem.

Z namaszczeniem przytknął dłoń do policzka, jakbym go tam pocałowała.

– Myślisz, że jak przeczytałeś kilka moich mejli i wysłuchałeś kilku rozmów, to już coś o mnie wiesz?

Wsadził ręce w kieszenie i spuścił oczy.

– Ale nie wiesz. Rozumiesz?

Skinął głową. Nie zauważyłam, czy przestał się uśmiechać, ale nie sędzę. Zarzuciłam plecak na ramię i ruszyłam w kierunku drzwi.

– Idziemy czy nie?

Mogłabym wam powiedzieć, że panował przejmujący chłód, że niebo było płaskie jak płyta z betonu, a słońce tkwiło beznadziejnie uwięzione za grubą powłoką szarych chmur, ale przecież była to Anglia późną jesienią, więc o czym tu mówić. Jechaliśmy w milczeniu w kierunku miasta. Siedziałam z zamkniętymi oczami albo wyglądałam przez okno, żeby w najmniejszym nawet stopniu nie prowokować Dylana do rozmowy. Nasuwały mi się tysiące pytań, ale odpowiedzi wolałabym uzyskać z innego źródła.

Przez chwilę poszukiwałam w pamięci brakujących fragmentów wspomnień: jak się

znalazłam w Anglii, co się ze mną działo, jak doszło do tego, że się zameldowałam w hotelu Covent Garden, czyj głos powtarzał natrętnie w kółko to samo pytanie. Jednocześnie jakieś złe przeczucie powstrzymywało mnie przed próbami zapuszczania się w te rejony pamięci. Może lepiej, żeby niektóre sprawy pozostawały w zapomnieniu.

W końcu jednak zdudziło mnie ignorowanie Dylana i odwróciłam się do niego.

– Byłem skończonym kretynem, że cię pocałowałem – powiedział. – I bez tego miałaś dosyć. Nie chciałem cię wykorzystywać. Ja tylko...

Nie dokończył i to urwane zdanie zawisło między nami w powietrzu.

– Powiesz mi coś o swojej matce?... – zapytałam.

– To smutna historia, nie będziesz chciała jej słuchać.

– Będę. – Miałam ochotę dotknąć tego miejsca, w które go uderzyłam, albo położyć mu rękę na ramieniu, ale nie zrobiłam żadnej z tych rzeczy. – Naprawdę chciałabym to wiedzieć.

W teczce, którą mi dał, były zdjęcia przedstawiające sceny zbrodni. Alice Grace została pobita na śmierć i pozostawiona bez pomocy w uliczce za hotelem Plaza Athenée w Paryżu w 1985 roku.

Dylan westchnął.

– Jako dorastający chłopak zawsze myślałem, że moi rodzice pracują w branży hotelarskiej, że podróżując po świecie, kupują podupadające hotele i zamieniają je w pięciogwiazdkowe kwitnące ośrodki. To był biznes rodziny mojej matki i nigdy tego nie kwestionowałem. Prawdy dowiedziałem się jednak o wiele później, po tym, jak matka została zabita. A prawda była taka, że oboje rodzice pracowali kiedyś w jednostkach specjalnych wywiadu brytyjskiego i że po odejściu z wojska, jeszcze przed moim urodzeniem, zostali zwerbowani przez Interpol.

Skupiony na drodze, nawet na mnie nie patrzył. Po jego białych kłykciach poznałam, że kurczowo ściska kierownicę.

– Podstawowym zadaniem Interpolu jest zbieranie informacji. Działają jako system łączności policji globalnej. Ich agenci nie mają uprawnień policji; nie mogą aresztować, rewidować ani konfiskować. Moja matka była właściwie analitykiem, specjalizującym się w zbieraniu i analizowaniu informacji pozyskiwanych z tajnej łączności i inwigilacji.

– Twoja mama była szpiegiem? – zapytałam, gapiąc się na niego szeroko otwartymi oczami. Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie jest lekko stuknięty. Zaczynało mi go być trochę żal. Wiedziałam dokładnie, jak to jest, kiedy się szuka wytłumaczenia dla własnej rodziny, jak się próbuje zrozumieć to, co robili, i usiłuje ich usprawiedliwić.

Skinął głową.

– Tak, myślę, że w pewnym sensie była. Fotograficzna obsługa inwigilacji należała do ojca. Część starszych zdjęć Smileya, które widziałas w teczce, została zrobiona przez niego.

W milczeniu czekałam na dalszy ciąg opowieści. Obserwowałam mijane przez nas drzewa, które przypominały migające zielonoczarne smugi. Dylan jechał szybko.

– Większość ich działań była tajna. Ale przy pomocy starego przyjaciela ojca udało mi się ustalić, że dane dotyczące Smileya rodzice zbierali przez ponad siedem lat.

– Po co? Dla kogo?

– W pewnym momencie CIA zorientowało się, że Max Smiley ma podejrzanе powiązania za granicą, i postanowili dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat. Interpol zgodził się

obserwować go na terenie Europy i Afryki. Moi rodzice byli wśród wyznaczonych do tych zadań agentów.

W tym miejscu Dylan westchnął głęboko. Nie spuszczałam z oka jego odwróconej do mnie profilem twarzy, czując, że i on mnie obserwuje, starałam się ocenić, czy mówi prawdę. Ale co ja wiedziałam o uczciwości? Pewnie bym się na niej nie poznała, nawet gdyby była po oczach.

– Zdjęć mojej matki jest niewiele, sama rozumiesz. Mam jedną jej fotografię z czasów, kiedy była jeszcze dziewczynką. Ale na ogół unikała kamery. Nie mogła sobie pozwolić na to, żeby jej zdjęcia krążyły wśród ludzi; podstawowy warunek jej pracy stanowiła niewidzialność. Ale była piękna: kruczoczarne włosy i oczy tak ciemne, że wydawały się niemal fioletowe. A do tego alabastrowa cera. Zwykle zaczesywała włosy do tyłu i nosiła grube ciemne okulary, bo kiedy tego nie robiła, wszyscy się na nią gapili. Ojciec nazywał ją Gwiazdą, bo gdziekolwiek się pokazała, wszyscy się odwracali, żeby na nią popatrzeć, zarówno mężczyźni, jak i kobiety.

Coś z tej urody dostrzegłam w Dylanie – w jego szarych oczach, pełnych ustach, mocnej szczęce i niebieskawym połysku czarnych włosów. Ale jednocześnie było w nim coś – może otaczająca go aura – co sprawiało, że jego widok nie był komfortowy dla oka, że patrząc na niego, chciało się odwrócić wzrok.

– Pojechała sama do Paryża. Babka, matka ojca, była chora, właściwie umierająca, i ojciec został, żeby się nią zajmować. Teoretycznie matce nie powinno nic zagrażać. Maître d’hotel rzekomo współpracował z Interpolem; pod stołem, przy którym miał siedzieć Smiley, umieszczono mikrofon. Nie wiadomo, jak została zdemaskowana. Wykluczam lekkomyślność z jej strony, była świetnie wyszkoloną agentką. Nikt nie wie, jak to się stało, że zginęła tak potworną śmiercią, porzucona w jakimś zaułku na tyłach hotelu. Musiała bardzo cierpieć; umierała długo, powoli. Tyle wiemy. Maître d’hotel też został zabity. Interpol podejrzewa, że to on zdradził matkę, a potem go zlikwidowali, bo za dużo wiedział.

Odczekałam chwilę ze względu na pamięć jego matki i okoliczności, w jakich zginęła, a także ból, jaki musiało mu sprawiać mówienie na ten temat, po czym spytałam:

– A skąd wiesz, że to Max ją zabił?

Widziałam, jak mocniej ścisnął kierownicę. Jakiś drobny mięsień w jego szczęce zaczął drgać.

– Bo śmiertelne pobicia kobiet, gołymi rękami, były znakiem rozpoznawczym Maksa Smileya. Bo tylko w ten sposób mógł uzyskać spełnienie seksualne, jeszcze się tego nie domyśliłaś?

Jego ton był teraz tak agresywny, a słowa tak ostre, że fizycznie odsunęłam się od niego.

– Obudź się, Ridley. Obudź się do jasnej cholery! Twój ojciec, twój ukochany Max nienawidził kobiet. On je mordował. Prostytutki, dziewczyny na telefon, osoby do towarzystwa, kobiety poderwane w barach. Porzucał je, żeby samotnie dogorywały w pokojach hotelowych, zaułkach, pojemnikach na śmieci, w opuszczonych samochodach. Oprócz roli, jaką odgrywał w projekcie „Na ratunek”, i związków z najgorszymi mętami społecznymi jego droga życiowa jest usłana trupami brutalnie pomordowanych kobiet. Pomordowanych przez niego gołymi rękami.

Zjechał z drogi i zahamował tak gwałtownie, że rzuciło mną nieprzyjemnie i mało nie

wyrznęłam głową w okno, mimo zapiętych pasów. Odwrócił do mnie papierowobiałą ze złości twarz. Widziałam na jego skroni pulsującą niebieską żyłkę.

– Lubił czuć ich miażdżone w uścisku kości. – Podniósł rękę i zacisnął pięść. – Lubił słyszeć, jak krzyczą, a potem, kiedy je dusił i dobijał, jak skamlą i szlochają.

Dylan wrzeszczał teraz, a ja siedziałam z twarzą ukrytą w dłoniach, oparta o zimną szybę, dopóki nie zamilkł. Słuchałam jego ciężkiego dyszenia, słuchałam szumu mijających nas na mokrym asfalcie samochodów i czułam, jak za każdym razem nasz peugeot kołysze się od wywoływanego przez nie podmuchu powietrza. Kiedy opuściłam ręce, zauważyłam, że oczy Dylana są mokre i zaczerwienione. Obserwował mnie w ponurym napięciu. W zarysie jego ust dostrzegłam wyraz żalu. Wpatrywałam się w niego jak porażona tym, co zobaczyłam, a zobaczyłam prawdziwą twarz okrutnej prawdy – w każdym jej najdrobniejszym szczególe. I to właśnie stąd ta potrzeba odwracania się od niego, o której mówiłam. Nigdy do tej pory nie widziałam twarzy kogoś, kto nie ma do ukrycia żadnych tajemnic, żadnych kłamstw do powiedzenia.

Sięgnęłam na tylne siedzenie, złapałam plecak, wysiadłam i zaczęłam iść przed siebie. Zimne powietrze, deszcz, który zaczął padać, wszystko to wydało mi się cudowne. Usłyszałam trzaśnięcie drzwi samochodu i odgłos jego kroków na asfalcie.

– Ridley! – zawołał za mną. – Ridley, proszę cię.

Tyle było żalu w jego głosie, że mało się nie zatrzymałam, ale opanowałam jakoś ten odruch i szłam dalej. Pomyślałam, że mogę zatrzymać jakiś samochód i podjechać autostopem na policję: niech mnie aresztują albo deportują, albo zamordują, albo cokolwiek. Było mi wszystko jedno.

Kiedy poczułam na ramieniu jego rękę, obróciłam się i zaczęłam go w żaloszny sposób okładać pięściami. Ale byłam tak słaba, tak tym wszystkim wykończona, że zamiast mnie od siebie odepchnąć, bez trudu mnie przyciągnął i skutecznie unieruchomił. Podałam się. Ciało Dylana drżało lekko z zimna czy z emocji, trudno powiedzieć. Czułam, jak mu wali serce, szybko i mocno. Stojąc z nim na autostradzie, w strugach deszczu, zaczęłam szlochać.

– Przepraszam cię – wyszeptał mi do ucha. – Przepraszam. Miałaś rację, jestem skończonym dupkiem. Nie zasłużyłaś na coś takiego. – Przytulił mnie mocniej do siebie, a ja objęłam go w pasie. – Nie zasłużyłaś na nic z tego, co cię spotkało.

Spojrzałam w górę i w jego szarych oczach zobaczyłam cierpienie całego świata.

– Ty też nie – odparłam. Na jego twarzy pojawił się wyraz wdzięczności. I wtedy nagle usta Dylana dotknęły moich ust. Głód i namiętność, z jakimi mnie całował, miały smak uczciwości. Otworzyłam się na niego, chłonąc wszystko razem – i tego mężczyznę, i jego prawdę, i pocałunki. W tym momencie wiedziałam jedno ponad wszelką wątpliwość: Dylan Grace miał od samego początku rację. Był moim jedynym prawdziwym przyjacielem.

W swoim plecaku znalazłam blisko dwa tysiące funtów – prawie cztery tysiące dolarów. Nie miałam zielonego pojęcia, skąd się tam wzięły. Zostawiliśmy samochód na publicznym parkingu, a następnie zameldowaliśmy się w dość nędznym hoteliku w pobliżu Charing Cross Road. Pokój był brzydki, ale czysty i wygodny i Dylan nalegał, żebyśmy trochę odpoczęli i poczekali na zachód słońca. Przemył mi ranę i z wielką czułością zmienił opatrunek. Podałam się jego zabiegom bez protestów, mimo że mogłam to zrobić sama. Od tamtego pocałunku na drodze panowało między nami pełne napięcia milczenie. Odzywaliśmy się do

siebie grzecznie albo wcale.

Spieszyło mi się bardzo do kawiarenki internetowej, ale doceniałam przezorność czekania na zmrok. Nie mówiąc o tym, że z każdą minutą czułam się gorzej i byłam słabsza. Położyłam się na małżeńskim łożu, które śmierdziało papierosami. Dylan usiadł na krześle koło mnie i włączył telewizor. Po godzinie oglądania wiadomości nie usłyszeliśmy nic o sobie. Gdy rano w holu hotelowym przejrzelismy prasę, okazało się, że i tam nie było nic na nasz temat.

– To jest przedziwne – powiedział Dylan, spoglądając w moją stronę. – Wydawałoby się, że po takiej historii będzie nas pełno we wszystkich mediach.

– Może specjalnie nie chcą o tym pisać.

– Jak to możliwe? Przecież zginęli dwaj gliniarze i pielęgniarka. I ten ktoś, kogo ja zabiłem w szpitalnym pokoju. No i twoje zniknięcie. Tego by się nie udało utrzymać w tajemnicy. Powinni użyć wszelkich dostępnych środków, żeby nas znaleźć.

– Ale najwyraźniej nie nadają sprawie rozgłosu. To widać.

Dylan siedział, podpierając głowę rękami i masując sobie skronie.

– Możesz się położyć, jeśli chcesz – powiedziałam. Pomyślałam, że musi być bardzo zmęczony, a od całonocnego prowadzenia samochodu na pewno boli go każdy mięsień.

Spojrzał na mnie pytająco.

– Mogę?

Skinęłam głową. Wstał z krzesła i położył się koło mnie. Łóżko zaskrzypiało pod jego ciężarem. Przysunęłam się do niego i pozwoliłam się objąć. Usłyszałam długie, powolne westchnienie. Czułam, jak mięśnie jego klatki piersiowej i ramion się odprężają. Chciałam przez chwilę poczuć się bezpieczna. Zasnęłam, sama nie wiem kiedy. A gdy się obudziłam, niebo za oknem ciemniało.

Dylan spał mocno, oddychał głęboko i równo. Leżałam z głową na jego ramieniu, którym mnie obejmował; drugą rękę odrzucił za głowę. W wyobraźni zobaczyłam jego twarz taką, jaka była w samochodzie, kiedy mówił o Maksie. Przypomniało mi się, jak od tamtych bolesnych wspomnień miał łzy w oczach. Byłam wściekła na to wszystko, co mi powiedział. Miałam poczucie, że ta wiedza tkwi we mnie jak rak, coś czarnego, co rośnie, by mnie powoli zabijać. Wiedziałam, że w końcu na to umrę. Byłam tego pewna.

Przypomniał mi się korowód call girls, kobiet, które zawsze naiwnie brałam za jego dziewczyny. „Taki człowiek jak on, zepsuty od środka – powiedziała o nim kiedyś moja matka – nie potrafi prawdziwie kochać. Przynajmniej był na tyle mądry, żeby o tym wiedzieć”. Czy zdawała sobie sprawę, jak bardzo źle było naprawdę? Nie, to niemożliwe. Tej świadomości mieć nie mogła.

W teczce była lista – rodzaj chronologicznego rejestru zdarzeń. Przeleciałam ją wtedy pobieżnie, bo nie pojmowałam jej znaczenia. Teraz ze zgrozą rozumiałam, czym była naprawdę. Uwolniłam się delikatnie z objęć Dylana i podeszłam do krzesła, na którym leżała sterta naszych rzeczy. Teczke znalazłam pod swoim plecakiem. Usiadłam na podłodze po turecku, rozłożyłam ją na kolanach i zaczęłam kartkować, aż znalazłam to, czego szukałam. Chronologiczną listę, najwyraźniej sporządzoną przez Wydział Zabójstw Seryjnych FBI we współpracy z Interpolem. Zawierała wykaz kobiet, zamordowanych przez nieznanego sprawcę, według dat i miejsc zbrodni. Początek był w Michigan, ten stan, gdzie Max chodził do college’u. W ciągu czterech lat, które spędził w Michigan, mieszkając tam i studiując,

zamordowano cztery kobiety, cztery prostytutki. Numer jeden: Emily Watson, lat siedemnaście, znaleziona w uliczce za chińską restauracją, pod stertą worków ze śmieciami. Numer dwa: Paris Cole, lat dwadzieścia jeden, znaleziona pod mostem na rzece Detroit. Numer trzy: Marcia Twinning, lat szesnaście, znaleziona w speluncie narkomańskiej w śródmieściu Detroit. Numer cztery: Elsie Lowell, lat dwadzieścia trzy, znaleziona na opuszczonej działce; jej ciało zostało częściowo spalone. Lista szła dalej: Nowy Jork, New Jersey, Londyn, Paryż, Kair, Mediolan – różne miasta w kraju i na świecie. I to, co łączyło wszystkie te zbrodnie: wyjątkowa brutalność pobicia i obecność Maksa w okolicy i w czasie popełnienia morderstwa. Młode zagubione, snujące się po ulicach kobiety spotykają na swojej drodze bezwzględny drapieżcę i kończą porzucone jak śmieci. Lista urywała się w roku śmierci Maksa.

Choć głowę miałam pełną pytań, czułam, jak żołądek mi się kurczy. W jaki sposób można połączyć te śmierci z drogą życiową Maksa? Bez wątplenia można ułożyć taką listę prawie dla każdego. Na całym świecie ludzie padają ofiarami morderstw na tysiące różnych sposobów. Ale jeżeli rzeczywiście istniały jakieś prawdziwe dowody na to, że Max zamordował te kobiety, albo że był zaangażowany w jakieś ciemne interesy z tamtymi ludźmi z fotografii, to dlaczego nigdy nie został aresztowany? Dlaczego nie postawiono mu zarzutów? Wyglądało na to, że bez trudu go śledzono.

– Chciałabys może porozmawiać o tych sprawach?

Dylan przestraszył mnie swoim nagłym pytaniem.

– Nie – odparłam. – Zmęczyło mnie mówienie. – Miałam takie uczucie, jakbyśmy od kilku dni nic nie robili, tylko rozmawiali.

Tak wielu rzeczy jeszcze nie wiedziałam i nie rozumiałam, tak wiele nie zgadzało się z moimi informacjami. No i zawsze gdzieś z tyłu głowy miałam Jake'a. Gdzie był? Co się z nim stało? Ile z naszego wspólnego życia było jego kłamstwem, wymyślnym planem zbliżenia się do mnie w celu ustalenia, czy Max rzeczywiście nie żyje. Ile informacji, zawartych w tej teczce, zna? Pomyślałam o jego teczce, która znikła po tym, jak się ostatni raz kochaliśmy. Żałowałam, że się bliżej nie zainteresowałam jej zawartością.

Usłyszałam, jak Dylan siada i jak mu trzeszczy w kręgosłupie. Wydał cichy jęk, odwróciłam się, żeby na niego spojrzeć. Musiało go coś mocno zboleć. Patrząc na niego, znów pomyślałam o Jake'u. Tak bardzo się od siebie różnili, ale łączyło ich jedno pragnienie: obaj chcieli dopaść mojego ojca. Było w tym coś niesamowitego, co w pewnym sensie musiało wynikać z karmy. Jakaś lekcja dla mnie, której powinnam się nauczyć, ale do jej pełnego zrozumienia było mi jeszcze daleko. Dylan zatrzymał na mnie wzrok. Coś mnie do niego dziwnie ciągnęło, ale jednocześnie miałam poczucie winy. Odwróciłam głowę.

– Co chcesz zrobić? – zapytał łagodnie.

– Potrzebne mi są jakieś ciuchy. Nie mogę iść do klubu tak jak stoję – odparłam, spoglądając na mój zmechacony granatowy sweter i zniszczone, za ciasne dzinsy. Rozpięłam je wprawdzie dla większej wygody i żeby nie uwierały w ranę, ale przecież nie mogłam paradować po Londynie w rozpiętych spodniach.

Po ubranie dla mnie poszliśmy na Knightsbridge; płaciliśmy gotówką, którą znalazłam w plecaku. Dylan snuł się za mną, podenerwowany i czujny, podczas gdy ja w niecałą godzinę kupiłam czarne dżinsy i czarny zamszowy żakiet u Lucky'ego (miejscami podarty i spłowiały, zniszczony jak cholera, za niebotyczną cenę, ale fantastyczny), parę wciąganych butów Doc Martens (szyk skinheadowski) i czarny prążkowany lekki sweter zapinany na suwak pod szyją u Armaniego. Po zakupach poczułam się lepiej, normalniej. Ale nie tylko: wyglądałam naprawdę cool, co mi prawie wynagrodziło stan śmiertelnego zagrożenia, w jakim się znalazłam jako zbieg międzynarodowy dotknięty częściową amnezją.

Pewnie uważacie, że nie była to stosowna pora na zakupy, że miałam ważniejsze sprawy na głowie. I zapewne macie rację. Ale czasami trzeba się doprowadzić do porządku zewnątrz, żeby pozbierać się wewnątrz.

Na razie moje włosy zaczynały mi się podobać, chociaż nie byłam gotowa na kolejną zmianę. Zamiast tego zdecydowałam się na czapkę narciarską i ciemne okulary. Obcinanie i farbowanie włosów już samo w sobie jest przeżyciem traumatycznym, zwłaszcza jeśli się tego nigdy wcześniej nie robiło, a ja na jakiś czas miałam powyżej uszu traumatycznych przeżyć.

Poza tym, fakt, że nie zobaczyłam siebie w telewizji ani w gazetach, uspił moją czujność, przywracając mi fałszywe poczucie bezpieczeństwa płynące z przekonania, że nie zostaniemy zauważeni przez policję. Oczywiście udało mi się nie myśleć o tym, że najprawdopodobniej poszukiwali mnie ludzie znacznie bardziej niebezpieczni niż policja. Kto wie, może chciałam zostać złapana. Byłam w dołku; nie mogłam się odnaleźć. Myślę, że najlepiej mój stan oddawało słowo „odrętwiała”. Bo byłam odrętwiała, jeśli nie liczyć mojej rany, od której promieniował tępy ból, przyćmiony lekko pigułkami, jakie dawał mi Dylan.

Kawiarenka internetowa, którą znaleźliśmy niedaleko hotelu, była zarazem pizzerią, zamówiliśmy więc pizzę i wybraliśmy zaciszny boks w głębi. Na każdym stoliku mrucał laptop; salkę wypełniał niesamowity niebieski blask monitorów. Panowała względna cisza – poza nami było tylko kilku surfujących klientów. Niedaleko od nas siedziała nad stertą podręczników dziewczyna, popijając coś z kubka i tępo patrząc przed siebie. Mężczyzna w średnim wieku w beżowym swetrze i grubych okularach poruszał ustami, czytając coś na monitorze, który miał przed sobą. Siedział blisko drzwi. Wszystkie pozostałe stoliki były wolne, co mi nawet odpowiadało.

– Zastanawiam się, czy to jest dobry pomysł – powiedział Dylan, kiedy zaczęłam stukać w klawiaturę. – Oni prawdopodobnie obserwują twoje konto. Łatwo ustalą, skąd odbierasz pocztę.

– Ile czasu może im to zająć?

Dylan wzruszył ramionami.

– Trochę zajmie.

– Zanim sobie z tym poradzą, nas już tu nie będzie.

Wydawało mi się, że mówił o FBI, ale może miał na myśli i innych, którzy poszukiwali Maksa. Powiedział: „Max Smiley wybrał właściwy czas, żeby umrzeć. Ludzie poczuli się okradzeni”. Tak na dobrą sprawę nie wyjaśnił, kto jeszcze mógłby poszukiwać Maksa i dlaczego. Zapytałam go o to.

– Taki człowiek jak Max Smiley ma wielu wrogów – powiedział ogólnikowo. – Ci, których skrzywdził, mogą szukać zemsty. Jesteś jego córką i niewiele trzeba, by doszli do tych samych wniosków co inni, czyli że jedyna droga do Maksa Smileya prowadzi przez ciebie.

– Rozumiem – powiedziałam, myśląc o ludziach z Bronksu. – Ale kto konkretnie?

Potrząsnął głową.

– Nie wiem... Albańczycy, Rosjanie, Włosi, rodziny kobiet, które mógł zamordować. Jest długa lista, do wyboru, do koloru.

Zauważyłam, że Dylan, rozmawiając ze mną, cały czas wodzi wzrokiem po salce, obserwuje ulicę przez okno kafejki, spogląda na drzwi. Że jest wyraźnie niespokojny.

– Coś jest nie tak?

– Nie wiem. Wydaje mi się bardzo dziwne, że nikt nas nie szuka – powiedział, powtarzając swoje poprzednie obawy. – A przecież to jest historia na pierwsze strony gazet, nie uważasz?

Oczywiście miał rację. Amerykanka pojawia się nagle w Londynie, brak jakichkolwiek dowodów na to, że odbyła tę podróż, i jeszcze do tego ma ranę postrzałową w boku. Ktoś ją wykrada ze szpitala, gdzie przebywa pod nadzorem policji, pozostawiając za sobą ślad w postaci kilku trupów. I po tym wszystkim – nie wiadomo, jako ofiara czy zbieg – w tajemniczy sposób znika. Do tego niesforny agent FBI, który urwał się z firmy – porywacz, wybawiciel czy wspólnik dziewczyny? – też przepada bez wieści. Tak czy inaczej, wielka sensacja. Smakowity kąsek.

Przez okno zauważyliśmy dwóch znudzonych policjantów mundurowych, gapiących się tępo przed siebie. I mimo że wyraźnie nie robili wrażenia czujnych, napięcie Dylana nie ustąpiło, dopóki nie przeszli.

– Czułbyś się lepiej, gdyby nasze twarze były wszędzie, a my nie moglibyśmy się ruszyć? – zapytałam. – I nie mielibyśmy innego wyboru, jak tylko zgłosić się na policję?

– Może? W pewnym sensie. Przynajmniej w tych okolicznościach byłoby to naturalne. Mam jakieś głupie uczucie – powiedział, a ja pochwyliłam w jego słowach nieznaczny akcent brytyjski. Ciekawe, czy znałam Dylana już na tyle dobrze, by się zorientować, że jest w stresie?

Zalogowałam się na swoje konto mejlowe, a następnie przesiadłam się w boksie na stronę Dylana i odwróciłam laptop tak, żeby i on mógł widzieć ekran. Kiedy przysunęłam się do niego bliżej, objął mnie ramieniem, a ja poczułam twardy metalowy przedmiot u jego pasa. Zupełnie zapomniałam, że nosił przy sobie broń, co mi uświadomiło, w jakim strasznym tkwiliśmy syfie. Zaczęłam się zastanawiać, że może ma rację, może rzeczywiście powinniśmy się zgłosić na policję. Wróciło do mnie to, co mówił w Klasztorze Jake. Próbował mi chyba wtedy powiedzieć, że niekoniecznie musimy rozumieć przeszłość, żeby mieć przed sobą przyszłość. Że nie musimy wiedzieć, skąd się wywodzimy, żeby iść do przodu. Czyżby miał rację?

Wyjaśniłam Dylanowi, co mi powiedział Grant o stronie internetowej z czerwonym

ekranem; o tym, że wiadomości mogą być ukryte w elementach niewykorzystywanych danych. Opisałam program Spam Mimic i wytłumaczyłam, że to, co pozornie wygląda na spam, może być sygnałem, że należy się zalogować na stronie internetowej.

– Chcesz powiedzieć, że twój ojciec komunikował się w ten sposób z Maksymem?

– Uważam, że jest to bardzo prawdopodobne – odparłam. Poczułam w piersi skurcz gniewu, ale w tej chwili nie mogłam sobie pozwolić na myślenie o takich rzeczach.

Przekopywałam się przez spam na moim koncie, spodziewając się, że znajdę coś od Ace'a, ale się zawiodłam. Jeśli wiedział, w jakich znalazłam się tarapatach, to nic go to nie obchodziło. Wiadomość od rodziców pochodziła sprzed trzech dni; donosili, że są na Korsyce. Zachwycali się jedzeniem. Że niewiarygodne. Podejrzewałam, że już w tej chwili mogą być w drodze do domu. Przejrzawszy resztę poczty, natknęłam się na wiadomość od Granta. Kliknęłam na nią natychmiast. A oto jej treść:

Siedzisz po uszy w kłopotach, a ja mam niewiele czasu. Strona, o której mówiliśmy, pochodzi z Londynu. Skąd dokładnie i kto ją umieścił, nie mam czasu ustalić. Chcę ci tylko powiedzieć, że kod jest bardzo skomplikowany. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że jest to centrum łączności CIA. Próbowałem się zalogować i nie wykluczam, że przy tej okazji uruchomiłem jakieś alarmy. Strona padła. Mój system zawiadomił mnie, że ktoś próbuje się włamać do mojej sieci. Ze względu na bezpieczeństwo muszę stąd zniknąć. Kopie zapasowe wysłałem w bezpieczne miejsce. Gdyby coś mi się stało, to ludzie będą wiedzieli dlaczego.

Skontaktuję się z tobą, kiedy będę bezpieczny, a tymczasem nie próbuj się logować na tej stronie, chyba że jesteś w miejscu publicznym... ale i tak ci to odradzam. Bądź ostrożna. I nie zapominaj, że w dalszym ciągu jesteś mi winna obiecany wywiad.

Mejl został wysłany o siódmej trzy wieczorem. Oboje z Dylanem wiedzieliśmy, że godzinę później Grant już nie żył. Była to moja wina i czytając w kółko ten tekst bardzo dotkliwie odczuwałam jej ciężar. Miałam słabą nadzieję, że w mejlu od Granta znajdę zaszyfrowaną wiadomość, ale nawet jeśli tam była, to nie potrafiłam jej rozszyfrować. Z trudem opanowując łzy, zjadłam kawałek pizzy, którą nam tymczasem podano.

– Każdy, kto próbował się zalogować na tej stronie, albo nie żyje, albo zaginął – powiedział Dylan. – Myra Lyall, Sara Duvall, Grant Webster i Jake Jacobsen.

Skinęłam głowę.

– Wszyscy, z wyjątkiem Bena.

Przypomniałam sobie adres strony i wpisałam go do wyszukiwarki. W chwilę później wyskoczył czerwony ekran.

– Co ty robisz?! – Dylan delikatnie zdjął moją rękę z klawiatury.

– Zamierzam się zalogować – odparłam, odwracając się do niego. – A jaki mam wybór?

– Taki, że możesz się nie logować.

– Nie chcesz się dowiedzieć? Jak długo żyjesz z tą obsesją?

– Wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że mnie kiedyś zabije. Ale nie jestem pewien, czy chciałbym, żeby to było akurat dzisiaj. – Jego odpowiedź mnie zaskoczyła. – Przez wiele lat myślałem, że moja matka zginęła w wypadku samochodowym. Tak jak ci mówiłem, nie wiedziałem, że rodzice byli agentami Interpolu. Po jej śmierci z ojca zrobiło się dosłownie widmo. Z silnej, energicznej osoby stał się chodzącym trupem. Stracił na wadze ponad dziesięć kilo, mimo że i tak zaliczał się do szczupłych. Poszarzał na twarzy. I nigdy nie było go

w domu. Czuję się tak, jakbym stracił oboje rodziców. Niemal dokładnie co do dnia w trzy lata po śmierci matki zginął ojciec. Miałem wtedy szesnaście lat. Mój stryj, brat ojca, zabrał mnie do siebie do Stanów. Powiedział mi prawdę o rodzicach i o tym, że oboje zginęli, tropiąc Maksa Smileya.

– A w jaki sposób straciłeś ojca?

Dylan napił się wody z lodem ze stojącej przed nim wysokiej szklanki. Zauważyłam, że lekko drżała mu ręka.

– Według wersji oficjalnej popełnił samobójstwo, nie mogąc się pogodzić ze śmiercią żony. Ale z tajnych akt, do których zyskałem dostęp, od kiedy zacząłem pracować dla FBI, dowiedziałem się, że wykonano na nim wyrok. Jego ciało znaleziono w burdelu w Stambule. Uważa się, że ojciec pojechał tam za Makssem i został zabity, zanim zdążył zrealizować swój zamiar.

– Czyli zabić Maksa?

Skinął głową.

– Przysięgłem sobie wtedy, że to ja doprowadzę do tego, żeby Smiley zapłacił za swoje czyny, to ja postawię go przed sądem. Nigdy nie pragnąłem zemsty. Nigdy nie chciałem go skrzywdzić czy zabić. Zależy mi tylko na tym, żeby odpowiedział za śmierć moich rodziców i... pomordowanych kobiet. Ale z drugiej strony zawsze miałem przeświadczenie, że mnie to kiedyś zniszczy i ostatecznie zgubi. I czuję, że ta chwila jest całkiem bliska.

Słowa Dylana były ponure, a na twarzy malował się bezbrzeżny smutek. Miałam ochotę go przytulić, pocieszyć, ale coś mnie przed tym powstrzymywało. Przez chwilę milczałam.

– Ale w jaki sposób, z takim życiorysem, zatrudnili cię w FBI?

Wzruszył ramionami.

– Przeszedłem mnóstwo testów psychologicznych, poza tym nie sądzę, żeby moją motywację do tej pracy uznano za wadę. W każdym razie nie puszczali mnie w teren. Zajmowałem się inwigilacją i zbieraniem informacji, a nie chodzeniem po ulicach i zgarnianiem niegrzecznych chłopców.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc tylko patrzyłam na jarzący się czerwono ekran.

– Przez dłuższy czas nie istniało dla mnie nic, poza tą sprawą. Ostatnio zacząłem się zastanawiać, czy moje wybory były właściwe. Bo przecież poza tym nie mam nic, co mógłbym uznać za dorobek życiowy, a nie jestem coraz młodszy.

Wydawało mi się, że jego słowa dochodzą z daleka, jakby głośno myślał.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Odwrócił wzrok.

– Nic. Nie wiem.

– Bo ja już nie mogę się z tego wycofać. Ale gdybyś ty chciał, to cię zrozumiem. Możesz mi wierzyć. Tylko że ja muszę go znaleźć.

Przez chwilę mi się przyglądał, po czym zapytał:

– Dlaczego?

– Wiesz, dlaczego. Sam to powiedziałaś.

– A co będzie, jeśli poznanie Maksa Smileya nie przybliży cię do siebie? Co będzie jeśli się okaże, że im bardziej się do niego zbliżasz, tym bardziej się oddalasz od prawdziwej siebie?

Potrząsnęłam głową i podparłam ją rękami.

– Spójrz na Jacobsena, spójrz na mnie. Zobacz, co ta sprawa z nami zrobiła.

Odsunęłam się od niego.

– Ale on nie jest waszym ojcem. – Podniosłam głos, mimo że nie miałam zamiaru krzyczeć. – Ty i Jake szukacie sprawiedliwości, może nawet zemsty, chociaż się do tego nie przyznajecie. Wasze cele są sztuczne – dlatego ta pogoń was niszczy. I nawet jeśli je osiągniecie, to w gruncie rzeczy ani was to ziębi, ani grzeje.

Skinął głową, jakby już sprawę gruntownie przemyślał.

– A jeśli dostaniesz to, czego chcesz? Powiedzmy, że go znajdziesz w sensie dosłownym albo przenośnym, albo jednym i drugim. Co wtedy, Ridley?

– Nie wiem – przyznałam.

Oboje odwróciliśmy się do czerwonego ekranu. Spojrzałam na Dylana, który skinął głową. Wprowadziłam login, którego, jak wiedziałam, często używał Ben: dobrydoktor. A potem hasło, którego Ben używał do wszystkiego: słoneczko.

Byłam pewna swego, ale jednak się myliłam. Po kilku minutach oczekiwania czerwony ekran znikł, a w jego miejsce wyskoczyła strona z błędem.

– Kurwa – mruknął pod nosem Dylan.

Szybko usunęłam tę stronę i stronę, z której weszłam na mejla, z pliku historii komputera, wyjęłam z plecaka pieniądze, położyłam na stole i szybko wstałam. Dylan też wstał i wziął mnie za rękę. Wolno, żeby broń Boże nie pokazać po sobie paniki, ruszyliśmy w kierunku znaku „Wyjście”, widocznego na końcu długiego wąskiego pomieszczenia. Przez zielone metalowe drzwi wydostaliśmy się na małą uliczkę na tyłach restauracji. Wtedy zaczęliśmy biec.

Ale oczywiście nie miało to najmniejszego sensu. Gdybym się zastanowiła, doszłabym nieuchronnie do tego wniosku. Przecież się nie ukrywaliśmy, nie było powodu uciekać. Tkwieliśmy zaplątani w lepkie jedwabne nici skomplikowanej pajęczyny. Tylko że wtedy jeszcze tego nie wiedzieliśmy. Czy może ja nie wiedziałam.

Powinam już dawno nie żyć. Wszystkich pozostałych – Myrę Lyall, Sarę Duvall, Granta Webstera i Esme Gray – spotkała koszmarna śmierć. Dlaczego nie mnie? Ano dlatego, że nikt nie uśmierca przynęty, dopóki nie ma brania. Ale to jeszcze wtedy do mnie nie dotarło. Szłam po omacku, przerażona i bezradna wobec tego, z czym musiałam się zmierzyć.

Z braku lepszych pomysłów wróciliśmy do hotelu. Byłam chora i wyczerpana, w boku czułam nieprzyjemne pulsowanie. Podejrzewałam, że mam gorączkę i że moja infekcja się rozwija. Ale nie pozostawało nam nic innego, jak tylko czekać. Pocałunek, nocny klub, który nas interesował, otwierano dopiero o północy. Usiadłam na łóżku i poczułam, że pokój kołysze się razem ze mną nieprzyjemnie. Dylan usiadł koło mnie i położył mi rękę na czole.

– Jesteś spocona.

– Źle się czuję.

Wyjął z kieszeni fiolkę z jakimiś pigułkami, wysypał kilka na rękę i mi podał. Zażyłam pastylki na sucho – czułam, jak wolno przesuwiają się w przelyku. Położyłam się na zdrowym boku i patrząc na Dylana, spytałam:

– Jak myślisz, kto zabił Esme Gray?

Nie odpowiedział.

– Kiedy ją widziałam ostatni raz – podjęłam – powiedziała mi, żebym była ostrożna, bo skończę jak ta reporterka „New York Timesa”. Nie uważasz, że to dość dziwne? I czy nie świadczy o tym, że wiedziała coś o śmierci Myry Lyall?

– Mogło tak być.

– Czy myślisz, że ona miała z tym wszystkim coś wspólnego?

Wzruszył ramionami.

– Tkwiła po uszy w projekcie „Na ratunek”. To ona identyfikowała zwłoki Maksa.

– Kochała się w nim kiedyś, bardzo dawno temu.

– I umarła pobita na śmierć... On tak właśnie zabija...

Słowa Dylana mnie zmroziły; wstrząsnął mną dreszcz. Chodziło nie tylko o to, co powiedział, ale o to, że mówił o Maksie w czasie teraźniejszym. To było coś, czego jeszcze ciągle nie mogłam zaakceptować.

– Ale jeśli ona była jego współpracowniczką, to dlaczego miałby ją zabijać? Może ktoś po prostu chciał, żeby to wyglądało na morderstwo popełnione przez Maksa? Żeby wyszło na to, że Max żyje.

– Kolejny mój kandydat to twój chłopak Jake Jacobsen.

Potrząsnęłam głową.

– Wykluczone.

– Pytałaś go o to? O kałużę krwi w jego pracowni?

Wszystkie te sprawy wydawały się takie odległe.

– Powiedział, że nie zbliżał się w tym czasie do Esme, że nie ma pojęcia, co się mogło wydarzyć w jego pracowni, że od wielu godzin go tam nie było.

– To co się z nim działo przez cały dzień?

Wzruszyłam ramionami.

– Nie spytałam go o to.

– A on nie powiedział.

– Nie. – Zamknęłam oczy, zastanawiając się, ile tak naprawdę znałam dla Jake’a i gdzie mógł teraz być. W uszach brzmiały mi jego słowa, które wypowiedział wtedy, padając. Wydawał mi się taki daleki. Nie wiedziałam, czy się jeszcze kiedykolwiek w życiu spotkamy.

– Spróbuj teraz odpocząć. Postaramy się to jakoś rozsupłać. Obiecuję ci.

– Chodzi o to, że ci pozostali – Myra, Sara, Grant – musieli w to jakoś wdepnąć. Może odkryli sprawy nieprzeznaczone do ich wiadomości. Może ktoś nie chciał, żeby to wiedzieli, i dlatego musieli zginąć. A wyglądało na to, że Esme była wtajemniczona. Jak mogła tak skończyć?

Czułam, jak Dylan kładzie mi rękę na czole, ale nie odpowiedział. Po chwili zaczęłam zasypiać. W półśnie, w jaki zapadłam, wróciła pamięć.

Kiedy ocknęłam się na twardej, szorstkiej wykładzinie dywanowej, miałam świadomość, że nie jestem sama. Poczucie ruchu, dźwięki i zapachy, które zaczęły do mnie docierać, pozwoliły mi się domyślać, że jestem w samolocie. No i ten dający o sobie znać ból – ból w boku od świeżej rany postrzałowej, ból szczęki, ból w nodze. Próbowałam poruszyć się wolno, ale ból wywołany już samą próbą okazał się tak wielki, że krzyknęłam głośno.

Siedział spokojnie w skórzanym fotelu blisko mnie i patrzył, jak się szamoczę. Nawet się nie ruszył, żeby mi pomóc. W samolocie panował półmrok, ale wiedziałam, że mam koło

siebie tego samego mężczyznę, którego ściagałam wtedy na ulicy, kiedy zginęła Sara Duvall. Nie widziałam jego twarzy, a w każdym razie niedokładnie, ale mogłam przysiąc, że przynajmniej jej część była poznaczona paskudnymi bliznami. Mężczyzna miał na sobie ten sam czarny filcowy kapelusz i ciemne okulary.

– Gdzie ja jestem? – spytałam. – Kim pan jest?

Czepiając się poręczy fotela, z trudem zdołałam się podnieść. Był to mały najwyraźniej prywatny samolot z barkiem i pięcioma szerokimi skórzanymi fotelami. Wnętrze kabiny robiło wrażenie zaniedbanego. W powietrzu unosił się dziwny odór, od którego zrobiło mi się niedobrze. Nogi znów zaczęły mi odmawiać posłuszeństwa, więc usiadłam.

– Gdzie jest duch? – zapytał mężczyzna z wyraźnym akcentem. Powiedziałabym wschodnioeuropejskim.

– Kto?

– Duch – powtórzył. – Twój ojciec, Maxwell Smiley.

– On nie żyje – odparłam.

Poczułam ogarniającą mnie falę dziwnego spokoju. Sytuacja, w jakiej się znalazłam, wydawała się osobliwa, prawie niezrozumiała. Musiałam być w szoku. Z pewnością byłam.

– Oglądaliśmy zdjęcia – ciągnął mężczyzna beznamiętnym głosem. Omijałam go wzrokiem. Nie chciałam widzieć jego twarzy; wydawało mi się, że jeśli nie będę jej widziała, to nie umrę tu, przy nim. Gapiłam się na swoje kolana, zastanawiając się, czyją krwią mam zmoczone całe nogi. Pewnie swoją, a może Jake'a. – Jeśli nas do niego zaprowadzisz – dodał – to będziemy mogli o sobie nawzajem zapomnieć. Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć?

Jasne, pomyślałam. Pewnie, że rozumiem.

– On nie żyje. Własnoręcznie rozsypałam jego prochy z Mostu Brooklyńskiego.

Mężczyzna westchnął i jak na komendę do kabiny weszło dwóch drabów. Obrócili mój fotel i kiedy podniosłam wzrok, spostrzegłam, że mają na twarzach czarne kominiarki. Widok jest naprawdę koszmarny. Ktokolwiek wynalazł kominiarki, z pewnością nie myślał o kominiarzach. Są absolutnie upiorne, obliczone na zastraszenie. Próbowałam się wyrwać, mimo że było to w oczywisty sposób bezcelowe. Jeden z mężczyzn bez trudu przytrzymał mnie, naciskając rękami na ramiona i przyduszając kolanem do siedzenia fotela, podczas gdy drugi powoli wkręcał mi pięść w świeżą ranę. Wydałam potworny nie ludzki wrzask; nie mogłam uwierzyć, że to mój głos. Podobno człowiek nie zapamiętuje bólu fizycznego. Chciałabym, żeby to samo dotyczyło strachu.

– Gdzie jest duch? – powtarzał w kółko, cierpliwie mężczyzna w czerni, dopóki ponownie nie straciłam przytomności.

Odległość w czasie między tymi wypadkami a moim pierwszym obudzeniem się w hotelu Covent Garden jest do dziś niemożliwa do ustalenia. Ale nie chodzi mi o odzyskanie pamięci. Czasem podświadomość wie najlepiej. Niekiedy lepiej nie budzić ciała.

Ocknęłam się gwałtownie, moim ciałem wstrząsnął dreszcz, co spowodowało, że drżemiący obok mnie na krześle Dylan zerwał się na równe nogi.

– Co jest? Co się stało?

– Dlaczego mnie nie zabili? – spytałam, siadając. – Kiedy się zorientowali, że nie wiem, gdzie on jest, powinni mnie zabić.

– Próbowali to zrobić w szpitalu – powiedział, trąc oczy.

- Okej, ale na co czekali? Przecież mogli mnie łatwo zabić, gdy mieli mnie w rękach.
- Uciekłaś im. Musiałaś im jakoś uciec.
- Jak? Więzili mnie w samolocie, gdzie byłam torturowana przez mężczyzn w kominiarkach.

Wpatrywał się we mnie intensywnie z jakimś dziwnym wyrazem twarzy, na której malowała się troska? Gniew? Nie wiedziałam.

– O czym ty mówisz?

Opowiedziałam mu o tym, co mi się właśnie przypomniało. Czy może przyśniło? Dylan usiadł koło mnie i położył mi ręce na ramionach.

– Czy jesteś pewna, że to tak właśnie wyglądało?

– Tak – odparłam i zaczęłam się nad tym zastanawiać. Moje wspomnienie było mgliste, niewyraźne. Ale nie przypominało snu. Nie miało w sobie nic z nierzeczywistej atmosfery typowej dla impresjonizmu czy snów. – Nie. Nie wiem.

– Pamiętasz może coś jeszcze? – Wpatrywał się we mnie natarczywie; był bardzo emocjonalnym człowiekiem.

Potrząsnęłam głową.

– Dlaczego mnie nie zabili? – powtórzyłam. Chciałam wiedzieć. Wydawało mi się to bardzo ważne. I rzeczywiście było. Tylko nie wiem dlaczego.

– Ciesz się, że tego nie zrobili – powiedział, odwracając wzrok.

Miałam wrażenie, że jest zły. Spojrzałam na zegarek. Było po północy.

Kiedy tak siedziałam, rozmawiając z Dylanem, moje wspomnienia zaczęły blednąć. Zastanawiałam się, kim był tamten człowiek. Czy miał w sobie coś znajomego? Czy widziałam go kiedyś, zanim jeszcze zastrzelił Sarę? Poszukiwałam w pamięci ludzi, których poznałam w związku z Maksem. Ale nie mogłam go jakoś skojarzyć. Może wskutek stresu wywołanego traumatycznym przeżyciem pamięć płatała mi figle.

– Dylan? – odezwałam się.

Wstał i podszedł do okna. Położył rękę na szybie, wyglądając na ulicę.

– Słucham cię, Ridley.

Znów akcent brytyjski. Stres? Zmęczenie? Prawdopodobnie jedno i drugie.

– Co ty o mnie wiesz? – Nie mam pojęcia, dlaczego zadałam mu to pytanie akurat w tym momencie. I nadal tego nie wiem.

– Słucham?

Nawet na mnie nie spojrział.

– Przez cały ten czas, kiedy mnie obserwowałaś... jak wiele się o mnie dowiedziałaś?

Przez jakiś czas nie odpowiadał i już myślałam, że nie odpowie, kiedy nagle się odezwał:

– Wiem, że w dalszym ciągu słuchasz zespołu Duran Duran. Że śpiewasz pod prysznicem i że chrapiasz.

Milczałam. Byłam zdziwiona i miałam poczucie, że pogwałcono moją prywatność. Nagle pożałowałam, że zadałam to pytanie.

– Wiem, że po kochaniu się z Jakiem masz ochotę na lody. Wiem, że czasem płaczesz do poduszki. Że zdarza ci się płakać, kiedy jesteś zestresowana, wściekła czy po prostu zmęczona. I że jesteś bardziej zła na swoich rodziców, niż chcesz się do tego przyznać. Wiem też, że masz umysł śledczy, przemożną potrzebę dotarcia do prawdy o rzeczach i ludziach i że

jesteś uparta jak wszyscy diabli.

Ogarnęła mnie wściekłość.

– Zamknij się – warknęłam.

Dylan odwrócił się, a potem podszedł i stanął koło mnie.

– Wiem, że tęsknisz za swoim poprzednim życiem, że może nawet chętnie cofnęłabyś zegar.

– Zamknij się – powtórzyłam.

Wstałam z łóżka, na którym siedziałam. Ze złości dosłownie mnie zatkało. Złapał mnie za przedramiona. Próbowałam mu się wyrwać, ale trzymał mocno.

– Wiem, że jesteś wściekła na to wszystko. Ale najbardziej na to, czego się teraz dowiedziałaś o Maksie Smileyu. Jesteś wściekła, że on stanowi część ciebie.

Nie zdołałam powstrzymać szlochu; próbowałam wyrwać się z uścisku Dylana, ale on trzymał tym mocniej, im bardziej się szarpałam. Miałam ochotę zatkać uszy i uciekać od niego.

– Ale jednocześnie wiem, że to wszystko się nie liczy, Ridley. Że masz w sobie głębokie źródło dobra. Jesteś jedną z nielicznych naprawdę uczciwych, dobrych i kochających osób, jakie w życiu spotkałem. To, od kogo pochodzisz, nie ma żadnego znaczenia. Bo i tak nic tego nie zmieni.

Zniżył głos prawie do szeptu. Puścił moje ręce i delikatnie kciukami wytarł łzy, a potem przyciągnął mnie do siebie. W czasie pocałunku napierał na mnie całym ciałem, a ja, czując siłę jego ramion, moc klatki piersiowej i ud, uzmysłowiłam sobie, że się do niego tulę. Ale nawet gdybym chciała, i tak nie zdołałabym się od niego oderwać. Wiedziałam, że by mnie łatwo nie puścił, nawet gdybym go prosiła, nawet gdybym się wrywała. Mówiłam wam już wcześniej, że trzymał mnie tak, jakby mnie dobrze znał. I pewnie tak było.

Czułam, jak bardzo mnie pragnie, i to mnie zdziwiło. Był mężczyzną, który potrafił nad sobą panować, który potrafił zachować dystans, nawet kiedy przekraczał wszystkie moje granice. Ale jeszcze bardziej zdziwiło mnie to, jak bardzo ja pragnęłam Dylana. Mimo – a może właśnie dlatego – że przez ramię zaglądało mi widmo Jake’a, tak bardzo chciałam Dylana Grace’a. W dalszym ciągu na tak wiele sposobów należałam do Jake’a, że w akcie miłosnym z Dylanem widziałam zdradę nas trojga. Ale to mnie właśnie w przewrotny sposób tym bardziej podniecało. Ostatnio szłam we wszystkim na całość.

Zaczął mnie rozbierać, cały czas przykuwając do siebie wzrokiem. Części naszej garderoby, jedna po drugiej spadały na podłogę. Kiedy już leżeliśmy w łóżku, poczułam ciepło bijące od jego skóry. Przez chwilę wystarczyło mi tylko, że leżymy złączeni ciałami, że muskam ustami jego szyję. Czułam, jak wzdycha i coraz mocniej tuli mnie do siebie.

– Ridley – wyszeptał. – Boże.

W tych dwóch słowach był zawarty tak wielki ładunek emocjonalny, że aż mnie to przeraziło, jednocześnie wzmagając pożądanie. Dylan odczuwał w tej chwili coś, czego ja nie czułam, ale nie miało to znaczenia. Postanowiłam obdarować go tym, czego tak bardzo pragnął. Uosabiał dla mnie w tej chwili dobro, siłę, oparcie i bezpieczeństwo. Chciałam chociaż przez jedną chwilę zaznać schronienia, jakim była jego wiedza o mnie.

Kiedy się kochaliśmy, powiedział:

– Patrz na mnie, Ridley.

Nasze spojrzenia się spotkały. Nawet w czasie pocałunków nie przestawał na mnie

patrzeć. Ktoś mógłby uznać to za dziwactwo. Ale ja wiedziałam, że Dylan musi przez cały czas patrzeć mi w oczy i że tego samego chce ode mnie. Może tak długo obserwując mnie skrycie, pragnął dać mi sygnał, że tak naprawdę widzi mnie po raz pierwszy. Poczułam się doceniona. Dlatego gdy moje dłonie poznawały tajemniczy krajobraz jego ciała, kiedy chłonełam zapach jego skóry, delikatną miękkość warg i szyi – dawałam mu całą siebie, bez reszty.

Bardzo uważał, żeby mnie swoim ciężarem nie urazić w ranę, ale i tak obcowanie z Dylanem sprawiało tyle samo bólu, ile przyjemności.

Leżeliśmy spleceni ze sobą w ciemności, a ja, zamknięta w jego ramionach, ścisnęłam jego dłonie. W otaczającej nas ciszy czułam, jak wiele chciałby powiedzieć, ale milczał. Słuchając jego oddechu, pomyślałam, że dobrze mieć go przy sobie.

– Nie powinienem był mówić ci tego wszystkiego – powiedział. – Nie powinienem teraz wiedzieć o tobie tego, co wiem. To nie fair.

Miał oczywiście rację. Powinien tę wiedzę o mnie zdobywać stopniowo. A ja powinnam mieć szansę dawkowania mu jej po trochu. Taka jednak była nasza rzeczywistość. Karty zostały rozdane. Mogliśmy je złożyć albo nimi grać.

Tyle mniej więcej mu powiedziałam. Skinął głową na znak, że rozumie. Leżeliśmy jeszcze przez chwilę, wiedząc, że mamy niewiele czasu. A potem jedno po drugim wzięliśmy prysznic, ubraliśmy się w milczeniu i opuściliśmy pokój hotelowy. Zanim jednak przekroczyliśmy próg, Dylan odwrócił się jeszcze i pocałował mnie delikatnie, a ja na mgnienie oka do niego przywarłam.

– Dziękuję – szepnął mi do ucha.

W czyichś innych ustach zabrzmiałoby to okropnie – jakbym dała coś, za co oczekiwałam wdzięczności. Ale ja wiedziałam, co Dylan miał na myśli, i to mnie wzruszyło. Nie zastanawiając się wiele, pocałowałam go raz jeszcze. Czułam, że tamten ogień od nowa zaczyna w nas płonąć, wiedziałam jednak, że nie mamy ani chwili do stracenia. Odkoczyliśmy od siebie i trzymając się za ręce, wyszliśmy na ulicę.

Kiedy wysiadaliśmy z czarnej eleganckiej taksówki, zdałam sobie sprawę, że właściwie nie mam zielonego pojęcia, czego tu szukamy. Znalazłam nazwę jakiegoś klubu na opakowaniu zapalek i oto byliśmy na miejscu. Już sam ten fakt stanowił chyba wystarczające świadectwo tego, jak bardzo czuliśmy się zdesperowani i zagubieni. Handlowa ulica w londyńskim West Endzie wydała nam się niemal wyludniona. Zapłaciłam kierowcy i gdy taksówka znikła mi z oczu, ogarnęła mnie rozpacz.

– Co jest grane? – zapytał Dylan, widząc moje wahanie.

– Nic. Wszystko w porządku.

Miałam dziwne wrażenie, że popełniamy błąd, jakby przywiódł nas tutaj zwykły upór czy brak lepszego pomysłu. Kiedy szliśmy ulicą, sprawdzając numery, widziałam, że cała energia Dylana skupiona jest na milczącej czujności. Poza nami nie było żadnych innych klubowiczów, nie słyszałam pulsowania muzyki.

Jedynym, co wskazywało na to, że jesteśmy na miejscu, było jarzące się niebiesko światelko nad metalowymi drzwiami, przed którymi stało dwóch mężczyzn – jeden czarny, jeden biały – wielkich jak szafa, w czarnych marynarkach i okularach przeciwsłonecznych.

– Nazwisko – zażądał krótko czarny mężczyzna, gdy podeszliśmy bliżej. Sięgnął po wiszący koło niego spięty klipsem plik kartek.

Wyjęłam z kieszeni i wręczyłam mu kartonik zapalek.

– Czy dobrze trafiłam?

Mężczyzna wyjął z kieszeni coś, co wyglądało na pióro, ale co okazało się małą czarną latarką. Poświecił na zapalki i wtedy pojawił się kolejny symbol. Wykręcałam szyję jak mogłam, żeby go zobaczyć, ale mężczyzna zgasił latarkę, zanim zdążyłam się zorientować, co to jest. Zdziwiłam się, kiedy facet oddał mi zapalki, odstał na bok i otworzył nam drzwi.

– Witajcie w Pocałunku. Winda na lewo zawiezie was do pokoju dla VIP-ów. Wystarczy wsunąć tę kartę w otwór – powiedział, wręczając mi czarną kartę wstępu. Skinieniem głowy podziękowałam i wzięłam kartę. Drzwi zamknęły się za nami, ruszyliśmy długim ciemnym korytarzem oświetlonym niebieskimi lampkami.

– Musisz naprawdę należeć do lepszych gości, Ridley Jones – szepnął mi do ucha Dylan, kiedy doszliśmy do końca korytarza i wsunęłam kartę do otworu.

Uśmiechnęłam się blado.

– Zobaczymy.

Winda – zamiast, zgodnie z moimi oczekiwaniami, wieźć nas na górę – pojechała na dół. Kiedy drzwi się otworzyły, znaleźliśmy się w ogromnym pomieszczeniu, gdzie przy pulsujących dźwiękach muzyki techno na gigantycznym parkiecie falowały ludzkie postacie. Morze skąpo ubranych ciał wydawało się nie mieć kresu. Byłam oszołomiona – podobnego uczucia doznawałam w klubach nowojorskich. Umysłem obserwatora ledwie ogarniałam ogrom danych. Tatuaze, piercingi, fioletowe szkła kontaktowe u jednej z pań, sterczące kosmyki malinowych włosów u innej. Nagle zaatakował mnie bezmiar detali; poczułam się,

jak zawsze w podobnych okolicznościach, dziwnie przymulona. Dylan podał mi ramię, przyciągnął mnie blisko do siebie i ruszyliśmy w stronę baru.

– Nie chciałbym, żeby nas tu rozdzielono – wrzasnął mi do ucha, ale i tak ledwie go usłyszałam.

Zastanawiałam się, czy w innej sytuacji by ze mną zatańczył, czy jego ciało poruszałoby się na parkiecie z taką samą gracją i poczuciem rytmu jak w łóżku. Podejrzewałam, że tak. Wyglądał w porządku z szopą czarnych włosów, cieniem zarostu na brodzie i w ciemnych okularach. Miał na sobie skórzaną marynarkę, T-shirtkę FCUK, którą mu kupiłam na Knightsbridge, i stare levisy. Kiedy go poznałam, nie wyglądał na modnia, ale pewnie był.

– Co?! – wrzasnął.

Musiałam się na niego gapić. Potrząsnęłam głową.

Dolna warga barmana była kompletnie niewidoczna zza rzędu zdobiących ją srebrnych kółek. Wydało mi się to czymś upiornym. Nie mam zaufania do ludzi, którzy przekuwają sobie ciało w różnych wrażliwych miejscach. Tak jakby samo życie nie było wystarczająco bolesne. Czy nie dość tych blizn, które nam i bez tego zostawia? Mężczyzna miał ogoloną głowę i wytatuowaną pod okiem czterolistną koniczynkę.

Dylan przechylił się przez bar i zaczął coś do niego wrzeszczeć. Ja zatraciłam się zupełnie w obserwowaniu tłumu. Muzyka była ciężka; czułam ją przez skórę. Przypomniało mi się, jak w college’u braliśmy ecstazy i szliśmy tańczyć. Miałam uczucie, że muzyka pulsuje mi w żyłach i – na pewnym duchowym poziomie – mnie porywa. Potem już nie eksperymentowałam z narkotykami. Uznałam, że uczucie oderwania od rzeczywistości mi nie odpowiada. Ale taniec pod wpływem ecstazy, która zmieniała ścieżki w mózgu, był przeżyciem dość intensywnym i atmosfera klubowa zawsze mi je przypominała. Czułam silną pokusę, żeby wmieszać się w ten tłum i w błyskach światła dać się ponieść muzyce.

Obserwowałam czarną kobietę z prostymi jak druty platynowymi włosami, w sukni z lakierowanej skóry i takich samych butach. Ocierała się ciałem o równie wspaniałą blondynkę w białej tunice pokrytej przezroczystą tkaniną, ujętą w kilku miejscach w wachlarzowate fałdki. Materiał unosił się wokół niej jak obłok dymu. Wodziłam wzrokiem za źle ubranym łysiejącym mężczyzną, w którego oczach widziałam brak poczucia bezpieczeństwa. Próbował poderwać rudą śmiertelnie znudzoną kobietę, która ledwie trzymała się na nogach. Zauważyłam młodą dziewczynę w dżinsach i podkoszulku bez rękawów, wirującą samotnie w jakimś własnym szalonym rytmie. Po jej zamglonych oczach widziałam, że musi być bardzo naćpana.

Dylan wręczył mi piwo i wskazał na wąskie schody prowadzące do pluszowej kurtyny.

– Anioł! – wrzasnął.

Skinęłam głową i ruszyliśmy na górę.

Życie jest jak koszmarne łamigłówka, nie uważacie? Dostajecie do ręki niektóre jej elementy, nie znając ich miejsca w układance. Kiedy szliśmy po schodach na górę, myślałam o tym, jak w mieszkaniu Maksa znalazłam kartonik zapalek z nabazgranym czyimś imieniem, nie wyobrażając sobie nawet, że doprowadzi mnie on do londyńskiego klubu, gdzie znajdę się w towarzystwie niesforne go agenta FBI; dwoje ludzi szukających niby tego samego, a jednak czegoś zupełnie innego; dwoje ludzi o beznadziejnie splątanych życiorysach, o które się bez przerwy potykają. Gdybym rzeczywiście starannie czytała znaki, wiedziałabym, że z tego

scenariusza nie ma dobrego wyjścia, że może z tego wyniknąć tylko coś złego. Ale w dalszym ciągu byłam naiwna, w dalszym ciągu wierzyłam, że jakoś to będzie.

Za pluszową zasłoną było znacznie ciszej.

– To jest pokój dla VIP-ów – powiedział Dylan. – Barman mnie poinformował, że tam znajdziemy Anioła.

Obok kolejnych metalowych, tym razem chromowanych drzwi, znajdował się taki sam otwór jak przy windzie. Kiedy wsunęłam do niego kartę, zgasło czerwone światło i zapaliło się zielone. Głośne kliknięcie oznajmiło ustąpienie zamka. Pchnęliśmy drzwi i weszliśmy do środka.

O ile na dole było głośno, o tyle tu panowała niemal cisza. W zadymionym powietrzu płynęły delikatne dźwięki jazzu. Przestronne wnętrze z długimi niskimi stolikami i rozrzuconymi na podłodze poduszkami zamykał wysoko sklepiony sufit. Było tu kilka przytulnych boksów ze stolikami koktajlowymi. Niektóre boksy miały zaciągnięte przezroczyste zasłony, za którymi poruszały się jakieś sylwetki i zza których dochodziły szepty. Pokój był oświetlony jedynie świecami, stojącymi na stolikach, zatkniętymi w kinkiety i umieszczonymi w gigantycznych zwisających z sufitu na łańcuchach kandelabrach i żyrandolach z kutego żelaza. Wnętrze wydawało się gotyckie, a zarazem całkowicie nowoczesne. Zza jednej z zasłon dochodził śmiech kobiety, który przypominał grzechot kostek lodu w szklance. Gdyby moje życie nie było tak bardzo spieprzone, mogłabym nawet uznać, że to miejsce jest całkiem w porządku.

Wśliznęliśmy się za jedną z zasłon i usiedliśmy blisko siebie na eleganckiej krytej aksamitem kanapce.

– Ktoś tu do nas przyjdzie – szepnął mi do ucha Dylan.

Kiedy przysunęłam się do niego bliżej, objął mnie swobodnie ramieniem. Próbowałam sobie wyobrazić, jak by to było, gdybyśmy byli na randce. Gdyby nie wydarzyły się te wszystkie straszne rzeczy między nami, dokoła nas. Ale nie mogłam. Wiem, że byłam żalosna. Uznałam, że powinnam się skupić; wzięłam się w garść.

Po pewnym czasie do naszego boksu wszedł młody chudy mężczyzna, ubrany na czarno, z oczami podkreślonymi czarną kredką i z czarną szminką na ustach.

– Przyszliśmy zobaczyć się z Aniołem – wyjaśniłam, kiedy zapytał nas, co zamawiamy.

Mężczyzna pytająco uniósł brwi.

– Z Aniołem?

Skinęłam głową, a on uśmiechnął się dziwnie, przenosząc wzrok ze mnie na Dylana i z powrotem.

– Jak sobie państwo życzą – powiedział, lekko sepleniąc. – Czy mogę ją zawiadomić, kto pyta?

Zawahałam się i spojrzałam na Dylana.

– Powiedz jej, że Max – uprzedził moją ewentualną odpowiedź.

Mężczyzna skinął głową i wyszedł. Popatrzyłam na Dylana, który wzruszył ramionami.

– Masz lepszy pomysł?

Zamiast mu odpowiedzieć, popijałam guinnessa, którego wręczył mi na dole. Piwo było ciemne, smakowite, dość mocne. Ogólnie biorąc, nie przepadałam za piwem, ale to nie było złe, a lekki szmerek, jaki wywoływało w głowie, pozwalał mi się wyluzować.

Po jakimś czasie przyszedł inny mężczyzna, bardziej w stylu tamtych dwóch bramkarzy, i poprowadził nas korytarzem. Był krępy, miał surowy wyraz twarzy, a jego długi czarny płaszcz zamiatał podłogę, kiedy szliśmy wzdłuż szeregu drzwi prawie do końca korytarza. Poczułam suchość w ustach i przyływ adrenaliny. Pomyślałam o długich korytarzach, o drzwiach na kartę i o windzie, o tym wszystkim, co będziemy musieli pokonać, żeby się stąd wydostać. Miałam wrażenie, że znaleźliśmy się w potrzasku. Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie popełniliśmy fatalnego błędu. Ale było już za późno na cokolwiek. Wiedziałam, że jest to nasz ostatni trop. Nie miałam pojęcia, co się stanie potem.

Mężczyzna otworzył ostatnie drzwi, a kiedy weszliśmy do środka, zamknął je za nami. Nie ulegało wątpliwości, z czego żyje Anioł. Znaleźliśmy się w mrocznym pokoju, zdominowanym przez ogromne łoże stojące pod prawą ścianą. Z lewej był niewielki kącik wypoczynkowy. Całość robiła wrażenie taniej i podejrzonej. Spodziewałam się pewnie dużo pluszu, świec, aksamitnych poduszek i muzyki, ale taką atmosferę kreowała z pewnością moja wyobraźnia pisarki. A może to po prostu tylko naiwna Ridley widziała romantyczne schadzki tam, gdzie były tylko interes i zwykła transakcja handlowa. Wnętrze wydawało się bardzo funkcjonalne. Ludzie, którzy tu przychodzili, chcieli tylko jednego i to bez żadnych osłonek.

Spojrzałam na Dylana, ale jego twarz nie wyrażała nic. Nie widziałam zasłoniętych okularami oczu. Miałam ochotę stąd wyjść, ale usłyszałam, że otwierają się kolejne drzwi, i wiedziałam, że jest już za późno.

Weszła do pokoju zza pluszowej zasłony, którą rozsunęła szerokim gestem.

– Max – powiedziała łagodnym, uwodzicielskim głosem. – Próbowałam się z tobą skontaktować.

Na jej twarzy malował się szeroki uśmiech, który znikł niemal natychmiast, jak nas zobaczyła. Ta Azjatka, z bogactwem kruczoczarnych włosów i nieprawdopodobnie szczupłym ciałem, była kiedyś zapewne urzekająco piękna. W jej drobnych rysach pozostało wspomnienie niezwyklej urody, robiła jednak wrażenie zużytej i zmęczonej. A nawet złamanej. Przypomniały mi się dziewczyny uprowadzone i sprzedane w niewolę seksualną, o których czytałam w teczce Jake'a. Zastanawiałam się, czy ona była jedną z nich i czy tak się wygląda po dziesięciu, piętnastu latach takiego życia. Ogarnął mnie smutek.

– Kim jesteście? – zapytała.

Widziałam, że zamierza z powrotem zniknąć za zasłoną, ale Dylan był szybszy od niej. Złapał ją za ramię i gwałtownie obrócił do siebie, jednocześnie zatykając jej ręką usta. Przez chwilę próbowała mu się wrywać, ale nagle zastygła w pół ruchu. Trwało sekundę, zanim się zorientowałam, że przystawił jej broń do pleców. Nawet nie wiedziałam, że wziął ze sobą pistolet. Żołądek podjechał mi do gardła.

– Trzymaj pysk na kłódkę – syknął ścisłym złowróbnym głosem. Zaprowadził kobietę do krzesła i ciężko posadził.

– Dylan – odezwałam się. Ledwie go poznałam.

Zignorował mnie.

– Jak? – zapytał, trzymając ją jedną ręką za gardło, a drugą przystawiając pistolet do skroni. – Jak próbowałaś się z nim skontaktować?

Wydała koszmarny charczący odgłos, próbując łapać go za rękę, którą ścisnął jej gardło. Wbiła mu paznokcie do krwi, ale Dylan nawet nie mrugnął.

– Jak?

Nie poznawałam nawet jego głosu. Przypominał złowrogi pomruk.

Poluzował nieco uścisk na gardle i kobieta z rzeźącym świstem nabrała tchu. Patrzyła na niego błagalnym wzrokiem, a ja podeszłam i położyłam mu rękę na ramieniu.

– Nie mogę ci powiedzieć – odparła. Po jej policzkach spływały łzy, pozostawiając czarne smugi tuszu. – On mnie zabije.

– Możesz umrzeć teraz albo później. Twój wybór.

Zawisła wzrokiem na moich oczach, a mnie dopadł jakiś koszmarny skurcz – poczucie winy, strach, ból. Co my robimy?

– Daj spokój, Dylan.

– Nie wtrącaj się, Ridley – warknął, odwracając się do mnie.

Wycofałam się i stanęłam przy drzwiach. Poczulałam się całkowicie bezużyteczna. Nie z tej bajki. Nie miałam żadnego punktu odniesienia, który byłby przydatny w takiej sytuacji. Jak ja sobie wyobrażałam takie spotkanie? Nie miałam zielonego pojęcia.

– Daję ci jeszcze sekundę, a potem skrucę ci kark – zagroził Dylan. – Rozumiesz?

Zamarłam. Czyżby rzeczywiście zamierzał zabić tę kobietę, jeśli nie powie mu tego, co chcieliśmy wiedzieć? Nie sądziłam, ale w tym, co mówił, był przekonujący jak wszyscy diabli. Może w takich sytuacjach była to gwarancja sukcesu? Kobieta skinęła głową, a ja odczułam niesamowitą ulgę. Dylan zwolnił uścisk. Zakasłała i z jej ust wydarł się cichy szloch.

– Mogę mu tylko zostawiać wiadomości w internecie – odparła zachrypniętym głosem. – Jest taka strona internetowa.

– Podaj mi adres, swój login i hasło – zażądał.

Spojrzał na mnie, a ja szybko wyjęłam z kieszeni długopis i papier i wręczyłam kobiecie. (Ostatecznie jestem dziennikarką, nie ruszam się bez takich przyborów). Pisała coś przez chwilę, a następnie podała mi kartkę. Nie byłam zdziwiona, widząc adres, który już znałam na pamięć. Jej login brzmiał: aniołmiłość, a hasło: serendipity.

– Jak go poznałaś? – zapytałam. – Kim jest dla ciebie?

Spojrzała na mnie jak na debilkę i zaczęła masować szyję w miejscu, w którym ścisnął ją Dylan.

Próbowałam sobie wyobrazić Maksa w takim miejscu jak to, ale mimo wysiłków nie mogłam. Tak wiele z tego, czego się o nim dowiedziałam, nie pasowało do moich wspomnień. Dotarło do mnie, że się na nią gapię, dopiero kiedy odwróciła wzrok. Dylan wziął kartkę z moich rąk, spojrzał na tekst, a potem znów na kobietę.

– Jeżeli kłamiesz, to przysięgam na Boga, że cię znajdę – powiedział.

Patrząc na niego, słuchając jego głosu, doszłam do wniosku, że go kompletnie nie znałam.

Kobieta potrząsnęła głową i zaśmiała się krótko.

– Ja już nie żyję.

Dylan zrobił szybki ruch w jej stronę i zdzielił ją mocno w tył głowy. Zwinęła się jak marionetka, której przecięto sznurki, i osunęła na krzesło.

Odwrócił się i musiał zauważyć wyraz zgrozy na mojej twarzy, bo zastygł w pół ruchu.

– Ona żyje, Ridley – powiedział. Jego akcent był bardziej brytyjski niż kiedykolwiek dotychczas. – Po prostu musiałem ją na kilka minut uciszyć, żebyśmy mogli się stąd

bezpiecznie wydostać.

Podeszłam do niej i położyłam jej rękę na szyi. Z ulgą wyczułam tętno pod palcami. Dylan złapał mnie za ramię i opuściliśmy Pocałunek, jakby nigdy nic. Przed klubem złapaliśmy taksówkę i kazaliśmy kierowcy wieźć się do kawiarenki internetowej. Przez cały czas gadał jak nakręcony o bombach w metrze, o „pieprzonych Arabach” i „pieprzonych Amerykanach” i o tym, że robią wszystko, żeby całkowicie spieprzyć ten świat. Patrząc przez okno na uciekające po obu stronach budynki, prawie go nie słyszałam. Spoglądałam ukradkiem na Dylana, który zdjawszy ciemne okulary, spoglądał ukradkiem na mnie.

– Czy wyobrażasz sobie, że ona by ot tak, po prostu, dała nam tę informację? – zapytał w końcu.

Wzruszyłam ramionami i pokręciłam głową.

– A czy gdyby nam nie dała, tobyś ją zabił? – wyszeptałam w odpowiedzi.

– Oczywiście że nie – odparł z niedowierzaniem. – Jasne że nie.

– Tylko udawałeś złego faceta, tak?

– Tak. – Dylan zmarszczył brwi.

– Byłeś w tym całkiem przekonujący.

Wzruszył ramionami.

– Musiałem być, inaczej nic by z tego nie wyszło.

Przez chwilę milczeliśmy.

– Ciągłe zapominam – powiedział w końcu.

– O czym?

– Że nie znasz mnie tak dobrze jak ja ciebie.

Spojrzałam na niego i pomyślałam, że krwawe ślady po paznokciach Anioła muszą być bolesne. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Miał rację, a to mi uświadomiło, jak sztuczna była ta nasza relacja, która zaczęła się w atmosferze kłamstw, a hartowała w tyglu niebezpieczeństw i niepewności. Nasze jedyne spotkania towarzyskie sprowadzały się do morderstwa w ciemnym szpitalnym pokoju i chwil śmiertelnego zagrożenia w londyńskim nocnym klubie w West Endzie, z prostytutką w tle. Zastanawiałam się, czy łączy nas jeszcze cokolwiek, poza wspólną obsesją na punkcie mojego ojca. I czy kiedykolwiek będziemy mieli szansę się o tym przekonać.

Jedni z nas są zagubieni; inni pozbierani. Tę różnicę znał dobrze Max. Niektórzy nie stawiają zbyt wielu pytań i gdy przychodzi do spotkań ze światem, nie mają w sobie tego charakterystycznego ognia. Są zadowoleni ze swoich przewidywalnych losów, w których wszystko, co przed nimi, przypomina powtórkę z teleturnieju *Va banque*. Ci z góry znają wszystkie odpowiedzi i zakończenie gry. Nie mają potrzeby podróżowania ani stawiania męczących w głowie pytań, w rodzaju: Kim jestem? Skąd się tu wziąłem? Czy nic się więcej za tym nie kryje? Zamiast ciekawości – mają pewność we wszystkim, co się tyczy ich samych i otaczającego świata. Pracują. Chodzą do kościoła. Opiekują się rodzinami. Wiedzą, że ich przekonania są słuszne; wiedzą, że wszystko, co inne, jest niesłuszne albo złe.

My, pozostali, jesteśmy zagubieni. Wiecznie szukamy. Zadręczamy się różnymi filozofiami i chcemy oglądać świat. Kwestionujemy wszystko, nawet nasze własne istnienie. Zadajemy mnóstwo pytań i nigdy nie jesteśmy usatysfakcjonowani odpowiedziami, bo nikt nie jest dla nas wystarczającym autorytetem. Życie to dla nas gigantyczne puzzle, którego elementy

zbieramy do końca życia. Myśl, że nigdy nie zrozumiemy, o co w tym wszystkim chodzi, że możemy aż do dnia śmierci nie uzyskać odpowiedzi na nasze pytania, rzadko przychodzi nam do głowy. A kiedy już przyjdzie, napęłnia nas przerażeniem.

I dokładnie takie właśnie przerażenie czułam, kiedy siedzieliśmy pochyleni nad monitorem komputera w czynnej dwadzieścia cztery godziny na dobę kawiarence internetowej. Dochodziła czwarta nad ranem, a ja miałam wrażenie, że jesteśmy jedynymi ludźmi w Londynie. Wprowadziliśmy adres do wyszukiwarki i wyskoczył czerwony ekran. Wyszukałam okna za pomocą tabulatora i wprowadziłam login i hasło Anioła. Pośrodku ekranu otworzyło się małe okno. Patrzyłam, jak otwiera się ten sam plik wideo co u Jake'a. Był pełny dzień, stąd wiedziałam, że obraz nie może być na żywo. Nachyliłam się bliżej ekranu: z prawej strony pojawił się idący wolno o lasce mężczyzna. Krok miał niepewny; inni przechodnie wydawali się mijać go biegiem. Miał na sobie długi brązowy płaszcz i tweedowy kapelusik z rondkiem. W pewnym momencie zatrzymał się i obrócił.

Chudy, widmowo blady, jakby go coś żywcem pożerało od środka, nie był to Max, którego znałam, tylko wypalony, skrajnie wyniszczony cień człowieka. Podniósł wzrok do kamery, która musiała być gdzieś po drugiej stronie ulicy. Poruszał ustami, ale nie rozumiałam, co mówi, tak jak w moich snach. Ale choć był tak bardzo zmieniony, nie miałam najmniejszych wątpliwości, że to Max. Mój ojciec.

Poczułam w sobie ten sam dojmujący ból, który, podejrzewam, był we mnie zawsze i który był czynnikiem napędowym wszelkich moich działań od tamtej chwili, kiedy Dylan po raz pierwszy podszedł do mnie na ulicy: każdego błędu, jaki popełniłam, każdego lekkomyślnego i nierozważnego postępu, jakiego się dopuściłam. Zrzućmy swoje życie, żeby wypełnić ziejącą we mnie pustkę – czarny cień mojego ojca. Potrzebowałam czegoś, co, jak wierzyłam, może dać mi tylko on. I żeby to dostać, niemal doszczętnie zniszczyłam siebie.

– Co on mówi? – zapytał Dylan.

Plik wideo był zapętłony: urywał się nagle, a potem znów pojawiał się kuśtykający wolno przez ulicę Max, który odwracał się w pewnym momencie do kamery i coś do niej mówił. Cała scenka trwała może z dziesięć sekund.

Patrzyłam na kolejne powtórki filmiku wideo ze zbliżeniem na usta Maksa. Za czwartym razem wiedziałam. Oparłam się wygodnie.

– No i co? – zapytał Dylan. – Co on mówi?

– On mówi: „Idź do domu, Ridley”.

Spadli na nas jak grom z jasnego nieba, uznając być może, że jest to koniec drogi, że moje żałosne tropy dalej mnie już nie zaprowadzą. Weszli do kawiarenki jednocześnie od frontu i od tyłu. Świecili w okna koło nas. Mieli broń gotową do strzału, kamizelki kuloodporne i robili dużo hałasu. Gdyby mnie ktoś pytał, powiedziałabym, że to gruba przesada. Ale ja siedziałam dalej, gapiąc się na Maksa, z rękami na głowie, czując pod palcami sztywne kosmyki swoich dziwnych włosów. Stojący obok mnie Dylan robił to samo. Dwaj mężczyźni obmacali go dokładnie i zabrali broń.

Widok wchodzącej do kawiarenki inspektor Madeline Ellsinore nie był dla mnie zaskoczeniem. Szła wpatrzona we mnie, i wydawało mi się, że w jej oczach widzę współczucie.

Szczerze mówiąc, nie zdziwił mnie nawet widok Jake'a z bronią w ręku oraz włożonej na

ubranie czarnej kamizelce kuloodpornej.

Do tej chwili moje życie było dość monotonne. Można powiedzieć, że wlokło się – aż do tamtego epizodu, który przewrócił je dosłownie do góry nogami. Teraz, kiedy o tym myślę, wydaje mi się on wcale nie tak bardzo odległy. Siedząc w zimnym, szarym pokoju, upiornie oświetlonym mrugającymi świetlówkami, wspominam tamten dzień, kiedy wybiegłam na ulicę, żeby ratować Justina Wheelera. Dylan miał rację. Marzyłam o tym, żeby wrócić do tamtego dnia i to wszystko zmienić – gdybym tylko mogła. Ale teraz wiem, że wypadki, o których mówię, zostały uruchomione na długo przed tamtym dniem. Dotychczas działałam w złudnym przekonaniu, że mam jakąś władzę nad swoim życiem. Zaczynało jednak do mnie powoli docierać, jak bardzo się myliłam.

Wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Siadając naprzeciwko mnie, nie odezwał się słowem. Nie mogłam się zmusić do tego, żeby na niego spojrzeć – tak głęboka, tak niezrozumiała była jego zdrada. Bałam się, że kiedy podniosę na niego wzrok, buchnę płomieniem.

– Ridley – odezwał się w końcu.

– Czy to wszystko były kłamstwa? Wszystko?

Przez chwilę nie odpowiadał.

– Przykro mi – wyjąkał wreszcie.

– Tobie jest przykro?

– Dbałem o ciebie, Ridley... – powiedział głosem, którego nie poznawałam. Lodowatym i oficjalnym jak cała ta sceneria. – I w dalszym ciągu staram się dbać... Wiesz o tym przecież. Ale tamto to nie była część planu. To był przypadek, komplikacja.

– Wypadek przy pracy – podsumowałam ostro.

Czy on powiedział „dbałem”? Tak jak się dba o środowisko albo o starą ciotkę? Pomyślałam o miłości, jaką czułam dla tego człowieka, o tym, jak dawałam mu swoje ciało i serce, jak go darzyłam najgłębszym zaufaniem, o wszystkich prawdach, jakie mu wyjawiałam, o wszystkich bolesnych przeżyciach, jakimi się z nim dzieliłam. Otworzyłam się przed nim, ukazując swoje wnętrze bez żadnych osłonek. Miałam dojmujące poczucie wstydu i odruch, żeby zakryć swoją nagość.

– Nie wypadek – sprostował łagodnie, w czym już bardziej przypominał człowieka, którego znałam.

Poczułam jego dłoń na swojej i szybko cofnęłam rękę. Zebrałam się w sobie i wreszcie na niego spojrzałam. Robił wrażenie zmęczonego i smutnego; pod oczami miał ciemne koła. Zaciśnięte usta tworzyły prostą, surową linię.

– Żebyś się więcej nie ważył mnie dotykać.

Zwiesił głowę. Nie wyobrażałam sobie, żeby można było kogoś bardziej nienawidzić.

– Chciałabym tylko mieć jasność: wszystko, co na twój temat wiedziałam, cały twój życiorys jako dziecka z projektu „Na ratunek”, nasza wzajemna relacja, twoje rzeźby, jednym słowem wszystko, co wiem o tobie jako o człowieku, to jedno wielkie łgarstwo, tak?

Przykrywka, pod którą działałaś?

Wolno skinął głową.

– Tak.

Poczułam falę mdłości tak silną, że – przysięgam – myślałam, że się wyrzygam. Ale jakoś zdołałam się powstrzymać. W gardle miałam smak ciemnego piwa, które niedawno wypiałam – smak gorzkiej, palącej prawdy.

– Dlaczego? – W swoim głosie pochwyciłam desperację.

– Wiesz dlaczego.

Potrząsnęłam głową.

– Nie wiem. Żeby znaleźć Maksa, nie musiałeś mnie tak perfidnie oszukiwać w każdym momencie. Mogłeś mnie inwigilować, obserwować z odległości. Nigdy bym się nie zorientowała.

Nie odpowiedział, czekał, aż zrozumie sama. I rzeczywiście, po chwili rozumiałam.

– Musiałeś mieć możliwość manipulowania mną, tak? Podsycania różnych wątków, żeby gra toczyła się dalej. To tu, to tam zasiać jakieś ziarenko, pokazać dokumenty... Musiałeś mnie dostatecznie dobrze poznać, żeby pociągać za sznurki, a kiedy przyjdzie stosowny moment, wypuszczać na nowy trop.

Z satysfakcją patrzyłam na wyraz wstydu i żalu, jaki się pojawił na jego twarzy, ale była to kropla w morzu moich potrzeb. Tyle spraw, w których nie widziałam sensu, stało się nagle dla mnie całkowicie jasnych: obsesja Jake'a na punkcie Maksa, to, że zawsze potrafił mnie znaleźć – obojętne, gdzie byłam, i że wiedział, co myślę. Umiał też, nie dając mi zapomnieć o przeszłości, skutecznie podsycać moją ciekawość. I tak to trwało prawie dwa lata. Nagle przespanie się z Dylanem przestało mi ciążyć.

Przypomniały mi się moje ostatnie wspólne chwile z Jakiem – w kubańskiej knajpce w Bronksie i w Klasztorze za murem.

– A to, co mi mówiłeś, kiedy ostatni raz byliśmy razem? Te obietnice. Po co to wszystko?

Potrząsnął głową, a ja zobaczyłam, że oczy zrobiły mu się jakieś dziwnie szkliste. Wstał i podszedł do wąskiego okna z metalową siatką. Zrozumiałam go. Nie wszystko jednak było kłamstwem. Istniało między nami coś prawdziwego – w tej chwili już nie do odzyskania. W tych ostatnich chwilach musiał wiedzieć, że zbliża się kres. Na swój sposób próbował nas ratować. Ale to tylko pogarszało sytuację.

– A więc wtedy, tamtej nocy, to było CIA. To oni wysłali SMS-a. To oni nas ścigali w Klasztorze. Oni mnie przywieźli do Londynu.

Potrząsnął głową.

– Nie.

– To kto?

– Wydaje nam się, że SMS-a wysłał Max. Gdybyś tamtej nocy była sama, pewnie byś go zobaczyła.

Pomyślałam o samochodzie, który zbliżał się wolno podjazdem, o ludziach wśród drzew. Czy to on krył się na tylnym siedzeniu limuzyny? Pod osłoną lasu?

– Czy wtedy to byli twoi ludzie? To CIA przyszło po Maksa?

Jake znów potrząsnął głową. Najwyraźniej nie byłam najlepsza w tym zgadywaniu.

– Jest dużo ludzi, dużo bardzo złych ludzi, którzy szukają Maksa. Nie wiem, czy śledzili

ciebie, czy przechwycili SMS-a, w każdym razie byli na miejscu przed moimi chłopcami.

– Grant – powiedziałam cicho. – Zawiadomiłam Granta Webstera, dokąd się wybieram i kiedy tam będę. Stąd się dowiedzieli.

– Możliwe. – Wolno skinął głową.

Spuściłam oczy. Zastanawiałam się, czy torturowali Granta, żeby wymusić na nim tę informację. Pamiętam, jaki był podniecony perspektywą udziału w całej tej intrydze.

– Ale kto mnie zawiózł do Londynu? – zapytałam po chwili. – Jakim cudem w moim plecaku znalazł się mój paszport i te pieniądze?

– Jest wielu podejrzanych – powiedział tajemniczo.

– Na przykład? – naciskałam.

Nie odezwał się słowem, tylko patrzył na mnie twardo. Dostałam szału.

– Ale przecież mnie torturowali! – wrzasnęłam. Wstałam, zadarłam podkoszulek i pokazałam mu ranę i siniaki. – Nie wiedziałam nic o Maksie, nie wiedziałam nawet, że nazywają go duchem. Nie rozumiałam, o co mnie pytają.

– Nie miałem z tym absolutnie nic wspólnego – odparł ostro. – Próbowałem cię chronić, Ridley. Ale mi się nie udało. – Pociągnął za sweter i odsłonił gruby bandaż na ramieniu. Przypomniałam sobie, jak na moich oczach został postrzelony i jak padał. Pod wpływem tych wspomnień zakręciło mi się w głowie. Nie wiem, jak długo gapiłam się w jego zielone oczy. Muszę mu oddać sprawiedliwość, że nie odwrócił wzroku. Nie mam pojęcia, czego tam szukałam, ale mogę powiedzieć jedno: tego, czego szukałam, nie znalazłam. Nie rozumiałam ani jego, ani tego, jak mógł zrobić to, co zrobił, ani tym bardziej, jak ja mogłam uwierzyć w jedno wielkie kłamstwo, jakim był Jake. Oto pokazywaliśmy sobie nawzajem swoje rany. Nie wiem, co chcieliśmy w ten sposób udowodnić. Opuściłam podkoszulek i usiadłam. Jake zrobił to samo.

– Nie chciałem nigdy odgrywać w tym żadnej roli – powiedział.

– Ale odgrywałeś. I to największą.

Cisza, jaka między nami zapadła, była niczym przewód pod napięciem.

– Dlaczego mnie nie zabili? – zapytałam na koniec. – Po tym, jak się zorientowali, że naprawdę nie wiem, gdzie jest Max, dlaczego pozwolili mi żyć? Jak się dostałam do tego hotelu?

Jake westchnął.

– Wszyscy chcą od ciebie tego samego, Ridley.

Położył rękę na leżącej między nami na stole teczce. Byłam w takiej rozterce, że nawet tego nie zauważyłam. Otworzył teczkę, wyjął z niej zdjęcie i popchnął w moją stronę. Poznałam go natychmiast. Był to mężczyzna z bliznami na twarzy, którego widziałam w samolocie. Ten sam, który zabił Sarę Duvall. Upiornie szpetny, z bezbarwnymi oczami, które zdawały się nie mieć powiek, z szerokimi ustami o cienkich wargach i z bardzo dziwnym nosem. Te blizny musiały być pozostałościami po oparzeniach. Wyglądał na człowieka, który doznał wielkich cierpień i pod ich wpływem stał się zły. Przeszedł mnie dreszcz. Myślę, że nigdy nie zapomnę jego głosu.

– Kto to jest?

– Nazywa się Borys Hammacher.

Czekałam, że Jake powie coś więcej, ale nie powiedział. Dlaczego miałam takie uczucie,

że muszę zawsze wyciągać z ludzi informacje na siłę? Czy nigdy nikt nie może mi zwyczajnie powiedzieć tego, co chciałabym wiedzieć?

– Co poza tym?

– Jest płatnym mordercą. W braku lepszego słowa. Facetem, którego się wzywa, kiedy trzeba kogoś odnaleźć i zabić.

– I on szuka Maksa, tak?

Skinął głową.

– Myślę, że spokojnie można to założyć.

– Nie zabił mnie, bo uważał, że przyjdzie po mnie Max?

– Przychylałbym się do takiej konkluzji.

Zauważcie, jaki jest śliski, jak nigdy niczemu nie zaprzecza ani nie potwierdza. Możliwe, że nie znał odpowiedzi na moje pytania, ale znacznie bardziej prawdopodobne wydaje się to, że nie chciał mi ich udzielić.

– To jest ten sam facet, którego widziałam na ulicy – powiedziałam, biorąc zdjęcie do ręki. Przypomniało mi się, jak go ściagałam i jaki był szybki. – Ten człowiek zabił Sarę Duvall. Dlaczego? Przecież ona nic nie wiedziała.

Jake wstał i zaczął się przechadzać po pokoju.

– Nie wiem, Ridley. Nie wiem, czy on ściagał ją, czy ciebie. Może myślał, że Sara wiedziała coś o zniknięciu Myry, a może nie był pewien, jakie ślady zostawiła po sobie Myra. Mógł myśleć, że Sara jest jakimś nie do końca wyjaśnionym wątkiem. Albo próbował sterroryzować ciebie.

– Czy to on zabił Myrę Lyall?

– Myra Lyall uzyskała informację, która nie była dla niej przeznaczona. Jak wiesz, zbierała materiały do artykułu o dzieciach z projektu „Na ratunek” i dostała przeciek, że według CIA Max Smiley żyje. Zadawała w agencji mnóstwo pytań. Złożyła wizytę Esme Gray. Po prostu szukała informacji. Jednak, o ile nam wiadomo, żadnych ważnych informacji nie miała. Przypuszczamy, że Borys Hammacher przecenił jej wiedzę. A kiedy się okazało, że wie niewiele, po prostu ją zabił.

– Na czyje zlecenie działa? Kto próbuje znaleźć Maksa?

– Dowolna liczba osób. Max miał wielu wrogów

Przez chwilę zastanawiałam się nad tym wszystkim. Myślałam o Myrze, Sarze i Grancie, którzy przez niego zginęli. Myślałam o sobie, o tym, że nie powiększyłam ich grona tylko dlatego, że wszyscy czekali na dzień, w którym Max się o mnie upomni.

– Kto zabił Esme Gray?

– Esme Gray żyje.

– Ale...

Podszedł do stołu i usiadł.

– Czy nigdy nie zastanawiałaś się, w jaki sposób uniknęła odpowiedzialności? Czy nie dziwiło cię, że nikt nigdy nie zapłacił za projekt „Na ratunek”? Esme przyszła do nas, kiedy Max próbował się z nią skontaktować. Wynegocjowała z nami ugodę dla siebie i syna. Dostała gwarancję nietykalności w zamian za pomoc w znalezieniu Maksa Smileya. Jej syn, Zack, przed upływem pięciu lat wyjdzie z więzienia.

Nie była to przyjemna informacja, ale w porównaniu z innymi to, że facet, który mnie

próbował zabić i który mnie w dalszym ciągu nienawidził, wyjdzie niedługo z więzienia, nie wydawało się jeszcze najgorsze.

– To po co było fingować jej śmierć?

– W swoich kontaktach z tobą popełniła kilka błędów. Wzmiankując Myrę Lyall, powiedziała ci stanowczo za dużo. Nękał ją Dylan Grace. A że współpracowała z nami od chwili, kiedy się okazało, że fałszywie zidentyfikowała ciało Maksa Smileya, była nieźle wtajemniczona w szczegóły śledztwa. Z powodu tych wszystkich kłamstw zaczęła zdradzać objawy stresu. Czuła obsesyjny lęk przed Maksem – że się dowie o jej zdradzie i ją zlikwiduje. Obawialiśmy się, że stanowi słabe ogniwo, które w razie nacisków może pęknąć. Dlatego usunęliśmy ją z pola działania.

– Czy świadomie wybraliście dla niej taki koniec, przez śmiertelne pobicie? FBI twierdzi, że jest to właśnie charakterystyczny dla Maksa sposób zabijania ludzi.

Wzruszył ramionami.

– Po prostu chodziło o to, żeby jej twarz była nierozpoznawalna.

Nie odezwałam się słowem. Posłałam mu spojrzenie, które – mam nadzieję – stanowiło wystarczający komunikat, że budzi mój niesmak na wiele sposobów.

– A co z DNA, odciskami palców, świadectwem stomatologicznym? Przecież już teraz nie można bezkarnie zmasakrować komuś twarzy i uznać, że sprawa jest załatwiona.

– Całe dochodzenie przejęło CIA, tak żebyśmy mogli wszystko trzymać w garści. Często dla ochrony świadków sięgamy po takie środki.

Przez chwilę milczeliśmy oboje. Tak wiele było pytań. Na jedne chciałam odpowiedzi, na inne nie. Nie wiedziałam nawet, dokąd miałabym się teraz udać.

– Więc gdzie on jest? – zapytałam w końcu.

– Wiemy w tej chwili, że nie ma go w Londynie. I przypuszczalnie nie było od lat. Ten obraz wideo, który widziałas, został najprawdopodobniej nałożony na scenę uliczną. No cóż, grafika komputerowa. Max może być w tej chwili dosłownie w każdym miejscu na świecie.

W każdym miejscu na świecie, ale żywy. Poczułam strach, wściekłość, ale, owszem, i jakąś iskierkę nadziei.

– To dlaczego wszyscy jesteśmy tutaj?

– Borys Hammacher, podobnie jak my, uważał, że Max jest w Londynie. Podejrzewamy, że dlatego cię tu przywiózł. A my trafiliśmy do ciebie po śladach Dylana Grace'a.

– Bo wszyscy chcą ode mnie jednego.

Oczywiście wyobraźni widziałam tych ludzi krążących jak sępy dokoła gnijącego ścierwa, jakim było moje życie – czekali na ruch ze strony Maksa. Ale Max się nie pojawiał. W tym czasie byłam postrzelona, uprowadzona, torturowana, porzucona cierpiąca w obcym hotelowym pokoju, przewieziona do szpitala, gdzie ponownie targnięto się na moje życie, znów porwana, wożona po całym Londynie i wreszcie aresztowana. Mimo to Max się nie pojawił. Zakpiono z nich. Albo ze mnie.

Wiedziałam, że nawet ta rozmowa może być obarczona kłamstwami albo półprawdami, ale jednocześnie miałam świadomość, że jest to pierwsza mniej więcej uczciwa rozmowa, jaką kiedykolwiek odbyłam z tym człowiekiem. Ogarnął mnie smutek. Nagle poczułam się bardzo zmęczona, tak jakbym od wielu dni nie dosypiała. Zazdrościłam Rip van Winkle'owi. Marzyła mi się stuletnia drzemka. Chciałam się obudzić w rzeczywistości, w której wszystko,

czego nienawidziłam i co kochałam, obraca się w pył.

– Więc o co w tym wszystkim chodzi? Dlaczego wszyscy są tacy napaleni na znalezienie Maksa Smileya? Dlaczego szukają ducha?

Twarz Jake'a była kamienna.

– Chodzi o morderstwa, o których popełnienie jest podejrzany?

Milczenie.

– Nie – odpowiedziałam sama sobie w ciszy. – Kogo obchodzi los kilku prostytutek? Chociaż przypuszczam, że śmierć dwojga agentów Interpolu powinna wywołać jakieś międzynarodowe reperkusje. Ale z pewnością chodzi o coś więcej. Więcej niż tylko o jednego człowieka.

– Max Smiley to coś więcej niż tylko człowiek – powiedział Jake. – To ważne ogniwo w międzynarodowej siatce przestępczej. Czynne od kilkadziesiąt lat.

– A co to za siatka przestępcza?

– To bardzo skomplikowana sprawa, Ridley.

– Mamy czas, prawda?

Westchnął i odchylił się na oparcie krzesła.

– Zaczął od projektu „Na ratunek”. Wraz z Esme wykombinowali, że w ten sposób można zabierać dzieci z domów, w których panowała przemoc, i przekazywać je ludziom bogatym. Przez Alexandra Harrimana nawiązał kontakt z mafią włosko-amerykańską, która miała się zająć brudną robotą.

– To wszystko wiem – powiedziałam zniecierpliwiona.

Podniósł rękę.

– Interes zaczął być całkiem lukratywny. Rozwijał się.

– Ale kiedy sprawy przybrały nieprzyjemny obrót, mam na myśli tę noc, kiedy została zamordowana Teresa Stone, wycofał się, tak? – powiedziałam.

Moje serce rozpoczęło dziką galopadę. Byłam gotowa ucześcić się wersji, jaką mi podsunął były prawnik Maksa Alexander Harriman.

Jake patrzył na mnie z wyraźnym współczuciem. Jak na dziecko wierzące w bajki.

– Gdyby tak się stało, jak mówisz, toby nas tutaj nie było, Ridley, nie uważasz?

Nic nie powiedziałam. No bo i co miałam powiedzieć?

– Max Smiley był biznesmenem. Musiał zarabiać pieniądze. I to duże. Projekt „Na ratunek” powoli się kończył, ale zostały kontakty, które pozwoliły mu zdobyć nowe obszary biznesu.

Przypomniały mi się wzmianki prasowe o handlu kobietami z Albanii, które znalazłam w teczce Jake'a. Zrozumiałam, do czego zmierza. Miałam ochotę zatkać uszy, żeby nie słyszeć reszty.

– Od wykradania dzieci i sprzedawania ich ludziom bogatym do uprowadzania kobiet i dziewczyn z klubów i sprzedawania ich w niewolę jest tylko jeden krok – powiedział.

Ukryłam twarz w dłoniach.

– Co ty mówisz? – zapytałam przez palce. – Co Max mógł mieć z tym wspólnego? Co takiego robił?

– Podejrzewamy, że finansował budowę nocnych klubów w Europie, prowadzonych przez albańskie gangi. W tych klubach, głównie na Bałkanach i na Ukrainie, kobiety były wabione

obietnicami dobrze płatnej pracy w Anglii albo w Stanach Zjednoczonych. Często po prostu podawano im narkotyki i uprowadzano, a następnie, z fałszywymi dokumentami, trafiały do innych krajów Europy, do Stanów Zjednoczonych i Azji. Jeden z tych klubów odwiedziłaś osobiście – Pocałunek.

Spojrzał na mnie przelotnie, a potem znów się odwrócił.

– Max czerpie z tego oczywiście dochody zarówno legalne, jak i nielegalne. Dodatkowa zaleta tych interesów polega na tym, że ma miejsca, w których może zaspokajać swoje potrzeby bez obawy, że zostanie nakryty. Te kobiety dosłownie znikają. Wyposażone w specjalnie sprokurowane dla nich fałszywe dokumenty dostają uzależniające zastrzyki z heroiny i przepadają bez śladu. A to, że jedna czy druga padła ofiarą zwyrodniałego potwora – co to kogo obchodzi?

Pokój dokoła mnie przechylił się nieprzyjemnie.

– Czy to nie jest możliwe, że nie wiedział, co się w tych klubach dzieje?

Zadałam to pytanie, chociaż odpowiedź znałam z góry. Nie mogłam zrozumieć, jak człowiek, który poprzez swoją fundację wspiera kobiety i dzieci będące ofiarami przemocy, może czerpać zyski z handlu kobietami i dziewczętami, sprzedając je w niewolę seksualną. Tego nie pojmowałam... jak zresztą wielu innych rzeczy. Przypomniało mi się, co mi Dylan powiedział czy raczej wykrzyczał w samochodzie: „Obudź się, Ridley. Obudź się do cholery. Twój ojciec, twój ukochany Max nienawidził kobiet. On je mordował”.

Ale Jake, zamiast odpowiedzieć na moje pytanie, ciągnął dalej.

– W branży handlu żywym towarem Max Smiley miał do czynienia z głównymi graczami. Jeżeli uda nam się go znaleźć, aresztować i skłonić do mówienia, to wtedy CIA we współpracy z innymi międzynarodowymi organami ścigania mogłoby w znacznym stopniu ograniczyć czy wręcz uniemożliwić niektóre z ich operacji, ratując wiele kobiet i stawiając głównych sprawców przed międzynarodowymi trybunałami. Mam nadzieję, że to rozumiesz, Ridley?

Stały mi przed oczami fotografie, przedstawiające Maksa w towarzystwie tamtych mężczyzn: Max roześmiany w otoczeniu gangsterów i terrorystów w paryskich kawiarniach. Zaczęło mnie ogarniać to samo uczucie co zawsze, kiedy wszystko się wokół mnie zacieśniało i wpadałam w panikę. Nagle poczułam, że mam kłopoty z oddychaniem, a przed oczami tańczą mi białe plamy.

– Ridley – powiedział Jake, który mimo wszystko znał mnie dość dobrze – tylko mi nie zemdlej. Przynieście jej wody – zawołał w stronę drzwi.

Podszedł i ukląkł koło mnie. Po chwili zjawił się jakiś mężczyzna i wręczył mu butelkę wody. Jake odkręcił ją i podał mi. Napiłam się i próbowałam skupić wzrok na znajdującej się na ścianie plamie. Byłam już wystarczająco upokorzona, kiedy zemdlałam na oczach tłumu gapiów patrzących w ekran kamery ulicznej. Teraz miałam w głowie tylko jedno: Czy takie rzeczy w ogóle się ludziom zdarzają?

– Trzymaj się, Ridley. Wszystko będzie dobrze.

Wydało mi się to śmieszne.

– A niby dlaczego? – zainteresowałam się. – Dlaczego miałabym się trzymać?

– Bo potrzebuję twojej pomocy.

– Mojej pomocy? Chyba żartujesz.

Nie powiedział słowa, tylko westchnął i patrząc w podłogę, położył rękę na oparciu mojego krzesła. Wypiłam jeszcze kilka łyków wody, nie przestając się gapić na płamę, która pomagając mi się skoncentrować, pozwalała jednocześnie zachować przytomność.

– Mojej pomocy? W czym? – powtórzyłam w końcu, nie mogąc się oprzeć ciekawości.

– W ujęciu Maksa Smileya.

O mało się nie roześmiałam, zobaczyłam jednak, że mówi serio. Widziałam też, że nie mam wyboru. W gruncie rzeczy nigdy nie miałam.

Można powiedzieć, że od chwili, kiedy Max znalazł mnie w moim forcie w lesie za domem rodziców, wszystko zmierzało ku tej chwili. Powiedział wtedy: „Ridley, moje serce jest połączone z twoim złotym łańcuchem. Możesz mi wierzyć. Zawsze cię znajdę”.

Ale to, co mówił wtedy, zrozumiałam dopiero w wiele lat później. Byliśmy złączeni doświadczeniem, więzami krwi, a także żarliwą wzajemną miłością, silniejszą od naszych osobowości, naszych tożsamości, naszych dobrych czy złych czynów. Ilekroć się zagubiłam, Max zawsze mnie znajdował i sprowadzał do domu, nie zadając pytań, nie osądzając, nie czyniąc wyrzutów. Szanował moją potrzebę znikania i akceptował obowiązek sprowadzania mnie do domu, jaki na nim spoczywał. Aż do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, że na mnie spoczywa podobny obowiązek w stosunku do niego. Bez względu na to, co zrobił, kogo skrzywdził, czy zabił i jakim wydawał się potworem – Max Smiley był moim ojcem. A do tego – czy o tym wiedział, czy nie – człowiekiem zagubionym. I tylko ja, ja jedna, miałam obowiązek sprowadzenia go do domu.

Część III

Powrót do domu

W jakieś piętnaście godzin później oglądałam mojego ojca Bena (nie Maksa) nagranych przez system monitorujący. Był przesłuchiwany przez dwoje agentów CIA: wysokiego, ciemnego mężczyznę, z głową ogoloną maszynką, i drobną kobietę o latynoskim typie urody i czarnych jak węgle oczach. Oboje mieli na sobie tradycyjne granatowe garnitury. Zauważyłam, że ojciec nie robi wrażenia przestraszonego – siedział wyluzowany na krześle, z rękami założonymi na piersiach. Miał surowy wyraz twarzy, a w oczach pogardę. Nie wypierał się kontaktów z Maksym, ale nie widział w tym nic nagannego.

– Zniknąć z własnego życia to jeszcze nie zbrodnia, prawda? – powiedział.

– Nie o tę zbrodnię nam chodzi, panie Jones – odparła kobieta. Stała oparta o ścianę.

– Nie macie żadnych dowodów na to, że inne wasze zarzuty wobec niego są uzasadnione.

– Ojciec mówił z typowym dla siebie poirytowaniem. – Gdybyście mieli, już dawno byście go zatrzymali.

Muszę przyznać, że i mnie takie myśli chodziły po głowie. Podzieliłam się nawet nimi z Jakiem, który powiedział, że dowody, jakie mieli przeciwko Maksowi, były nie dość twarde na to, żeby ze strachu zaczął sypać facetów, z którymi robił interesy. Mogli go oczywiście zatrzymać pod zarzutem ukrywania dochodów czy nawet unikania płacenia podatków, ale ich interesowały tylko zarzuty, które – gdyby zostały udowodnione – skutkowały karą śmierci; nic poniżej ich nie urządzało. Kilka lat spędzonych w więzieniu federalnym byłoby kaszką z mlekiem w porównaniu z tym, co niektórzy z jego kompanów mogliby zrobić jemu – albo ludziom, których kocha. A ponieważ nigdy nie zdołali zmusić Maksa do ujawnienia się, obserwowali go i czekali. Ale im dłużej to trwało, tym bardziej Max stawał się efemeryczny, tym mniej go widzieli i tym był ostrożniejszy w swoich poczynaniach. Na ich oczach najpierw wyparował, a potem „umarł”. Dlatego zaczęli nazywać go duchem.

Przesłuchanie mojego ojca trwało godzinami, ale jedyne, co zdołali od niego wyciągnąć, to przyznanie, że w jakieś półtora roku po rzekomej śmierci Maksa dostał od niego wiadomość zawierającą instrukcję, w jaki sposób ma rozszyfrowywać komunikaty zawarte na czerwonej stronie internetowej. Powiedział im, że niemal codziennie sprawdzał tę stronę i że wiadomości od Maksa otrzymywał mniej więcej raz na kilka miesięcy. Były to komunikaty mało konkretne, głównie pytania o mnie, o resztę rodziny. Max nigdy nie wspomniał, gdzie jest, a Ben nie był taki głupi, żeby pytać.

– Nie mam pojęcia, po co on to wszystko robi, dlaczego sprawia nam tyle bólu – powiedział ojciec – ale musi mieć swoje powody. A ja staram się je szanować.

Agent potrząsnął głową. Usiadł naprzeciwko ojca i nachylił się do niego. Na jego twarzy malowała się bezgraniczna pogarda.

– Pan je szanuje? Chce nam pan powiedzieć, że przez wszystkie lata znajomości z Maksym Smileyem nigdy pan nie podejrzewał, że byłby zdolny do takich czynów, że mógł być mordercą, że jego interesy mogły zagrażać ludzkiemu życiu? I że miał potrzebę zniknięcia, ponieważ to wszystko, co robił, zaczęło go dopadać? I jeszcze do tego zostawił pana i Esme

Gray, żebyście nadstawiali tyłki za projekt „Na ratunek”. Przecież on prawie zrujnował życie pana adoptowanej córki – mało brakowało, a zostałaby zabita. I pan go mimo wszystko osłania?

Ojciec nie wytrzymał twardego wzroku agenta; odwrócił głowę.

– Staram się w ludziach, których kocham, dostrzegać to, co najlepsze. A wątpliwości tłumaczyć na ich korzyść.

Jego głos brzmiał dość agresywnie, prawie bezczelnie. Czułam niesmak. Wstydziłam się za niego i byłam wściekła; miałam wypieki na twarzy. Kiedy usiadłam, stojący za mną Jake położył mi rękę na ramieniu. Strząsnęłam ją ze złością.

– Mówiłam ci, żebyś się nie ważył mnie dotykać – warknęłam.

Poczułam, jak się ode mnie odsuwa. Nienawidziłam go. Nienawidziłam mojego ojca. Nienawidziłam wszystkich.

– Co on ma na pana, panie Jones? – zapytała agentka.

Ojciec się zachnął.

– Nie mam nic więcej do powiedzenia. Domagam się obecności mojego adwokata.

Agentka parsknęła śmiechem i spojrzała na niego z udanym współczuciem.

– Jesteśmy w siedzibie CIA, panie Jones. Tu normalne reguły nie obowiązują.

– Co to ma znaczyć?

Ojciec po raz pierwszy robił wrażenie przestraszonego. Zauważyłam na jego czole lśniąca rosę; złapał za krawędź stołu i nachylił się do przodu.

– To ma znaczyć, że adwokat panu nie przysługuje. Że możemy pana przetrzymywać bez żadnych ograniczeń, jeśli tylko uznamy, że stanowi pan zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego. Max Smiley był współnikiem znanych organizacji terrorystycznych. A pan miał z nim kontakty. Co stawia pana – w najlepszym razie – w pozycji świadka, a w najgorszym – współnika.

Ojciec milczał. Zaczął przecierać oczy kciukiem i palcem wskazującym. Ciekawe, czy starał się chronić Maksa z lojalności, czy ze strachu? Nie miałam pojęcia.

Nie mogłam ani chwili dłużej na niego patrzeć.

– Co teraz ze mną będzie? – zwróciłam się do Jake’a.

– Nic – odparł. – Jesteś wolna. Możesz żyć swoim życiem. Zajmować się swoimi sprawami.

Spojrzałam na niego.

– A tymczasem ty będziesz podglądał każdy mój krok, podsłuchiwał każdy telefon, czytał każdego mejla. Zrobisz ze mnie rybkę w szklanej kuli.

Jake poważnie skinął głową.

– Po jakimś czasie, po upływie kilku tygodni, posługując się uzyskanym od Anioła loginem, spróbujesz skontaktować się z Maksem. Od tego zaczniemy.

– A co z Dylanem?

Jake ponownie skinął głową.

– Wycofano wszelkie zarzuty i nagany wobec niego – powiedział, wręczając mi dokument.
– Zgodnie z warunkami tej umowy.

– Wraca do pracy? – zapytałam, przebiegając wzrokiem stronę. Przeczytałam i podpisałam umowę parę godzin wcześniej.

Potrząsnął głową.

– Tego nie udało się załatwić. FBI rozwiązuje z nim umowę. Ten facet jest jak naładowana splotka.

Nie mogłam się oprzeć potrzebie patrzenia na Jake'a. Już nie wydawał mi się taki obcy. Po tym wszystkim to dość niesamowite. Znow był dawnym Jakiem. Mimo że miał na sobie garnitur i chłodny profesjonalizm w obejściu, dalej był tym Jakiem, którego znałam przez ostatni rok. Miałam uczucie, jakby coś w mojej piersi pękło na pół.

– A ty?

– Mnie nie będziesz musiała oglądać już nigdy więcej.

Poczułam coś w rodzaju dżgnięcia. Wiedziałam, że jest do tego zdolny. Że mógłby tak po prostu ode mnie odejść, jakby się nigdy ze mną nie kochał, jakby mnie nigdy nie trzymał za rękę, nie był powiernikiem moich tajemnic. Może byłoby to wbrew jego woli, może gdzieś głęboko w środku odczuwałby ból, ale byłby do tego zdolny. Zrobiłby to.

– Ale przecież zawsze byłbyś gdzieś w pobliżu, obserwując mnie i podsłuchując. – Uświadomiłam sobie, jak bardzo byłoby to dziwne i smutne.

– Dopóki nie znajdziemy Smileya. Potem znikam. – Mówił to z marsem na czole, był jakiś dziwnie sztywny w ramionach. Miałam nadzieję, że to oznaki cierpienia.

– Zgoda – mruknęłam, wstając.

– Czy chcesz usłyszeć dalszy ciąg przesłuchania Bena?

– Nie – odparłam. – Już dosyć usłyszałam. Od wszystkich. Chcę wracać do domu.

Do Stanów wróciliśmy poprzedniego dnia późnym wieczorem po wyrażeniu przeze mnie zgody na współpracę. Wsiadliśmy z Jakiem i dwoma agentami na pokład samolotu rejsowego i przylecieliśmy do Nowego Jorku. Od tamtej pory cały czas towarzyszyło mi CIA. Nagle zorientowałam się, że nie wiem, w którym punkcie miasta jesteśmy. Jechałam na tylnym siedzeniu nieoznakowanego białego minibusa bez okien. Od czasu londyńskiej kawiarenki internetowej nie widziałam Dylana.

Parę godzin spędziłam w klinice, gdzie doktor oczyścił i opatrzył mi ranę i gdzie dostałam zastrzyk z antybiotyku. Dał mi też porcję leku na drogę. I jakieś środki przeciwbólowe, których na razie nie brałam. Chciałam mieć jasną głowę.

Jake prowadził mnie długimi białymi korytarzami z rzędami szarych drzwi. Z kliniki wyszliśmy do garażu podziemnego, gdzie wsiadliśmy do innego minibusa. A może i do tego samego, kto wie. Za kółkiem siedział kierowca i gdy Jake zamknął drzwi, samochód ruszył. Siadając na tylnym siedzeniu obok mnie, Jake wręczył mi telefon komórkowy wyposażony w komunikator internetowy i dostęp do mejla. Aparat był bardzo bajerancki – zgrabny i płaski. Jake wytłumaczył mi, jak telefon został zaprogramowany, tak żebym mogła się z nimi w każdej chwili porozumieć.

– Miej go cały czas przy sobie. Masz pięć minut na to, żeby odpowiedzieć na nasze telefony, mejle czy natychmiastowe komunikaty internetowe. Gdybyś ten czas przekroczyła, ktoś się po ciebie zgłosi.

– Żeby mnie chronić czy aresztować?

– To zależy od przyczyny opóźnienia twojej odpowiedzi.

Skinęłam głową na znak, że rozumiem.

– Pamiętaj, Ridley – powiedział, gdy skończył mnie instruować. – Nie graj zbyt głośno

mojej muzyki, nie wystawiaj telefonu na działanie wilgoci, nie grzeb w jego martwych strefach, a poza tym tam, gdzie to możliwe, używaj schodów zamiast wind (nie spytałam dlaczego) – możemy nie być jedynymi, którzy cię obserwują. Nie będziesz nas widziała ani słyszała, w ogóle nie będziesz wiedziała, że jesteśmy. Gdybyś podejrzewała, że ktoś cię śledzi, gdybyś słyszała dziwne kliknięcia albo zakłócenia w telefonie, a nawet jeśli ekran twojego komputera zacznie się aktywizować, natychmiast daj nam znać.

– Okej.

Od nowa uderzyło mnie, jak bardzo to wszystko jest dziwne. Pomyślałam, że Granta na pewno by kręciło. Co do mnie, to chyba jeszcze nigdy w życiu nie byłam w takim dołku. Nie mogłam się pozbyć myśli, że będą mnie podsłuchiwali nawet w klozecie. Zdawałam sobie sprawę, że zastanawianie się nad tym jest idiotyczne.

Musiałam na chwilę przysnąć, bo kiedy się ocknęłam, samochód właśnie się zatrzymał. Przez chwilę siedziałam oszołomiona, po czym spojrzałam na Jake'a. Z wyrazu jego twarzy mogłam bez trudu wyczytać, w jak poważnej znajdowałam się sytuacji. Był wyraźnie zatroskany – czy obawiał się, że nie dam sobie rady, czy się bał, że mimo wszelkich wysiłków z ich strony nie ustrzegą mnie przed niebezpieczeństwem, a może żałował tego wszystkiego, co zaprzepaściliśmy – naprawdę nie wiem.

– Uważaj na siebie, Ridley – powiedział, otwierając mi drzwi.

Odpowiedziałam mu dopiero, kiedy się wygramoliłam z samochodu i stanęłam na chodniku.

– To naprawdę nie ma szans powodzenia.

– Zobaczymy – odparł. Na sekundę nasze spojrzenia się spotkały. Nie wiem, co zobaczył w moich oczach, w każdym razie przesunął się na siedzeniu w moją stronę. – Ridley – jego głos zabrzmiał jak ostrzeżenie – pamiętaj, żebyś ściśle stosowała się do programu.

– A jaki mam wybór?

Ruszyłam w stronę domu. Jake bez słowa zamknął drzwi samochodu i odjechali. Szybko weszłam do domu, szczęśliwa, że nie spotkałam nikogo w holu ani w windzie. Ledwie dotarłam do mieszkania, zaczęłam płakać. Wiedziałam, że mnie słyszą, ale przestałam się tym przejmować. Musiałam to wszystko z siebie wyrzucić – cały ten ból, strach i niepokój. Kiedy poczułam się lepiej, zamówiłam u Younga Chow cztery porcje chińskiego jedzenia na wynos i wzięłam tak gorący prysznic, że mało nie oblażłam ze skóry.

Kiedy przynieśli jedzenie, usiadłam przed telewizorem i zaczęłam bezmyślnie zmieniać kanały. Pożerając sajgonki, zupę wonton i kurczę z sezamem, nie widziałam dosłownie nic z tego, co działo się na ekranie. Umierałam z głodu. Kiedy się już objadłam, zażyłam antybiotyk, trzy pigułki przeciwbólowe, które dał mi lekarz, i całkowicie ignorując mrugającą sekretarkę, wlażłam do łóżka. Przespałam prawie dwanaście godzin.

Budząc się w pełnym świetle późnego poranka, miałam nadzieję, że będę się czuła nieco lepiej. Ale nic z tego. Byłam całkowicie zagubiona. Obrzydliwe paluchy depresji, które mnie szarpały i ciągnęły, owinęły się dokoła mnie jak czarny całun. Prawie cały ranek spędziłam, gapiąc się w mokrą plamę na suficie nad łóżkiem.

Podobno pierwsze trzy lata w życiu dziecka są najważniejsze: jeśli w ciągu tych trzech lat nie dozna ono wystarczającej troski i miłości, to wynikłe z tego szkody są nie do naprawienia. I jeśli w ciągu tych trzech lat dziecko nie dozna i nie nauczy się empatii, współczucia

i zaufania, to już się tego nigdy nie nauczy.

Nie wiem, co się stało z Maksem w tych wczesnych latach jego życia, ale teraz mogę to sobie wyobrazić. Jego osobowość została bezpowrotnie zdewastowana. Wiem, że już wam to kiedyś mówiłam, ale teraz proszę o zrozumienie i szczerze współczucie. Spróbujcie – jeśli możecie – wyobrazić sobie maleńkie dziecko, kruche i czyste, które zamiast być uwielbiane, jest obiektem złości, zamiast być pieszczone i przytulane, jest bite i szarpane. Otóż takie maleństwo, zamiast miłości – uczy się strachu. Zna tylko lęk i ból, i to do nich się kiedyś odwoła, walcząc o przetrwanie. Do czego taka osoba może być zdolna w późniejszym życiu? Nie próbuję nikogo usprawiedliwiać, proszę was tylko, żebyście się nad tym zastanowili.

Ben zaproponował mi spotkanie pod fontanną na Washington Square. Kiedy zobaczyłam jego numer migający na wyświetlaczu, w pierwszej chwili nie odpowiedziałam na jego telefon. Byłam prawie zdecydowana nie odzywać się więcej do niego ani do Grace. Zostawił wiadomość.

„Prawdopodobnie nie będziesz chciała się ze mną zobaczyć” – mówił. Miał zmęczony głos. Stary i przestraszony. „I wcale ci się nie dziwię.” Nastąpiła długa pauza, podczas której słyszałam jego oddech. „Ale bardzo cię proszę, żebyś się ze mną spotkała. Postawię ci cappuccino i moglibyśmy poprzyglądać się szachom, jak dawniej – tak, wiem, całe wieki temu. Przyjdę około czwartej i będę czekał”.

Przypuszczam, że próbował być sprytny: nie wymienił wprost miejsca spotkania. Domyślał się, że jestem obserwowana albo że on jest obserwowany. Nie musiałam być jednak geniuszem, żeby zrozumieć, o jakim miejscu mówił. Mnie zresztą śledzili tak czy owak. Wiedziałam, że w tych swoich busach mają takie urządzenia, że mogliby postawić samochód kilka przecnic od miejsca naszego spotkania, a i tak by słyszeli całą rozmowę. Nie planowałam pójścia na to spotkanie, ale około wpół do czwartej ni z tego, ni z owego ubrałam się i wyszłam.

Niebo miało dziwny szaroniebieski kolor, zgaszony czernią. Znajdująca się pośrodku placu fontanna była nieczynna. Po otwartym Washington Square, położonym u wylotu Piątej Alei, ludzie przemykali chyłkiem, zamiast przechadzać się, jak to robią wiosną i latem. Wtedy na plac wyległą tłumy, obsiadą ławki, obmurowanie fontanny albo po prostu trawniki, a uliczni artyści będą grali na gitarach i wykonywali magiczne sztuczki dla małych grupki gapiów. Place zabaw zaroją się od dzieci bujających się na huśtawkach i ćwiczących na drabinkach pod czujnym okiem rodziców i opiekunek. W ciepłych miesiącach roku Washington Square należał do najruchliwszych miejsc w mieście. Dziś drzewa wyciągały w niebo czarne palce rachitycznych nagich gałęzi.

Siedział na ławce w długim czarnym wełnianym płaszczu i czapce. Trzymał ręce w kieszeniach i odchyłony na oparcie, patrzył w niebo. Nie mam pojęcia, o czym myślał, ale kiedy podeszłam bliżej, zobaczyłam, że ma oczy w czerwonych obwódkach. Usiadłam obok. Najpierw spojrzął na mnie, a potem się odwrócił.

– Ridley – powiedział i sięgnął ręką do moich włosów. – Przez chwilę nie mogłem cię poznać.

Pozwoliłam mu się dotknąć, choć miałam ochotę trzepnąć go po tej ręce. Musnął palcami moje sterczące kosmyki i policzek.

Uśmiechnęłam się niewesoło.

– To moja fryzura zbiega – wyjaśniłam. – Co o niej myślisz?

Potrząsnął głową.

– Nie podoba mi się.

– Mnie też nie – ucięłam krótko. – Jest to zresztą jedna z wielu rzeczy w moim życiu, które mi się nie podobają. Ale z tym da się żyć, czego nie mogę powiedzieć o reszcie.

Moje słowa zawisły między nami jak obłok pary w zimnym powietrzu. Próbowałam przytrzymać jego wzrok, lecz odwrócił oczy.

– Wiedziałem, że nie można mu ufać – powiedział w końcu. – Nigdy go nie lubiłem.

– Kogo?

– Tego Jake’a Jacobsena. Okłamywał cię cały czas.

Odwaga i bezczelność tego stwierdzenia, całkowita nieświadomość zawartej w nim ironii ze strony Bena dosłownie zaparły mi dech. Spojrzałam na niego i doznałam całkowitej utraty zaufania i najgłębszego rozczarowania do drugiego człowieka, oprócz Maksa, jakie kiedykolwiek w życiu mi się zdarzyło. Poczułam w piersi gniew ciężki jak kamień; nie byłam w stanie mu odpowiedzieć. Usiłowałam odetchnąć głęboko, jakoś się pozbierać. Potrwało chwilę, zanim zdołałam wydobyć z siebie głos.

– Czy od zawsze wiedziałeś, kim on jest? – zapytałam, zdziwiona, że moje słowa zabrzmiały tak spokojnie i pewnie.

Zastanawiałam się, czy będzie udawał głupiego – że niby chodzi mi o Jake’a, albo zapyta, o kim mówię. Ale Ben mnie zaskoczył.

– Oczywiście – odpowiedział, ponownie odwracając do mnie twarz. Dostrzegłam w niej determinację. – Naturalnie, że wiedziałem. A jak myślisz, dlaczego wzięliśmy cię tamtej nocy, o nic nie pytając? Naprawdę uważasz nas za takich naiwnych, takich głupich, że łamalibyśmy prawo, które złamaliśmy, ryzykując projekt „Na ratunek”? Myśmy cię wzięli ze strachu, Ridley. Ze śmiertelnego strachu, mając świadomość tego, co ktoś taki jak Max może zrobić dziecku.

Gapiałam się na niego szeroko otwartymi oczami. Powiedział to tak, jakby uważał, że powinnam to zrozumieć, do tej pory się sama wszystkiego domyślić. Zazdrościłam mu tak silnego poczucia własnej słuszności. Zastanawiałam się, jak to jest, kiedy człowiek ma stuprocentową pewność, że to, co robi, jest właściwe mimo szokujących dowodów, że jest przeciwnie.

– To znaczy, że wiedziałeś również, czym jest projekt „Na ratunek”, tak?

Potrząsnął głową.

– Mówiłem ci już wcześniej: wiedziałem, że działamy w granicach prawa. Nie znałem ciemnej strony tej organizacji. Nie mam zamiaru cię o tym przekonywać. Tak czy inaczej, to czy wiedziałem o tym wtedy, nie ma w tej chwili żadnego znaczenia.

Atmosfera obrażonej niewinności, jaką dokoła siebie roztaczał, wydała mi się odrażająca. W dalszym ciągu go kochałam, ale między nami otwierała się coraz szersza przepaść. Nie wiedziałam, czy kiedykolwiek jeszcze będę w stanie ją przekroczyć. Cierpiałam w środku, ponieważ mój tata był zawsze moją miłością.

– Powiedz mi wobec tego, tato, co jest teraz według ciebie najważniejsze?

– Co ci kazali zrobić?

– Kto?

Spojrzał na mnie, a ja potrząsnęłam głową.

– To nie twoja sprawa – odparłam.

Wyprostował się szybko i złapał mnie za ramiona.

– Żebyś nie ważyła się nigdy więcej mówić do mnie takich rzeczy. Wszystko, co dotyczy ciebie, jest moją sprawą. Jesteś moją córką. Nie z mojej krwi, ale moją pod każdym innym liczącym się względem. Gdyby kiedykolwiek coś ci się stało...

Zawiesił głos, a ja nie zamierzałam wypełniać za niego tej pustki. Nie wyrywałam się z jego objęć, ale też i nie zatonąłam w nich tak, jakbym sobie tego życzyła. Patrzyłam na jego twarz, na śnieżnobiałe włosy, głębokie zmarszczki wokół oczu, na pełne różowe policzki. Jak już wcześniej mówiłam, trudno byłoby nazwać mojego ojca przystojnym, ale jego twarz robiła wrażenie mocnej, a spojrzenie władczego.

– Ty nic nie rozumiesz – powiedział. – I nie zrozumiesz, dopóki sama nie zostaniesz rodzicem. Nie zrozumiesz tej wszechpotężnej miłości, trawiącego cię żywcem pragnienia, by chronić swoje dziecko, by zrobić wszystko dla jego bezpieczeństwa.

Nie wiedziałam, czy mówi o sobie, czy o Maksie.

– Trzymaj się od niego z daleka, Ridley.

– Dlaczego?

– Powtarzam: trzymaj się od niego z daleka.

– To dlaczego kochałeś go, tato?

Westchnął.

– Znałem inną stronę jego natury. Tę, którą i ty kochałaś. To też był Max. Musisz zrozumieć, że ja nie wiedziałem nic o jego interesach. Nie wiedziałem nic o jego... – Przelknął z trudem; słowo „morderstwach” nie przeszło mu przez gardło. – Nie wiedziałem o innych rzeczach, o które jest oskarżony. Ja o tym wszystkim nie wiedziałem.

Być może uważał, że jeśli dostatecznie wiele razy powtórzy „nie wiedziałem”, to te słowa staną się prawdziwe. A może się domyślał, że nasza rozmowa jest podsłuchiwana, i uznał, że we własnym interesie powinien zapewniać, że nie miał pojęcia o interesach Maksa.

– Ale wiedziałeś, że zabił swoją matkę – powiedziałam. – Albo przynajmniej podejrzewałeś. Prawda?

Ben robił wrażenie przestraszonego, spuścił głowę. Byłam zadowolona, że nie zaprzeczył.

– On cię kocha, Ridley. Prawdziwie, głęboko, jak każdy ojciec kochający swoją córkę. Ale ostrzegam cię: jeśli się zorientuje, że obróciłaś się przeciwko niemu, niech cię Bóg ma w swojej opiece.

Jego słowa poczułam w żyłach jak ciekły azot. Przyjęłam je w milczeniu.

– Nie wiem, jaki ci zaproponowali układ. Ale trzymaj się od Maksa z daleka. Pozwól mu spokojnie umrzeć. Nigdy go nie znajdą. Nigdy.

– Od jak dawna wiesz, że on żyje?

Potrząsnął głową. Wiedziałam, że nie powie tego głośno. Podczas przesłuchania mówił, że pierwszą wiadomość od Maksa otrzymał w półtora roku po jego domniemanej śmierci, ale ja się chciałam dowiedzieć, czy pomagał mu tę śmierć sfingować. Tego pytania jednak nie zadałam, głównie dlatego, że nie chciałam wiedzieć.

– Gdzie on jest, tato?

Patrzył prosto przed siebie, jakby wypatrywał w tłumie czyjejś twarzy.

– Błagam cię, słoneczko, trzymaj się od niego z daleka.

Wstał i ja wstałam razem z nim. Wziął mnie w ramiona i tulił z rozpacziwą desperacją. Ja też go objęłam – poddałam się ostatecznie. Lgnęłam do niego, oplakując to wszystko, co straciliśmy, i myśląc o tym, co niesie przyszłość.

– Zawsze będziesz moją córką – wyszeptał żarliwie.

Zastanawiałam się, czy to wszystko jest szczere. Nie wiedziałam. Nie wiedziałam, kim on jest, kim ja jestem, przestałam wiedzieć, kim jesteśmy dla siebie nawzajem.

– Rób, co masz robić, moje dziecko – powiedział mi do ucha. – Ale uważaj na siebie. Cokolwiek stanie się tobie, stanie się mnie. Pamiętaj o tym, jeśli tylko możesz. Niezależnie od wszystkiego to wciąż jest szczerą prawdą.

Puścił mnie i zaczął się oddalać, ale po chwili zatrzymał się i powiedział:

– Jest jeszcze coś, co powinnaś wiedzieć. O twoim bracie.

Sprężyłam się w sobie. Na jakimś poziomie świadomości wiedziałam. Odbierałam sygnały: wtedy, tamtego wieczoru, słyszałam przez telefon, jak palił; nawalił, kiedy miał iść ze mną do Klasztoru; od tamtej pory ani razu się do mnie nie odezwał.

– Znów zaczął brać. Myślę, że tym razem straciliśmy go na dobre.

Spojrzałam w niebo, a potem, ze smutkiem i rozczarowaniem pokiwałam głową.

Kiedy znów spojrzałam na ojca, zobaczyłam, że się oddala. Stałam jeszcze dłuższy czas i patrzyłam, jak robi się coraz mniejszy, a potem skręca za róg. Usiadłam znowu na ławce i po prostu przez chwilę siedziałam, obserwując dzieci dość nieudolnie grające w zośkę. Dopiero po dłuższym czasie, kiedy na dobre straciłam go z oczu, stwierdziłam, że wrzucił mi coś do kieszeni. Był to nieduży srebrny kluczyk z okrągłą płaską główką. Do czego był ten klucz – nie miałam pojęcia.

Postanowiłam wracać na piechotę: potrzebna mi była otwarta przestrzeń i chłodny podmuch powietrza na twarzy. Kiedy dotarłam do domu, ręce miałam czerwone i zdrętwiałe z zimna, stopy i uda obolałe. Przez całą drogę zastanawiałam się, co mógłby otworzyć ten kluczyk – schowek, może sejf... Nie mogłam ot tak, po prostu, zadzwonić do ojca i go zapytać; wiedziałam, że muszę sama do tego dojść.

Jake nie żartował, mówiąc, że nigdy nie będę świadoma ich obecności. Bo ja oczywiście wyobrażałam sobie kręcących się wokół mnie obcych, ubranych na ciemno facetów, którzy albo czytają gazetę na ławce, albo oparci o latarnię pogwizdują od niechcienia, kiedy przechodzę. Oczywiście wyobraźni widziałam też białe furgonetki jadące wolno za mną wszędzie, gdziekolwiek się wybiorę. Sądziłam też, że przez cały czas będą do mnie wydzwaniali z jakimiś instrukcjami, a tymczasem telefon, z którym się nie rozstawałam, ani razu nie zadzwonił ani nie zapikał. Byłam bliska uwierzenia, że to wszystko sobie wymyśliłam. Wchodząc do budynku, udawałam przez chwilę, że jestem zwykłą Ridley Jones, dziennikarką współpracującą z różnymi pismami, wracającą właśnie ze spaceru i niezaprzatającą sobie głowy niczym szczególnym, poza tym, co będę jadła na obiad.

Stał w holu koło skrzynek na listy. Nie przesadzę, jeśli powiem, że podbiegłam do niego, pozwalając się przytulić. Objęłam go ramionami i przywarłam ustami do jego ust. Poczułam jego ciało, silne i wspaniałe pod grubą zamszową marynarką. Tulił mnie do siebie mocno. Kiedy oderwałam wargi od jego warg i położyłam mu głowę na piersi, wydał głębokie westchnienie.

– Wszystko z tobą w porządku? – wyszeptał do ucha, głaszcząc mnie po plecach.

Było to bardzo miłe, pod jego palcami ustąpiło całe napięcie moich mięśni.

Przytulona do niego, kiwnęłam głową; bałam się mówić.

– Tutaj nie mają szansy nas usłyszeć.

– Skąd wiesz?

Myliłam się, mówiąc, że jego twarz nie jest piękna – mocny zarys szczęki i nosa, ciepło i głębia spojrzenia. Bałam się wszystkich brzydkich prawd, które mogły się odcisnąć piętnem na jego rysach. To z tego względu miałam tak silną potrzebę odwracania się od niego.

– Bo kiedy cię obserwowaliśmy, zawsze traciliśmy cię między drzwiami wejściowymi do budynku a drzwiami do twojego mieszkania. W ścianach musi być ołów.

Wsiadliśmy do windy i przez całą drogę, aż na moje piętro, nie mogliśmy się od siebie oderwać. Ciągle miałam go mało, ciągle potrzebowałam pociechy, jaką przy nim znajdowałam. Czułam, że ten potworny ciężar, który mnie przez cały czas przygniatał, stracił nieco na wadze. Czekał na korytarzu, aż wejdem do mieszkania i narobię hałasu, włączę telewizor. Zamówiłam chińskie jedzenie (tak, znów) i cichutko wróciłam na korytarz, mając nadzieję, że ten, kto mnie podsłuchuje, pomyśli, że oglądam telewizję, czekając na zamówioną chińszczyznę. Zapewnili mnie, że w obrębie mieszkania założą tylko podsłuch, żeby mi zostawić choć trochę prywatności. Miałam nadzieję, że nie kłamali. Tak czy owak, nie przywiązywałam do tego większej wagi. Nikt mi nie powiedział, że mam się nie widywać czy nie rozmawiać z Dylanem Grace'em.

Usiedliśmy na schodach, przytuleni do siebie, jakby nam było zimno.

– Powiedzieli mi, że zawarli z tobą układ, na mocy którego wycofują się z wszelkich zarzutów czy nagan wobec mnie.

Skinęłam głową.

– Dzięki tobie, Ridley. – Przyłożył dłoń do mojego policzka. – Nigdy bym cię o to nie poprosił.

– Wiem. Przykro mi bardzo, że straciłeś pracę.

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się do mnie blado.

– I tak mnie to najprawdopodobniej powoli zabijało.

Patrzyłam na płytki pod naszymi stopami.

– Co chcą, żebyś zrobiła? – zapytał po chwili milczenia.

Powiedziałam mu wszystko o Jake'u i wszystko, czego się od niego dowiedziałam. Powiedziałam mu, czego ode mnie oczekują.

Potrząsnął głową.

– To nic nie da.

– Mówiłam im.

– Przykro mi z powodu Jacobsena. Wyobrażam sobie, jakie to musi być dla ciebie bolesne. Nie wiedziałem. Jego konspiracja była bardzo głęboka. Nie spodziewałem się, że pracuje dla CIA.

Wzruszyłam ramionami i odwróciłam się, żeby nie widział bólu na mojej twarzy. Był to ból bardzo osobisty, którego nie chciałam z nikim dzielić.

Przytulił mnie mocniej do siebie.

– Tak mi przykro – powtórzył.

Powiedziałam mu o Esme Gray, o Benie, o moim spotkaniu z Benem w parku.

– Rany – jęknął i lekko potrząsnął głową – ale nas wykorzystali.

– To prawda.

Siedzieliśmy przez chwilę, zastanawiając się nad tym wszystkim.

– Co masz zamiar zrobić? – zapytał.

– Nie jestem pewna – odparłam.

Skinął głową.

– Cokolwiek to będzie, pamiętaj, że możesz na mnie liczyć.

Ścisnęłam go mocno za rękę.

W mieszkaniu odezwał się domofon. Weszłam cicho i wpuściłam posłańca. Dylan zaczął na wyższej kondygnacji, aż chłopak odejdzie, i dopiero do mnie wrócił. Wzięłam go za rękę i zaprowadziłam do mieszkania, do sypialni. Kochaliśmy się w ciszy i w szczególnym napięciu, co pozwoliło mi się całkowicie zatracić i zarazem odnaleźć.

„Idź do domu, Ridley” – ostrzegał mnie z ekranu komputera duch Maksa. Jego zapętlony obraz, wychudzonego i kuśtykającego o lasce, powracał w mojej głowie. Pojawiał się nieproszony w moich snach i w wolnych chwilach. „Idź do domu, Ridley”. Twarz, wyprana z tej energii, która mi się zawsze z nią kojarzyła, była blada jak papier, a przesłanie ponure i ciemne jak zły omen. Niczym nie przypominał człowieka, którego znałam, kochanego wujaszka, nieudanego ojca. Ostatecznie okazało się, że nie był żadnym z nich czy raczej jednym i drugim. A nawet kimś więcej.

W Londynie Dylan zadał mi pytanie: „A co będzie, jeśli poznanie Maksa Smileya nie przybliży cię do siebie? A co będzie, jeśli się okaże, że im bardziej się do niego zbliżasz, tym bardziej się oddalasz od tej prawdziwej siebie?”

Szczerze mówiąc, nie rozumiałam, co chciał przez to powiedzieć. Pochodziłam od Maksa, wzięłam się z niego i stało się dla mnie jasne, że tylko poznając Maksa, odkryję przynajmniej część własnej tajemnicy. Nie byłam córką Bena, grzeczną dziewczynką. Byłam córeczką Maksa, szwendającym się wieczorami po ulicach bez żadnej opieki urwisem. Ale leżąc nago w ciemności obok Dylana, spleciona z nim w uścisku, zastanawiałam się nad czymś jeszcze. Może to wcale nie nagła konstatacja, że pochodzę od Maksa sprawiła, że stałam się dla siebie nierozpoznawalna. Może stało się tak dlatego, że nie chciałam dać mu spokoju. Przecież destrukcja mojego życia wzięła się właśnie z tej szaleńczej pogoni za nim.

Opuściłam moją tożsamość, żeby ścigać Maksa. Doprowadziłam kilka osób do śmierci; uciekłam z aresztu federalnego (a przynajmniej tak mi się wydawało); obciąłam długie kasztanowate włosy i utleniłam je na biało; na skutek tajemniczego SMS-a poszłam w środku nocy do Klasztoru, w wyniku czego zostałam uprowadzona i poddana torturom; ponownie uciekłam z aresztu, tym razem w Londynie, i to z Dylanem, człowiekiem, któremu nie miałam najmniejszego powodu zaufać, a potem patrzyłam, jak to on w niebieskim pokoju nocnego klubu w West Endzie wymusza torturami na prostytutce informacje, wreszcie zostałam aresztowana w tanim pokazie siły, jakim była akcja międzynarodowych agencji bezpieczeństwa w kawiarence internetowej. Z każdym moim bulwersującym posunięciem, obarczonym koszmarnymi konsekwencjami, coraz bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że mam w sobie mniej z Bena, a więcej z Maksa. Ale tak naprawdę wszystkie te działania były moje. O moim życiu nie decydował Ben ani Max. Ani moja adopcyjna matka Grace czy nawet

matka biologiczna, Teresa Stone. Tylko ja sama.

Ta myśl – kiedy słuchałam równego oddechu Dylana – sprawiła, że poczułam się jak wydrążona w środku. W takiej chwili możemy sobie powiedzieć, że naprawdę dorośliśmy, przestajemy obciążać rodziców winą za swoje spieprzone życie i zaczynamy brać odpowiedzialność za konsekwencje własnych czynów.

Leżałam obok Dylana, czułam jego oddech we włosach, ciężar ręki na biodrze i podbrzuszu. Trzymałam głowę na jego drugim ramieniu; dłoń Dylana zwisała z łóżka. Obserwowałam mocne mięśnie jego przedramienia, zarys ręki, kiedy poruszał się we śnie. Ta pozycja, na pozór idealna, mogła spowodować późniejsze zeszywnienie i zdrętwienie ręki. Żeby mu tego oszczędzić, przenieśliśmy głowę na poduszkę.

Nagle poczułam się silniejsza. Myśl o tym, że jestem bardziej Ridley niż Benem czy Maksem, była nowa i wyzwalająca. Wiedziałam, że wraca mi energia.

„Idź do domu, Ridley”.

Zaczęłam rozważać myśl, która od jakiegoś czasu zaprzętała moją podświadomość: skąd Max mógł wiedzieć, że ja się zaloguję na tej stronie internetowej, posługując się loginem, wymuszonym przez Dylana na Aniele? I wtedy przyszło mi do głowy to, co powinnam była wiedzieć od początku. Coś tak oczywistego, że prawie się roześmiałam. To nie ja ściagałam Maksa; to Max ściagał mnie. Mówiąc: „Idź do domu, Ridley”, nie miał na myśli mojego domu, tylko swój.

Przeturlałam się na bok i spojrzałam na Dylana. Otworzył oczy. Podejrzewam, że nie spał dłużej niż ja. Może w głowie kotłowało mu się od tysiąca jego własnych myśli. Włączyłam stojące koło łóżka radio i podkręciłam troszkę głoś. Ale na tyle mocno, by obudzić podejrzenia. Przynajmniej taką miałam nadzieję.

– Zastanawiałam się – szepnęłam mu do ucha.

– Co za niespodzianka – odpowiedział z powolnym uśmiechem.

Zaczynały mi się podobać odcienie jego akcentu.

Ubraliśmy się po cichu i wyszliśmy do przedpokoju.

– Skąd on mógł wiedzieć, że się zalogujemy na tej stronie, używając hasła Anioła? – zapytałam, kiedy znaleźliśmy się na zewnątrz. – Jakim cudem się tego dowiedział?

– Też się nad tym zastanawiałem. Może cię zna aż tak dobrze – odparł, opierając się o barierkę.

Potrząsnęłam głową.

– Za dużo zmiennych. Zbyt wiele czynników złożyło się na to, że wylądowałam w końcu w Londynie. – Podłoga z płytek ziębiła mi bosa stopy. Było mi zimno, więc objęłam się ramionami.

– Może tak czy owak byś tam wylądowała. Może bez mojej pomocy doszłabyś do tego, gdzie jest ten klub. Może i tak byś pojechała do Londynu, bez pomocy tego kogoś, kto cię tam zawiózł.

Dylan potwierdzał to, co i tak już wcześniej podejrzewałam, ale świadomie przyjął rolę adwokata diabła, żeby sprawdzić, czy się przypadkiem nie myliłam.

– Ale ja bym nie wymusiła od tej kobiety informacji torturami.

– Może ty byś nie musiała. Może tobie by powiedziała.

– Dlaczego? W jaki sposób?

Dylan milczał przez chwilę, nie przestając na mnie patrzeć.

– Dlatego, że miała mi powiedzieć? Że Max podrzucał mi wskazówki? Że mnie w ten sposób wabił? – zapytałam.

– To całkiem możliwe. Nie uważasz? Poczynając od zdjęć, przez telefony, do incydentu w jego mieszkaniu, gdzie miałaś wrażenie, że czujesz zapach jego wody kolońskiej, że ktoś dopiero używał łazienki. A potem kartonik zapalek, który znalazłaś, i wreszcie SMS.

– Uważasz, że to on wysłał tego SMS-a? – Szczerze mówiąc, sama też tak myślałam.

Wzruszył ramionami.

– Kto inny mógłby to zrobić?

Nikt. Max sięgał po mnie zza grobu, przyciągając mnie do siebie coraz bliżej. Wiadomość o tym, że się dowiedziałam, kim tak naprawdę dla mnie jest, i myśl o tym, czego jeszcze mogłam się o nim dowiedzieć, musiały stanowić dla niego śmiertelny cios (bez żadnej zamierzonej gry słów). Zależało mu pewnie na tym, żeby ze mną porozmawiać, żeby mi to wszystko jakoś wytłumaczyć.

– Miłość – powiedział Dylan, nawiązując do naszej pierwszej rozmowy. – On cię po prostu kocha.

Zastanawiałam się, czy to może być prawda. Czy ktoś taki jak Max jest zdolny do miłości w najprawdziwszym tego słowa znaczeniu. Bo przecież gdyby mnie naprawdę kochał, to czy by mnie w to wszystko wciągał? Miłość daje spokój; nie trzyma w śmiertelnym uścisku. Nie wciąga cię razem ze sobą do grobu.

Wyjęłam z kieszeni klucz i pokazałam Dylanowi.

– Wydaje mi się, że wiem, do czego jest ten klucz.

– Do czego?

Pora lunchu w pizzerii Pięć Róż w East Village to niesamowity kocioł: kłębią się tam wszyscy mieszkańcy East Village w pogoni za najlepszym kawałkiem pizzy w mieście – studenci, policjanci i inni mieszkańcy dzielnicy. Ci z was, którzy byli ze mną od początku, wiedzą, że tu się wszystko zaczęło, że to właśnie stąd, z parteru budynku, w którym wtedy mieszkałam, wyskoczyłam na ulicę, żeby ratować tamtego chłopca.

Weszłam, ledwie słysząc przez ogólną wrzawę niewielki dzwonek anonsujący moje przybycie. Raczone się wielkimi kanapkami z hamburgerami i parmezanem, ociekającymi sosem serowym calzones i specjalnymi porcjami pizzy sycylijskiej Zeldy. Unoszący się w powietrzu zapach czosnku, ciepłego ciasta i pomidorów sprawił, że zaburczało mi w brzuchu.

Zelda, znikowana właścicielka pizzerii, stała za kontuarem, poruszając się z gracją i znaczną szybkością między wielkimi piecami i starą kasą fiskalną. Zelda mi kiedyś pomogła. Przez wszystkie te lata, kiedy tu mieszkałam, nigdy nie rozmawiałyśmy na jakikolwiek inny temat, poza czynszem czy zamówieniem przez mnie dwóch kawałków pizzy i wody sodowej. Ale pewnego dnia, kiedy znalazłam się w rozpaczliwej sytuacji, pomogła mi uciec przed policją. Nie byłabym zdziwiona, gdyby mnie teraz wyrzuciła za drzwi. Albo gdyby mi znów pomogła.

Kiedy przyszła moja kolej, spojrzała na mnie bez zainteresowania, jakby mnie w dalszym ciągu widywała codziennie.

– Dwakawałkiicola? – zapytała z wyraźnym akcentem, który sprawiał, że słowa zlewały się w jeden niezrozumiały bełkot.

– Nie, Zelda.

Wytarła ręce w fartuch i oparła je na biodrach. Spojrzała na mnie w sposób, który przypominał mi matkę.

– Znów jesteś w tarapatach?

Ciekawe, skąd mogła to wiedzieć. Robiła wrażenie, jakby to przez chwilę było dla niej ważne. Słyszałam, jak za moimi plecami ktoś wzdycha i zaczyna narzekać na opóźnienie.

– Bo ja nie chcę żadnych kłopotów, rozumiesz.

Nachyliłam się do niej i zniżyłam głos.

– Chcę tylko skorzystać z łazienki.

Spojrzała na mnie sceptycznie, po czym szybko skinęła głową. Obie wiedziałyśmy, że nie chodzi mi o skorzystanie z łazienki, ale Zelda nachyliła się, otworzyła kłapę kontuaru i wpuściła mnie na zaplecze.

– Dzięki – powiedziałam, przemykając obok niej po gumowej macie, którą była wyłożona

podłoga, a potem przez kuchnię, gdzie na płytach perkotały wielkie kadzie sosu, a w piecu piekły się poukładane rzędami stromboli. Żałowałam, że nie mam czasu na lunch.

– Wiesz, gdzie jest łazienka – zawołała za mną Zelda, odprowadzając mnie wzrokiem.

Pomachałam do niej na znak, że wiem. Skinęła głową, kiedy wychodziłam najpierw na korytarz, a stamtąd na podwórko. Trzy psy Zeldy powitały mnie hałaśliwie, skacząc entuzjastycznie, a ja poczułam unoszący się w powietrzu zapach ciasta, który przypląnął przewodami wentylacyjnymi od Veniera z Jedenastej ulicy. Podeszłam do drzwi prowadzących do sutereny, otworzyłam je i zamknęłam za sobą, pozostawiając ponuro ujadające psy. Zeszłam po schodach. Znalazłam się w magazynie, gdzie Zelda przechowywała produkty żywnościowe – pod ścianami na półkach, które zdawały się nie mieć końca, trzymała oliwę, kartony czosnku i mąkę. Było tu ciemno, ale nie zadałam sobie trudu, żeby zapalić światło. Wymacując drogę wzdłuż ściany, doszłam do tego, czego szukałam, a mianowicie do drzwi prowadzących do tunelu. Ten tunel, biegnący za budynkami, prowadził na północ od Pięciu Róż do Jedenastej ulicy. Otworzyłam drzwi z zasuwy i przez chwilę stałam, patrząc w ziejącą przede mną czarną czeluść. Pamiętałam, że tunel jest długi, ciemny i zimny. Próbowałam wymacać ręką włącznik światła, ale zamiast niego znalazłam wiszącą na haczyku latarkę. Zapaliłam ją i poświeciłam przed siebie. Promień był słaby, a do tego jeszcze mrugał, grożąc zgaśnięciem już w sekundę po zapaleniu latarki. W tunelu panowała kompletna cisza.

Wyjęłam z kieszeni telefon, który dał mi Jake, i upuściłam go na podłogę. Dylan podejrzewał, że w telefonie jest jakieś urządzenie, które pozwala im śledzić każdy mój ruch na mieście. Chciałam, żeby przyjęli, że po prostu, nie spiesząc się, jem lunch w Pięciu Różach, a kiedy się zorientują, o co chodzi, będzie już za późno.

Dlaczego to zrobiłam? Zawarłam z CIA umowę i zdrowy rozsądek nakazywał, żebym się jej trzymała. Ale wtedy nie potrafiłam powiedzieć, dlaczego tak postąpiłam. Teraz lepiej rozumiem swoje działania. Jednak tamtego popołudnia nabrałam przekonania, że jeśli się od nich nie odczepię, to nigdy nie znajdę Maksa. Z pewnością wiedział, że mnie śledzą. I że musi trzymać się ode mnie z daleka. Znałam go wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nie da się złapać w oczywistą pułapkę. Tylko działając sama, miałam szansę go znaleźć. Co stanie się potem, nie miałam zielonego pojęcia.

Zawahałam się u wylotu tunelu. Na chwilę czająca się przede mną ciemność podziałała na mnie paraliżująco. Miałam ochotę zawrócić tam, skąd przyszłam, zamiast pchać się w tę ciemność, ale sprężyłam się i ruszyłam biegiem, mimo że przed sobą i dokoła siebie widziałam na odległość zaledwie ćwierć czy pół metra. Zaczęłam lżej oddychać, kiedy promień latarki padł na metalowe drzwi na końcu tunelu. Ale tu zasuwa nie chciała ustąpić. Na próżno się z nią mocowałam, mój oddech stał się ciężki i krótki. Miałam uczucie, że ciemność tunelu zamyka się wokół mnie i przez chwilę myślałam, że zacznę krzyczeć, bo nie wyobrażałam sobie, żeby raz jeszcze, w drodze powrotnej do piwnicy, stawić czoło tunelowi. W końcu jednak drzwi ustąpiły, a ja wyskoczyłam na ulicę.

Ostre światło oślepiło mnie i przez chwilę byłam zdezorientowana. Jakaś kobieta, mijająca mnie szybko na rolkach, spojrzała na mnie ze zdziwieniem. Pozwoliłam drzwiom zatrzasnąć się za mną i odwróciłam się, żeby na nie spojrzeć. Na zewnątrz nie było żadnej klamki ani gałki. Nie mogłabym ich otworzyć z tej strony, gdybym chciała. Na myśl o tym, co zrobiłam i co jeszcze zamierzałam zrobić, poczułam w brzuchu skurcz – poczucie winy

i strach.

Z Dylanem spotkałam się na stacji metra Union Square przed wejściem do Food Emporium na Czternastej ulicy. Wsiadliśmy w pociąg, by pojechać do domu Maksa. Wpuścił nas Dutch ze swoim odwiecznym chłodnym, obojętnym spojrzeniem. Ciekawe, co o mnie myślał? Zastanawiałam się nad tym nie po raz pierwszy, kiedy wsiadaliśmy do windy, a portier żegnał mnie skinieniem głowy. Co według niego robiłam w mieszkaniu Maksa? Ale jego twarz, jak zwykle, przypominała maskę. Chyba więcej bym wyczytała z twarzy rzygaczy wieńczących wejście do budynku.

Kiedy weszliśmy do mieszkania, odwróciłam się, spojrzałam na Dylana i przykładając mu dłoń do piersi, zatrzymałam go w miejscu.

– Zanim wejdziemy głębiej, muszę wiedzieć, jakie są twoje cele. Dlaczego mi pomagasz?

Wzruszył ramionami i wolno potrząsnął głową.

– Nie mam przed tobą tajemnic, Ridley. Zawsze szczerze mówiłem, co chcę od Maksa. Chcę, tak jak i ty, żeby odpowiedział za swoje czyny. Mówiłem ci: nie chodzi mi o zemstę. A poza tym chcę cię chronić, chcę mieć pewność, że nie stanie ci się nic złego. I tyle. Możesz mi wierzyć.

Wziął mnie za rękę, a ja sobie przypominałam, jak w ten sposób trzymaliśmy się z Jakiem. Na samo wspomnienie o tym coś mnie ścisnęło za serce. Skinęłam głową. Wierzyłam mu. Ale wszyscy wiemy, że to nic nie znaczy.

Ruszyliśmy korytarzem obwieszonym zdjęciami rodziny i moimi. To Jake zwrócił mi uwagę, że mieszkanie Maksa jest w większym czy mniejszym stopniu sanktuarium poświęconym mnie, że ja byłam w centrum wszystkich zdjęć. Obserwowałam Dylana, który przyglądał się zdjęciom i który powiedział dokładnie to samo. Byłam speszona tym, co wydawało mi się teraz galerią kłamstw – ładne zdjęcia pokazujące uśmiechnięte twarze ludzi, choć cała reszta to były zgniłe fundamenty na granicy rozsypania się. Matka i ojciec byli kłamcami; brat był narkomanem, który znów wrócił na ulicę (jak do tej pory nie miałam nawet czasu o nim pomyśleć); mój wuj był w istocie moim ojcem. A ojciec był mordercą i kryminalistą tak strasznym, że ścigały go siły bezpieczeństwa na całym świecie. Mimo to byliśmy atrakcyjnymi ludźmi, którzy się śmiali, urządzali przyjęcia urodzinowe, konkursy tańca, wycieczki do zoo. O, tutaj ja na barana u Maksa, w ramionach Bena, karmiona przez matkę, a tutaj kryję się za drzewem, bawiąc się z Ace'em w chowanego. Wszystko piękne kłamstwa.

I coś takiego powiedziałam Dylanowi.

– Nie – odparł, kiedy szliśmy do sypialni Maksa – nie wszystko. Jest w tym tyle samo prawdy, ile kłamstwa.

Przypomniało mi się to, co mówił ojciec o Maksie – że człowiek, którego znaleźmy był tak samo autentyczny, jak jego ciemna strona. Nie jestem pewna, czy to kupowałam.

– Właściwie to nie wiedziałem, kim tak naprawdę byli moi rodzice, aż do ich śmierci – powiedział Dylan w chwili ciszy, jaka zapadła. – I nie byli przez to dla mnie niczym mniej, niż w istocie byli.

– Okłamywali cię na temat swojej pracy prawdopodobnie dlatego, że musieli i pewnie chcieli cię chronić. A to co innego.

– Wiem. Ale jednocześnie także to samo. Kłamstwo jest kłamstwem. Twoi rodzice

najprawdopodobniej też uważali, że muszą kłamać, żeby cię chronić. Popelnili wiele błędów, ale cię kochali.

Skinęłam głową. Nie przypominam sobie, żeby ktokolwiek przedtem bronił moich rodziców. Byłam wdzięczna Dylanowi za to, nawet jeśli chciał mnie tylko pocieszyć. Zapaliłam światło w sypialni Maksa i podeszłam do półek. Gliniane cacko, które zrobiłam dla niego wieki temu, stało tam, gdzie je zostawiłam. Podniosłam je i przez chwilę nie wierzyłam oczom: dziurka od klucza była tam, gdzie ją widziałam. Wyjęłam z kieszeni kluczyk, wsadziłam do dziurki i przekręciłam.

Cała półka uniosła się wolno o jakieś dwadzieścia centymetrów, odsłaniając szufladę. Stałam i gapiłam się na jej wnętrze, w którym leżała gruba szara koperta. Minęła chwila, nim dotarła do mnie ironia tej sytuacji, wszystko bowiem zaczęło się od takiego samego pakietu. Sięgnęłam po kopertę, ale się zawahałam, ważąc różne opcje. Czułam mrowienie we wszystkich końcówkach nerwów; instynkt mówił mi, żeby dać spokój. Ale przecież znacznie już dostatecznie dobrze, żeby wiedzieć, co zrobić.

– Na co czekasz?

Jego głos zabrzmiał jakoś dziwnie, więc odwróciłam się, żeby na niego spojrzeć, ale on nie patrzył na mnie; patrzył na coś, co było za mną, i jednocześnie sięgał do mojego ramienia. Obróciłam się i zobaczyłam w drzwiach sypialni dwie ciemne postacie. Ponownie spojrzałam na Dylana, spodziewając się, że wyciągnie broń, ale zamiast tego złapał mnie mocno i przyciągnął do siebie, a następnie wystąpił przede mną.

– Zabrali mi broń – szepnął.

Domyśliłam się, że FBI zabrała mu broń, wyrzucając go z pracy. Zła wiadomość.

– No właśnie, panno Jones, na co pani czeka?

Kiedy pierwszy mężczyzna wszedł w krąg światła, cofnęłam się o krok zdumiona. Był to portier Dutch. Pozbył się eleganckiego uniformu i stał teraz przede mną ubrany na czarno z paskudnie wyglądającą spluwą w rękę. Nie poznawałam towarzyszącego mu mężczyzny, ale i on nie wyglądał przyjemnie. Miał grube, gęste brwi, głęboko osadzone ciemne oczy i brzydką szramę biegnącą od ucha do ust. On też był uzbrojony. Wydawało mi się to nie fair. Zaczęłam żałować, że tak pochopnie zrezygnowałam z CIA. Mogłabym się założyć, że ci ludzie nie narzekali na brak broni.

– Nie rozumiem, Dutch – powiedziałam blado.

– To jasne, że nie rozumiesz – odparł, nie powiem, że niemiło.

Trudno było się go bać. Znałam go od dziecka. Pamiętam, że pewnego dnia, kiedy byłam nastolatką, szukałam w piwnicy u Maksa starej deskorolki Ace'a (miałam sobie później złamać rękę w nadgarstku przed domem Maksa, co nas oboje postawiło w trudnej sytuacji wobec moich rodziców). Było późnawo, może około dziesiątej, i wpadłam na Dutcha tam na dole, gdzie była szatnia, gdzie portierzy brali prysznic i przebierali się we własne ubrania. Dutch miał wtedy na sobie czarne spodnie, srebrną koszulę z cekinami i wypomadowane, zaczesane do tyłu włosy. Przypuszczam, że szykował się do jakiegoś klubu. Widok Dutcha, którego dotychczas widywałam tylko w domu, w pracy, jako osoby mającej poza portiernią swoje prywatne życie, okropnie mnie zaskoczył. Pamiętam, że i on był lekko speszony. Przypuszczam, że z powodu błyszczącej koszuli w stylu disco, ale ostatecznie były to lata osiemdziesiąte.

– Dobry wieczór, panno Jones – powiedział, jak zwykle z lekkim skinieniem głowy pod moim adresem.

– Dobry wieczór, Dutch. – Zagryzałam wargi, żeby się nie roześmiać.

Szybko wyszedł z piwnicy.

Kiedy wróciłam do mieszkania, opowiedziałam to wszystko Maksowi, po dziecięcemu rozchichotana.

– Każdy ma w sobie coś więcej, niż się wydaje na oko – odrzekł z lekkim uśmiechem. – Pamiętaj o tym, dziecko.

Dziś te słowa wydały mi się złowieszcze, niemal prorocze.

– Panno Jones, pani i pani przyjaciel musicie położyć dłonie tam, gdzie będę mógł je widzieć.

Był taki grzeczny, nawet teraz. W dalszym ciągu miał na twarzy wyraz zawodowej uprzejmości. Zrobiło mi się duszno, poczułam przyływ adrenaliny. Twarz Dylana była jak z granitu.

– I proszę się odwrócić – polecił, a my zastosowaliśmy się do jego życzenia. – Muszę powiedzieć – ciągnął, wiążąc nam ręce jakąś grubą plastikową taśmą – że było łatwiej, niż mogło być, dzięki temu, że straciliście swoje normalne otoczenie.

– Dutch – powiedziała, wściekła na siebie za drżenie, które wyczuwałam w swoim głosie. – Co ty wyprawiasz?

– Nieważne – odparł łagodnie. Nagle poczułam eksplozję bólu. A potem – już nic więcej.

Ocknęłam się, leżąc na brzuchu, z rękami związanymi z tyłu, systematycznie uderzając kością policzkową w blachę falistą podłogi jakiegoś będącego w ruchu pojazdu. Obok mnie leżał Dylan, w tej samej pozycji, tyle że on wydawał się w dalszym ciągu nieprzytomny. Z paskudnego rozcięcia na wardze sączył mu się strumyczek krwi. Wyglądało na to, że jego rana będzie wymagała założenia kilku szwów – naturalnie, jeśli jeszcze dziś obydwójce nie umrzemy.

Z pewnością nie muszę wam mówić, że moja głowa przypominała wiertarkę udarową. Zastanawiałam się, ile może wytrzymać ludzkie ciało, zanim się podda. Jak na kogoś, kogo w złości nigdy nawet nie tknięto, kto jako dziecko nie dostał nawet klapsa, zostałam w ostatnim czasie dość brutalnie wprowadzona w świat przemocy.

Widziałam tył głowy Dutcha siedzącego na miejscu pasażera. Za kierownicą siedział tamten drugi mężczyzna. Bałam się, tak, owszem, przyznaję, że się bałam. Ale jednocześnie poczułam się naprawdę, ale to naprawdę złą. Zaczęłam się szamotać w swoich więzach, ale stwierdziłam – niestety, za późno – że taśma na moich rękach robi się tylko ciaśniej. I że to bardzo boli.

– Dutch – powiedziała głośno – co ty robisz? – Nic lepszego nie przychodziło mi do głowy.

Nie tylko mi nie odpowiedział, ale się nawet nie odwrócił, co mnie rozzłościło jeszcze bardziej.

– Ratunku! – zaczęłam wrzeszczeć, kiedy furgonetka zatrzymała się pod światłami. – Pomóżcie nam!

Ale wiedziałam, że jest to bezcelowe, że nikt mnie nie usłyszy. Uznałam jednak, że warto próbować. Nie przestawałam krzyczeć.

– Panno Jones – powiedział Dutch spokojnie, odwracając się wreszcie po kilku minutach i przykładając Dylanowi broń do skroni – proszę się, do cholery, zamknąć, bo już mnie głowa od tego boli.

Widząc Dylana tak bezbronnego, zamilkłam natychmiast.

– Myślałam, że pracujesz dla Maksa – powiedziałam słabo.

– Kiedyś, dawno temu, tak. Ale od jego „śmierci” płaca nie jest specjalnie dobra. Inni dają więcej.

– Sprzedałeś go – powiedziałam, starając się, żeby w moim głosie zabrzmiał gniew.

Spojrzał na mnie z politowaniem.

– Chyba wszyscy go sprzedaliśmy...

– Ja nikogo nie sprzedalam – powiedziałam.

W odpowiedzi uśmiechnął się tylko, a ja na ułamek sekundy zobaczyłam w nim kogoś, kim był naprawdę: zimnego mordercę. Zastanawiałam się, kim on był dla Maksa. Ochroniarzem? Płatnym mordercą? Może jednym i drugim. Zapytałam go o to. Fakt, że mi odpowiedział, nie wróżył dobrze na przyszłość.

– Robiłem za niego brudną robotę. Zapewniam cię, że nie było to nic przyjemnego. Twój ojciec nie lubił brudzić sobie rąk. W każdym razie nie w ten sposób.

Spojrzałam na Dylana. Miał teraz otwarte oczy i obserwował mnie. Potrząsnął głową w moją stronę.

– Koniec pytań – wyszeptał.

Doceniłam zawarte w jego słowach ostrzeżenie, ale było na to już o wiele za późno. Miałam przeczucie, że marnie skończę, jeżeli CIA nie domyśli się, co się ze mną stało.

– Twój przyjaciel dobrze ci radzi – powiedział Dutch.

– Przepraszam cię – zwróciłam się do Dylana.

– To nie twoja wina – odparł.

Ale to była moja wina.

Furgonetka wjechała w jakąś przepastną otchłań; zamknęły się za nami ciężkie metalowe drzwi. Wysiedliśmy z samochodu, po czym weszliśmy po metalowych schodach przez masywne drzwi do czegoś, co mogło być opuszczoną fabryką albo magazynem. Pomieszczenie było ciemne, wszędzie stały wysoko spiętrzone pudła, ściany pokrywało graffiti. Przez wysoko umieszczone prawie całkowicie pokryte brudem okna sączyło się skąpe światło. Odgłos naszych kroków odbijał się echem od ścian i sufitów. W powietrzu unosił się silny odór pleśni i kurzu. Czułam, jak zaczynają mi puchnąć zatoki.

Próbowałam się domyślić, gdzie jesteśmy. W East Village, w Tribeca, były jakieś stare zakłady wyzyskujące tanią siłę roboczą (choć większość z nich została przerobiona na modne lofty). Jedną z możliwości był Meatpacking District. Ale nie miałam pewności, byłam całkowicie dezorientowana. Nie wiedziałam nawet, jak długo jechaliśmy. Domyślałam się, że nie możemy być dalej jak na obrzeżach miasta, może w Jersey. Otaczająca nas przestrzeń wydawała się tak konkretna, tak odległa, że równie dobrze mogliśmy być na księżycu. Nasłuchiwałam odgłosów ruchu ulicznego, ale słyszałam tylko ciszę. Gdyby nas tu zabili, to po jakim czasie znaleziono by nasze ciała? – zastanawiałam się. Na wspomnienie słów Bena, jakimi mnie pożegnał, robiło mi się słabo. Mogłam sobie wyobrazić, jak by się czuł, gdybym zniknęła, a mojego ciała nigdy by nie znaleziono. Albo gdyby moje ciało wypłynęło w East

River. W tej chwili moje poczucie winy było większe niż lęk o własne życie. A poza tym zrozumiałam, że Dylan miał rację: moi rodzice popełniali straszne błędy, ale mnie kochali. A to coś znaczyło. Znaczyło więcej, niż sobie wyobrażałam.

Posadzili nas na niewygodnych bliźniaczych metalowych krzesłach pod odległą ścianą pomieszczenia. Byłam wściekła, że nawet nie próbują ukryć swojej tożsamości. Widziałam w tym naprawdę zły znak. Kiedy przywiązywali nam nogi do krzeseł, spojrzeliśmy sobie z Dylaniem w oczy. Nie miałam pojęcia, co myśli, ale nie robił wrażenia przestraszonego. Raczej zrezygnowanego.

– Co ty robisz, Dutch? Czego chcesz? – spytałam, kiedy jego kompan wiązał mnie z niepotrzebną, jak uznałam, brutalnością.

Spojrzał na mnie lodowato.

– Chcę tego samego co wszyscy, panno Jones. Maksa Smileya.

Westchnęłam.

– To powiem ci to samo, co mówię wszystkim innym: nie mam pojęcia, gdzie on jest.

Podszedł do mnie bliżej i uniósł w górę mały telefon komórkowy, dość podobny do tego, który dało mi CIA. Aparatem fotograficznym wbudowanym w telefon zrobił mi, jak się domyślałam, mało korzystne zdjęcie. Wręczył następnie telefon drugiemu mężczyźnie, który był zajęty rozstawianiem laptopa na zaimprovizowanym stole, składającym się z deski opartej na dwóch plastikowych skrzynkach. Zamiast krzesła dla siebie użył odwróconego wiadra po farbie.

– To ty – powiedziałam. – To ty podrzuciłeś tam kartonik zapalek. To ty rozpyliłeś jego zapach w mieszkaniu. Ty odkręciłeś wodę.

– Zgodnie z poleceniem – powiedział, z szacunkiem skłaniając głowę.

– Z czym poleceniem?

– Maksa – odparł, jakby mówił coś oczywistego.

– To jak możesz nie wiedzieć, gdzie on jest?

Widziałam na twarzy kompana Dutcha czerwony blask bijący od ekranu komputera.

– Czy masz zamiar posłać mu to zdjęcie, żeby po mnie przyszedł? Ale on nie przyjdzie. – Wiem, że powinnam milczeć, ale nie mogłam przestać mówić. Może to nerwy. – Dla kogo teraz pracujesz? Dla tego świra Borysa Hammachera?

Dutch odwrócił się do mnie, z tym samym co zwykle wyrazem twarzy: chłodnym, badawczym, obojętnym.

– Panno Jones, jeszcze tylko raz poproszę, żeby się pani do cholery zamknęła.

– Jego nie ma. Nikt go nigdy nie znajdzie. Ani ja. Ani CIA. Ani tym bardziej taki żaloszny gnojek jak ty – warknęłam. Co się ze mną stało?

Nie zmieniając w najmniejszym nawet stopniu wyrazu twarzy, uniósł spluwę i strzelił Dylanowi w nogę. Dylan wydał odgłos, krzyk bólu i zdziwienia tak straszliwy i pierwotny, że nigdy go nie zapomnę. Miałam wrażenie, że z wściekłości i strachu wyskoczę ze skóry. Uświadomiłam sobie, że krzyczę i ja. Nie pamiętam, co mówiłam. Bezsensownie walczyłam z krępującymi mnie więzami.

– Proszę, panno Jones, proszę być cicho – powiedział Dutch spokojnie i grzecznie tym razem. Nie musiał mnie zapewniać, że dopóki się nie uspokoję, nie przestanie strzelać.

Spojrzałam na Dylana, próbując przysunąć do niego moje krzesło. Na jego bladej twarzy

malował się grymas bólu. Spojrzałam na ranę, z której krew się sączyła, ale nie tryskała. Modliłam się, żeby pocisk nie trafił w główną arterię.

– Dylan – wykrztusiłam wśród szlochów.

Nie odezwał się słowem. Jego oczy miały jakiś daleki wyraz, a ja się zastanawiałam, czy nie zemdleje. W tym momencie ogarnęła mnie histeria.

Siedzący przy komputerze mężczyzna połączył telefon z kablem USB i zaczął wystukiwać coś na klawiaturze.

– Gotowe – powiedział po chwili.

Dutch podszedł do Dylana, zabrał mu pasek od spodni i owiązał mu nogę powyżej rany, ściągając mocno pasek. Dylan jęknął, a jego głowa opadła na bok.

– Przez chwilę będziemy utrzymywać twojego przyjaciela przy życiu, żeby zapewnić sobie twoją współpracę – powiedział Dutch, oddalając się od nas.

Mężczyźni zostawili nas z jarzącym się czerwono komputerem. Drzwi zatrzasnęły się ciężko za nimi.

– Dylan – odezwałam się. – Dylan, powiedz coś.

Jedyną jego odpowiedzią był jęk. Zdołałam się jakoś zbliżyć do niego z krzesłem na odległość kilku centymetrów. Słyszałam jego oddech.

– Wszystko w porządku, Ridley.

Przez dłuższy czas nie mówił nic. Na wiele godzin pozostałam sama ze swoimi myślami, nieustannie ruszając i kręcąc nadgarstkami i kostkami nóg, by choć trochę rozluźnić więzy. Tymczasem nędzne światło sączące się przez brudne okna pociemniało i zapadł zmrok.

Kiedy patrzę wstecz, na wszystkie błędy, jakie w tej sprawie popełniłam, mam wrażenie, że najtragiczniejsze w skutkach okazało się wyrzucenie przeze mnie telefonu w tunelu pod Pięcioma Różami. Jak już mówiłam, z pewnością nie potrafiłabym wtedy powiedzieć, dlaczego to zrobiłam. Tłumaczyłam sobie, że była to jedyna metoda dotarcia do Maksa, przecież nigdy w życiu nie wpadłby w tak oczywistą pułapkę zastawioną na niego przez CIA. Ale zastanawiam się, czy rzeczywiście była to prawdziwa przyczyna. Czy przypadkiem nie miałam skłonności samobójczych.

Może nie w sensie dosłownym. Nie szukałam tabletek nasennych ani nie próbowałam skakać z Mostu Brooklyńskiego. Ale niewykluczone, że jakiejś śmierci szukałam. Może podświadomie dążyłam do tego, żeby zobaczyć, co powstanie z prochów Ridley Jones. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogłoby nie być zmartwychwstania. Że śmierć to śmierć.

W ciemnym magazynie, mając w uszach jako jedyny dźwięk oddech Dylana, z porażającą jasnością widziałam, co nas czeka w ciągu najbliższych kilku godzin. Wiedziałam, że za chwilę po nas przyjdą. Że znów nas wywiozą na tylnym siedzeniu furgonetki w jakieś odludne miejsce i kiedy tam dotrzemy, zostaniemy zabici. Innego scenariusza po prostu nie było. A kiedy już dostaną Maksa albo jeżeli Maks się nie pojawi, staniemy się dla nich bezużyteczni, z aktywów zamienimy się w niewygodne obciążenie.

– Zabiją nas – powiedziałam do Dylana, który przez chwilę był przytomny i miał jasną głowę.

– Prawdopodobnie – zgodził się ze mną. – Przestań się szarpać, krwawisz.

Ręce miałam całkowicie drętwe. Ale pęta na nogach udało mi się poluzować. Żeby mi przywiązać nogi do krzesła, użyli tylko sznura. Natomiast plastikowa taśma na nadgarstkach nie chciała ustąpić. Okazało się, że stopniowo coraz bardziej ją zaciskałam, nie wiedząc o tym, że moje ręce są zbroczone krwią. W pierwszej chwili bolały mnie potwornie, a potem w ogóle przestałam je czuć, z wyjątkiem dotkliwego pieczenia nadgarstków, gdzie wrzynał mi się w skórę twardy plastik. Poczulałam lepkie ciepło własnej krwi.

W pewnej chwili otworzyły się drzwi – w drugim końcu pomieszczenia pojawił się prostokąt światła. Dutch i jego partner szli w naszym kierunku. Człowiek z bliznami wycelował w nas grubą płaską spluwę, podczas gdy Dutch zbliżał się do mnie z jakimś paskudnie wyglądającym narzędziem w ręku. Znalazł się za mną, zanim zdążyłam zareagować. Widziałam, jak Dylan wykręca szyję i z grymasem bólu na twarzy próbuje poruszyć swoim krzesłem.

– Znałem faceta, który w ten sposób prawie odciął sobie dłonie – powiedział Dutch i jednocześnie przyniesionym przez siebie narzędziem poprzecinał mi na nadgarstkach plastikowe więzy. Poczulałam znów spływającą po rękach krew i tym razem było to bardzo bolesne. Trzymałam je przed sobą. Były papierowobiałe i jakby do mnie nie należały. Na obu nadgarstkach zobaczyłam paskudne cięcia.

– Teraz mi powiedz – warknęłam. Moja bliska śmierć sprawiła, że stałam się desperacko

odważna i ironiczna.

Dutch zachichotał cicho.

– Zawsze panią bardzo lubiłem, panno Jones.

Pomyślałam, że zacznę mówić, jak bardzo jest mu przykro, że tak się stało, ale oszczędził nam tej farsy. Mieliśmy przed sobą człowieka, którego nie obchodziło nic, poza tym, żeby wynająć swoje usługi temu, kto da najwięcej. Najwyraźniej nie miał zamiaru udawać, że jest inaczej – co byłoby odświeżające, gdyby tak nie przerażało.

Wręczył mi narzędzie, które robiło wrażenie potężnych nożyc do drutu.

– Uwolnij swojego przyjaciela i pomóż mu wstać.

Zastosowałam się do tego polecenia. Dylan wsparł się na mnie z całej siły i mało nie upadł. Byłam wprawdzie w stanie go podtrzymać, ale nie bez trudności. Potrzebowałam zaledwie sekundy, żeby się zorientować, że ten prawie upadek był w gruncie rzeczy wybiegiem, który mu umożliwił wrzucenie mi czegoś do kieszeni. Sądząc po ciężarze i dotyku, mógł to być nóż kieszonkowy. Nie wyobrażałam sobie, żeby taki nóż mógł nam się na coś przydać. Spojrzeliśmy sobie z Dylanem w oczy. Nie widziałam w jego twarzy strachu, w najmniejszym nawet stopniu. Już prędzej wyzwanie. Jego spojrzenie prosiło mnie: bądź dzielna i nie trać nadziei – z jednym i drugim miałam właśnie kłopot. Próbowałam gdzieś z głębi siebie dobyć jedno i drugie. Kiedyś, dawno temu, byłam optymistką. Próbowałam sobie przypomnieć te piękne czasy, kiedy wolno przechodziliśmy przez ciężkie metalowe drzwi, a następnie po schodach szliśmy do czekającej na nas furgonetki.

Nie ma na świecie miejsca bardziej opuszczonego i przygnębiającego niż Potter's Field na Hart Island w Bronksie. Na wyspę można się dostać promem przez cieśninę Long Island z przystani na City Island. Mieści się tam Cmentarz Miejski, gdzie znajdują miejsce spoczynku ubodzy i bezimienni mieszkańcy Nowego Jorku, chowani jeden na drugim w grobach kopanych przez więźniów. Jest to naga, brzydka wyspa z kilkoma zaledwie rozrzuconymi tu i ówdzie drzewami i wijącymi się betonowymi ścieżkami. Trawa rośnie tu wysoko, a w lecie kwitną niebieskie astrы. Na wyspie znajduje się kilka budynków – szpital, poprawczak, stary walący się dom – kiedyś pełniących różne funkcje dla miasta, dziś opuszczonych.

Zawsze fascynowało mnie to miejsce z milionem jego anonimowych zmarłych. Właściwie nie wiem, dlaczego. W każdym razie czytałam gdzieś, że bezimienni byli fotografowani, zdejmowano im odciski palców, a następnie grzebano wraz z ubraniem, całym ich dobytkiem i świadectwem zgonu, na wypadek gdyby kiedykolwiek ktoś się o nich upomniał i trzeba ich było zidentyfikować. Ta informacja wydała mi się bezgranicznie smutna i przyprawiająca o dreszcze; nigdy jej nie zapomniałam.

Z jakichś względów zawsze chciałam odwiedzić ten cmentarz po prostu tylko dlatego, żeby móc się tym pochwalić. Będąc w college'u, próbowałam nawet dostać na to pozwolenie, żeby móc o tym napisać. Ale jedynymi osobami, które bywają na Potter's Field, są pracownicy miejskich kostnic, osadzeni i klawisze więzienni – bez żadnych wyjątków.

– To nie jest ciekawostka – powiedziała kobieta od mediów, do której się w tej sprawie zwróciłam. – Musimy szanować opuszczonych zmarłych.

Pamiętam, jak bardzo byłam po tej odmowie sfrustrowana i poruszona. Przypomniało mi się teraz określenie „opuszczeni zmarli”. Trzeba być bardzo ostrożnym w sprawie pragnień – pomyślałam, wysiadając z furgonetki na przystani.

– „Wtedy Judasz, który Go wydał, widząc, że Go skazano, opamiętał się, zwrócił trzydzieści srebrników arcykapłanom i starszym [...] Po odbyciu narady kupili za nie Pole Garncarza na grzebanie cudzoziemców”³ – powiedział Dutch z nieprzyjemnym uśmiechem.

Słyszałam już wcześniej, że prawdopodobnie nazwa Potter's Field, Pole Garncarza, wywodzi się z Ewangelii Świętego Mateusza. Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że Dutch chciał nas nastraszyć. Nawet mu się to udało, chociaż nie dałam mu satysfakcji i nie okazałam, że mnie to w najmniejszym choćby stopniu obeszło.

Pomogłam Dylanowi wysiąść z samochodu. Podejrzywałam, że bardziej udawał niesprawnego, niż był w rzeczywistości, a przynajmniej taką miałam nadzieję. Jego oczy wydawały mi się jasne, przytomne i lepiej się trzymał na nogach, niż się mogło wydawać naszym prześladowcom. Mimo to przez cały czas jeden z nich miał wymierzoną w nas broń.

– Czy pani jest osobą religijną, panno Jones? – zapytał Dutch, zatraskując za nami drzwi samochodu. W powietrzu czuło się odpływ, słychać było trzepoczącą gdzieś na wietrze linę. Na końcu nabrzeża zauważyłam uwiązany biały ślizgacz. Przez zbyt cienki skórzany żakiet, przez dżinsy i buty przenikał chłód.

Nie odpowiedziałam Dutchowi. Nie byłam w nastroju do pogawędek.

– Nie – ciągnął – nie wydaje mi się, żeby pani była.

Nie bardzo wiedziałam, co ma na myśli.

Podszedł do końca nabrzeża. Wyspa po drugiej stronie cieśniny rysowała się jak ciemna, złowroga plama. Idealne miejsce, żeby wyrzucić do wody dwa ciała. Trzymałam się Dylana jeszcze mocniej. Ścisnął mnie za rękę i wtedy zorientowałam się, że jest w pełni przytomny. Poczułam się trochę lepiej.

– Dlaczego tutaj? – zapytałam Dutcha, powierzając Dylana drugiemu mężczyźnie.

Dutch z galanterią pomógł mi wsiąść do łódki, biorąc mnie za rękę i podtrzymując ramię. Wszystko odbyło się w sposób bardzo grzeczny, bardzo cywilizowany.

– Są po temu tysiące powodów – odparł. – Podoba mi się poezja tego miejsca, to po pierwsze. Ale są oczywiście i inne, bardziej praktyczne względy. Stąd lepiej widać, gdyby nas śledzono, lepiej też widać, gdyby pani ojciec przyszedł sam.

– I dobre miejsce, żeby się pozbyć ciał – dodałam.

– Twój los jest w rękach Maksa, nie moich – odparł Dutch.

– To znaczy, że jeżeli wszystko pójdzie dobrze, to jeszcze dzisiaj puścisz nas do domu, tak? – powiedziałam tonem, który, miałam nadzieję, sygnalizował mój całkowity brak wiary.

Dutch nie odpowiedział, a tymczasem drugi mężczyzna zajął miejsce za sterem i uruchomił silnik, który pracował nieprzyjemnie głośno, wypełniając nocne powietrze głębokim, mokrym dudnieniem i spalinami.

– No więc w końcu dla kogo pracujesz?! – wrzasnęłam, starając się przekrzyczeć hałas.

Cisza.

– Co było w kopercie?

Cisza.

Sami widzicie, że niczego się nie nauczyłam. Było dla mnie jasne, że zaczynam Dutchowi działać na nerwy, jak nad wiek rozwinięte dziecko, które w pierwszej chwili wydaje się zabawne, a potem zaczyna denerwować. Ale nie mogłam się powstrzymać – byłam zdenerwowana i przestraszona, zła i agresywna, i piekielnie odważna, ponieważ doszłam do

wniosku, że tak czy inaczej zginiemy na Potter's Field. Dostawałam szału na samą myśl o tym, że mogę się nigdy nie dowiedzieć, co było w tamtej kopercie. Przyszło mi do głowy, żeby złapać Dylana i razem z nim rzucić się do wody. Ale woda była czarna i gęsta jak smoła, już nie mówiąc o tym, że śmiertelnie lodowata. Szczerze mówiąc, nie byłam aż taka odważna.

Po bardzo nieprzyjemnej i zimnej podróży w rozkołysanej łodzi przybiliśmy do wyspy. Manewr został wykonany niechlujnie i łódź mocno uderzyła o nabrzeże. Dutch, który mało nie upuścił spluwy, zaklął pod adresem kompana. Ale jego jedyną reakcją było zacumowanie łódki do nabrzeża i wywleczenie Dylana na ląd. Dutch, przytykając mi lufę do pleców, pomógł wysiąść mnie. Wyglądało na to, że czas uprzejmości się skończył. Od tej chwili liczył się tylko interes.

Straszenie to sprawa subtelna. Nie ma lepszego na to dowodu jak wyspa cmentarz nocą. Bez jęczących zjaw, bez żadnych rąk wyciągających się ze świeżych grobów – w przypadku Hart Island była to raczej nieobecność pewnych zjawisk, która czyniła ją tak przerażającą. Pierwsze, co mnie uderzyło, to cisza. Cisza domeny martwych. W tym braku zwykłych hałasów był jakiś ciężar. To sprawia, że każdy odgłos, jaki wydajesz, wydaje ci się stokrotnie głośniejszy; mój własny bojaźliwy oddech był jak odgłos turbiny.

No i te ciemności. Księżyc przesłoniła gruba warstwa chmur i tylko szara poświata rozświetlała noc. W dzisiejszym świecie, szczególnie dla mieszkańców miast, nie istnieje nic takiego jak całkowicie ciemna noc. Latarnie uliczne, reflektory samochodów, szyldy sklepów, ekrany telewizorów, światła budynków łączą się ze sobą, tworząc wieczny blask, który na zawsze rozproszył prawdziwą ciemność. Miasto jest zawsze oświetlone; wysyła w niebo światło tak intensywne, że ledwie widzimy gwiazdy. Tu, na Hart Island, jedyne światła są bardzo daleko. Wyspa stała się domem ciemności, która wniknęła głęboko w cienie, wszystkie obce kształty malując na czarno.

Szliśmy gołą ścieżką; opuszczone budynki wznosiły się groźnie w pewnej odległości przed nami. Nasze kroki odbijały się w nocnej ciszy echem, kiedy nagle skręciliśmy i zaczęliśmy podchodzić pod górę w stronę potężnego budynku – opuszczonego zakładu poprawczego, o którym czytałam. Wyglądał, jakby się pośrodku zapadł. Dutch nagle podniósł rękę i wszyscy się zatrzymaliśmy.

– Coś jest nie w porządku – powiedział.

Obrócił się dokoła własnej osi i przymrużywszy oczy, zaczął badać okolicę.

– Na jakiej podstawie uważasz, że on by po mnie przyszedł? – zapytałam. – Skąd przekonanie, że poświęci siebie, żeby ratować mnie? Popełniłeś błąd.

Nie odpowiedział, ale ze spojrzenia, jakim mnie obrzucił, wyczytałam, że nie miałby najmniejszego problemu z zabiciem mnie, gdyby zaszła taka potrzeba. W lodowatych ciemnościach minuty wlokły się niemiłosiernie. Dylan ciążył mi coraz bardziej i od wysiłku podtrzymywania go rozboleły mnie plecy. Nie podobały mi się też jego oczy – jakies niekontaktowe, dalekie.

– Przeceniłeś jego miłość do mnie.

– Nie sądzę – odparł.

Na jego twarz wypląnął powolny uśmiech. Skinął głową w stronę budynku. A tam stała ciemna, wątła postać wsparta na lasce. Serce zaczęło mi walić nieprzytomnie, poczułam typową dla adrenaliny suchość w gardle, ręce mi się trzęsły.

– Max – powiedział głośno Dutch, ruszając w kierunku postaci. – Miło cię widzieć.

Drugi mężczyzna odciągnął mnie brutalnie od Dylana, który bez mojego wsparcia upadł na ziemię. Mężczyzna ścisnął mnie ramieniem za szyję i przystawił broń do głowy. Instynktownie złapałam go za ramię. Wczepiona w niego paznokciami, czując, że braknie mi powietrza, próbowałam się wyrwać.

– Spokój – szepnęła z wściekłością.

I wtedy przypomniałam sobie o nożu w kieszeni. Sięgnęłam i otworzyłam ostrze, na razie nie wyjmując noża. W moim wspomnieniu tego, co nastąpiło potem, czas jakby się zatrzymał.

Od strony ciemnej, stojącej na wzgórzu postaci pojawił się błysk i rozległ się odgłos strzelaniny. Zobaczyłam, jak Dutch zatacza się do tyłu, a potem do przodu, a następnie ciężko pada na kolana, przez chwilę jakoś dziwnie pozostając w tej pozycji, by wreszcie runąć na bok. Wyjęłam z kieszeni nóż i z całej siły dźgnęłam nim w gardło mojego oprawcę. Nie czułam nic, poza strachem i przemożną potrzebą nabrania w płuca powietrza. Puścił mnie z jakimś dziewczęcym piskiem i cofnął się. Widziałam, jak spomiędzy palców dłoni, którą złapał się za gardło, tryskała krew. Zrobiło mi się niedobrze.

Dylan, co do którego bałam się, że już nie wstanie, błyskawicznie znalazł się przy nim. Wyrwał mu z ręki spluwę i z całej siły zdzielił go w głowę. Odgłos spotkania metalu z kością był koszmarny. Zobaczyłam leżącą na betonie broń Dutcha, złapałam ją i czując w dłoniach zimny ciężar, zatknęłam sobie za spodnie.

Spojrzałam w kierunku stojącej na wzgórzu ciemnej postaci i wrzasnęłam:

– Max!

Odwrócił się i szybko zaczął się oddalać. Ruszyłam za nim.

– Ridley! – usłyszałam głos Dylana i zobaczyłam, że próbuje za mną kuśtykać. – Zostaw go w spokoju! Po prostu zostaw go w spokoju!

Puściłam się biegiem.

– Nie rób tego, Ridley. Nie będziesz umiała z tym żyć.

Głos dochodzi zza mnie; odwracam się na pięcie i widzę kogoś, kogo nie spodziewałam się zobaczyć już nigdy w życiu. Jake.

– To nie twoja sprawa! – drę się i odwracam do Maksa.

Dopiero wtedy dociera do mnie, po co tak naprawdę go ściagałam i co tak naprawdę zamierzałam zrobić, kiedy go odnajdę. Na samą myśl o tym robi mi się niedobrze; z trudem powstrzymuję torsje. A on się cały czas zbliża. Zbliża się szybko poprzez plamy światła, ze zwieszoną głową. Albo nie widzi, albo nie dba o to, że mam wycelowaną w niego broń. Mimo woli cofam się odrobinę.

– Nie bądź głupia, Ridley. Odłóż broń. – Głos Jake’a za moimi plecami brzmi desperacko, łamie się pod wpływem emocji. – Wiesz, że nie mogę ci pozwolić go zabić.

Na lęk, który słyszę w jego głosie, odpowiadam przyspieszonym biciem serca. Co ja robię? Mam sucho w gardle od adrenaliny, w karku czuję mrowienie. Nie mogę strzelić, ale jednocześnie nie mogę też opuścić broni. Mam ochotę krzyczeć ze złości i strachu, z frustracji i niepewności, ale głos więźnie mi w gardle.

Kiedy wreszcie Max jest na tyle blisko, że mogę go zobaczyć, uświadamiam sobie, że jest kimś, kogo absolutnie nie poznaję. Na widok szerokiego, okrutnego uśmiechu, jaki rozlewa się na jego twarzy, głęboko wciągam powietrze. I wtedy dociera do mnie, że Max jest tym człowiekiem, za którego mają go inni.

– O Boże – mówię, opuszczając broń. – Och, nie.

A potem widzę go przez sekundę. Patrzę mu w oczy i dostrzegam w nich mojego wujka Maksa, człowieka, który mnie zawsze znajdował i przyprowadzał do domu. I który w dalszym ciągu jest w oczach tego nieznanego. Z jego twarzy na moment znika wyraz okrucieństwa i tkwiąca we mnie dalej mała dziewczynka zaczyna się do niego wyrwać, nic innego nie pragnie, tylko do niego biec. Odruchowo opuszczam broń i wyciągam do Maksa rękę. Nasze oczy spotykają się na chwilę i zaraz potem noc ożywa dźwiękiem i rozbłyska światłem, a Max odwraca się i zaczyna uciekać.

Nagle dokoła mnie robi się tłoczno od mężczyzn. W kamizelkach kuloodpornych i z bronią gotową do strzału puszczają się za nim w pogoń. Odrzuciwszy laskę, Max biegnie szybciej, niżbym go kiedykolwiek o to posądziła. Jake mocno łapie mnie za ramię. Twarz ma bladą, napiętą ze złości.

– Zostań tutaj! – wrzeszczy. Widzę, że dostał ataku furii. – Nie ruszaj się, Ridley, do kurwy nędzy!

Po czym i on rusza w pościg. Wszyscy biorą udział w obławie na Maksa. Odwracam się, z tyłu podchodzi do mnie Dylan.

– Nie byłam w stanie tego zrobić. – Kiedy tylko wypowiedziałam te słowa, zdałam sobie sprawę, że tym, co mną powodowało, była nie chęć znalezienia mojego ojca, tylko chęć zabicia go. Nie chciałam, żeby trafił żywy do aresztu, pomagając CIA w zlikwidowaniu handlu

niewolnicami seksualnymi. Chciałam go wyciąć ze świata, tak jak wycina się raka, jakbym w ten sposób mogła pozbyć się każdej jego cząstki, jaka we mnie żyła, zarówno dobrej, jak i złej. Pewnie myślałam, że mam taki nakaz wewnętrzny, ponieważ jestem jego córką. I tu znów się myliłam.

– To zrozumiałe, że nie byłaś. – Dylan ujmuję moją twarz w obie ręce. – Zrozum to: nie jesteś nim. Nigdy nie będziesz go w najmniejszym nawet stopniu przypominała.

Słyszę w tym momencie warkot obracającego się śmigła helikoptera, a potem kanonadę. Przechodzimy szybko przez budynek, podążając w kierunku odgłosów. Po wydostaniu się na zewnątrz widzimy wznoszący się w nocne niebo czarny helikopter. Przez okno dostrzegam Maksa i przypomina mi się jego wilczy uśmiech. Unosi rękę i wskazuje na swoje serce, a potem na mnie. Teraz wiem, że już nigdy więcej go nie zobaczę. Patrząc na malejący helikopter, zastanawiam się, co się stało z człowiekiem, którego kochałam, jeśli w ogóle kiedykolwiek istniał.

Jake i ludzie, którzy z nim przybyli na miejsce, strzelają do helikoptera bez sensu jeszcze długo po tym, jak maszyna oddaliła się poza zasięg ich ognia. Jake wrzeszczy coś do telefonu komórkowego, kiedy nagle jego wzrok pada na mnie.

– Dostaniemy go jeszcze dziś w nocy, Ridley. Daleko nam nie ucieknie.

Nie wiem, czy to ma być groźba, czy może obietnica. Tak czy owak, czuję, że jest mi wszystko jedno. Odwracam się do Dylana. Nie chcę już więcej oglądać twarzy Jake'a.

– Oboje jesteście porypani – mówi Jake, przysuwając się do nas bliżej. Jest tuż przy twarzy Dylana. – Jak mogliście to zrobić?

Dylan go odpycha.

– Bujaj się, facet.

Przez chwilę mam wrażenie, że dojdzie do bójki. W głosach obu słyszę gniew i frustrację. Ale gorączka między nimi szybko wygasa. Być tak blisko ofiary, którą się ściga i którą następnie ktoś nam sprząta sprzed nosa, to sprawa bardzo bolesna. I nic nie można z tym zrobić. Nikt nie rozumie tego lepiej niż ja.

Ale kiedy rozglądam się po płaskiej wymarłej wyspie, kiedy patrzę w niebo na zanikające światła helikoptera, nie czuję ani ich złości, ani smutku. Po raz pierwszy od chwili, kiedy się dowiedziałam, że jestem córką Maksa, czuję się wolna.

Kim był Max Smiley? Nawet teraz nie wiem tego na pewno. Przybierał różne postacie, wcielał się w tego, kim akurat być powinien, żeby kontrolować sytuację. Był najgorszym koszmarem Nicka Smileya, najlepszym przyjacielem Bena Jonesa, moim ukochanym wujkiem. Był mordercą, filantropem, potentatem na rynku nieruchomości, kryminalistą bezpośrednio i pośrednio odpowiedzialnym za niewolnictwo seksualne i śmierć niezliczonych kobiet. Był człowiekiem, którego kochałam i którego nienawidziłam. Przed którym czułam lęk i którego tak naprawdę nigdy nie znałam. Był tym wszystkim w jednakowym stopniu i w sposób nieulegający wątpliwości. Był moim ojcem.

Nadzieja na to, że kiedykolwiek usiądziemy razem i porozmawiamy i że Max odpowie za to wszystko, co zrobił mnie i tak wielu innym osobom, że okaże żal, stanie przed sądem i poniesie karę – wszystko to okazało się mrzonką skrzywdzonego dziecka, które całe życie czeka na chwilę, kiedy rodzic przyzna się do popełnionego zła, potwierdzi, że ból, jaki ono przez niego cierpi, jest rzeczywisty, że ów rodzic tego żałuje i że w jakiś sposób będzie się starał naprawić krzywdę. Takie dziecko może czekać bez końca, niezdolne do tego, by iść do przodu, by przebaczyć. A bezsilność rodzi okropny gniew.

Z takiego właśnie gniewu wzięło się u mnie znacznie mroczniejsze, ale równie dziecinne marzenie – z którego nie zdawałam sobie sprawy, dopóki nie poczułam w ręku broni. Chociaż oczywiście Dylan miał rację, mówiąc, że nie zdobędę się, aby jej użyć. Za mało miałam w sobie z Maksa. Nie potrafiłabym potem z tym żyć. Byłam grzeczną dziewczynką w piżamce i z odrobionymi lekcjami. Zresztą, gdybym go nawet zabiła, to i tak nie przestałby być moim ojcem; nie zabiłabym w ten sposób tych części Maksa, które we mnie żyły. Ja potrzebowałam egzorcyzmu.

Takie myśli kłębiły mi się w głowie, kiedy siedziałam samotnie w kolejnym pokoju przesłuchań. Wszystkie one wydawały się podobne – te same ostre świetlówki, stoły z imitacji drewna, twarde krzesła z metalu i winylu. Jak na to, że nie miałam zielonego pojęcia, co się ze mną w najbliższej przyszłości stanie, byłam bardzo spokojna. Nie wykluczałam, że zostanę aresztowana – było to nawet wysoce prawdopodobne – a przecież nawet nie miałam adwokata. Przypomniało mi się, jak powiedzieli mojemu ojcu, że mogą go zamknąć w areszcie na czas nieograniczony, bo tam, gdzie w grę wchodzi bezpieczeństwo narodowe, tracą ważność wszelkie przysługujące człowiekowi prawa. Oczyma wyobraźni zobaczyłam siebie w szarym kombinezonie, jak mnie przenoszą z jednego więzienia CIA do drugiego w różnych miejscach świata. Mimo to czułam dziwny spokój. Może był to zwykły mechanizm wyparcia.

Otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Jake. Wyglądał strasznie, twarz miał ściągniętą, sine koła pod oczami świadczyły o wielkim zmęczeniu. Na jego widok żołądek podjechał mi do gardła. Co czułam? Było to bardzo skomplikowane. Gniew; głębokie poczucie zdrady, ale i, owszem, w dalszym ciągu miłość, tak.

Usiadł naprzeciwko mnie.

– Uciekł. Straciliśmy go.

Skinęłam głową, nie byłam zdziwiona.

– Nie zdołaliśmy uruchomić na czas kamer satelitarnych. Gdzieś posadził helikopter, ale odleciał innym... tak sądzimy

Nie powiedziałam ani słowa. Nie byłam pewna swoich uczuć; spostrzegłam, że kurczowo trzymam się krawędzi stołu; wielkim wysiłkiem woli próbowałam się choć trochę rozluźnić. Bez względu na to, jak skomplikowane wydawały się moje uczucia w stosunku do Jake'a, były one tysiąc razy bardziej skomplikowane, gdy chodziło o Maksa.

– Jak mogłaś to zrobić, Ridley? Co zamierzałaś udowodnić?

– Nic nie zamierzałam udowodnić. Ja... – Urwałam w pół myśli.

– Chciałaś go zabić – powiedział bez ogródek.

– Tak. Nie. Nie wiem – odparłam. – Tak myślałam.

Pokiwał głową nade mną. Na jego twarzy malował się wyraz takiej dezaprobaty, że miałam ochotę dać mu w pysk.

– Nie waż się patrzeć na mnie w ten sposób – powiedziałam, czując, jak ze złości krew mi uderza do twarzy. – Jesteś królem kłamców. To, co ty robisz, jest setki razy gorsze od tego, co kiedykolwiek zrobiłam ja. Jak ty możesz ze sobą wytrzymać?

– Wykonywałem swoją pracę – odparł słabo.

Wpędziliśmy siebie w coś w rodzaju smutnego pata; Jake pierwszy spuścił oczy, ale mieliśmy świadomość, że oboje jesteśmy przegrani. A potem sięgnął pod stół i usłyszałam dwa kliknięcia. W pokoju za lustrem rozbłysły światła i zobaczyłam, że był on pusty.

– Jesteśmy tu tylko we dwoje, Ridley, tylko ty i ja. Wyłączyłem aparaturę nagrywającą.

Nie bardzo wiedziałam, do czego zmierza.

– Co? Masz zamiar mnie bić? Torturami wymuszać informacje?

– Nie – odpowiedział, patrząc na swoje dłonie. – Chcę po prostu, byś wiedziała, że między nami było coś więcej niż tylko kłamstwa.

– Wątpię, czy w tej chwili ma to jakiegokolwiek znaczenie, Jake.

– Owszem, ma. W każdym razie dla mnie. Kochałem cię, Ridley. Naprawdę cię kochałem. Chcę, żebyś to zrozumiała. W dalszym ciągu cię kocham.

Spojrzałam mu w oczy i zrozumiałam, że bardzo potrzebuje tego, żebym mu uwierzyła. O dziwo, przypomniało mi się moje spotkanie z Christianem Luną, człowiekiem, który uważał się za mojego ojca. Pamiętam, jak mnie o tym przekonywał, jak rozpaczliwie walczył o to, żebym go zrozumiała, żebym zrozumiała go jako człowieka, jakim był, i dlaczego robił to, co robił. Pragnął mojego przebaczenia. Ale w tym wszystkim chodziło tylko o niego – o to, czego on chciał, czego on potrzebował, żeby pogodzić się z samym sobą.

– Czy to dlatego pod koniec starałaś się ode mnie zdystansować?

Skinął głową.

– Wiedziałaś, że sprawa nabrała przyspieszenia, i wycofałaś się, żebym mniej cierpiała, kiedy się zorientuję, co się stało. Wystarczająco daleko się odsunęłaś, żeby się zdystansować, ale jednocześnie pozostałaś dostatecznie blisko, żeby mną manipulować.

Jake zwiesił głowę.

– I dostatecznie blisko, żeby się ze mną kochać.

Szybko podniósł głowę i spojrzał na mnie.

– Za każdym razem, kiedy cię dotknąłem, było to szczere. Za każdym razem, Ridley.

W jego głosie wyczułam lekkie drżenie. Owszem, wierzyłam, że kiedy się kochaliśmy, był w tym autentyczny. Nie miało to jednak znaczenia. Potworne kłamstwo, jakie legło u podstaw naszego wspólnego życia, było jak czarna rzeka, która zagarniała wszystko po drodze. Nigdy bym mu nie wybaczyła... przede wszystkim dlatego, bo wierzyłam, że mnie na swój sposób kochał. I mniej więcej coś takiego mu powiedziałam.

Skinął głową i oparł się wygodnie na krześle. Twarz miał ponurą, a w jego zaciśniętych ustach i w kącikach oczu dostrzegłam ból. Odczuwałam przykrość z powodu każdego kłamstwa, jakie się między nami pojawiło. A przecież mogliśmy żyć razem długo, może nawet na zawsze. Ale to było inne życie, inny wszechświat możliwości, który już nie istniał.

– Jedno jest dla mnie w tej chwili ważne – powiedziałam, próbując przejść do rzeczy. – Cokolwiek się ze mną stanie, ktoś musi wiedzieć, że Dylan Grace nie miał z tym nic wspólnego. Został w to w jakiś sposób wciągnięty, ponieważ ja byłam uparta, a on bronił mojego tyłka.

Jake spojrział na mnie i uśmiechnął się.

– To ciekawe – odparł. – Bo on powiedział coś dokładnie przeciwnego: że to on wciągnął w to ciebie, on cię przekonał do wyrzucenia telefonu, żebyś mu pomogła znaleźć Maksa.

– Bo on mnie próbuje chronić, ale to była całkowicie moja wina, całe odium za to powinno spaść na mnie.

Jake westchnął i wstał. Podeszedł do okna, wpatrując się w pusty pokój naprzeciwko. Widziałam jego odbicie w ciemnej szybie.

– A prawda jest taka – zaczął – że to ja ponoszę winę za wszystko.

– Ty? A to niby dlaczego?

– Bo gdybym ci nie dał sprzętu z defektem – powiedział, wyjmując z kieszeni telefon komórkowy, który wyrzuciłam w tunelu pod Pięcioma Różami – to byśmy cię nigdy nie zgubili i nigdy nie byłabyś narażona na uprowadzenie przez Dutcha Warrena.

– Ale to nie... – Jednak wyraz twarzy Jake'a sprawił, że zamknęłam usta. Zrozumiałam.

– Chronienie ciebie było moim zadaniem, i to ja zawiodłem. Przykro mi, ale to przeze mnie mogłaś zostać stałą rezydentką Potter's Field.

Na samą myśl o tym przeszedł mnie dreszcz.

– Ty ze swojej strony dochowałaś warunków umowy. To nie twoja wina, że sprawy tak się potoczyły.

– A Dylan?

– Warunki twojej umowy nadal pozostają w mocy.

W dalszym ciągu stał tyłem do mnie, widziałam, że obserwuje mnie w szybie.

– Dla kogo on pracował? – zapytałam.

– Dutch Warren? Wydaje nam się, że dla niejakiego Hansa Carmichaela, jednego z ludzi, którzy poszukują Maksa. Mówi się, że córka Carmichaela była narkomanką i prostytutką i że Max ją zabił jakieś dziesięć lat temu w Londynie. Podobno Carmichael od tamtej pory szuka zemsty.

Skinęłam głową, zastanawiając się, czy kiedykolwiek skończy się piekło wzniecone przez Maksa.

– Czy Borys Hammacher pracował dla tego samego człowieka?

– Tak sądzimy.

– A ten facet, który próbował mnie zabić w szpitalu w Londynie?

– Nie jestem pewien, czy zamierzali cię tak od razu zabić. W każdym razie mężczyzna, którego zlikwidował tam Dylan, był kolejnym znanym wspólnikiem Carmichaela, dlatego można przyjąć, że w Londynie próbowali cię uprowadzić, ale dzięki Dylanowi Grace'owi im się to nie udało.

Odniosłam wrażenie, że w jego głosie pochwyciłam nutę zazdrości, ale nie wykluczam, że było to z mojej strony tylko pobożne życzenie.

Jake wrócił do stołu i usiadł naprzeciwko mnie. Złapałam się na tym, że patrzę na jego ręce i myślę o tych wszystkich miejscach na moim ciele, których te ręce kiedyś dotykały, o tym, jakie były zawsze silne i jednocześnie delikatne. I to jest właśnie najgorsze – że kiedy kończy się miłość, wracamy pamięcią do chwil fizycznej intymności. Już nigdy nie będę tych rąk trzymała, a one już nigdy nie będą miały prawa błądzić po moim ciele. Teraz Jake zarówno w sensie fizycznym, jak i emocjonalnym był dla mnie kimś obcym, chociaż jeszcze tak niedawno go kochałam.

Położył na stole telefon komórkowy.

– Te urządzenia kosztują majątek i nigdy nie działają, kiedy są najbardziej potrzebne – powiedział z uśmiechem, który ranił mi serce. – Jeszcze tylko cię przesłucham i jesteś wolna.

– Dlaczego to robisz? – zapytałam.

Jego zachowanie wydało mi się dość dziwne, bo przecież miał przed sobą kogoś, kto własnoręcznie zniszczył wszystko, nad czym pracował od lat.

I znów ten uśmiech.

– Przez wzgląd na dawne czasy, Ridley.

Nie odpowiedziałam, tylko chwilę dłużej patrzyłam mu w oczy, po czym wolno skinęłam głową.

Znów kliknął pod stołem, żeby, jak sędzę, z powrotem włączyć aparaturę nagrywającą. Opowiedziałam mu wszystko, co się wydarzyło w mieszkaniu Maksa i na Potter's Field. Od czasu do czasu o coś mnie pytał, ale w sumie poszło nam szybko. Kiedy skończyliśmy, Jake wstał.

– Przykro mi, Ridley – powiedział i widziałam, że istotnie było mu przykro. Mnie zresztą też.

– Jake – zatrzymałam go już prawie przy drzwiach. – Czy znalazłeś kopertę? – Powiedziałam mu, że moim zdaniem powinna być na łodzi.

Skinął głową i przystanął jeszcze na chwilę z ręką na gałce drzwi. Poczulałam lekki trzepot serca i rewolucję w żołądku. Jak zwykle chciałam wiedzieć więcej, niż mogłam. Miałam słabą nadzieję, że było tam coś dla mnie. Wiem, jestem porąbana.

– I co tam było? – spytałam w końcu.

– To jest poufne, Ridley.

– Ale ja muszę wiedzieć, Jake.

– Różne dokumenty – odparł. – Dokumenty komputerowe.

– Zawierające?

– Z grubsza biorąc, zdradził wszystkich, z którymi kiedykolwiek miał jakieś nielegalne interesy. Tam są nazwiska, transakcje bankowe, zdjęcia. Cały zespół agentów musiałby pracować miesiącami, a może nawet i przez rok, żeby zgromadzić tyle danych.

– Dlaczego on to zrobił?

– No cóż, to prawdziwy geniusz. Wszystko, czego od niego chcieliśmy, mamy praktycznie w zasięgu ręki: nazwiska, daty, potencjalnych świadków. Dysponujemy wystarczającym materiałem, żeby oskarżyć bardzo złych ludzi.

– W tej sytuacji poszukiwanie Maksa przestało być takie pilne, prawda?

– Jest w dalszym ciągu jednym z najważniejszych poszukiwanych. Ale owszem, część sił z pewnością zostanie przerzucona na badanie tych tropów.

Milczałam. Nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Nigdy nie chodziło tylko o niego. Już ci to mówiłem.

– Była jakaś informacja o projekcie „Na ratunek”?

Zawahał się, po czym szybko skinął głową.

– Oczywiście nie mogę ci nic na ten temat powiedzieć.

– Jasne – odparłam.

Nawet nie byłam pewna, czy chcę wiedzieć cokolwiek więcej na temat projektu „Na ratunek”. Czy logistyka decydująca o tym, kto wykonuje brudną robotę, miała w ogóle dla mnie jakiegokolwiek znaczenie? Zastanawiałam się, ile z tych dzieci wylądowało w przyzwoitych domach, a ile w piekle. Ale te myśli to było więcej, niż mogłam znieść. Czulałam ogarniającą mnie znajomą drętwotę, mgłę zaciemniającą umysł. Co miałam robić?

Pomyślałam o moim ojcu Benie. Dlaczego dał mi ten klucz? Czy w pewnym sensie nie wykorzystał mnie do tego, żeby ułatwić Maksowi ucieczkę? Czy było to zamierzone, czy Ben próbował mi w ten sposób pokazać, kim był naprawdę Maks? A może po prostu wykonywał jego polecenia? Odłożyłam sobie ten problem na później.

– Było tam coś dla mnie?

Jake potrząsnął głową. Po tym wszystkim nie mógł uwierzyć, że jeszcze ciągle czekałam na jakiś sygnał od Maksa.

– Idź do domu, Ridley. – Powtórzył ostatnie skierowane do mnie słowa Maksa. Nie wiem, czy świadomie, czy nie, w każdym razie zastosowałam się do jego rady.

Las za domem rodziców niczym się nie różnił od tego, jaki zapamiętałam.

Było zimno, a ja, jak zwykle, ubrałam się niestosownie. Jeszcze godzina i wszędzie słońce. Już widziałam srebrzystą poświatę na horyzoncie. Jako dziecko bałam się tych lasów nocą, w mojej wyobraźni smukłe czarne drzewa zamieniały się w czarownice, kamienie w chochliki, a krzaki w diabły. Ale dziś, idąc wśród cienkich drzew, nie bałam się niczego. Przekraczając zawsze suche zimą koryto strumienia, widziałam światła na ganku sąsiadów.

Zastałam go na miejscu – tak, jak go zostawiliśmy wieki temu, kiedy stanowił miejsce naszych zabaw. Fort, który zbudowaliśmy razem z Ace'em, wydał mi się bardzo mały, kiedy stanęłam obok niego. Zdziwiły mnie jego skromne rozmiary; w mojej pamięci pozostał jako coś dużego, wielkości samochodu. W rzeczywistości bardziej przypominał lodówkę, no może coś nieco większego. Ale mimo skromnych rozmiarów, pozornie niestabilna budowla wydawała się solidna, zasiedziała. Miała w tym lesie swoje miejsce, a w mojej świadomości była tam od zawsze.

„Idź do domu, Ridley”.

Weszłam do środka i usiadłam na chłodnej ziemi. Ledwie się tam mieściłam. Musiałam się nawet trochę skulić. Na zewnątrz prawie słyszałam odgłosy lata mojego dzieciństwa: granie świerszczy, wróble budzące się wraz ze wschodem słońca, gdzieś w oddali pociągi jadące do miasta i z powrotem. Ale w ten zimowy wieczór panowała tu cisza. Bardzo głęboko odczuwałam odległość dzielącą mnie od dzieciństwa, od dziewczynki, która się ukrywała po to, żeby jej szukano, a następnie znaleziono i odprowadzono do domu.

Biel koperty wetkniętej między kawałki zmurszałego drewna dosłownie jarzyła się w mroku. Była czysta i świeża; musiała tu tkwić od niedawna. Na kopercie zobaczyłam swoje imię. Wyjęłam ją, rozdarłam i wyciągnęłam ze środka pojedynczą kartkę.

Cześć, mała.

Ale się porobiło. Zastanawiam się, co sobie o mnie myślisz, czytając ten list... Czy mnie nienawidzisz? Czy się mnie boisz? Nie mam pojęcia. Wolę myśleć, że Twoje wspomnienie o mnie wystarczy, żebyś mną przynajmniej nie pogardzała. Ale może się mylę.

Jedno w każdym razie chcę Ci powiedzieć: nie wierz we wszystko, co Ci mówią.

Powinienem był lepiej się starać. To wiem na pewno. Z pewnością zgodzisz się ze mną, że byłoby dla Ciebie lepiej, gdybyś nie wiedziała, że jestem Twoim ojcem. Ben to znacznie lepszy człowiek ode mnie. Lepszy człowiek i ojciec, niż ja byłbym kiedykolwiek. Podtrzymuję swoją decyzję. Masz paskudne pochodzenie, dziecko. Wywodzisz się od paskudnych ludzi z paskudną przeszłością. Chciałem Ci oszczędzić tej świadomości. I słusznie, bo jesteś jasnym promieniem światła, Ridley. Już ci to wcześniej mówiłem. Nie pozwól, by to, co wiesz o mnie i o swoich dziadkach, cokolwiek w tej sprawie zmieniło. Wcale tak być nie musi.

Dostatecznie dobrze Cię znam, by wiedzieć, że poszukujesz odpowiedzi. Zawsze

byłaś dzieckiem, które domagało się początku, środka i szczęśliwego zakończenia. Pamiętasz, jak się złościłaś, kiedy oglądaliśmy *Przeminęło z wiatrem*? Nie mogłaś uwierzyć, że jednak Rhett porzuci Scarlett. Albo jak latami ścigałaś Ace'a, który był przecież menelem, wykorzystywał Cię, niszcząc jednocześnie siebie, a Ty mimo wszystko spotykałaś się z nim, dawałaś mu pieniądze, chciałaś mu pomóc. (Myślałaś, że nie wiem? Naprawdę, niewiele jest rzeczy, których bym o Tobie nie wiedział). Zawsze próbujesz naprawić to, co jest zepsute, masz potrzebę czynienia dobra. Wierzysz, że jesteś do tego powołana. I ten upór i wiara w siebie uczyniły cię tym, kim jesteś; kocham Cię za to. Ale w moim wypadku to się nie uda. Sprawy zaszły za daleko... jeszcze przed Twoim urodzeniem.

Nie zamierzam wyliczać rzeczy, które zrobiłem, ani tych których nie zrobiłem. Część tego, co o mnie mówią, jest prawdziwa, a część nie. Mogę Ci tylko powiedzieć, że właściwie to nigdy nie byłem dobry, chociaż zdarzało mi się w życiu czynić także i dobro. Ale dość wcześnie zszedłem na złą drogę, byłem praktycznie nie do naprawienia. Jediną osobą, która dostrzegła we mnie coś pozytywnego, był Ben, a później Ty. Zawsze odczuwałem do was za to wdzięczność, chociaż pewnie teraz myślisz, że nie zasługiwałem na Twoją miłość. I zapewne masz rację.

Kiedy to będziesz czytała, jeśli w ogóle do tego dojdzie, mnie już nie będzie. Ale zależy mi na jednym: żebyś pamiętała, że bez względu na to, co zrobiłem, kim jestem i co o mnie myślisz, kochałem Cię zawsze ponad własne życie. Jestem Twoim ojcem i tego nic nie zmieni. Nawet gdybyś mnie zabiła.

Dawno temu siedzieliśmy w tym miejscu razem i wtedy Ci powiedziałem: Moje serce jest połączone z Twoim złotym łańcuchem. Zawsze Cię znajdę. I to jest tak samo prawdziwe dziś, jak było kiedyś.

Tak czy owak, moja mała, jest mi bardzo przykro. I naprawdę Ci radzę: pozbieraj swoje życie do kupy i ruszaj do przodu. Nie trać czasu na rozpamiętywanie swojej przeszłości i pochodzenia. Idź do przodu.

I bądź miła dla swoich rodziców. Oni Cię kochają.

Twój na zawsze Max.

Siedziałam przez jakiś czas, trzymając w ręku list i myśląc o tym, jak dobrze musi mnie znać, skoro wiedział, że pewnego dnia wrócę w to miejsce. I jak ścisła musi istnieć między nami więź, skoro zostawił tu dla mnie list, spokojny, że go z pewnością znajdę. Mówiąc: „Idź do domu, Ridley”, miał na myśli to miejsce, nie mój dom. Ani swój. Tylko dom mojego dzieciństwa, gdzie zawsze byt moim ukochanym wujkiem Maksym. Chciał, żebym wróciła tam, gdzie go kochałam. A był to smutny powrót.

W tym momencie usłyszałam w krzakach na zewnątrz jakiś ruch; wstrzymałam oddech, skuliłam się. Odgłosy były coraz wyraźniejsze, coraz bliższe. I wreszcie:

– To ty, Ridley?

– Tato?

Wyrzesałam przez małe okienko i zobaczyłam Bena. Był w piżamie, szlafroku i tenisówkach.

– Nie spałem – powiedział i przykucnął koło mnie. – Usłyszałem twój samochód, a potem widziałem, jak szłaś przez trawnik za domem. Co ty tu na miłość boską robisz?

– Miałam przeczucie, że znajdę tu coś, czego szukałam.

Sięgnął ręką i dotknął mojej twarzy, po czym spojrzał na mnie dziwnie, jakby pomyślał, że zwariowałam.

– I znalazłaś?

– Znalazłam.

Podaliśmy mu list i patrzyłam, jak czyta w jaśniejącym świetle wczesnego poranka. Opowiedziałam mu, co się ze mną działo od chwili, kiedy po raz pierwszy zatrzymał mnie na ulicy Dylan Grace. Opowiedziałam mu o Potter's Field i o tym, że widziałam Maksa. Nie przyznałam się tylko do tego, że ciemna, głęboko ukryta strona mojej natury kazała mi tamtej nocy sięgnąć po broń i próbować go zabić, a także do tego, jak lekkomyślne i głupie robiłam w tym celu rzeczy.

– Dlaczego mi dałeś tamten klucz? – zapytałam. – Czy wiedziałeś, co jest w tej szufladzie? Wzruszył ramionami.

– Powiedział mi, że ten klucz ci się przyda i że będziesz wiedziała, co z nim zrobić. Że wszystko jest stracone i że ty i ja mamy kłopoty z powodu tego, co on zrobił, a to jest dla nas coś w rodzaju przepustki z więzienia na wolność.

Powiedziałam mu, co było w szufladzie i co wynikło z przekazania tego CIA. Nie był zły ani nawet zdziwiony.

– Max musi być zawsze jeden krok do przodu. To wojownik, zawsze był taki. Ja przestrzegam reguł; on jest dziki; to szaleniec. Z Maksym Smileyem nikt się nie może równać.

W głosie ojca wyczułam nieklamany podziw. Teraz ja się zastanawiałam, czy przypadkiem on nie zwariował.

– Czy ty rozumiesz, co do ciebie mówię, tato? Czy ty rozumiesz, kim on był?

– Rozumiem, kim on jest według nich. Ale tak, jak napisał w tym liście: nie wierz we wszystko, co ci mówią.

– Ale on dostarczył dowodów, tato.

– Owszem, dał im, czego chcieli, żeby mu przestali deptać po piętach, ale to nie jest to samo.

Kiedy już ojciec uruchomił mechanizm wyparcia, nie było na niego siły. Chciał widzieć tylko jedną cząstkę Maksa, jeden mały skrawek tego, kim on był naprawdę, i kurczowo się tego uczył. Wolał nie widzieć całego człowieka. Może się bał.

– Co on na ciebie ma, tato? Czym cię przez te wszystkie lata trzymał za gardło?

– Ma na mnie dokładnie to samo co i ty, Ridley. I co ma twoja matka. A nawet Ace. Miłość.

Prawdopodobnie oczekiwałam od ludzi, żeby się zmieniali. Oczekiwałam, że Max przyzna się do wszystkiego, co zrobił. Oczekiwałam, że Ben powie otwarcie, kim był naprawdę Max i jaki wpływ miały na mnie ich niezliczone kłamstwa. Oczekiwałam, że Ace wyjdzie na prostą i będzie żył przyzwoicie. Może „oczekiwanie” nie jest tu najlepszym słowem. Lepszym pewnie byłaby „nadzieja”, chociaż równie bezprzedmiotowym. Trudno jednak mieć nadzieję, że inni się zmienią, można tylko samemu próbować się zmienić, a to naprawdę ciężka praca.

Zostawiłam ojca w lesie, a sama wróciłam przez trawnik do samochodu. Czułam przez buty wilgoć rosy i widziałam, jak wschodzące słońce maluje na złoto okna domu moich rodziców. W powietrzu panował chłód, niebo było różowe. Zobaczyłam matkę stojącą

w oknie sypialni – patrzyła na mnie tak samo jak rok temu. Od tamtej pory nic się tu nie zmieniło – poza mną. I taki jest pewnie sens powiedzenia, że się nie wchodzi dwa razy do tej samej rzeki.

Epilog

No więc nie, nie zamieszkałam z Dylanem Grace'em. Zmądrzałam na tyle, by wiedzieć, że po tym wszystkim, przez co przeszłam, po wszystkich moich metamorfozach, potrzebowałam czasu, żeby poznać Ridley Jones. W trudny dla mnie sposób dowiedziałam się, że nie jestem córką Bena i Grace, nie byłam też córką Maksa i Teresy Stone, ale równocześnie byłam jednym i drugim. Co więcej – byłam sobą, kimś, kto sam wykuwa własną drogę życiową. Natura, wychowanie i wolna wola – każdy z tych elementów odgrywa w tym procesie wielką rolę. Ale ostatecznie wszystko sprowadza się do naszych wyborów. Tych dużych i tych małych... Zdażyliście już chyba do tej pory poznać mój styl.

Owszem, spotykam się z Dylanem. Zabawne, że nosi nazwisko będące jednocześnie imieniem mojej matki. To imię jest takie kobiece, a on jest takim twardzielem, że ta dwoistość wydaje mi się bardzo ekscytująca. Dylan ma w sobie zresztą znacznie więcej rzeczy, które uważam za fascynujące. Tak czy owak, chodzimy do kina i do muzeów, jadamy obiady na mieście, ale przede wszystkim... rozmawiamy.

– Przez cały ten czas, kiedy cię obserwowałem – powiedział mi podczas naszej pierwszej oficjalnej randki – do szału doprowadzało mnie, że nie mogliśmy porozmawiać.

Dylan udaje, że nie wie o mnie wszystkiego, i potrafimy całą noc nie spać, szukając tego, co nas łączy, poza obsesją na punkcie Maksa i zdolnością do pakowania się w niebezpieczne i dramatyczne sytuacje. I nie muszę wam chyba mówić, że seks jest dalej między nami tematem gorącym.

Wspominam, jak fajnie było między nami, kiedy odbyliśmy rundkę po różnych galeriach w SoHo, a potem szliśmy sobie Piątą Aleją. Przypuszczam, że w większości sztuka, którą oglądaliśmy, wydawała mu się okropna, chociaż nic nie mówił. A potem przecięliśmy Washington Square i minęliśmy Ósmą ulicę, popijając z kubków Dean & DeLuca gorącą czekoladę. I wtedy w jednej z wystaw zobaczyłam swoje odbicie. Na początku tygodnia w salonie fryzjerskim Johna Dellarii ufarbowałam sobie włosy na kolor zbliżony do mojego naturalnego, chociaż w dalszym ciągu były krótkie i sterczące. Zaczynały mi się nawet podobać takie, jakie były, ale wiedziałam, że w końcu i tak je zapuszczę. Kiedy się sobie przyglądałam, pochwyliłam jeszcze inne odbicie – chudego mężczyzny w długim płaszczu, wspartego na lasce.

Odwróciłam się, żeby na niego spojrzeć, ale był to ktoś inny. Nie Max.

Często mi się to zdarza i przypuszczam, że nadal będzie mi się zdarzało, chociaż wiem, że Max nie będzie mnie już więcej szukał. Bo jest ze mną. Jest ze mną na zawsze. Kiedyś wyobrażałam sobie, że się od niego uwolnię, ale dziś wiem, że gdyby mi się to nawet udało, straszylby mnie w dzień i w noc do końca życia.

Teraz też są sprawy, które nie dają mi spokoju; nigdy nie zrozumieć pewnych zdarzeń. Na przykład nigdy chyba nie przypomnę sobie przebiegu mojej podróży samolotem, a przede wszystkim tego, jak się dostałam z Klasztoru na jego pokład. Paszport, który miałam w plecaku, był fałszywy; mój prawdziwy czekał na mnie spokojnie w domu. A te pieniądze,

które znalazłam w plecaku? Też przecież nie były moje. Patrząc na to wszystko optymistycznie, zyskałam na tym całym interesie trochę niezłych ciuchów.

– O czym myślisz? – zagadnął mnie Dylan, kiedy staliśmy na światłach. Pewnie nie odzywałam się od jakiegoś czasu.

Na ogół unikaliśmy rozmów o Maksie. Żadne z nas nie wspomniało o Potter's Field, o tym, że tamtej nocy nie dostaliśmy tego, czego szukaliśmy, i że już nigdy nie dostaniemy.

– Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek poczułeś się okradziony. W tym sensie, że nie doczekałeś się sprawiedliwości, jakiej szukałeś w imieniu swoich rodziców, w imieniu zamordowanych przez Maksa kobiet. Uszło mu to na sucho. Czy nie masz z tego powodu poczucia krzywdy? Myślisz o tym?

Potrząsnął głową.

– Nie uszło mu to na sucho.

Spojrzałam na niego, zastanawiając się, czy może wie o czymś, o czym ja nie wiem. Przez cienkie okulary przeciwsłoneczne, które nosił, nie widziałam jego oczu. Cisnął pusty kubek do kosza na śmieci.

– Wierzę, że swoje czyny nosimy w sobie. Zło, które wyrządził, musi go zżerać jak rak. Przyjdzie taki dzień, że ten rak go wykończy.

Nie całkiem się z nim zgadzałam. Przypomniała mi się moja rozmowa z Nickiem Smileyem.

„On niczego nie żałował – powiedział mi Nick. – Widziałem to po tym, jak na mnie patrzył. Dla każdego innego miał bardzo smutną minę. Ale kiedy byliśmy sami, wystarczyło, że na mnie spojrzał, a ja już wszystko wiedziałem. Zabił matkę, a potem oskarżył ojca i zeznawał przeciwko niemu. Czyli w efekcie zabił oboje rodziców. I nie sądzę, żeby z tego powodu nie przespał choćby jednej nocy”.

– Ja nie mówię o wyrzutach sumienia. – Dylan dostrzegł malujące się na mojej twarzy wątpliwości. – Chcę powiedzieć, że sprawiedliwość jest czymś bardziej organicznym niż sąd i kara. To karma, rozumiesz?

Skinęłam głową, nie zamierzałam się z nim sprzeczać. Jeżeli znalazł jakiś sposób na pogodzenie się z faktem, że człowiek, który zabił jego rodziców, jest na wolności i najprawdopodobniej ma się nieźle, to nie próbowałam mu tego odbierać. Miał najwyraźniej dojrzałą osobowość niż ja.

Nie będę was okłamywać – fakt, że Max się wykręcił od odpowiedzialności i że najprawdopodobniej jego apetyty się nie zmniejszyły, spędza mi sen z oczu. Przypuszczam, że wygnanie mogło go uczynić jeszcze bardziej żarłocznym. Pewnie spodziewaliście się lepszego zakończenia, w którym czarny charakter zostaje złapany i osądzony, a ja żyję długo i szczęśliwie. Czy nie byłoby cudownie, gdybyśmy tak mogli zmieniać wszystkich ludzi i okoliczności, które sprawiają nam ból? Ale oczywiście nie zawsze w życiu tak bywa. Czasem sprawy pozostają takie, jakie są, niezależnie od tego, jak bardzo z nimi walczymy. Najtrudniej pogodzić się z tym, co jest nam dane, i żyć najlepiej, jak tylko się da, idąc do przodu, nawet jeśli miałoby to oznaczać, tak jak w moim wypadku, ciągłe oglądanie się za siebie.

Wyrzuciłam kubek do kosza, a Dylan wziął mnie za rękę. W pełnym wymowy milczeniu poszliśmy w stronę Flatiron Building.

– A jak z tobą? – zapytał, unosząc okulary i opierając je na czubku głowy, po czym obrócił na mnie te swoje szare oczy. – Czy ty się tak właśnie czujesz? Jakbyś była okradziona?

Przez chwilę zastanawiałam się nad odpowiedzią: stanął mi przed oczami Max, jak się unosi w górę na pokładzie helikoptera, i list, który do mnie zostawił. Już zawsze będę musiała łamać sobie głowę nad tym, gdzie jest, czy mnie w jakiś sposób obserwuje.

– Nie okradziona – odparłam – tylko prześladowana.

Widziałam, że moja odpowiedź go zasmuciła. Objął mnie ramieniem i mocno przytulił; resztę drogi do domu odbywaliśmy na piechotę.

Wiele czasu spędziłam na katalogowaniu wszystkich popełnionych przez siebie błędów. Z pewnością zgodzicie się ze mną, że lista jest długa i barwna. Jednak chyba największą głupotą z mojej strony była naiwna wiara, że uda mi się sprowadzić Maksa do domu. Ale ten jeden błąd gotowa jestem sobie wybaczyć. Ponieważ było coś, co zrozumiałam dopiero w chwili, kiedy mi zniknął – wtedy dopiero pojęłam, że duch znajduje swój dom w śmierci.

Podziękowania

Może to i prawda, że pisarze pracują w izolacji. Ale praca, którą wykonuję, z pewnością pozostałaby za zamkniętymi drzwiami mojego domu, gdyby nie cała siatka tych, którzy we mnie wierzą i mnie wspierają. Wymienię ich tutaj, razem z pełnym blasku katalogiem ich licznych zalet.

Mój mąż Jeffrey od lat słucha tych samych rozmów i odpowiedzi na te same pytania, jakich udzielam – nie tylko w domu. Muszę się przecież pojawiać w księgarniach, na konferencjach, na spotkaniach z grupami czytelników albo pisarzy. Ale, szczerze mówiąc, to jeszcze najmniejsze z tego, co dla mnie robi – jako najlepszy mąż, przyjaciel, publicysta, czytelnik, organizator, a (ostatnio) także i najlepszy ojciec, jakiego kiedykolwiek znałam. I do tego jeszcze gotuje! Codziennie dziękuję za niego mojej szczęśliwej gwiazdzie.

Moja agentka Elaine Markson i jej asystent Gary Johnson są dosłownie moją linią ratunkową w tej branży. Od chwili, kiedy rozpoczęłam współpracę z Agencją Literacką Elaine Markson, czyli prawie od siedmiu lat, Elaine jest moją pierwszą czytelniczką, moją mistrzynią i przyjaciółką. Gary pomaga w sprawach organizacyjnych, rozśmiesza mnie i dostarcza najświeższych plotek ze środowiska. Co roku usiłuję wymyślić coś nowego, co mogłabym powiedzieć na jego temat, ale niezmienna prawda jest taka, że bez niego całkowicie bym się zagubiła.

Gdybym mogła zbudować świątynkę ku czci mojej redaktorki Sally Kim i oddawać jej tam hołd, z pewnością bym to zrobiła. A tak poważnie: relacja autor–redaktor jest naprawdę bardzo delikatna i zarazem kluczowa. Autor to człowiek skomplikowany i wrażliwy – kiedy się znajdzie w niewłaściwych rękach, może zostać poobijany i zdemoralizowany. We właściwych rozwija się i doskonali w swoim fachu. Sally jest mistrzynią w prowadzeniu autora, bez wywierania na niego nacisków, w sugerowaniu bez dyktatu – to ona zrobiła ze mnie lepszą pisarkę, i to tak, żebym wierzyła, że to wszystko moja zasługa. Jest współkonspiratorką, terapeutką, mistrzynią i przyjaciółką.

Wydawnictwo takie jak Crown/Shaye Areheart Books to marzenie każdego pisarza. Nie wyobrażam sobie wspanialszej, bardziej idącej na rękę i kochającej firmy. Moje najserdeczniejsze dzięki dla Jenny Frost, Shaye Areheart, Tiny Constable, Philipa Patricka, Jill Flaxman, Whitney Cookman, Jacqui LeBow, Kim Shannon, Kiry Stevens, Roseann Warren, Tary Gilbride, Christine Aronson, Lindy Kaplan, Karin Schulze i Kate Kennedy... żeby wymienić tylko niektórych z nich. Każda z tych osób wniosła jakiś wkład w moją pracę w postaci swojego talentu i umiejętności – naprawdę nie wiem, jak im dziękować.

Agent specjalny Paul Bouffard rozumie, co mam na myśli. Jesteśmy całkowicie zgodni w sposobie myślenia. Paul stanowi dla mnie źródło tego, co legalne i nielegalne. Ze swoim ogromnym doświadczeniem pracownika wymiaru sprawiedliwości na szczeblu federalnym jest skarbnicą informacji, niewyczerpanym źródłem detali i ekscytujących anegdot, które nigdy nie przestają zajmować mojej wyobraźni, jest też wraz ze swoją żoną Wendy wielkim przyjacielem, z którym odbieramy na tej samej fali.

Moja rodzina i przyjaciele świętują ze mną sukcesy, a z drugiej strony pomagają mi przetrwać ciężkie chwile. Mama i tata, Virginia i Joseph Miscione (znani też jako Drużyna Houston), są nieustrudzonymi promotorami i cheerleaderami. Nie ma w Houston księgarni, w której sprzedawca albo menedżer nie powiedziałby mi: „Ach, tak! Była tu pani mama i wszystkie pani książki powystawiała na pierwszą półkę”. Mój brat Joe Miscione, kiedy tylko zobaczy w sklepie moje książki, robi zdjęcia telefonem komórkowym i przesyła mi je mejlem. Moja przyjaciółka Heather Mikesell przeczytała wszystko, co do słowa z tego, co napisałam, od chwili, kiedy się poznałyśmy, czyli od bez mała trzynastu lat. Liczę na jej intuicję i redaktorskie sokole oko. Moje najstarsze przyjaciółki Marion Chartoff i Tara Popick też mają mi do zaoferowania swoją osobliwą mądrość, wsparcie i poczucie humoru. Jestem im wdzięczna na więcej sposobów, niż mogę tu wymienić.

¹ Jeffrey Lionel Dahmer (1960–1994) – jeden z największych amerykańskich seryjnych morderców, nekrofil i kanibal. Zmarł w więzieniu stanowym w Portage, zamordowany przez współwięźniów (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

² Akt prawny ustanowiony w Stanach Zjednoczonych 26 października 2001 roku w wyniku zamachu na World Trade Center.

³ Mt 27,3 i 27,7, cyt. za: *Biblia Tysiąclecia*, Poznań 2003.